

FRANCISZEK JAWORSKI.

---

# LWÓW

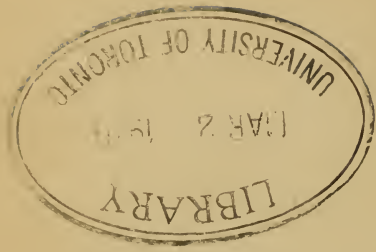
## STARZY I W CZORAJSZY

(SZKICE I OPOWIADANIA).

:: :: Z ILUSTRACJAMI :: ::



LWÓW.  
NAKŁADEM „KURJERA LWOWSKIEGO“  
1910.



## Od wydawnictwa.

---

Opowiadania z dziejów Lwowa, w tym zbioru zawarte, drukowane były częściowo w feljetonach „Kurjera Lwowskiego“ w dziesięcioletnim przeciągu czasu, od r. 1899. do r. 1909. Rozrzucone w dziesięciu rocznikach pisma codziennego, trudne są dziś do odszukania, a nadto wymagają licznych sprostowań, a zwłaszcza uzupełnień szczegółami, które doszły do wiadomości autora, już po ich wydrukowaniu. Ten ostatni wzgląd jest też główną przyczyną dlaczego, zwyczajem często praktykowanym, drukujemy je teraz razem, w jednym zbiorze i w dogodnym formacie książkowym.

Niektóre opowiadania pojawiają się tutaj po raz pierwszy, inne uległy znacznym przeróbkom i uzupełnieniom tak, że właściwie nie można je uważać za przedruk.

Również i ilustracje samego tekstu, niemożliwe do pomieszczenia w dzienniku, znajdują się tu po raz pierwszy.

Wobec wzmożonego zainteresowania się dziejami grodu naszego, być może, że i te skromne opowiadania stanowiąc będą pożądaną lekturę dla naszych czytelników — i w tej też myśli przystąpiliśmy do wydawnictwa.

---

I.

PRZELOTNE PTAKI.



## BŁĘDNY RYCERZ WE LWOWIE.

Od dwu królów niósł Guilbert de Lannoy poselstwo Władysławowi Jagielle.\*) Właśnie obłąkany władca Francji Karol VI., względnie dwór jego, po długiej wojnie zawarł przymierze z angielskim swym nieprzyjacielem Henrykiem V., ich dzieci weszły w związek<sup>¶</sup> małżeński, postanowienia pokoju w Rouen gwarzyły o chciwości spadku obu monarchów po sobie, a tę gwarę zanieść miał Guilbert de Lannoy Krzyżakom, Witołdowi, Jagielle, ponieść ją hen dalej aż do Turków i Konstantynopola, a po drodze, dla własnej przyjemności zwiedzić Syryję i Egipt.

Bo Guilbert de Lannoy, sire Villerval et de Trouchiennes był błędnym rycerzem. Szukał przygód, gonił za odpustami i łaskami niebios, całe życie mu biegło na błędnej wędrówce po świecie. A było to życie rycerza, pełne krwi, zabaw, hulanki, pełne niezwykłych walk, turniejów, pieśni miłosnych i stalowego zgrzytu oręża — życie błędnego rycerza, politycznego kawalera. Żądza odpu-

---

\*) Por. Lelewel: Guilbert de Lannoy i jego podróże. Poznań 1846.

stów gnała go aż do Jeruzalem i do jaskini św. Patrycjusza, błyszczał na rycerskich turniejach w Walencji, jego imię rozbrzmiewało w wojnie domowej między białą i czerwoną różą, między domami Jork i Lancaster, on sam, stłuczony w potyczce pod Azincourt, dostał się do niewoli, a kupił go książę Kornwalji za 1200 sztuk złota i jednego konia.

A jako błędny rycerz biegł Guilbert de Lannoy tam głównie, gdzie wojna święta z Saracenami rycerstwu wprost podwoje niebios otwierała. Więc do Hiszpanji spieszył na wojnę z Maurami, był w Grenadzie po jej zdobyciu w r. 1408, a kiedy Zakon krzyżacki skrzyknął wojnę niby świętą, przeciw Polsce i Litwie, był Guilbert de Lannoy jednym z pierwszych, co się dał uwieść krzyżackiej obłudzie i ruszył na bój przeciw nieznanemu sobie narodowi, którego kraj i życie teraz dopiero poznai po raz pierwszy (1413—1414).

Bo błędnym rycerzem był Guilbert de Lannoy, szukającym przygód po świecie szerokim i politycznym kawalerem był także, a dwaj królowie mu zdali poselstwo do Władysława Jagielły.

To właśnie poselstwo przywiodło go aż do Lwowa. Guilbert de Lannoy, kawaler złotego runa ten sam, co walczył z Maurami pod Grenadą, któremu damy Walencji szarfę przypinały na uroczystym turnieju, błędny rycerz Guilbert de Lannoy sire de Villerval et de Trouchiennes znalazł się nagle na bruku lwowskim i... wcale się dobrze bawił we Lwowie.

Była wiosna roku 1321, kiedy błędny rycerz ruszał z burgundzkiej krainy, był już koniec maja,

kiedy z poselstwem dwu królów stanął w Gdańsku. Tutaj się dowiedział, że starego króla polskiego nie zastanie siedzącego na tronie i w majestacie, a nawet go niełatwo odszuka. Władysław Jagiełło polował gdzieś w głębokich lasach na Rusi, borykał się z niedźwiedziami, więc trudno go było znaleźć w mroku nieprzejrzanym borów.

Ale Guilbert de Lannoy był błędnym rycerzem, nie widział jeszcze nigdy ruskiej krainy, nie wiedział, jak się niedźwiedzia żywcem bierze. Ruszył tedy w bory Czerwonej Rusi, aby tam swoje sprawić zadanie: szmer leśny świadkiem miał być poselstwa dwu królów do Władysława Jagiełły.

Rzeczywiście też znalazł błędny rycerz króla polskiego w pobliżu Sądowej Wiszni, w jakiejś odludnej knieji, zwanej Oziminą. Sprawił poselstwo dobrze, na uroczystem posłuchaniu wśród boru wręczył Władysławowi dary swoich mocodawców: postaw sukna przetykanego złotem, szyszak rycerski ze złotym grzebieniem i dwie cenne kusze angielskie. I on też sam — Guilbert de Lannoy był całkiem kontent z przyjęcia na dworze królewskim, rezydującym w puszczy leśnej. Wszak błędnym był rycerzem i za przygodami gonił, a król polski kazał mu zbudować szałas, »całkiem z zielonych liści i gałązek — bardzo piękne pomieszkanie« — opisyje z zachwytem poseł dwu królów, a ponadto »prowadził go na swe łowy dla chwytania niedźwiedzi dzikich żywcem«. Czegoż więcej łaknąć mogła dusza błędnego rycerza, zwłaszcza, że obiady były »hoże« a na wielkiej uczcie na cześć jego urzędzo-

nej »było więcej niż sześćdziesiąt par potraw«. Hojny z natury Jagiełło obsypywał gościa niezwykłego podarunkami, tak, że błędny rycerz wyjeżdżając po sześciu dniach z gościny, uwoził z sobą wcale konkretne rzeczy, jak dwa konie i dwie kobyły, dwie sztuki jedwabne, sto futer sobolowych, trzy czary pokryte srebrem złożonem, sto florenów węgierskich, drugie sto samymi groszami czeskimi, nie licząc mniejszych darów, jak jastrzębie do polowania, rękawiczki, charty, noże, kilimy i t. p., których mu nieszczędzili dworzanie królewscy.

Ale mimo to, przecież było markotno Władysławowi Jagielle, że takiego gościa zamorskiego, Francuza, przyjmować musiał w lesie odludnym — zawsze nie tak przystojnie i okazale, jak na to zasługiwał Guilbert de Lannoy, wielki bywalec, kawaler złotego runa, rycerz znamienity.

W takim to utrapieniu przyszli królowi na myśl mieszczanie lwowscy. Mężowie tędzy, pełni ogłady, zasobni bardzo w wina, korzenne przyprawy, gościnni przy tem nadzwyczaj i zawsze chętnie ukochanego swego króla w kłopotcie ratujący. Wyprawili więc do nich błędnego rycerza, przykazując, aby go gościnnie przyjęli.

W taki sposób znalazł się kawaler Guilbert de Lannoy we Lwowie. Gość królewski był dla mieszczan lwowskich tem miłszym i pożądanym gościem, wystąpili więc tak, jak tylko mogli najokazalej. Przedewszystkiem w posiadaniu bohatera z pod Grenady znalazła się sztuka przedniego jedwabiu, jako dar honorowy, a potem na sali ratu-



szowej był »bardzo wielki obiad«. Obiad ten a zapewne także układność i towarzyski polor gospodarzy zaimponowały Francuzowi do tego stopnia, że w swoich pamiętnikach nazywa łyżków lwowskich z całym uszanowaniem... panami i obywatelami (*les seigneurs et bourgeois*).

Tymczasem jednak wieść o przyjeździe tak znakomitego rycerza rozbiegła się lotem błyskawicy po całym Lwowie, budząc wszędzie sensację. Zwłaszcza na ulicy Ormiańskiej, synowie dalekiego Orjentu brodaci, kędzierzawi Ormianie, zainteresowali się bardzo przybyszem i postanowili go uczcić należycie.

Bo błędnym był rycerzem Guilbert de Lannoy i na wschód jechał do Turcji dalekiej, a kupcami byli Ormianie lwowscy i również na wschód jeździli w dżerżawy sułtana. Chciwym był przygód błędny rycerz z Burgundji, jadący samoczwart po świecie, kochali też przygody Ormianie, jadący karawaną za zyskiem.

Więc na ulicę Ormiańską zaszedł rycerz z pod Grenady, a koło niego gwar uczyniła wielki czarnowłosa rzesza ormiańska o krzywych nosach i krzywych szablach. Z punktu też powędrowała do tobołków błędnego rycerza druga sztuka jedwabiu, jako dar honorowy, nastąpił »dobry traktament«, a potem... tańce z damami (*avec les dames*).

Jakto? Guilbert de Lannoy sire de Villervall et de Trouchiennes, kawaler złotego runa mógłże był tańczyć z mieszczkami lwowskimi? On rycerz, zwycięzca na turnieju w Walencji, poseł dwu

królów, szambelan księcia Burgundji, mający za herb trzy lwy zielone o językach czerwonych i złotych koronach nie wstydził się hasać z Ormiankami na ulicy Ormiańskiej? Z tymi Ormiankami, o których później powiedział Jan Alembek, że są »dziewczyny uparte, o śniadej twarzy, kobiety trochę gminne, na starość jadowite«?

A błędny rycerz »damami« je nazwał i w pamiętniku swoim zapisał pobyt we Lwowie jako miłe wspomnienie!

Dziwiły się zapewne damy Walencji, w pieśniach minstrelów opiewane i damy na dworze Burgundzkim dziwiły się gminnym gustom rycerza o trzech lwach zielonych.

I dziwił się zapewne sam Guilbert de Lannoy przepychowi wschodniemu, jaki przed nim roztoczyli Ormianie lwowscy, dziwił się ich rycerskiej ogładzie i kawalerskiej fantazji, dziwił się bajecznym strojom wschodnim Ormianek, który »ujmował śniade ich twarze w szczerze złoto, a gorejące oczy łagodził perłami«.

Bo błędnym rycerzem był Guilbert de Lannoy, a miastem dziwnem był Lwów i dalekim od jego ojczyzny.

Nic zresztą dziwnego ten podziw błędnego rycerza, bo znacznie później instygator miejski stojący na straży praw przeciwko zbyt kowi, nietylko się dziwił, ale wprost *scandalum* nazywał przepych jaki był na weselu córki Ormianina lwowskiego, Jana Jaśkiewicza. »Gdy szła do ślubu panna młoda, powiada zgorszony instygator — większa połowa

ludności lwowskiej na dziwowisko w ulicę ormiańską zszedłszy się, widziała, że ta panna młoda strój, który niedawno małżonki magnatów dla siebie wynalazły, jako to strusie pióra na głowie przy koronie djamentowej, też strusie pióra sobie przyszpilała, szata zaś ślubna wszystka była złocista, która jakiej była ceny, może urząd proporcję brać z tego, że spodnia suknia alias *inderak*\*) był dwanaście-  
set złotych kosztujący i nawet, czego wstyd wspominać *salva autoritate* (szanując powagę) sądu tutecznego, same pończochy i trzewiki haftowane tak drogie były, że blisko dwóchset złotych kosztowały a cóż, gdyby do wyliczenia przyszło innych rzeczy i strojów, które na pannie młodej i pani Jaśkiewiczowej były i gdyby od stóp do głowy *maximis ad minima* (od rzeczy największych do najmniejszych) wszystko widzieć i szacować się mogło!

Jeżeli tak było w czasach późniejszych, znacznego zubożenia, to można zrozumieć dlaczego kawaler złotego runa Guilbert de Lannoy, sire de Villerval et de Trouchiennes, poseł dwu królów nazywał mieszczki lwowskie... damami.

Bo błędnym był on rycerzem i rzeczy widział dziwne we Lwowie, przed pięciuset laty niespełna!




---

\*) zapewne dzisiejsza »halka«.



## HUMANISTA NAD PEŁTWIĄ.

---

O tem, że się słynny humanista i przyjaciel Jana Olbrachta, Filip Kallimach Bounacorsi, zakochał we Lwowie w jakiejś pospolitej kelnerce — wiedzą zbyt dobrze historycy naszej literatury. Zresztą zapalny Włoch nie krył się wcale ze swoim uczuciem i napisał do swego ideału z pod zielonej wiechy takie mnóstwo miłosnych wierszy, że dziś by nawet otrzymał palmę pierszeństwa między kawiernianymi poetami, wzdychającymi do kasjerek. W ten sposób upamiętniona została na wieki piękna lwowska dziewczyna i to nie bylejakim wierszem, ale całkiem dobrą poezją łacińską, nad którą dzisiaj dumają filologowie, którą tłumaczy p. Jan Magiera, rozkoszuje się p. Kazimierz Chłędowski, a zachodzą w głowę historycy, od Szczęsnego Morawskiego począwszy i Zeissberga, kimby być mogła owa Faniola — lwowska dziewczyna z pod wiechy zielonej\*).

---

\*) Por. Magiera: Fannietum Kallimacha. Ks. pam. ucz. uniw. Jag. 1900. Chłędowski: Rzym — ludzie odrodzenia. Morawski: Sandeczyzna. Zeissberg: Polnische Geschichtschreibung. Miodoński: Poezje Kallimacha. Rozpr. Akad. um. t. XXXVI. wydz. filolog. Windakiewicz: O rękopisach poezji Kallimacha. Kwart. hist. 1891.

Bo nie wystarczy jej samo tylko miano lwowskiej dziewczyny, na której krasę złożyła się cała lwowska przyroda i nie wystarczy powiedzieć, że jej lica złota zorza zrumieniła blaskiem jagód i kaliny, a jej brzoza chybka matką była i osika srebrna lęk przyniosła drżący. I nie starczy, gdy się powie, że od wschodu i zachodu blask jej padał w złote włosy, z nieba chmury w oczy jasne, że się czerwień róży wysiliła na jej wargi zapłonione.

Łacińskiej muzy kochanek, przyjaciel Pomponiusa Letusa i Platiny, dwu słońc humanizmu, ten sam Kallimach, który knuł spisek na życie papieża Pawła II., w którym kochały się rzymskie »dami-gelle« — zakochał się sam aż we Lwowie i to do tego jeszcze w kelnerce z winnej gospody! Jeżeli dziewięć muz olimpijskich na tę wiadomość nie stanęło dęba, jeżeli Apollo nie strzaskał swojej lutni ze zgrozy i jeżeli spazmów nie dostała z indygnacji lesbijska Safo, to snąć ta lwowska dziewczyna z pod zielonej wiechy godną była miłosnych zapałów poety i godną jego łacińskiej lutni.

Ale historyk dowiedzieć się pragnie, kim była Faniola, co gwiazdą została człowieka, słynnego w historii?

W ciemnej zadusznej alkwie, kaganek tylko żelazny jej postać rozjaśniał, a w półcieniu pomiędzy winne kufy śmiechy pełzały i rubaszna mowa gości gospodnich. Czasami się piosnka zrywała sprośna i bezbożna i żart gruby otaczał dziewczynę co pod zieloną wiechą płynem szafowała złotym.

Lecz ona ze śmiechem brała pijackie zaloty, bo była sobie ot taka, co wino szynkuje wesoła dziewczyna.

I takiej to łacińskie dystychy spiewał Filip Kallimach, on co przed papieską vendettą uciekał, jakby go dzikie furje z miejsca na miejsce pędziły, na chyżym koniu przebiegał skały Apulji, pruł morze tyrheńskie, umykał z Peloponezu, on nieszczęsny poeta, któremu na Cyterze ni na Krecie żyć nie dali papiescy legaci, który aż w Kanopus nad ujściem Nilu osiadł wraz z skołataną lutnią, nad brzegami Skamadru los swój opłakiwał, a przed zemstą papieską uciekał na Rodos, Delos, do Konstantynopola — ten sam Kallimach, który już nawet we Lwowie znalazł sobie przyjaciela nie bylejakiego, bo samego Grzegorza z Sanoka arcybiskupa lwowskiego — i on to pisał wiersze do Fanioli, która wino szynkowała!

Między arcybiskupem a kelnerką płynęło życie zbłąkanego Włocha w zimnym gotyckim Lwowie. Dnie przechodziły na uczonych rozmowach w pałacu, a wieczorami wymykał się dawny pisarz bull papieskich do gospody, gdzie wśród pijackich zalotów i rozpasanych żartów, spiewał do rozchichotanej, hojnie całusy i wino dzielącej dziewczyny:

Gdybyś ty była na Delos na wyspie zrodzona toby w cień uszła Latony dziatwa przed tobą dziewczyno i wsławiony byłby ostrów delijski na wieki imieniem Fanioli.

Gdyby Orfeusz twych oczu promienie odczuł na sobie, toby z pewnością żadnej już na świecie

nie szukał Eurydyki — bo jedna jest tylko Faniola jedyna!

Boś z fal kastalijskich wyrosła, o piękna i jeden Maro wdzięk twój opisać jest godzien.

Nic a nic nie rozumiała cudacznej mowy Hanusia, płocha dziewczyna, ale śmiała się wdzięcznie, śmiała się słodko z takich madrygałów i z Włocha głupiego

A on potężnie snać tyknął z fal kastalskiej głębin, bo wszystkich olimpijskich bogów do lwowskiej sprowadził gospody i śpiewał upornie, mieszając z lilją róże purpurowe, oczy jasne z pierśią białą i rumieńcem, włosów boską aureolę z nosem ze słoniowej ciętym kości. Sławę wdzięków ukochanej roznieść pragnął po za rzek scytyjskich płaskie brzegi, po za czasów przyszłe wieki.

Ale śmiała się z Włocha, płynu złotego hojna szafarka i w koło po winnej gospodzie śmiech szalał pijaną kaskadą wśród gości wesółych: ten dziewczynę ściska, ów całusa prosi, a każdemu chętną być Hanusia musi, bo sobie ot taka była dziewczyna, co groszem nie gardzi, ani jarmarcznym podarkiem.

Grosza jednak nie posiadał zbyt wiele włoski wygnaniec, więc sapał i wzdychał ze smętkiem głębokim: kochance chciał przynieść co leśna drjada i nimfa wśród drzewnej gęstwiny wynajdzie: orzechy zielone i kwiatów równiankę, gołębie z ptaszkami — chciał jej może chmury z nieba przynieść srebrne, słońca promień złoty, z listków drzewnych zieleń krasną...

I jeżeli go wtedy, takie dary do gospody niosącego, gminnym słowem nie złążała dziewczka płocha, to dlatego, że uczony humanista wydał jej się jako nie całkiem... spełna rozumu. A może to siła małmazji i alikantu takie głupie mu do głowy myśli niosła?

Więc się żał zrobiło Włocha, a w ślad za tem uśmiech śłodki padł na jego dworną postać i... Philippo Buonacorsi, jasnowłosej Latony wnuk po dźwięcznej lutni, kochankiem został jasnowłosej kelnerki z pod wiechy zielonej.

I tak potężnie łyknął z kastalskiej głębin, że mu rytmy łacińskie ucieszne koziołki po głowie czynić poczęły i na świat leciały jako piosnka o Fanioli pocałunkach, o uściskach i tam dalej... Bo niedyskretnym był bardzo uczeń Pomponiusa i chwalić się lubił względami dziewczyny, co pod zieloną wiechą wino szynkowała w gospodzie.

Szcęście Kallimacha było by jednak zupełne, gdyby tak piorun trzasł w »jednooką matkę« Fanioli, wicher porwał wszystkich gości z pod zielonej wiechy, a sama Faniola, żeby tak zębów nie szczyrzyła do każdego, kto tylko w podwoje zawitał gospodnie.

Jeszcze »mama« z jednym okiem nie przedstawiała zbyt wielkiego niebezpieczeństwa, bo w razie potrzeby umiała to oko przymknąć wdzięcznie i dyskretnie, ale pijani goście, tak się bezceremonialnie zachowywali wobec ideału antagonisty papieża Pawła II., że ten poczuł w sobie odrazu ducha anti-ai-



koholicznego i potrzebę towarzystwa wstrzemięźliwości we Lwowie, przed czterystu laty.

Niech piorun swój ześlą bogowie na tego, komu przyszła po raz pierwszy myśl ohydna: dziewczę piękne za beczką wina osadzić i jej licem hożem, piersią bujnie falującą, aureolą włosów złotą przywabiać do gospody pijaków.

Zapomniało jednak tkliwe serce łacińskiej muzy przyjaciela, że gdyby nie gospoda lwowska pod wiechą zieloną, byłby on może Fanioli na drodze swojej nie spotkał — i jeszcze się bardziej zapomniała dusza poety, skoro wszystkich pijących wino błaznami nazwała, nie pomna, że i Filip Kallimach Buonacorsi, nie z samej tylko kastalskiej łykał głębinę ..

Ale najbardziej złowrogo patrzyła dusza kardynalskich stołów współbiesiadnika, gdy z pod zielonej wiechy płocha dziewczyna umówionych schadzek nie pamiętała, kiedy się śmiała niegodna z łacińskiej muzy zapałów, kiedy od pijanej tłuszczy brała wszystko: pocałunki i pieniądze. Wówczas Kallimach całkiem był podobny do dekadenta dzisiejszych czasów, chmurne słowa miotał, jęk zranionej duszy niósł po Lwowie po gotyckim, lub ponuro ciągnął płyn Bakchusa, co jak woda miał letejska: zapomnienie.

W takich to chwilach wygrażał on także, że za miłość wzgardzoną mścić się będzie na Fanioli Zeus gromowładny, że ją Posejdon trójzębem swoim dosięgnie i Djana strzałą jej serce przeszyje..

Dziś z groźby takiej mocno by się uśmieła

lwowska dziewczyna, a i Hanusia, mimo poetyckiej nazwy Fanioli, nie wiele snać miała respektu dla władców Olimpu i dla utrapionego Włocha, który na czele całej bandy bogów greckich maszerował pod zieloną wiechę, do gospody.

Nagle wśród tej poetycznej ulewy wystrzelił piorun. Tylko że nie wypuścił go ze swojej ręki Zeus gromowładny, ale bliższy daleko sejm w Piotrkowie, uchwalając wydać Kallimacha papieżowi Pawłowi II. jako tego, który godził na życie głowy kościoła. Papieska vendetta sięgła nawet do Lwowa, a z nią razem stanęło przed oczyma poety widmo ponurych kazamat w podziemiach zamku św. Anioła i żółte fale Tybru, w których znikwały trupy skazańców.

Więc znowu musiał uciekać na oślep przed siebie. Zdawało się bowiem, że go już nawet bogowie greccy opuścili — piewę swojego. I w takiej to czarnej chwili wytrwał przy humaniście jeden tylko Grzegorz z Sanoka, lwowski arcybiskup i jedna tylko Faniola, lwowska dziewczyna.

Właśnie wtenczas nad brzegami Złotej Lipy, wśród lasów i bagnisk niedaleko Przemyślan, zamieniał Grzegorz z Sanoka dziedziczną wieś arcybiskupią Dunajów w miasteczko. Sam tam bardzo chętnie i często przebywał, a teraz w chwili trwogi przywiózł w to zacisze Włocha, wiedząc, że burza nad jego głową pędzej, czy później przeminie, a w takim Dunajowie nie znajdzie go nawet sam papież Paweł II. Za Kallimachem pociągnęła także Faniola i tak mała, ale bardzo osobliwa kompania:

arcybiskup, poeta i z pod zielonej wiechy dziewczyna, znalazła się nad uroczym stawem dunajowskim.

Było to towarzystwo dziwne, ale na owe czasy, u przełomu wieków średnich, zdarzały się i takie osobliwości. Zresztą Faniola nie mogła niczem skompromitować dworu w Dunajowie, bo wszak jej piękność opiewał słynny humanista, a sam arcybiskup jako »od natury niejako do cnoty przeznaczony« nie uległ wcale złościwości ludzkich języków.

Więc chcąc przyjemność humaniście uczynić, zapraszał często do stołu swojego lwowską dziewczynę, a sam nawet wierszem łacińskim pokpiwał z Kallimacha i z jego miłosnych zapałów. Odpowiadał mu ten ostatni również łacińskimi epigramatami i tak się oni tam w Dunajowie bawili: arcybiskup, poeta i... z pod zielonej wiechy dziewczyna.

A kiedy w r. 1472. Filip Kallimach Buonacorsi, po uciszeniu się burzy, wyjeżdżał na świat szeroki do Krakowa, gdzie go wielkie zaszczyty i przyjaźń czekała królewska — to obok łez i szlochów Fanioli, które miały rzekomo płynąć rześną kaskadą brylantów — wioził w torbie podróżnej trzydzieści dwie elegje i dwadzieścia ośm epigramatów, napisanych na cześć... ot takiej sobie dziewczyny, co wino pod zieloną wiechą szynkowała w gospodzie.

On poszedł w górę, a ona zamaż wyszła piękna dziewczyna i tak z wielkiej miłości same tylko owe zostały epigramaty i elegje, które Kallimach na wiele rąk i egzemplarzy kazał przepisać i na nich to sławę swoją poetyczną gruntował między znajomymi...

Biedna lwowska dziewczyna! Niby to chwałę jej wdzięków niósł po świecie szczęśliwy kochanek, niby to o niej długie lata jeszcze nie zapomniał i ciągle boską ją Fanią nazywał — ale tymczasem wspomnienia szalów swoich miłosnych w gospodzie wstydzic się począł, a same elegje gładził wielokrotnie, poprawiał, drastyczne miejsca przekreślał i nawet gminne pochodzenie Fanioli ubrać potrafił w skłamaną strzępę szlacheckiej purpury...

Nic zresztą dziwnego, bo wielkim stał się w Polsce człowiekiem Filip Kallimach Buonacorsi i wstyd było królewskiemu przyjacielowi, że się ongi kochał.. w takiej ot sobie lwowskiej dziewczynie z pod wiechy zielonej.

Więc z całą bezceremonialnością poety i dzielsiejszego parwenjusza kochance swojej dał stryja magnata i nawet to w historii bitwy warneńskiej napisał, że obok króla Władysława stał rycerz Lesco Bobritius, stryj boskiej Fanioli.

I zamieszał metrykę lwowskiej dziewczyny tak, że dziś napróżno szukają historycy prawdziwego imienia tej, co znamienitego męża muzę natchnęła wielomowną pieśnią łacińską.

Ale czy Fania, Anna, Świętochna, Bobritia była większej lub mniejszej prozajki, czy przy boku Warneńczyka szukać jej krewnych, czy też może, co łatwiej, w księgach miejskich we Lwowie, gdzie często przychodzi miano Bobrów, Bobrków i Bobreków, to w niczem to rzeczy postaci nie zmieni:

Zawsze ona pozostanie dziwnie piękną, jasnowłosą dziewczką, którą kochał Włoch zapalny jeszcze wtedy, gdy na bruku lwowskim siedział smętny i znękany — zawsze o niej nie zapomni badacz czasów upłynionych : o Hanusi, co pod wiechą wino złote szynkowała...





## KRZYŻACKA TRAGEDJA.

---

Po sześciotygodniowym marszu stanął we czwartek, w dzień św. Małgorzaty, 13 lipca 1497 Wielki Mistrz Krzyżaków, Jan Tiefen u bram Lwowa \*). Sędziwy, czcigodny starzec w opończy ze złotym krzyżem i czarnym orłem, a za nim komtur Hollandu Szymon Drahe, komtur z Osterode Sausheyn i panów krzyżackich gromada. Poznawano wśród nich Wilhelma Szaumburga, starostę z Barten i mądrego w radzie von der Gabelentza; Eberhard Thorer niósł wielką chorągiew Zakonu. Jechali na zdrożonych koniach Henryk Pilgram, kuchmistrz i Liborjusz Naker, najwyższy a sumienny Wielkiego Mistrza sekretarz, nieco dalej Marcin Preus, starszy podskarbi, Fryderyk Lawalt, sędzia nadworny. Wszystkim im z bark czarne krzyże spadały, rycerzom Zakonu i panom, a czterysta męża zbrojnego szło w równym ordynku: naprzód konnica, za nimi piechota, a w końcu tabor długi i pachołkowie.

Naonczas, przed laty czterystu, Lwów witał dostojnie i radośnie... Krzyżaków, a oni, chociaż

---

\*) Por. X. Liske: Cudzoziemcy w Polsce. Lwów 1876.

stal na nich była taka hartowna i błyszcząca, chociaż krzyż złoty i czarne nad nimi orły powiewały drapieżnie — szli skromni i korni... rycerze Zakonu.

Jeszcze grunwaldzkiego pogromu wspomnienie serca ich trwożyło plugawe — jeszcze miecz polski wisiał nad ich głowami i srogie, korzące traktaty toruńskie.

Więc na rozkaz króla Jana Olbrachta ruszył się Wielki Mistrz Krzyżackiego Zakonu ze swoich siedzib. Lennikiem był Polski, na każdej jej zawołanie do boju gotowym. Więc powinność swą czynił sędziwy Jan Tiefen i z hufem zbrojnych szedł do boku króla, na bukowińską wyprawę nieszczęsną.

Po długim marszu stanął we Lwowie. Przez całą daleką drogę upokorzenie szło śladem rycerzy Zakonu. Strawy im nie dawano, ni spyży ich koniom; w Bełzie pijany szlachcic z Dobrzyńskiej ziemi niepolitycznych, ba, nawet nieprzyzwoitych żartów sobie pozwalał wobec dumnych Krzyżaków. A im złość w sercach rosła i rosła i do mieczów się już brali rycerze Zakonu. Więc przyprybywszy do Lwowa zdziwili się nie pomału, ujrzawszy, że gośćmi są tutaj miłymi, a gród, co leży nad Pełtwią, wita ich krzykiem radości swoich mieszkańców i przystojną mową magistratu.

Lwów był ciekaw zobaczyć Krzyżaków, a że politycznym był miastem, to i wiedział, że krzyżowego Zakonu rycerze idą ku granicom Polski, jako obrońcy i wiedział także, że szlak handlowy kupców lwowskich prostą drogą wiedzie do Torunia. A zresztą wiele jeszcze Niemców było za Jana Ol-

brachta we Lwowie, a ci rycerzy witali, jak swoich rodaków.

Podstarości lwowski, burmistrz Mikołaj Geyzler z rajcami Gasnerem, Kangisserem, Weynerem, Mikułą i Tyczką na czele 32 jezdnych ruszyli nawet przed bramy miasta, a zobaczywszy siwobrodą postać Wielkiego Mistrza, o którym było wiadomo, jako zacnym był człowiekiem i miłościwym panem, z koni pozsiadali, z czcią wielką witając starca, który gwoli spełnienia obowiązku na lata swe nie zważał podeszłe.

Wszędzie też po ulicach towarzyszył mu życzliwy szmer ludu lwowskiego, który gapił się i tłoczył, a jako, że sam był rycerski, to i podziwiał rynsztunek i dobre uzbrojenie zakonnych rycerzy.

Już przedtem poznaczono kredą na bramach kamienic kwatery dla Krzyżaków. Sam Wielki Mistrz dostał się do domu bogatego mieszczanina lwowskiego Jana, który rad mu był bardzo i dostojnie gościa dostojnego podejmował, nawet mimo tego, że właściwie pobyt każdego gościa u niego był w tej właśnie chwili bardzo... kłopotliwym.

Zaraz bowiem następnego dnia trafił się Janowi radosny rodzinny wypadek. Żona jego powiła syna... a Jan korzystając z tego zaprosił Wielkiego Mistrza i komtura Hollandu na kumów. Chrzcziny odbyły się zaraz w sobotę, z wielką obfitością jadła i napitku i należytą wystawą.

W ten sposób pokumali się Krzyżacy z obywatelami miasta Lwowa.

Bawił się ochoczo Wielki Mistrz, dworowali



komturowie mieszczkom lwowskim — »den jungen Matronen und wolgeczirten Frauen« — jak zanotował sumiennie sekretarz Wielkiego Mistrza Naker, który miał specjalną słabość do płci pięknej, zwłaszcza do jej reprezentantek, które były »jung und sewberlich« — młode i urocze. I on też, mimo przeróżnych trudności dyplomatycznych, nigdy nie zapominał w pamiętniku swoim zanotować, jeżeli coś młodego i pięknego spotkał po drodze.

Tymczasem jednak pochrześnik Wielkiego Mistrza i potomek bogatego Jana umarł w drugim czy trzecim dniu swojego żywota, ku wielkiemu żmierzaniu rodziców, jak znowu zanotował w djarjuszu swoim sumienny i wyżej wspomniany Naker.

Sielankę krzyżacką na bruku lwowskim zamała jednak szlachta ziemi Dobrzyńskiej, która szła również na wyprawę bukowińską i w kilka dni po przybyciu Krzyżaków stanęła we Lwowie, razem z owym jowialnym pijanicą, co sobie nieprzyzwoicie z komturów krzyżackich i rycerzy Zakonu dworował. Zadzierzysta szlachta nie mogła zbyt długo wyżyć w spokoju, to też niebawem powstał olbrzymi tumult, z powodu bezprawnego zajęcia gospody przeznaczonej dla Krzyżaków. Tym razem Krzyżacy porwali się na prawdę i powyrzucali natrętów z domu, rozlewowi krwi zaś zapobiegło tylko pośrednictwo Wielkiego Mistrza.

W niedzielę 16. lipca wyprawił Wielki Mistrz bankiet pożegnalny, na który zaprosił rajców i niektóre kobiety, zwłaszcza te, z którymi trzymał do chrztu zmarłego synka swego gospodarza.

Na drugi dzień, w poniedziałek, wczesnym rankiem stanął cały tabór krzyżacki gotowy do dalszej drogi, a na samo pożegnanie wyprawił Wielki Mistrz Lwowianom bardzo smutne i ponure widowisko. Dwaj słudzy lekarza krzyżackiego Wilhelma Haldendorfa, Mikołaj i Jan, powadzili się między sobą w Kulikowie do tego stopnia, że Jan zabił Mikołaja, a sam uciekł. Schwytano go jednak szybko, a teraz na samym wyjeździe ze Lwowa, złożono sąd nad nim, skazano na śmierć i w obliczu rycerzy Zakonu, a całego zgromadzonego Lwowa, ścięto publicznie.

Nie doszedł jednak Wielki mistrz do tragicznych lasów bukowińskich Zachorowawszy w drodze na krwawą biegunkę, wrócił 21. sierpnia do Lwowa, gdzie go wspomniany wyżej mieszczanin Jan, wraz z całą swoją rodziną, otoczył jak najstaranniejszą opieką. Mimo jednak wszystkiego, mimo dostatecznych posilających potraw i win, mimo leków, starannie przyprawianych przez doktora Wilhelma Haldendorfa, siły W. Mistrza coraz bardziej upadały. W nocy 25 sierpnia wyzionął ducha w domu swego kuma Jana.

Ciało zmarłego obłożono mirą i zawinawszy w płótno woskowe, żeby je zachować od zepsucia, złożono w trumnę na drogę do Prus.

Eksportacja zwłok odbyła się w poniedziałek 28. sierpnia.

Biskup przemyski Mikołaj z Krajowa, złamany wiekiem, opierając się na kiju, prałaci katedralni, zakonnicy z różnych klasztorów, Dominikanie, Fran-

ciszkanie, Bernadyni, cała rada miejska, cechy rzemieślników, Ormianie i Rusini z czterema czy sześcioma karawanami odprowadzili zwłoki Wielkiego Mistrza w wielkim tłumie przed miasto, narzekając, że tak pobożny książę, który przyszedł bronić ich od Turków, zgasł zbyt wcześniej. Wysły także niewiasty lwowskie w wielkiej liczbie za zwłokami mistrza aż za miasto.

Tutaj na szczerem polu przemawiał komtur Holandii imieniem całego Zakonu w uprzejmych i czułych wyrazach. Dziękował biskupowi, prałatom, duchownym, wdzięczność swą wyrażał radzie miasta Lwowa i całej gminie, a nareszcie zwrócił się z podziękowaniem do mieszczek — »czu den wolgeczirten Frauen« — jak jeszcze raz zanotował, sumienny sekretarz Wielkiego Mistrza, Naker.



II.

ZAMEK i RUDERA.



## BEZ ŚLADU I RUIN.

---

Lwowie kamienny! nowość cię nie mamy,  
Nie daj się zachwiać jako wątłe ziele!  
Wiekować tobie z twojemi basztami...

*Klonowicz — Roxolania.*

Rzekł poeta, a słowa jego się nie sprawdziły. To samo zresztą czeka każdego poetę, któryby wieszczycy zapragnął miastu tak kapryśnemu i w swoich upodobaniach nieobliczalnemu jak Lwów. Mógłby się narazić na takie uczucie ironii u potomności, jakie ogarnia, czytając słowa Klonowicza jako, że Lwów nie da się wziąć na żadną nowość i przez wieki zostanie, razem ze swymi basztami takim, jakim go oglądał autor »Worka Judaszowego«.

A tymczasem nie było może w Rzeczypospolitej miasta, które by z taką chęcią i rozkoszą ztracało swój starożytny charakter, jak Lwów. Z baszt i murów miejskich, ani śladu nie zostało, świadków minionego czasu wyrzucano u nas precz, podobnie jak starzejąca się panna wyrzuca stare listy miłosne, a z kilkuwiekowej sławnej przeszłości same jeno zostały okruchy.

Przedewszystkiem zaś nie miał Lwów szczęścia do swoich zamków. Miał ich dwa przed wiekami — jeden na górze, drugi w dole, jeden Zamek Wysoki, drugi Niski Zamek\*) — ale podczas gdy wiele ma-  
lutkich miast galicyjskich może się poszczycić przy-  
najmniej ruinami, to we Lwowie z Zamku Wysokiego  
drobina tylko lat naszych doczekała, mały ułamek  
murów, z Zamku Niższego zaś nawet śladów miejsca  
nie stało, nawet wspomnienia ni tradycji: myśl ludzka  
i nakład pracy znikły w czasie odmętach.

Dziś chyba archeolog i to z trudem zdoła so-  
bie odtworzyć obraz dawnego »castrum minoris« i jego  
form architektonicznych, a ostatni człowiek, który  
Zamek Niższy widział, zmarł jeszcze w czterdziestych  
latach ubiegłego stulecia. Był nim Stanisław Wro-  
nowski, radca sądów szlacheckich »który będąc przy  
urzędzie grodzkim w tym zamku w r. 1771 pisywał«.

Początek Zamku Niskiego sięga czasów Kazi-  
mierza Wielkiego. Zwyczajem innych miast musiał  
i Lwów podówczas na nowo ze zgliszcz powstały  
mieć swój zamek z siedzibą reprezentacji wła-  
dzy królewskiej i dla obrony samego miasta. Ponieważ  
względy strategiczne kazały wzniesić zamek na miej-  
scu dominującym nad całą okolicą, tam gdzie do  
niedawna istniał zamek książąt ruskich, a miejsce  
to było znacznie oddalone od właściwego miasta,  
więc stanąć musiał bliżej zamek drugi. A że dalej w ba-  
gnistej kotlinie Pełtwi nie było stosownego miejsca

---

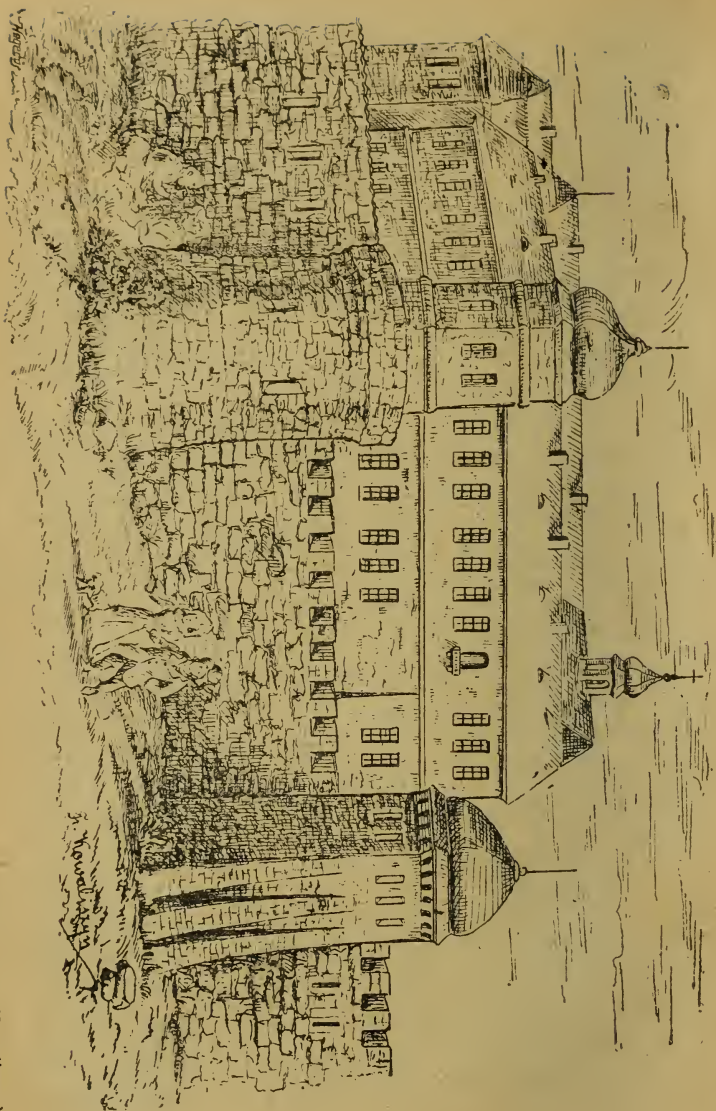
\*) Por. Zimorowicz: *Leopolis triplex*, Heck: *Pomniejsze źródła do hist. lit. i cyw. w Polsce*, *Lustracja starostwa lwow. 1765. Dod. do Gaz. lw. 1868, i w. i.*

na osobny zamek, przeto stanął on w samym mieście pod ochroną murów i fortyfikacji miejskich.

W ten sposób zadanie, które w innych grodach spełniał jeden tylko zamek, przypadło we Lwowie dwu zamkom w udziale: Zamek Wysoki został wojenną strażnicą — Zamek Niski siedzibą władzy królewskiej i jej reprezentanta, starosty — pierwszy pierś swą nadstawiał wrogowi zewnętrznemu, drugi spełniał rolę dzisiejszych garnizonów i samorządnej republice miejskiej przypominał, że znajduje się pod berłem królewskim.

W czworoboku nowo budującego się miasta wyznaczył Kazimierz Wielki Niskiemu Zamkowi cały kąt północno zachodni, od strony dzisiejszego placu Krakowskiego i Gołuchowskich. W tym też kącie zabudował się zamek również w czworobok dla siebie zamknięty. Z dwu stron, to jest od placu Krakowskiego i dzisiejszej ulicy Hetmańskiej opierał się o mur warowny miejski, lewy bok jego przytykał do zabudowań nieistniejącego dziś kościoła i klasztoru Franciszkanów, a czwarty bok wzdłuż ulicy dzisiejszej Teatralnej stanowił jego front, z bramą wchodową, oddzielony jednak od miasta głębokim rowem.

Pragnąc zorjentować się dziś w miejscu, gdzie leżał Niski Zamek, należałoby przede wszystkim poprowadzić linię prostą wzdłuż nowej cerkwi św. Ducha przez środek pierzeji domów po prawej stronie ulicy Łukasińskiego, aż do wałów Hetmańskich. Po tej linii biegł mur fortyfikacyjny miejski, sfałdowany półkolistymi bastjonami, który stanowił za-



ZAMEK NISKI WE LWOWIE.

(Odtworzył Ft. Kowalszyna).



razem ścianę północną Niskiego Zamku, patrzącą na małe domki krakowskiego przedmieścia. U rogu ul. Łukasieńskiego mur ten załamywał się pod kątem prostym i nad Pełtwią a wałem biegł wzdłuż dzisiejszej ulicy Hetmańskiej, stanowiąc aż do dawnego kościoła Franciszkanów, w połowie mniej więcej budynku dzisiejszej szkoły przemysłowej, drugą ścianę zamkową. Trzecią ścianę tworzył mur graniczny Franciszkanów, czwartą wreszcie fronton zamkowy wzdłuż ulicy Teatralnej. W ten sposób Zamek Niski opasywał czworobok na miejscu dzisiejszej ulicy Łukasieńskiego, gmachu muzeum przemysłowego i połowy gmachu byłej szkoły przemysłowej.

W czworoboku tym, jakby miniaturowe miasteczko w samym mieście, rozłożyły się budynki zamkowe, razem z kościołem, sześciu domkami, studnią, wieżą więzienną i t. d.

Z czasem stał się Zamek Niższy główną siedzibą starosty ziemi lwowskiej, urzędu grodzkiego, ogniskiem życia szlacheckiego. Dla całej ziemi lwowskiej miał on to samo znaczenie, co dla mieszczaństwa ratusz. Tutaj zajeżdżali królowie i magnaci, tu były akta grodzkie, władza i rząd, tutaj wieża górna, albo *in jundo*, dla przestępców szlacheckich. Wysoki Zamek pustoszał, bo miał wiele niedogodności, a mieszkanie w nim było niemożliwe z powodu ostrego powietrza, ale i na Zamku Nizszym — a to jest właśnie tragedia lwowskich zamczysk i przyczyna ich ruiny — panowała wilgoć i niezdrowe opary z przyległych bagnisk, tak, że np. Zygmunt III. i inni królowie za pobytu we Lwowie, czemprę-

dziej szukać musieli gościny w rynku, w pałacu arcybiskupim.

Przed pierwszym pożarem w r. 1564, był to wspaniały kompleks gmachów. W samym kącie od przedmieścia krakowskiego stała kaplica św. Katarzyny, przy której mieszkało, dla odprawiania nabożeństwa, kilku mansjonarzy, fundowanych w r. 1377. przez Władysława Opolczyka i w r. 1485 przez Kazimierza Jagiellończyka, w głównym gmachu dwupiętrowym mieścił się sąd grodzki i ziemski, archiwum burgrabskie i pokoje królewskie z krużgankami.

W około stało 6 domów mniejszych, a na środku studnia drewniana pod dachem, do której wodę doprowadzano rurami. Była także, jak już wyżej wspomniano, wieża z więzieniem dla szlachciców i średniowieczne więzienia podziemne.

Na takim tle rozegrał się 9. września r. 1537 na dziedzińcu zamkowym ostatni akt »kokoszej wojny« — owego wielkiego zatargu między Zygmuntem I. a gminem szlacheckim, zakończonego gorzkiem upokorzeniem władzy królewskiej.

Zamknięty w pokojach Zamku niskiego słuchał stary król groźnych pomruków tłumów szlacheckich, dochodzących to z placu św. Jura, z pól pod Zboiskami, a nawet tuż za ścianą, z dziedzińca klasztorного Franciszkanów.

A kiedy przyszło wreszcie, dnia 9. września, dać ostateczną odpowiedź szlachcie, to na kamiennych schodach pod portykiem prawego skrzydła zamkowego usiadł Zygmunt pierwszy na tronie, w pełnym majestacie, w otoczeniu całego dworu, a sędziwy

hetman Jan Tarnowski czytał imieniem jego ona odpowiedź, pełną żalu i upokorzenia.

Ten sam król, który na rynku w Krakowie odbierał hołd pruski — tutaj we Lwowie, na dziedzińcu zamkowym widział wszystkie swe plany i zamiary rozbite, widział też pewnie oczyma duszy tę żywiołową potęgę, której fale załwały najpierw tron królewski, a potem całą ojczyznę.

»Hołd pruski« i »kokosza wojna« — dwa akty, dwa dziejowe obrazy. I dziwnym trafem ten drugi, smutny niewymownie, rozegrać się musiał we Lwowie — w tym samym Lwowie, który aż do dnia dzisiejszego zachował pewne lekceważenie dla wszelkiej wielkości i ten sam żywy, nieokiełzany temperament sejmikującej szlachty.

Wspomnienie jednak »kokoszej wojny« zataił wspomniany już pożar z roku 1564, po którym tak piwnice, jak »sklepy«, »gmachy średnie« i wreszcie »gmachy wierzchnie«, wymagały gruntownej odnowy. Rachunek jej przedstawia się w lustracji starostwa lwowskiego z r. 1570 w sposób następujący: »cegły 130.000, każdy tysiąc po kopie a<sup>2</sup> fury *per grossos* 15, uczyni fl. 125. Cztery piece wapna *per* 40 fl., *item* 44 okien, *item* zamsowanie pod balastry i nad balastry, które mają być w ganek 70. *Item* olstrychu (dachówki) wyjdzie 40.000... *item* okien 27 błonarze szacowali... drzwi wszystkich oprócz piwnic i sklepów 20 spełna, niektóre będą fladrowe, niektóre zamsowane, niektóre proste farbowane. *Item* stolarze lwowscy oszacowali ławy do wszystkich gmachów na zł. 115, kraty



KOKOSZA WOJNA.  
(Według obrazu H. Rodakowskiego).  
Czytanie przywilejów szlachcie na Niskim Zamku.

do okien zamki wrzeczadze zł. 250... *summatim* 1200, zł«, oprócz »legumin« czyli żywności dla majstrów.

Zaledwie jednak restauracja nieco postąpiła, spalił się zamek niższy ponownie w r. 1572, wraz z całym Lwowem. Odbudował go w następnych latach Andrzej Barzy, starosta lwowski, z materiału twardego, zamiast dotychczasowego muru pruskiego, i przydał mu różne architektoniczne wieżyczki i ozdoby. Były te ozdoby kształtu cudackiego, podobne do kielichów i pucharów z uchami, co, jak wspomina Zimorowicz, dawało Lwowianom powód do żartów złośliwych i porównywań zamku z szynkownią, na której powywieszano szynkowe godła. Między innymi był także na głównym korpusie ganek z facjata.

Kpiny mieszkańców Lwowa ze stylu, w jakim w r. 1570 odrestaurowano stare zamczysko, są tylko dowodem, że renesansowa architektura jeszcze w owym czasie nie była we Lwowie zbyt rozpowszechniona. Restaurację odnośną przeprowadził nieznany nam bliżej z nazwiska Włoch, który za przerobienie izby królewskiej z salą, z sienią, komnatą, izbą krzywą i bramą wchodową do kancelarji, wziął 1200 złp. i »legumin« za 200 zł., a za drugą partję 400 złp. i legumin za 50 złp. W ten sposób stare gotyckie mury przyoblekły się w owe renesansowe, włoskie kielichy« i »uszate puhary», bo każda epoka dodawała coś ze swego stylu i upodobań starym budynkom, dopóki nie przyszła taka, która cały dorobek wieków zniszczyła. I jeżeli o Wawelu powiedziano niedawno, że jest on kamienną epopeją,

to Niski Zamek lwowski, w ciągu kilku wieków swego istnienia był przynajmniej murowanym rapsodem, wypisanym we wszystkich gustach i upodobaniach, które jego życiu towarzyszyły.

Z tem wszystkiem jednak już od wieku siedemnastego począwszy chylił się on stale ku upadkowi. Na nic się zdały biadania lustratorów: wilgoć żarła mury, a czas i zaniedbanie dopełniały dzieła zniszczenia. — Mimo to życie tutaj wrzało od rana do późnego wieczora. Żołnierstwo zamkowe na kordegardzie, hałasy więźniów, uganianie hajduków, pisarze, podpiskowie, susceptanci w kancelarji grodzkiej, pogrzeby i żałobne nabożeństwa w kościółku św. Katarzyny, ciągły tłum interesentów, ciągnących do grodu z pozwem i protestacją, manifestem i obdukcją, czasem doraźna egzekucja na podwórzcu zamkowym — wszystko to gwar ruchliwy niosło na to szlacheckie forum, kędy się cała ziemia lwowska zbiegała.

Straszliwą jednak chwilę przeżył Zamek Niski po zdobyciu miasta przez Szwedów w r. 1703. Siedział w nim w tedy Karol XII. wraz z królem niešťczęsnym Stanisławem Leszczyńskim i najmłodszym synem Sobieskiego, Aleksandrem. — Gwardja szwedzka, która przy nich straż trzymała, buszowała po Zamku z dzikością, nawet akta i stare papiery służyły koniom rajtarskim na podściółkę. Równocześnie szalał w całym Lwowie rabunek szwedzki tak straszny, że aż deputacja mieszczan z ks. Józefowiczem na czele udawału się do Leszczyńskiego o ratunek, pomimo, że wierne przysiędze złożonej Augustowi

II, miasto nie chciało i nie złożyło mu przysięgi na wierność.

Po odejściu Szwedów, wróciło na Niski Zamek dawne życie, ale coraz bardziej bezbarwne, mało-stkowemi sprawami zajęte, tak samo jak coraz mniej ciekawym był ten tłum zubożałych interesentów, cisnący się z pieniactwem uporem do drzwi kancelarji grodzkiej. Od czasu do czasu tylko przerywała się ta martwota codzienna rozhukaną orgią magnackiej fantazji, która tutaj, w tej na poły już ruderze znajdowała swoje jakby urzędowe ujście. Był bowiem Niski Zamek także rodzajem hotelu czy gospody dla zajeżdżających do Lwowa dygnitarzy Rzeczypospolitej, był także salą ich balową w tych czasach, kiedy najprywatniejsze nawet zdarzenie rodzinne nabierało cech publicznej uroczystości.

Trzy takie uroczystości w ciągu wieku ośmnastego najżywiej wbiły się w pamięć starego Lwowa, a w opisach i relacjach mnogich rozeszły się po całej Polsce. Był to pogrzeb hetmana wielkiego koronnego Adama Sieniawskiego, wesele jego córki Zofii ze Stanisławem Denhoffem hetmanem polnym litewskim i wjazd starosty lwowskiego Joachima Potockiego w r. 1729.

W czasie godów weselnych Sieniawskiej z Denhoffem w r. 1724 nagromadzono na Niskim Zamku takie masy drogocennych mebli, złotych i srebrnych naczyń, obić i perskich dywanów, że cały Lwów biegł podziwiać je i oglądać jak jaką wystawę. Toż samo zamek przystroił się z przepychem, na jaki tylko mógł się zdobyć przesadny gust ośmnastego

stulecia. Dwie bramy tryumfalne z geniuszami i emblematami u wchodu zamkowego, na podwórzu po prawej stronie przed kancelarją grodzką grecki portyk z napisami alegorycznymi, naprzeciw po lewej stronie przy oficynach »amfitheatrum, wystające nad mur miejski na sześć łokci« oparte na słupach i arkadach i pomalowane na oliwne i cytrynowe gaje. Stąd mieli się goście przypatrywać fajerwerkom i iluminacji, bo cała nędza i opuszczenie zamkowe, wszystkie oficyny, stajnie, każdy załamek muru obwieszony był od góry do dołu oliwnymi lampami, które gorejąc wieczorem »dziwnie uroczy sprawiały widok«.

Infanterja, dragonia, piechota kurucka, semeńska, janczarowie, grenadjerzy, muszkietorowie, słowem wszystkie gatunki broni współczesnej wystąpiły jako dekoracja, honorowa warta, jako straż wreszcie na weselu hetmańskiej córki.

W ciągu kilku dni weselnych bawiono się na Niskim Zamku aż do przesady i zapamiętania się naprzemian to ogniami sztucznymi, to strasznie długimi popisami mowców weselnych, to libacją wśród pomarańczowych gajów, geniuszów, zastosowanych do chwili inskrypcji i kombinacji herbowych, a stosów srebra i złota. Muzyki usadowiono aż w trzech kondygnacjach, tańce francuskie wypełniały resztki nocy, a na drugi dzień, po chwilowym wytchnieniu, biegł znowu strojny, od złota kapiący tłum na zabawę, na fajerwerk, na tańce, na muzykę i tak, aż do ostatecznego znużenia i zmęczenia.



Można też sobie wyobrazić, jak wyglądał Niski Zamek po uprzątnięciu całego apartamentu weselnego, gdy zdarto zeń wszelkie dekoracje, zniesiono tryumfalne bramy, powydzierano lampki oliwne z murów. Ruina występowała wtedy z podwójną mocą: przez kontrast z dopiero co minionym przepychem i przez ślady zniszczenia, jakie dorywcza praca dekoratorów po sobie zostawiała.

W dwa lata później odbył się na Niskim Zamku pierwszy akt pogrzebu hetmana wielkiego koronnego Adama Sieniawskiego, zmarłego tutaj dnia 10. lutego 1726 r. Znowu przed bramą zamkową wystawiono wysoką, czarnym aksamitem wybitą, katedrę dla mowców żałobnych, znowu dziedziniec zamkowy wypełnił się wszystkimi gatunkami broni od hussarji począwszy, a przy zwłokach hetmana, przybranych w złotogłów i spoczywających w dolnej sali zamkowej, na wysokim aksamitnym katafalku, zdobnym we wszystkie insygnia hetmańskie, odprawiało się dziennie ni mniej ni więcej tylko stokilkadziesiąt mszy za jego duszę i tak od 10 lutego do 23 marca, w którym to dniu dopiero nastąpiła eksportacja zwłok do grobów rodzinnych w Brzeżanach. O wspaniałości pochodu pogrzebowego może dać miarę fakt, że wysoki, ponsowem suknem obity karawan ze zwłokami, który wyruszył z Niskiego Zamku o godzinie 5 popołudniu, dopiero o godzinie trzeciej nad ranem stanął przy kościele św. Piotra (dziś cerkiew) na Łyczakowie, gdzie przenocował i następnego dnia dopiero ruszył w stronę Brzeżan.

Z takim samym przepychem, tylko w wesołym nastroju odbył się w kilka lat później uroczysty wjazd nowego starosty Joachima Potockiego, a wśród tych aparencji i festynów ruina coraz bardziej ogarniała Niski Zamek i w coraz większą on zamieniał się rudere.

Po raz ostatni zatroskała się Rzeczpospolita o Niski Zamek we Lwowie w r. 1765. Wówczas to wśród porysowanych murów, pognitych krokwi, zrujnowanych dachów, stanęli z jej ramienia Impanowie Michał Zielonka podkomorzy ziemi lwowskiej i Benedykt Błażowski podkomorzy powiatu żydaczowskiego, ażeby jako lustratorowie zbadać, co Zamkowi Niskiemu brakuje i czego potrzeba, aby on mógł być do jakiego takiego stanu doprowadzony.

Wrażenie jakie odnieśli obaj ci mężowie, było ponure. Gdyby p. Zielonka, lub p. Błażowski posiadali więcej talentu epickiego, to pozostawiony przez nich opis, przypomniałby dumania Eneasza nad gruzami Troji — wobec jednak urzędowego charakteru obydwu lustratorów jest tenże opis olbrzymio długim i potężnie nudnym rejestrem murów starych, spróchniałych i niebezpiecznych, rozwalonych pieców kaflowych, izb z podłogą porujnowaną i t. d. Mimo to jednak można sobie wyobrazić, jak wyglądał Niski Zamek u schyłku rządów polskich.

A więc przedewszystkiem na bramie wchodowej od strony ulicy dzisiejszej Teatralnej, znajdowała się wieżyczka z jednym oknem od podwórza,

w której pomieszczone było archiwum aktów grodzkich — w samej zaś bramie po lewej stronie znajdowały się więzienia dla przestępców kryminalnych: ciemnica o jednym okienku w samej bramie i drugie więzienie »z kratą w murze na dziedziniec patrząca«. »W tych więzieniach — piszą lustratorowie — mury stare, spróchniałe i niebezpieczne, że nawet przed lat kilku więźnie, przebiwszy mur, uciekali«.

Po prawej stronie bramy była kancelarja grodzka, do której prowadził ganek drewniany, z facjatą na dziedziniec wychodzącą, na której był napis »literami, czyli inskrypcjami, *quondam* złotemi, teraz *in parte* zatartemi«. Kancelarja grodzka posiadała wprawdzie przed oknami swojemi ogródek na sześć łokci szeroki, ale zato jej wnętrze urągało wszelkim dzisiejszym pojęciom o wygodzie biurowej: »izba w której stół długi dla piszących Ichmościów Panów Palestrantów bez piecã, z podłogą porujnowaną, powalã dla zaciekania popróchniałą i miejscami wypadłą, o czterech oknach z szybami popsutemi. W tej izbie jedna ściana od miasta spróchniała, a podczas słoty przeciekająca tak dalece, że do kancelarji woda sączy się, drugie zaś ściany od dziedzińca, lub od góry lepsze, ale u dołu zgniłe i sypią się«.

I w takiej to izbie zdołali »Ichmość Panowie Palestranci« zapisać olbrzymie stopy aktów, składające się dziś na archiwum aktów grodzkich i ziemskich u Bernadynów!

Obok kancelarii znajdowała się wozownia »ze wszystkiem nowa«, dalej stajnia, oficyny murowane z »piecami pasztetniczymi«, »rezydencje dla ludzi kuchennych« i »pokoje wielkie« służące na mieszkania, w czasie zjazdów szlacheckich, w ciągu wieków wielokrotnie przerabiane.

Na pierwszym piętrze nad kancelarją, wzdłuż całego prawego skrzydła zamkowego, biegł ganek drewniany, szeroki na cztery łokci, przez który wchodziło się do przedpokoju, a stamtąd do sal, przeznaczonych na posiedzenia sądów trybunalskich. Sam sąd urzędował w sali wielkiej o sześciu oknach taflowych, publiczność zaś na wołanie woźnych w czasie narad trybunału wychodziła na ustęp do sali drugiej, której sufit był »malowaniem pięknem na płótnie, osobę śp. Króla Jana III. i wojsko do koła reprezentującym ozdobiony«. Umeblowanie tej sali stanowiły ławy dokoła ścian z klamrami. Trzeci pokój trybunalski nie miał w prawdzie pieca kaflowego, na który »jednak miejsce sposobne było«, ale miał za to malowidła czerwone »na kształt obicia podniesionego i przywiązanego, z lustrami wiszącymi!«

Najbardziej zrujnowane było skrzydło zachodnie od strony murów miejskich i Pełtwi, gdzie między innymi znajdowało się archiwum burgrabskie, ze ścianami porysowanymi i rozpadłymi, w samym zaś kącie, na tem mniejwięcej miejscu, gdzie dzisiaj klatka schodowa muzeum przemysłowego miejskiego stał kościółek św. Katarzyny, »którego mury stare, porysowane, okien sześć« przy kościółku zaś dzwo-

nica z tarcic drewnianych. Plebania znajdowała się w skrzydle zamkowym od strony kościoła Franciszkanów, a przy niej 5 chałup czynszowych, rzędem idących, w samym zaś kącie tego skrzydła, nad Pełtwią, stała wieża sądowa: więzienie dla przestępców ze stanu szlacheckiego.

»Kordegarda dla żołnierzów zamkowych, drewniana, zła cale« i studnia pod dachem gontowym, do której prowadzono wodę rurami z pod Zamku Wysockiego — uzupełniały wcale nie wesoły obraz Zamku Niskiego w r. 1765.

Po zajęciu Galicji przez Austrię nosił się rząd przez pewien czas z myślą ulokowania wszystkich urzędów na Zamku Niskim, ale ruina była zbyt wielka. Dlatego też pozostawiono ruderę jej własnemu losowi, a urzędował w niej aż do samego końca swego istnienia urząd grodzki, obok niego zaś mieściła się kancelarja rejenta Grabowskiego garkuchnia i składy różnego rodzaju.

Ostatnim człowiekiem, który zapamiętał Niski Zamek był, jak już wyżej wspomniano, mecenas Stanisław Wronowski, który redaktorowi »Lwówianina, pisemka, które wychodziło w czwartym lat dziesiątku ubiegłego stulecia, taką o nim wiadomość zostawił: Był to z obszernym dziedzińcem, nieszktałtny budynek, złożony z klitek drewnianych i kilku ścian murowanych, otoczony od rynku krakowskiego wysokimi basztami i fosą. Główny front obrócony był na miasto i wspierał się na dwu niezgrabnych nogach z muru wzniesionych, które formowały bramę — nad bramą była wieżyczka,

a u spodu tej wieżyczki wisiały prawie w powietrzu na palach i pniach dębowych podwaliny, a na tych niezgrabne mury z oknami i okienkami bez porządku i struktury.

Rząd wreszcie darował ruderę Stanom galicyjskim, a te, nie wiedząc co z nią począć, sprzedały w sierpniu r. 1802 walące się mury miastu za sumę 8.528 złr.

Magistrat niemiecki rozpoczął gospodarkę od tego, że przedewszystkiem wszystką cegłę sprzedał żydom, a ci jej użyli do zrestaurowania synagogi na Krakowskiem i na budowę innych kamienic przy placu Krakowskim z takim zapalem, że już w kilka lat później ze starożytnego zamczyska nie zostało nawet śladu.

Na pustym placu była przez długie lata targowica i składy drzewne, a później miejsce to, zwane placem Castrum, stało puste i wynajmowane było od czasu do czasu na budy jarmarczne i panoptika, około których paupry i gawiedź uliczna swoje harce wyprawiały.

W roku 1863 w czasie powstania styczniowego rozegrała się tu ponura tragedia. Na wracającego do domu radcę Kuczyńskiego, który wsławił się dzielną prześladowaniem więźniów politycznych, oskarżonych o udział w powstaniu, napadł do dnia dzisiejszego nieznaną osobę i pchnięciem sztyletu zabił go na miejscu.

Krwia wyrodnego syna ojczyzny zbroczony plac, otoczony mętmem i coraz bardziej milknącym wspomnieniem dawnego Zamku, zabudowany został

dopiero w naszych czasach. Stanęła na nim dawna szkoła przemysłowa i muzeum przemysłowe miejskie.

I ruin ni miejsca nie stało po gmachu, który powstał razem z całym miastem i towarzyszył mu przez blisko pięć wieków. Zamek Niski znikł bez śladu i wspomnienia...





## LAPIDEA KŁOPOTOWSKA.

(NIECIEKAWA HISTORJA LWOWSKIEJ KAMIENICY).

Zdenerwowana szwargotem żargonu, rozkipiona gwarem i tymi wstrząśnieniami duszy ludzkiej, które określić się dadzą jedynie cyfrą zysku, lub pojęciem dobrego interesu — maż-li stara Kłopotowska kamienica \*) czas na wsłuchanie się w nieokreślone szmery lat swoich młodych? Chyba wieczorem w piątek, kiedy w jej oknach szabasowe zabłysną światelka, a ona cała rozśpiewa się przeciągłym echem modlitwy hebrajskiej i talmudycznych psalmów, chyba na on czas, jedyny w tygodniu, wypełzną z jej framug ciemne jakieś postacie, tłumy się zaroją głuchym odgłosem minionego płaczu i radości, znoju i pracy.

Na jeden może przedszabasowy piątek umilkną w jej izdebkach dzisiejsze cyfry i obrachowania, a na żółtym blasku łojowej świecy zadrgają tanczonym kołem inne liczby, inne interesa, w gruncie rzeczy takie same hebrajskie kleksy jak dzisiaj,

---

\*) Por. rękopiśmienne akta Archiwum miejskiego we Lwowie, fasc. 57.



tylko, że mózgi co je płodziły w drobne się rozsypały atomy, chałat dawny z nich opadł i bezcielesną się marą stały one dawne sprawy lokatorów i właścicieli kamienicy Kłopotowskiej.

Marne i ciche echo trzechwiekowej tradycji zakłęte jest jeno w pustym dźwięku lapidea Kłopotowska, w tej niby nazwie, wyszłej z obiegu, której nikt już dziś nie używa, a nawet historyk nie wie, o które ją miejsce zaczepić. Myśli, czucia i namiętności, które tam kiedyś huczały, zaschły dziś niby mumie w martwych regestrach procesowych i z kamienicy Kłopotowskiej nic nie zostało, choć ona sama stoi ciągle jeszcze na rogu ulicy Serbskiej i Boimów, katastralny korpus stanowi pod liczbą 268 (śródmieście) i na numer orientacyjny: »ul Serbska l. 8«.

Nawet patynę starości zdjęła z niej ręka murarza. Wybielona niedawno na nowo, upstrzona od frontu okrutnem malowidłem, które przedstawia dwa olbrzymie parasole, czerwony i niebieski, godło zamieszkałego tu dawniej parasolnika, stanowi dawna kamienica Kłopotowska część zaułka, tam gdzie się ulica Serbska nagle zwęża w ciemne i brudne przejście do ulicy Sobieskiego, a od rana do późnej nocy grzmi krzykiem hałaśliwie kupczących kramarzy. Jeden jej front wznosi się ścianą tej wąskiej szyji na trzy piętra wysoką, kilku oknami upstrzoną i szeregiem ponurych kramów u dołu, front zaś drugi patrzy na ulicę Boimów potrójnym szeregiem okien, sklepem z wodą sodową i wspomnianymi dwoma straszliwymi parasolami.

Osobliwa nazwa, dziwne *nomen omen* w dziejach kamienicy Kłopotowskiej, to pierwsza jej osobliwość, drugą osobliwość stanowi jej sąsiedztwo, które stało się źródłem dotkliwej pomyłki w topograficznym oznaczeniu jednego z lwowskich zabytków architektury, trzecia zaś, największa osobliwość to trzechwiekowa tradycja brudu, ruiny i zaniedbania, które zabelone świeżą warstwą wapna, znowu wróciło do dawnego stanu. Kamienica Kłopotowska odkąd ją tylko znają archiwalne akta lwowskie tak samo była obszarpaną, ku upadkowi się chylącą rudera, jak dzisiaj, a charakter cuchnącego zaułka towarzyszył jej z dziwną wytrwałością i konsekwencją przez całych trzysta lat!

To też i krajobraz, względnie tło kamienicy Kłopotowskiej zakonserwowało się przez trzy wieki znakomicie: od rynku po prawej stronie w głąb ulicy Boimów przytykała do niej nieistniejąca już dziś kamienica Ambrożego Przychylnego, jednego z najruchliwszych lwowskich przedsiębiorców budowlanych z początkiem siedemnastego stulecia. Widać obszerna to była rezydencja, bo dziś na jej miejscu stało aż trzy kamienice (nr. 26, 24 22) nowszego pochodzenia. Drugi, przeciwległy róg ulicy Serbskiej (l. 13) zdołała rodzona siostrzyca kamienicy Kłopotowskiej — miejska dawna »Masztalnia«, w której ongi »potomkowie Gombrychta« siedzieli prawem wieczystej dzierżawy od miasta. Na oznaczenie tego emfiteutycznego stanu rzeczy i własności miejskiej widnieje na tej Gombrychto-

wskiej kamienicy po dziś dzień herb miasta Lwowa, zręcznie w kamieniu kowany.

Taki sam herb zdobi dwie dalsze kamienice na lewo od rynku w głębi ulicy Boimów, a mianowicie dwuokienną, znaną w dawnych aktach jako »pustki Szmuiła Wiśniowieckiego« i drugą, ozdobioną pięknie rzeźbionymi obramieniami drzwi wchodowych i okien, która się nazywała »Frydmanowską« a którą znakomity historyk lwowski mylnie uważa za kamienicę ongi Ambrożego Przychylnego, a jej styl i rzeźby za jedyne pozostałe dzieło rąk tego architekty.

Przyczyną tej pomyłki było zdaje się mylne oznaczenie topograficzne kamienicy Kłopotowskiej, przez Maurycego Dzieduszyckiego, który ją pomieścił z kamienicą Gombrychtowską \*)

Ale kamienica Kłopotowska nie tylko lwowskim archeologom przysporzyła nieco kłopotu i stała się przyczyną pewnego rodzaju archeologicznej

---

\*) Wynika ta cała rzecz jasno z aktów wyżej cytowanych jak niemniej z przechowywanej w Archiwum miejskim rękopiśmiennej księgi pt. »Spis domów miasta przy egzakcji podatku łokciowego w r. 1757«. P. Wład. Łoziński w „Patrycjacie« oznaczył jako kamienicę Przychylnego, dom pod l. 34 ul. Boimów, co jest najwidoczniejszą pomyłką. Akta bowiem określające kamienicę Kłopotowską, jako »podle Pokorowiczowskiej, albo Przychylnego kamienicy na rogu, przeciwko kamienicy miejskiej Masztalnia rzeczzonej, w której teraz potomkowie Jakóba Gombrychta siedzą«, nie nasuwają żadnych wątpliwości, zwłaszcza gdy się je porówna ze wspomnianym pomiarem łokciowym. M. Dzieduszycki (Żywot Sierakowskiego str. 120) mylnie podaje liczbę katastralną kamienicy Kłopotowskiej

gmatwaniny. Taki bowiem widocznie los ją prześladował, że każdy jej właściciel lub dzierżawca prawdziwy miał z nią krzyż pański. I rzeczywiście ten kłopotliwy pierwiastek jej miana przylgnął do niej swarem ustawicznych procesów, rozpraw na ratuszu, a nawet odbił się rumorem małych finansowych tragedji. Od roku 1597 wije się w jej dziejach nieprzerwanie czarna wstęga procesów, kontraktów i innych aktów prawnych, przelewa się pieniąctwo w prawdziwe potoki spisanego atramentu. A z po za wyokrąglonych frazesów palestry ratuszowej wyszczerza zęby czarna, obszarpana rudera.. »dawnością opadła, na miejscu wstrętne tak dla rzemieślnika, jakoteż i szynku, albo obejścia jakiego innego prowadzenia niesposobna, w której żaden chrześcijanin dla smrodów i ruin mieszkać nie chce«. Dekoracja się nie bardzo zmieniła po dzień dzisiejszy a z rozgadanych frazeologją procesową aktów wyskakuje nieco tylko inny krajobraz prawdziwie już średnio-wieczny — »lapidea« Kłopotowska, tyłami o 6 łokci od muru miejskiego odległa, wysoka, trzypiętrowa z wyzyskanym do ostateczności planem budowlanym, z drewnianymi »klitkami« przypierającymi do murów z całym labiryntem zakamarków, ąłkówek, kramików, obdaszków, z setkami szybek, względnie w ołów oprawnych szklanych gomótek u okien i całym aparatem starego życia miejskiego.

Sławetny Kłopot, mieszczanin lwowski, który kamienicę »Kłopotowską« zbudował i nadał jej po wiek wieków pechowne swoje miano, myślał może, że stanie się ona ostoją jego rodu i przyszłych po-

koleń Kłopotów. Nadzieje się nie ziściły, bo już spadkobierczyni jego Zofia Kłopotowa i Katarzyna Kłopotówna miały w tem swój interes, aby się jej czempredzej pozbyć. Zaczyna się więc kupno i sprzedaż a kamienica przechodzi jak piłka z rąk jednego właściciela do drugiego. W zygzakach staro pisma, wśród mnóstwa warunków kontraktowych i prawnych kauteli, mniej lub więcej szczęśliwych posesorów, z których każdy procesuje się zawzięcie i ostatecznie ucieka jak najdalej od kłopotliwego dziedzictwa, przesuwają się sławetne postacie Bargłów, Szczuckich, Mazanków, Karczewiczów, a żaden z nich nie przyłgnał do nieszczęsnego domu, ani go opieką swoją otoczył.

Jeszcze najlepszy interes na kamienicy Kłopotowskiej zrobił krawiec Jakób Niewczas, który dostał jej część po Annie Karczewiczówniej. Z mnóstwa procesów z niedobrym sąsiadem Gombrychtem, to ze współdziedzicami wyszedł obronną ręką o tyle, że ostatecznie magistrat, który w całą historję wlaź, jak Piłat w credo, zapłacił mu 3.500 złp. i stał się szczęśliwym właścicielem kamienicy. Właściwie nawet miasto nie posiadało tej sumy, więc pożyczyli ją rajcowie z kasy radzieckiej, za co zastrzegli sobie że im wolno będzie ją »iure emfiteuthico, któremu żydowi lub komu innemu lokować«, naturalnie dla pomnożenia własnych dochodów.

Dodatek ów »lub komu innemu« był zupełnie zbyteczny, gdyż rajcy mieli już dawno upatrzonego żyda w sobie Simona Józefowicza, który niebawem w r. 1641 występuje jako wieczysty dzierżawca ka-

mienicy Kłopotowskiej. Widzieli jednak dobrze panowie rajcy kogo wpuszczają w podwoje kamienicy, więc się też należycie obwarowali całym szeregiem, wcale nie wonnych warunków. Nakazane miał mianowicie Simon Józefowicz »aby rynsztoków nie psował«, a dalej, że »ulicy i muru gnojem i plugastwy zakładać niema, ale one precz z miasta wywozić, aby od innych górnych sąsiad plugastwa przez te grunty ku bramie halickiej nie spuszczano i gnoje żeby niespływali«. Dla osuszenia piwnic wolno mu będzie rurę do wałów poprowadzić ale »smrodów żadnych z kloak temi rurami między wały wpuszczać nie będzie«.

Wreszcie dla zaznaczenia swego katolickiego stanowiska zastrzega się urząd radziecki, »aby na tym gruncie bożnica żydowska wiecznymi czasy nigdy murowaną ani budowaną nie była« charakter zaś nowo zawiązanego stosunku prawnego »żeby mianowicie — własność gruntu tego przy mieście zostawała wiecznymi czasy i żeby znak jaki tego był« oznaczać miał »herb zwyczajny miejski z kamienia wryty, który na rogu tejże kamienicy jego kosztem ma być wprawiony i murowany«. Herb ten zdobił dawniej kamienicę Kłopotowską rzeczywiście, ale z biegiem czasu znikł bez śladu.

Zaledwie jednak przysechł inkaust na hebrajskim podpisie Simona Józefowicza, który przyrzekł dotrzymać warunków kontraktu i opłacać czynsz roczny w kwocie 400 złr., poznał urząd radziecki, że kamienica Kłopotowska stała się zmorą, co sen spokojny z jego oczu spłoszyć jest zdolna. Więc

przedewszystkiem Simon Józefowicz uznał, że zrobił paskudny interes, a dla poprawienia go uciekł się do finansowej operacji: niepłacenia czynszu, ostatecznie zaś wyniósł się co rychło z kamienicy. Nie wiadomo, czy był to todzaj trochę niewyraźnej krydy, czy rzeczywiście nieprzezorna kalkulacja, dość, że już w r. 1646 urząd radziecki melancholijnie stwierdza, że possesor »kontraktowi zadość uczynić nie mógł i odstąpił, a nie płacąc czynszu kamienicę w niwecz zrujnował i gnojami zesześcił«. I odtąd ta melancholia powtarza się w każdym następnym kontrakcie, czy to z Moszkiem Jakubowiczem w r. 1648, czy z Chaimem i Lewkiem w r. 1668, czy wreszcie w r. 1691 z całym familijnem konsorcjum »niewiernymi Herszem Lewkowiczem, Danielem, Szmylem i Aronem Chaimowiczami, braćmi żydami«.

Wszyscy oni »submitowali się oną lepiej i porządniej pobudować i jako najprędzej wychędożyć i gnoje wywieść i na potem gnojami nie zesześcić, osobliwie murów miejskich w tyle tejsze kamienicy będących nie rujnować, gnojami nie zarzucać i miejsce czyste i wolne na pięć łokci od murów miejskich wedle potrzeby zostawić«. Ale były to tylko »pia desideria« na których urzeczywistnienie ramię panów ratusza było za słabe, tak samo jak bezsilne były wszelkie udogodnienia w formie obniżenia czynszu i zaprowadzenie nawet.. wodociągów:

»Hyrz Lewkowicz miał pozwolony cug wodny z którego miał wielką wygodę, a teraz magistratus takowy cug wodny czynić pozwala takim

sposobem, aby nietylko sam Hyrsz Lewkowicz korzystał z niego, ale i drudzy jego współposesorowie.. na co u słupa drugą cywkę wolno im będzie przysadzić«.

Hyrsz Lewkowicz i współposesorowie korzystali z cugu wodnego, ale o czynszu nie myśleli wcale, tak, że ostatecznie »magistratus« uczynił z dochodów kamienicy Kłopotowskiej zapis na rzecz duchowieństwa katedralnego i istniejącej przy lwowskiej katedrze fundacji ołtarzowej Milewskiego. Był to jednak prawdziwy podarunek Danaów, bo stosunek zapisanego w ogromnej ilości, nawet już za rządów austriackich, papieru procesowego nie stał w żadnej proporcji do dochodu, który z chmary współposiadaczy dał się wywindykować. Ostatecznie do zeszpecenia gnojami przyczyniła się jeszcze »desolacja« i zrujnowanie kamienicy Kłopotowskiej przez tłum pospółstwa lwowskiego, który w r. 1663 uczynił groźną rewoltę przeciwko żydom.

Lapidea Kłopotowska legła w ruinie, stała się rudera, która jednak przez trzy wieki prawie wrzała życiem, hałasem i szwargotem. Na śmietniku tym wyrastały i wyrastają fortuny. a sama rudera stoi a nawet uśmiecha się do przechodnia.

Herb miasta Lwowa zniknął z jej ściany frontowej, a w jego miejsce przyszły dwa okrutne, strasznie krzyczące... parasole...







## LWÓW PODZIEMNY.

---

Jest to jednak rzecz smutna, gdy się pomyśli, że człowiek niezawsze, nawet po śmierci, znaleźć może pokój wiekuisty. Jeszcze na wiejskim cmentarzu, który wieki trwa nieruchomy, wiecznie ten sam z zapadłymi mogiłkami, na których trawa szumi wysoka i świerszcz skrzypi polny, może mieć pewność, że piasek pod głową wieczną i spokojną mu będzie pościelą... ale po miastach... żał się Boże!

Nie trzeba już nawet wspominać tych dawnych aktów politycznej, czy religijnej zemsty, która mszcząc się na potomkach, trupy ich przodków z grobu wyrzucała, ani o złodziejskiej ręce, która na szkieletach ludzkich poszukuje kosztowności, ani wreszcie o turnusach, które resztkom ludzkim wyznaczają dziesięć lat czasu do rozsypania się w proch z tem, że jeżeli nie — to tem gorzej dla nich, bo nastąpi przymusowa rumacja starego i introdukcja nowego grobów mieszkańca.

Ale w takim Lwowie, na przykład, był czas, kiedy gromadna się odbywała wędrowka szkieletów z jednego miejsca na drugie. Podobnie, jak w do-

mu, kiedy się robi porządek, przenoszą sprzęty z jednego miejsca na drugie, tak przy porządkowaniu naszego miasta rzucano nieboszczykami z pompą i bez pompy, z pogrzebem uroczystym lub w zwykłej skrzyni drewnianej.

Właściwie Lwów cały to jeden wielki cmentarz. Nie dlatego, że dzielne jego i rycerskie pokolenia wymarły — ale dlatego, że w którymkolwiek miejscu wbić rydel w ziemię, to się zawsze o kość ludzką uderzy. W ostatnich lat dziesiątkach bardzo dużo kopano we Lwowie, więc też odkopano ogromne, olbrzymie cmentarzysko tak, że się nawet gorączkowy czas dzisiejszy musiał zadumać na chwilę i podobnie, jak szekspirowscy grabarze, oparty na rydlu, dziwne sobie przypomnieć historje.

Naprzód rozporządzenie austriackie z r. 1787 »o zniesieniu zwyczaju chowania umarłych« wyrzuciło z grobu wszystkie poprzednie lwowskie pokolenia. Kładły się długie, powłoczyste cienie mieszczkańskie koło swoich kościołów, koło katedry, koło Dominikanów, szlachta u Bernardynów zawieszała chorągwie nagrobne — wedle polskiego starego zwyczaju; w podziemiach dominikańskich prawdziwy był Westminster patrycjatu lwowskiego, tak samo w katedrze, u św. Łazarza; Ormianie kładły swe płyty nagrobkowe koło monasteru ormiańskiego św. Anny, gdzie dziś »łaźnia rzymska« na Żółkiewskiem, Rusini koło starej cerkwi Bohojawłenijskiej przy ul. Fredry.

Dostał więc rząd austriacki pełne szkieletów sklepy kościelne, pełne przykościelne cmentarze

i z tych sklepów a cmentarzy wyrzucił je wszystkie w bezimiennem zmieszaniu za miasto, na nowe cmentarze ze względów zdrowotnych, a pomniki i nagrobki połamał, pokruszył, wszystkie prośby o »Anioł pański«, o »Pozdrowienie anielskie« zamazał, choć nieraz były one gromniczną pociechą na łożu śmierci.

Potem zaczął się Lwów rozszerzać. Coraz dalej kopano fundamenty pod nowe budynki, coraz to nowe znajdowano cmentarzyska. Na starym ormiańskim cmentarzu u św. Anny poździerano płyty a przemyślny przedsiębiorca użył ich do fundamentów łaźni. Część tylko poszła na dziedziniec katedry ormiańskiej, gdzie dziś odbywa służbę trotuaru. Z cmentarza pod katedrą łać. nawet kamień nie pozostał na kamieniu z wyjątkiem figury Chrystusa, która stała dawniej u wejścia, a dziś przytulona do katedralnej ściany tuli do siebie dwie drzące i stare żebraczki. Nawet z pod prześlicznej kaplicy Boimów wyrzucono prochy jej założycieli, toż samo i z krypt katedralnych, a wykopane u progu katedralnego kości tych, którzy myśleli, że po wiek wieków spoczną w cieniu ukochanego kościoła — sponiewierano.

Taki sam los spotkał stare nagrobki ruskie koło wspomnianej cerkwi Bohojawlenia, które wydarły z ziemi i pokruszone tworzą dziś fundament kamienicy l. 36 ul. Batorego.

Na tym też cerkiewnym cmentarzu była mogiła, a raczej kurhan do którego przyłgnęło wspomnienie całego morza krwi, którą przesycała się ziemia, gdzie dawny pałac Fredrów, a dziś szereg

pięknych stoi kamienic: cała ulica Fredry i sąsiednie. Biegł tędy mianowicie wał i fortyfikacje przedmiejskie, których ostatnie szczątki zniesiono w czasie budowy gmachu Izby handlowej i przemysłowej. Poza wałem na miejscu gimnazjum Franciszka Józefa stał obwarowany kościół i klasztor Karmelitów do którego Chmielnicki w czasie pierwszego oblężenia Lwowa w r. 1648 przypuścił szturm gwałtowny, a na tym właśnie skrawku wału, u zbiegu ulic Batorego i Kamiennej wszczęła się zacięta i krwawa walka, jeden z najkrwawszych epizodów tego oblężenia. Padło wiele kozaków i tatarów, ale wobec przeważających sił klasztor został zdobyty, a Chmielnicki kazał wszystkich jego obrońców wymordować. Padło wtedy 15 zakonników i 388 przedmieszczan, z których część, ukryta na strychu, spłonęła razem z klasztorem. Straszna pamięć tej rzezi przechowuje dotąd tablica z napisem, która niegdyś nakrywała wspólny grób pomordowanych w podziemiach klasztornych, po kasacie zaś zakonu, przeniesiona została do Karmelitów na górze koło namiestnictwa, gdzie po dziś dzień wisi na korytarzu klasztornym.

Kozacy zaś, polegli w tej walce razem z tatarami znaleźli wspólny grób w mogile na cmentarzu cerkwi wspomnianej Bohojowlenja.

Zakrwawiła się wonczas ziemia tak bardzo, że do niedawna jeszcze grunt ten nosił nawet urzędowe miano »Krwisko«.

Cerkiew Bohojowlenja zniesiona została w r. 1800, a grunt sprzedano w ręce prywatne. Stanął

na nim zajazd Krynickiego zwany, który około r. 1875 nabył niejaki Krzyżanowski.

Nowy nabywca przebudował zajazd w ozdobniejszą kamienicę, oznaczoną dzisiaj właśnie l. 36 ul. Batorego. W czasie kopania rowów pod fundamenta, odkryto pod nasypiskiem płyty kamienne nagrobkowe z napisami kirylickimi, a zarazem i ową mogiłę kozacką, w której znaleziono mnogo szkieletów ludzkich z ogromnemi czaszkami, kawałek szabli kozackiej, kilka grotów żelaznych od strzałów i nagłówek od dzidy.

Przedmioty te znajdują się dziś w muzeum Ossolińskich, kamieni nagrobkowych użył właściciel do fundamentów, kilka pak szkieletów wywieziono na cmentarz Łyczakowski. Resztę zaś wykopalisk, jak pierścień metalowy, krzyżyki ruskie i inne ozdoby zabrali robotnicy. W ten sposób znikł z powierzchni ziemi kurhan kozacki we Lwowie.

Przy robotach ziemnych pod tor kolejowy na Podzamczu wygrzebano cmentarne pobojuwisko — miejsce odpoczynku wiecznego żołnierzy polskich i Tatarów poległych wspólnie w słynnej bitwie koło kościoła św. Marcina w r. 1695. Całe fury kości ludzkich wywieziono na cmentarze — trochę do kościopalni.

Wszystko to jednak byli żołnierze — a żołnierskie kości, wiadomo z ostatniej wojny rosyjsko-japońskiej, całymi transportami przywożono z pól mandżurskich do Europy... na nawóz. Ale co powiedzieć o prawdziwych, rzetelnych cmentarzach.

które z czasem poszły w zapomnienie, a nawet poniewierkę?

Stary cmentarz stryjski, który leżał dawniej u zbiegu ulic Zyplikiewicza, Stryjskiej i Dąbrowskiego, dalej cmentarz gródecki, a zwłaszcza Paparówka smutny mogą stanowić przykład, jako człowiek nie zawsze się może spodziewać odpoczynku wiecznego na cmentarzu.

Kto tam się jeszcze odznaczył w życiu, jak n. p. Stanisław Jaszowski, płodny pisarz i poeta z pierwszej połowy ubiegłego wieku, tego zabrano z Paparówki i nawet z pewną uroczystością pochowano na cmentarzu Łyczakowskim. Tak przeniesiono naprzykład szczątki dostojników cerkwi ruskiej demonstracyjnie z cmentarza gródeckiego na Łyczaków, szczątki paru austriackich generałów, a zresztą po Paparówce kolej sobie jeździ obecnie, a na cmentarzu gródeckim stanie pono niebawem park publiczny.

Najtragiczniejsze jednak robią zawsze wrażenie szkielety pojedynczo, tu i ówdzie znachodzone. Bo przytem wpija się zwykle w mózg znalazcy podejrzenie jakiejś zbrodni, jakiegoś wypadku, jakiejś wogóle ponurej tragedji, która nieboszczyka zostawiła na niepoświęcanej ziemi. Ten naturalny niepokój znalazł swój spokojny wyraz w szablonie biurokratycznym nawet, bo oto lekarz dzielnicowy uznaje, że szkielet leży w ziemi od stu lat przeszło, policja spisze protokół, a nieboszczyka razem z jego domniemaną tragedją zakopuje się w skrzynce na cmentarzu.

Takich szkieletów znajdują we Lwowie mnóstwo, co krok prawie, przy kopaniu ziemi. Przewa-

źnie one niszczeją, kilka tylko czaszek przechowuje Archiwum miejskie, z których jedna, tatarska, ma na sobie ślad szabli czy strzały, która ją za życia właściciela rozbiła. Czaszka jednak twardą była, bo mimo wyszczerbienia zrosła się, a jej właściciel później dopiero złożył ją na wspólnym cmentarzysku pod Lwowem.

Oh te miejskie cmentarze i ich tragedje! A największa ich tragedia jest ta, że nigdy się nie staną »Bożą rolą« ani uroczyskiem, ani sejmem jęczących, bladych cieniów o północnej godzinie. Zawsze się miasto zdoła tak rozszerzyć, że cmentarze miejscy swego żywym muszą ustąpić.

Ale Lwów podziemny nie tylko jest kopalnią obfitą szkieletów, czaszek i innych szczątków ludzkich. W każdej piędzi jego ziemi leży obumarły ślad dawnego życia, dawnych spraw ludzkich, dawnej kultury. Gdyby tak zgromadzić na jedno miejsce wszystko, co różnymi czasami wykopywano we Lwowie, to by się wielkie stworzyło muzeum, gdyby tak znalazcy za każdym takim wykopaliskiem potrafili je w sposób naukowy opisać, to by jaśniejsze były dzieje starego Lwowa i mniej trudną do rozwiązania jego topografja. Niestety jednak wszystkie wykopaliska niszczały, a tylko drobna ich część kryje się dziś w muzeum historycznym miejskim i innych lwowskich zbiorach.

Czego nie znachodzono w podziemnym Lwowie! Mury fortyfikacyjne miejskie na placu Marjańskim, wraz z ułamkiem monumentalnego napisu z dawnej bramy halickiej, wmurowanego na pa-

miatkę oblężenia miasta przez Stefana hospodara wołoskiego w r. 1498 — odkopano całą basztę przy ulicy Sobieskiego, w której mieści się dzisiaj winiarnia

W czasie budowy fundamentów pod kasyno miejskie w r. 1872, odkopano ślady garbarni wraz z kadziami, napełnionymi garbnikiem, oraz starodawne łyżki cynowe i inne przedmioty. Pod Bankiem hipotecznym wreszcie, w czasie kopania fundamentów, odkryto całe, dobrzejsze zachowane, koło młyńskie i łotoki, czyli spust wody dość znacznego rozmiaru. W tym miejscu stał niegdyś młyn kapitulny a obok młyn miejski, na miejscu którego ustawiono później most kamienny na Pełtwi z figurą św. Jana. Most ten, prowadzący niegdyś wprost do hotelu Żorża zniesiono w latach czterdziestych przy zasklepieniu Pełtwi na placu Marjackim, a figurę św. Jana przeniesiono na most przy ulicy Fredry i Ścieżkowej, gdzie dotąd stoi, ale już bez mostu. W czasie budowy hotelu Europejskiego na placu Marjackim odkryto ślady dawnej wysepki, którą w tym miejscu tworzyła Pełtew. Na tej wysepce stała kapliczka Matki Boskiej zwana »Loretto«.

W r. 1876 przy kopaniu rowów na fundamenta pod gimnazjum Franciszka Józefa odkryto dalszy ciąg wału przedmiejskiego, o którym wyżej była mowa. Pod nasypem śmiecia okazały się w całym prawie ciągu wzdłuż ulicy Kamiennej, resztki fundamentów, 9 stóp szerokości, idące o sążęń prawie jeszcze w głąb namułu rzecznoego, oraz resztki muru, wyłożonego ciosami gładkimi od zewnątrz tj. od



strony fosy. W rogu tego muru przy zbiegu ulicy Kamienniej z Pańską odkryto otwór z drzwiami kamiennymi, który służył do wejścia w fosę. Silne haki wstawione w odrzwia dowodziły, że na nich wisiała brama mocno okuta.

Następnego roku przy budowie dawnego Banku kredytowego przy ul. Jagiellońskiej trafiono na ślady sadzawek rybnych, które Lwów nowy wysuszył i głęboko w ziemi zakopał.

Lwów jest także tem osobliwem miastem, które własną rzekę pod ziemię schowało.

Rzeczka, która niedawno toczyła mętne swe fale po najpryncypalniejszych ulicach Lwowa, dziś znikła pod ziemią, a niebawem legenda się o niej utworzy, ludzie ze zdziwieniem pytać będą, ażali jest prawdą to, co prawią stare podręczniki geografji, że Lwów leży nad Pełtwią i czy nie należałoby raczej ukuć nowego pojęcia geograficznego że »Pełtew leży pod Lwowem«.

Ostatecznie nie ma dziś Lwów prawa do nazwy »nadpełtwiańskiego grodu«, zestarzały się żarty lwowskie i dowcipy na temat rzeczulki niewonnej, na temat posągu św. Michała, który straż trzymał nad Pełtwią u wylotu wałów hetmańskich, umilkły pienia domorosłych lwowskich poetów, którzy złotą Pełtew sławili natchnionymi wierszami w kalendarzach i pismach humorystycznych.

Niewdzięczne miasto zapomniało, że ta Pełtew dawnymi czasy obracała młyńskie kamienie na dochód jego, na dochód kanoników katedralnych, a nawet mieszczan pospolitych. Zapomnienia czas po-

krył nawet wybryki lwowskiego strumyczka, który czasem się burzył, wylewał z brzegów i porywał hekatombę z świń miejskich, psów, kaczek i innych zwierząt domowych.

Nie ma już Pełtewi, zawołał dumnie magistrat wyłożywszy parę milionów na jej zasklepienie — nie ma już Pełtewi, odetchnęła lwowska publiczność, wolna od kataru i niewonnych fetorów — nad Pełtewią Lwów przeszedł do porządku dziennego i zapomniał o niej.

Ale Pełtew jest — jej fale toczą się pod ziemią ciche i nieszkodliwe i czasem się tylko niewinnym psikusiem niewdzięcznej przypomną potomności. Jak oracz, gdy pługiem w dalsze się skiby wglębiwszy, na przedmiot czasem natrafi, co myśl jego w odległe lata uniesie — tak Lwów nowożytny, gdy na chwilę pójść chce w głąb po pod bruk swój kamienny, niespodzianki niemiłej dozna uczucia, lub dawnych swych dziejów wspomnienia.

Oto na skwerze u wałów hetmańskich wylotu stanąć miał pierwotnie pomnik Mickiewicza.

Wkopano się w ziemię dla położenia fundamentów pod granitowe bloki kolumny, a tymczasem Pełtew zapomniana z tej skorzystała sposobności, aby się szmerem fal swoich przypomnieć nowemu miastu. Przypomnienie bardzo niemiłe i nieprzyjemne, a więc czempredziej je ziemią przysypiano napowrót i Lwów starał się zapomnieć na nowo... zapomnieć czempredziej, że kiedyś tam leżał nad Pełtewią,

Więc nowe miejsce wybrano pod pomnik Mi-

ckiewiczza na placu Marjackim, gdzie dzisiaj stoi. Ale i tutaj przez pewien czas była aktualną kwestją, czy przypadkiem Pełtew nie stanie na drodze zamiarowi.

Starzy, a nawet i niebardzo starzy ludzie pamiętają Pełtew dobrze, jak sobie wolna i nieskrępowana betonem płynęła wzdłuż ulicy Kochanowskiego, jak się na placu Akademickim łączyła ze strumykiem Soroką i biegła wzdłuż ulicy Akademickiej, a potem nikała pod ziemią na placu Marjackim, aby wypłynąć znowu na wałach hetmańskich. Nie ma jednak takiego człowieka może, któryby ją pamiętał na placu Marjackim, gdyż tutaj zasklepioną ona została bardzo dawno, jeszcze gdzieś w czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia. Plan Lwowa z r. 1836 (»Lemberg nach der Original Aufnahme des k. k. General Quartiermeisterstabes, auf Stein gravirt im Jahre 1836«) wykazuje, że mniej więcej od miejsca, na którym dziś stoi Bank hipoteczny skręcała Pełtew, o dość wysokich brzegach na lewo, płynęła opodal domu dawniej Tomasza Kulczyckiego (gdzie dziś sklep Starka) następnie lekkim łukiem przechodziła w linię równoległą do szeregu domów na placu Marjackim (Hotel Francuski, Europejski) skręcała tu w stronę wałów i hetmańskich, a wreszcie wzdłuż wałów placu Gołuchowskich do starej Rzędni i dalej.

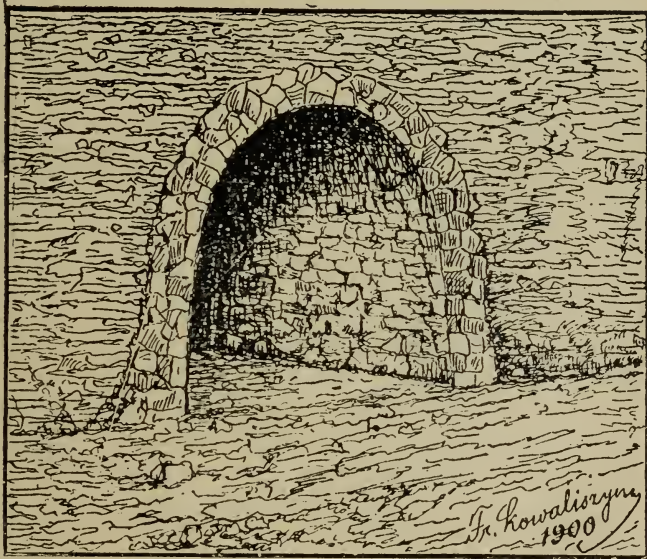
Z tem wszystkim przecież tęsknota za własną nawet bylejaką rzeczulką, odzywa się od czasu do czasu we Lwowie. Być też może, że kiedyś, gdy ten podziemny Lwów czasów najnowszych ostate-

cznie zostanie uporządkowany, gdy wodociągi, kanalizacja, a zwłaszcza ta ostatnia doprowadzoną zostanie do większej niż dzisiaj doskonałości — wówczas może przystąpi Lwów z tryumfem do odkrycia Pełtwi i każe jej wodom otwarcie płynąć najpryncypalniejszymi ulicami. A uczyni to dla asanacji, dla uzdrowotnienia miasta, tak samo jak w celach asanacji i higieny ją niedawno ostatecznie zakopał.

Zanim się to jednakowoż stanie dużo jeszcze milionów koron wkopanych być musi w podziemiu Lwowa. Pójdą te przekopy i rozkopy wszystkimi ulicami miasta i nieraz jeszcze podziemny Lwów odsłoni swoje tajemnice ciekawe i do zbadania trudne. Starsi ludzie pamiętają jak fantastyczna a pełna grozy wieść gruchła po mieście, gdy przed laty odkopano u wylotu ulicy Łyczakowskiej podziemny ganek, czy przechód napełniony kośćmi ludzkimi. Biegł ow przekop tak, że pozwalał na całkiem poważny domysł, jakoby między klasztorem Bernardynów a klasztorem Klarysek u początku Łyczakowa istniało dawnymi czasy podziemne przejście, jak w sensacyjnych, pełnych grozy i zbrodni romansach. I dopiero historyczne badania wykazały, że tajemnica klasztoru Bernardynów, aczkolwiek nie zbrodnią, to przecież jest tragedją. Wspomniany bowiem przekop, uczyniony został przez Turków, oblężających Lwów w r. 1672, celem założeniaminy pod fortyfikacje, którymi klasztor był otoczony. Niebezpieczeństwo zdobycia w ten sposób miasta było bardzo wielkie, ulewa jednak, która zamoczyła prochy i śmiała wycieczka miesz-

czan, która wielu Turków trupem położyła, udaremniała ich zamysły.

Podziemnych takich przejść było bardzo wiele w dawnym Lwowie, ale jeszcze więcej ich znała bujna fantazja, szukająca pod ziemią śladów zbrodni



WCHÓD DO PODZIEMNEGO PRZEJŚCIA W ULICY BALONOWEJ.

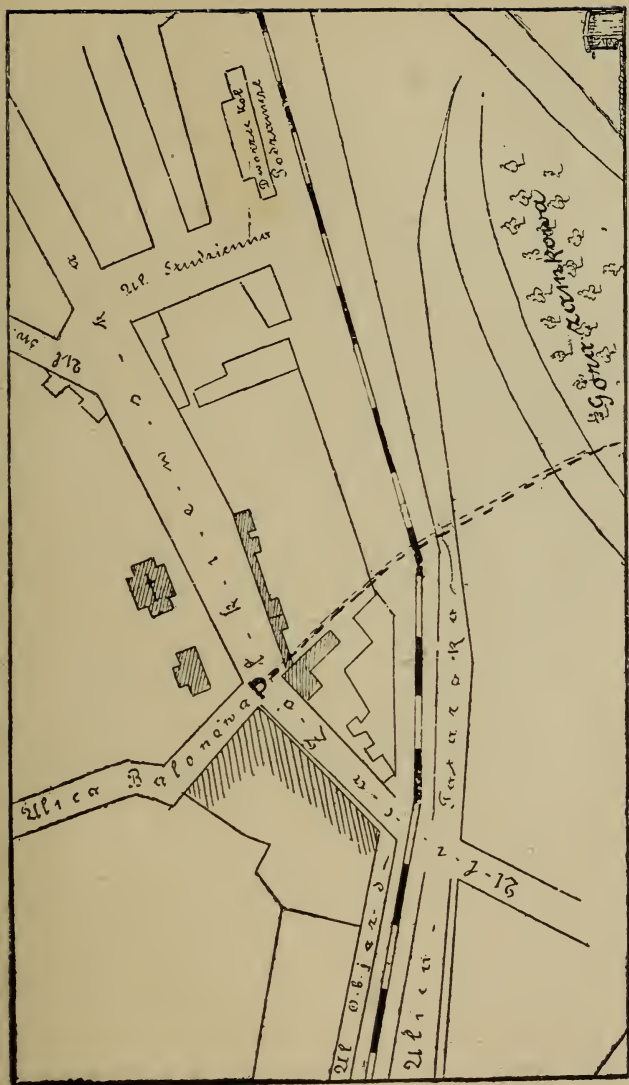
lub tajemniczych skarbów. Legenda o podziemnej łączności między Wysokim Zamkiem a Niskim zanotowana jest nawet wielokrotnie u historyków, a również przejścia między poszczególnymi kościołami i inne, robione jakoby na wypadek trwogi nieprzyjacielskiej. Tak bardzo jednak rozgałęzionej

sieci podziemnych krążanków nie było w starym Lwowie, chociaż tu i ówdzie trafiają się ślady jakichś zagadkowych podziemi, jak np. odkopana w r. 1885 na dziedzińcu klasztoru Sióstr Miłosierdzia studnia, z licznymi, bocznymi odgałęzieniami.

Najciekawszym, chociaż zupełnie zagadkowym był podziemny ganek, odkopany w r. 1900 w czasie robót ziemnych u wylotu ulicy Balonowej na Żółkiewskim. Przekop ten niezwyklej, bo przeszło półtora metra sięgającej szerokości i równie znacznej wysokości, wymurowany z łupanego kamienia znajdował się tuż prawie pod poziomem ulicy, a biegł, jak to jest wskazane na planie, w poprzek ulicy Żółkiewskiej, przez ogród prywatny, aż do podnóża Góry zamkowej. Zbadał go i szczegółowo opisał p. Franciszek Kowaliszyn, urzędnik Archiwum miejskiego.

O innym odkryciu z zakresu podziemnego Lwowa przyniósł wiadomość w r. 1868 »Przyjaciół domowy« w nrze 17 str. 132:

»W zbiorze p. Kunasiewicza St. znajdowało się kilka wykopalisk, znalezionych przy przekopywaniu gruntów pod budującą się obecnie kolej lwowsko-brodzką. Między innemi znajduje się tam karjatyda, cała z lanego żelaza i mocno od rdzy uszkodzona. Znalezioną została z początkiem bieżącego roku na lwowskim przedmieściu »Murowane mosty« przy waleniu domu i przekopywaniu ogrodu, odsprzedanego pod kolej lwowsko-brodzką. Służyła zapewne na ozdobę jakiejś budowy. Oprócz tej ka-



PLAN PODZIEMNEGO PRZEJŚCIA OD UL. BALONOWEJ DO GÓRY ZAMKOWEJ  
(rysował Fr. Kowaliszyn).

rjatydy w stylu renesansowym podług wzorów rzymskich odlanej, wydobyto przy budowie tej kolei także większą ilość monet, które oddane zostały do c. k. Dyrekcji policji, pojedyncze zaś egzemplarze monet, począwszy od kwartników Kazimierza, aż do szelągów Poniatowskiego wykopywano wzdłuż całej budującej się kolei, bardzo często».

Wogóle podziemny Lwów był dla polskiej numizmatyki polem bardzo urodzajnem. Znajdowane tutaj różnymi czasy, a zwłaszcza w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, a skwapliwie przez księgarza Jabłońskiego gromadzone monety odkryły prawie dział monet dla Rusi bitych we Lwowie przez Kazimierza Wielkiego, Władysława Opolczyka, Ludwika Węgierskiego i Władysława Jagiełłę. W czasie budowy nowego teatru w r. 1899 znaleziono całe wykopalisko monet fałszywych z czasów Zygmunta I, które widocznie ukrył jakiś fałszerz, w obawie przed srogą odpowiedzialnością i śmiercią na płonącym stosie. Lwowskie wykopaliska monet stanowiłyby zresztą mogły przedmiot osobnego studjum, do którego wiele i wdzięcznego materiału dostarczyć by mogły te resztki, które znajdują się w Archiwum miejskiem.

Tak samo na osobne opracowanie czekają polwowskich muzeach i wykopaliska przedhistoryczne, które we Lwowie znajdowane były głównie w trzech miejscach: na Wysokim Zamku, na górze Wronowskich i na Bajkach. Dużo, chociaż w sposób zupełnie nie naukowy napisał o wykopaliskach z Wysokiego Zamku Antoni Schneider w »Przeglądzie



archeologiczno historycznym« z r. 1874, o ciekawym bardzo posągu kamiennym z góry Wronowskich podał wiadomość Żegota Pauli w »Starożytnościach galicyjskich«, o wykopaliskach na Bajkach są tylko luźne wzmianki dziennikarskie, sporo ich zaś w naturze znajduje się w Archiwum miejskiem i muzeum Lubomirskich.

Reszta zginęła. A była olbrzymia moc tych wykopywanych zabytków, które zniszczyła nieumiejętna ręka robotników, albo co gorsza poszukiwaczy skarbów i handlarzy. W czasie sypania kopca Unii lubelskiej działały się na górze Zamkowej sceny, które każdy archeolog musi nazwać tragicznymi. Tłum rozgorączkowany wieściami o ukrytych skarbach rzucał się gromadnie na przedhistoryczne urny, rozbił je i rozrzucał wśród bójki i przekleństw. Jedyny zaś, obecny na miejscu, archeolog Antoni Schneider, czekać musiał odepchnięty na uboczu, dopóki tłum, przekonawszy się że nie ma żadnych skarbów, sobie nie poszedł i wówczas dopiero zbierał pozostałe resztki, chroniąc je od zupełnej zagłady.

Jak wogóle wszystkie zabytki przeszłości, tak i wykopaliska nie miały zresztą we Lwowie szczęścia. Bo nawet i te, które ocalały wśród masowego wandalizmu i pomieszczone zostały w starych zbiorach uniwersyteckich, spłonęły w czasie bombardacji Lwowa w r. 1848.

A Lwów podziemny wciąż jeszcze wynosi na światło dzienne rzeczy nieznanne a cenne. Nie ma dnia, w czasie robót ziemnych w lecie, któryby nie

przyniósł śladów zmarłego życia, od lufy samostrzelnej, kuli armatniej, krzywego jatagana, do starej monety, okruchów szkła lub w kamieniu węgielnym ukrytych, dokumentów.



III.

PRZEDMIEJSKIE TRWOGI.



## REBELIA W ZAMARSTYNOWIE

---

Było to w zaraniu wieku siedemnastego. Lwów stanął właśnie u szczytu swojej potęgi i znaczenia, a nad jego Radę nie było władzy w mieście, nie było rządu, ni sądu. Przed dumną oligarchją, która w swe ręce ster nawy ratuszowej chwyciła, padła dopiero co plackiem mieszczańską opozycja, nawet skabinat lwowski — ta straszna wójtowska władza sądowa — z wysiłkiem bronił ostatków prawa swojego i starożytnych wilkierzy, a najmłodsza instytucja kontrolna — czterdziestumężowie — tarzała się w prochu lekceważenia tak samo, jak tłumy przedmieścia halickiego. I stali się panowie lwowskiego ratusza coś jakby wenecką czarną radą, której mająca niebawem nastąpić ogólna nobilitacja Lwowa i wyniesienie go do stanu szlacheckiego, dodać miały nowego blasku i herbownych splendorów.

Zda się nie było w całym mieście, ani na miejskim obszarze stu łanów frankońskich, ani wreszcie na długich wygonach, zaludnionych kolonizatorską pracą we wsie miejskie — zda się na całym kręgu onym olbrzymim, jak daleko sięgnąć mogło oko z wieży starego ratusza, nikogo nie było, co by się

ważył wznieść rękę na majestat Iwa ratuszowego i ukrytego za nim patrycjatu, nie było pewnie takiego, co by w poprzek chciał stanąć rozkazom z ratusza płynącym i jawnego się jąć przeciwko nim oporu.

A jednak była w tym czasie chwila, kiedy kamienne serca radzieckie zdrząły trwogą, a ich samych strach czarny obleciał przed groźnem widmem, co kamienne mury więzień ratuszowych rozpierać poczęło \*). Jakiś dziwny a straszny pomruk chodząc począł po spętanych pańszczyzną siołach okolicznych, zatrzęsły się nagle szarwarki, chłopskie pługi stawać poczęły w połowie robocizny. Jakieś wiecowanie nastąpiło po wsiach miejskich, tajemne się wici rozeszły między ludem roboczym i widać było zaciętość niezwykłą na chłopskich twarzach i war rewolucji, co myśli ogarniał pod płową czupryną.

Wobec tych wszystkich niezwykłych objawów stanęli bezsilnie miejscy hajducy, już i więzień nie stało pod ratuszem ani orczyka, na którym wieszano opornych. A kiedy wieczorami z piwnic ratuszowych dobywać się począł piekielny jęk więzionych dziesiątków, kiedy płacz rozpaczliwy wstrząsać począł murami »Dorotki«, »Anioła« i jak się tam jeszcze one kaźnie nazywały, stawał się lwowski rynek pełny grozy a na malutkich szybach trzyokiennych kamienic gonić się zdawały krwawe blaski i ponure widziadła.

Płomień buntu przeciwko nadmiernym cięża-

---

\*) Arch. m. fasc. 74.

rom, których wsie okoliczne miejskie powinny były na rzecz miasta, szerzył się co raz to groźniej, aż wreszcie jasną wyblysnął łuną.

Pierwsi włościanie z Zamarstynowa jawną podnieśli »rebelię« przeciwko panom ratusza lwowskiego, „czem do nie małej szkody przywiedli miasto“ a co gorsza ono »despekt odniosło nie mały« w osobach swoich reprezentantów, którym »ten gmin chłopski groził i miastu wszystkiemu. A co nie mniejsza — powiadają archiwalne akta lwowskie — to Zamarstynowanie i insze poddane z innych wsi miejskich, których do siebie zaciągnęli, tym przykładem swym psują i turbują, jako też i robót wszystkich z dobrą wolą już oddawać niechcą«.

Poszło więc o pańszczyznę, a przed nami leży jeden z tych nielicznych aktów reakcji chłopskiej przeciwko nadmiernemu uciskowi ze strony warstw wyższych społecznych. Wypadek ten ciekawszy jest od innych tego rodzaju, gdyż reakcja chłopów Zamarstynowskich wymierzona była nie przeciwko, jak zwykle, podstaroście w dobrach królewskich lub szlacheckich, ale przeciwko ciemężycielom ze strony stanu mieszczańskiego, którzy i sami nie zażywali pełni praw i wolności obywatelskich. Ciekawa jest ta rebelia Zamarstynowska jeszcze i z tego względu, że rzadki to wypadek w dawnej Polsce, aby miasto występowało w charakterze posiadacza dóbr ziemskich i że cały ten konflikt między mieszczaninem a chłopem zgoła inny przybiera kierunek, aniżeli takie same spory między chłopem a szlachcicem:

Dzisiaj Zamarstynów to najbrudniejszy w całym Lwowie zaułek, prawdziwe ghetto lwowskie i wrzód, co się ropi pod bokiem stolicy. To niby wieś z wójtem i municypalnością gminną — ale ta wieś zamieszкана jest przez wielkomiejski proletarijat — niby przedmieście Lwowa, ale oddzielone akcyzowemi kordonami, niby miasteczko osobne, żyjące życiem nie własnem ale takim, co się lęgnie w mrocznym cieniu występuku i nędzy lwowskiej.

Nie ma zbrodni we Lwowie, która by się echem aresztowań lub śledztwa nie obila o zaułki Zamarstynowa. W tamtą stronę biegnie zwykle trop i węch agentów policyjnych i prowadzi wprost do magazynów kradzionych rzeczy, do przytułków ludzi, co nocą tylko na świat wychodzić zwykli, samych wywołańców, notowanych złodzieji, kochanków kobiet upadłych... Na olbrzymim śmietniku po obu stronach Pełtwi, w cuchnących zaułkach, po zaduchem przepelnionych izbach gnieździ się największa nędza lwowska: przedwcześnie dojrzała a fizycznie skarłowaciała dziatwa, półnagie kobiety — megery, ciemne jakieś i chwiejne postacie, na których ciele głód, nędza i występki straszne swe popisały hieroglify.

W czasach jednak, o których mówimy, Zamarstynów pławił się jeszcze w sielskich blaskach, ponad błonia jego chodziły mgły białe, poranne, a nad, kurnymi chatami wznosił się wieniec dymów sinawych. I lud zamarstynowski inny był od dzisiejszego, ale inny także od ludu wsi okolicznych. W pierśiach jego drzemały jakieś dziwne, nieokreślone

wspomnienia dawnych wolnych czasów, a myśl biegła wysoko w zawrotne aspiracje społeczne. Coś się majaczyło temu ludowi, że on nie chłop niewolny, nie przypisaniec do gleby, ale on przedmieszczaniem jest, cieszącym się wolnością i starymi wilkierzami, których początku nikt nie znał, ale wiedział, że były i to wiedział, że lepiej ongi bywało na polach Zamarstynowskich.

I ludowi temu jeszcze jedna rzecz się po głowie roiała, on chciał z bronią w rękę stawać na basztach i murach miejskich, wespół z panami mieszczany bronić miasta i ojczyzny — ale nie robić pańszczyznę, nie orać na pańskich łąnach.

▷Dawniejsi panowie rajcy niezwalili mieszkańców Zamarstynowa chłopami — wołają oni w oburzeniu — nie kazali nam orać posesorskich łąnow... *ad contubernia artificum Civitatis Leopoliensis* (do lwowskich cechów rzemieślniczych) mieszkańcy Zamarstynowa są przyjęci i cechmistrzami bywają, wieże miejskie i armatę sumptem swoim ze skrzynki cechowej oprawują — nie są tedy kmieciami, chłopami, ale są przedmieszczany lwowskimi, *gaudentes plebiscitis* miasta Lwowa.

Ale... *quid tibi cum gladio!* — co ci tam po mieczu... nieszczęsny chłopie! Od słońca wschodu, do słońca zachodu trud krwawy jedynym tobie udziałem. Niewolnym ty jesteś parjasem, wkopanym w ziemię głęboko robakiem. Na twoich plecach gmachy się kolumnowe wyniosą, renesansowych kopuł społeczna budowa wykwitnie myślą potężną



statystów, blaskiem majestatu, purpurą królewiał i wielkich czynów fanfarą. Ale ty... chłopie...

Co ci tam po mieczu!... pańską ty rolę skrapiaj swym potem! Nie tobie ginąć w chwalebnej walce z wrogiem koronnym, nie tobie z armatą na murach stawać z mieszczany. Dla innych rycerskie zaszczyty, dla innych groby... »z których przechodzień na pierś bierze ziemi, choć grudkę jedną«. .

A gdy ci czasem wiatr gdzieś od wschodu szalone przyniesie westchnienia, gdy tobie zmora wieczorna skrzydła husarskie przypnie do ramion, albo muskiet wepchnie do ręki, to wnet ci, choćby ratuszne, przypomni więzienie kim jesteś i jaka twa dola.

Bo oto nad tymi utrapionymi chłopami — skarży się ich żałoba przed tron królewski wyniesiona — na ratuszu lwowskim prawie *absoluta potestas* była rozciągana. Dostyc by było miasto Lwów *civitas imperialis*, a nie *municipalis*, gdzie na ratusz wezwawszy więcej niż osób pięćdziesiąt, niewinnie do kaźni miejskich powrzucono, że wszystkie więzienia pozasiadać musieli.

Na ostatek za rozkazaniem prywatnem p. Wio-teski rajcy i te więzienia, w których złoczyńce na gardło osądzone zasiadają, musiał Stachera młodszy i z drugim na sobie odnieść. W której inkarceracji niedziel siedm w zawarciu takim byli, iż do nich ani kapłanów, ani przyjaciół, ani sług ich własnych puszczano. A żywności, albo elemożyny trochę, którą sąsiedzi ich, będąc miłosierdziem zdjęci, oddawali, po sznurach jednym spuszczano, od drugich sobie

w górę wciągali, a choć schody były, że do nich chodzić można, tedy pozamykać kazano. A gdy do wyłączenia uprosili szlachetnych pana Urbańskiego i Humieńskiego z kilką sąsiadów mieszczan i przedmieszczan lwowskich z taką odprawą ci posłańce byli odprawieni od pana Adama Śmieszka, burmistrza na on czas będącego, iżby mieli pognić w więzieniu, tedy póki trzy dni nie będą orali p. Pszonce, albo komu miasto każe, z więzienia ich nie wypuszczę!

Wypadki, które doprowadziły do tego rodzaju zaognienia stosunków między mieszczaninem a chłopem, były wynikiem tendencji zamienienia włości lokowanych na pustych obszarach, darowanych miastu przez Władysława Jagiełłę, na poddańczy i pańszczyźniane inwentarz miejski.

Może i trochę słuszności było w rozumowaniu panów ratuszowych, bo jeżeli szlachta już dawno zrobiła to samo z kmieciami swoimi, to dlaczego miasto, które niebawem miało być nobilitowane, miało być lepsze, a raczej w ówczesnym rozumieniu gorsze od szlachetnie urodzonych. Dlaczegoż nie miało korzystać z władzy swojej i potęgi wobec kolonistów Zamarstynowa, Hołoska, Biłohorszczy i innych włości miejskich.

Przeciwno takim zamiarom stanął jednak opór kolonistów, którzy się uważali za ludzi wolnych, obowiązanych wprowadzić do szarwarków na rzecz miasta, ale tylko miasta jako takiego, nigdy zaś prywatnych jego dzierżawców. Wobec zaś takiego antagonizmu brakło tylko iskry, aby spór buchnął

jasnym płomieniem, a potem przez długie lata dy-  
mił i mrzył przewlekłym procesem, długą strugą  
protestów, reprotestacji, lokalnych wizji itd. Iskłą-  
tą była nawiązana zrećcznie przez jednego z najbar-  
dziej wpływowych rajców lwowskich Dąbrowskiego,  
intryga, mająca na celu ułowienie paru złotych ry-  
bek w wodzie, co najmniej mętnej.

Kiedy Jan Zomersteyn, obywatel lwowski,  
z początkiem piętnastego stulecia otrzymał obszar  
gruntu miejskiego z prawem osadzania na nim osa-  
dników, miasto zastrzegło sobie nadal wyłączną  
jego własność, której wyrazem stał się jeden dzień  
szarwarku od kolonistów na wzniesienie i poprawę  
miejskich fortyfikacji. Równocześnie Zomersteyn  
jako posiadacz, puszczający grunt kolonistom za-  
strzegł sobie znowu jeden dzień robocizny.

Stosunek taki trwał aż do czasu, kiedy  
w dwieście lat później Zybuł Wurcel, posiadacz  
Zamarstynowa, zbankrutował i musiał go oddać  
w zastaw wierzycielom swoim, rodzinie Sieniawskich.  
Po jego śmierci trzy córki otrzymały Zamarstynów  
w spadku i miały się nim na równe części podzie-  
lić, oczywiście po poprzednim wykupieniu go z rąk  
Sieniawskich.

Z tej to okoliczności skorzystał Dąbrowski,  
aby nie wielkim kosztem przyjść w posiadanie Za-  
marstynowa. Widząc bowiem, że potomkowie Wur-  
clowscy nie byli w możności wypłacenia długu,  
kupił ich dwie części w przekonaniu, że spłaci po  
prostu Sieniawskich i stanie się właścicielem Za-  
marstynowa.

Ale sprytna intryga nie udała się. Z najstarszą córką Wurcla ożenił się mieszczanin lwowski Stanisław Szembek, człowiek rzutki i energiczny, warcholskiego usposobienia i począł dochodzić praw swojej żony procesem uporczywym i bezwzględny. Na nic się przydały zabiegi Dąbrowskiego, a gdy do tego sądowi ławniczemu lwowskiemu cisnął w twarz zarzutem »niecnotliwieście mnie osądzili« walka przeniosła się na ulice miasta, a toczoną była już nie przeciwko samemu Dąbrowskiemu, ale całemu urzędowi radzieckiemu. Stanisław Szembek wspólnie z Janem Alembekiem i całą opozycją mieszczańską skoczył do oczu panom z ratusza, odżyły wszystkie dawne swary i niechęci, a burza o rząd i ster w mieście rozhuczała na dobre.

Pan Dąbrowski jednak niechciał wypić nawarzonego przez się piwa a »gdy mu poczęło być duszno, namówił pany rajcy, aby to kupili na miasto, ukazując *utilitates* wielkie«. Miasto dało się skusić, odkupiło od Dąbrowskiego jego prawa, zapłaciło Sieniawskim dług i wzięło Zamarstynów na siebie — wypuszczając go równocześnie w dzierżawę niejakiemu panu Pszoncé, szlachcicowi.

Rozumowali więc teraz rajce, że chłopci zamarstynowscy obowiązani są do oddawania szarwarków miejskich, a równocześnie pańszczyzny na rzecz dzierżawcy.

Kiedyindziej żywiol włościański, ekonomicznie i społecznie słabszy, musiałyby uleż zapewne woli panów z ratusza, w tym jednak wypadku Stanisław Szembek, który równocześnie prowadził spór z mia-

stem o trzecią część Zamarstynowa, przypadła mu po żonie, począł chłopów podżegać do otwartego buntu przeciwko miastu... »perturbował i turbuje tych poddanych i jest autorem całej tej rebelji« — jak skarży się urząd radziecki.

Otwarty rokosz wybuchł w lecie r. 1604. Magistrat wezwał mieszkańców Zamarstynowa do oddania pańszczyzny nowemu dzierżawcy, a gdy ci odmówili, zawołał ich na ratusz i straży miejskiej, a cepakom kazał ich po prostu wrzucić do więzienia, w liczbie około 50 osób.

Gwałt ten, jak nie mniej dumne słowa notariusza miejskiego Uberowicza: »iż najlepiej z dzieśiątek tych chłopów dać wywieszać, tedy oni rychlej będą robili i orali komu miasto każe«, poruszyły do głębi całą okolicę Lwowa. Lament się stał i gwałt wielki, włościaństwo burzyć się poczęło i zgromadzać, składać się na proces, a niebawem delegaci jego pojechali do Krakowa do króla z żalobą na mieszczan lwowskich. Wkrótce potem, bo dnia 19 czerwca 1604 wyszła z kancelarji cytacja na sąd królewski, 12 października tegoż roku odbył się pierwszy termin, na którym wyznaczono komisję, złożoną ze Stanisława Pstrokońskiego, Andrzeja Łahodowskiego, Jerzego Madaleńskiego i Mikołaja Chodakowskiego, dla zbadania sprawy na miejscu i ewentualnie wydania wyroku.

Pierwsze posiedzenie sądu komisarskiego miało się odbyć na ratuszu lwowskim, ale nie doszło do skutku, gdyż chłopci oświadczyli, że na ratuszu,

gdzie ich tyle krzywd spotkało, sądzić się nie dą-  
dzą, a założywszy uroczysty protest, odeszli.

Nastąpił tedy drugi termin, tym razem już na  
miejscu w Zamarstynowie.

Ciekawy to i charakterystyczny obrazek z da-  
wnych wieków, który, podobnie jak liść zasuszony  
w książce, przetrwał lata całe i dziś groteskowymi  
konturami kształtów swoich uderza, jędrnością da-  
wnego życia, rozmachem i niedzisiejszą zamaszysto-  
ścią słów i czynów owych ludzi o sprzecznych dą-  
żeniach, błakających się po labiryncie dawnych  
kruczków prawnych, zawitych pozornie w myśleniu  
swojem i wykrętnych w środkach, a jednak w grun-  
cie rzeczy tak prostych, dusz tak nieskomplikowa-  
nych, jak granitowe bloki.

Na polach zamarstynowskich i chatach styczeń  
rozsiadł się w całej bieli śnieżnych okiści, brylan-  
tach sopli lodowych, panowała zima i przelatywały  
jękliwe wichry od dalekiej płaszczyzny pól żółkiew-  
skich i od brodzkich jarów. Ziemia leżała martwa  
i zmrożona, ani jej dech namiętny tłumów o jej  
owoce walczących nie ożywił, ani to dzikie przy-  
wiązanie chłopstwa, co zniosło ratuszne więzienie,  
podróż w daleką krainę królewskiego majestatu,  
poszturkiwania po kancelarjach królewskich, ostatni  
grosz adwokatom i prawnikom oddać gotowe, osta-  
tnią krwi kroplę poświęcić, byle ją, tę matkę ziemię,  
módz nazwać swoją, byle się jej owocami z innymi  
nie dzielić.

W dniu terminu sądowego Zamarstynów nie-  
zwykły przedstawiał widok. Razem z mrokami po-

ranka rozwiął się ten codzienny koloryt wiejskiej sadyby, taki leniwy, wlokący się furką drwa, przeciągłymi ruchami studziennych żórawi, ociężałym krokiem butów napełnionych wiechciami słomy. Ustała praca wszelka na to wielkie święto sprawiedliwości, mężczyźni, kobiety, dzieci wszystko wylęgło na ulicę, dziwnie podniecone i zacięte, jak człowiek, który ostatni grosz swój na kartę położył.

Tymczasem na drodze od Lwowa zamajaczyły żółte szuby panów mieszczan. Przyjechał zacny Jakób Wioteski i Andrzej Mądrowicz rajce, Wolff Szolc Wolffowicz, Wolf Bernth przysiężnicy i cała kupa konfidentów ratusza razem ze syndykiem Bartłomiejem Uberowiczem i nieodstępny woźnym, z dwoma obdartymi szlachcicami. Wszyscy chmurni, niepewnym okiem patrzący na hardą czerń, która dziś nie z pokłonem wyszła dla panów radziec, ale z urągliwym szyderstwem i każdej chwili gotowa się porwać do cepów i siekier.

Na widok znieawidzonych panów ratusza posypały się z tłumu obelgi i przekleństwa. Oni jednak chmurni, brodaci nie zwracali nawet uwagi na te objawy, ale wprost zajechali do zrujnowanego dworu zamarstynowskiego, który stał pustkami od samego początku procesu, i przedstawiał obraz zupełnej ruiny »jako okręt, o który się prawują... bez płotów, bez okien, ław i stołów... tak, że nawet żołnierze, którzy Lwów i przedmieszczany lwowski miłują, w tym pustym dworze nigdy nie stawają«.

Równocześnie strona druga, chłopci, zgromadzili się w liczbie do 300 głów przed domostwem Stani-

sława Stachyry, który był ich przywódcą w procesie i najbogatszym obywatelem zamarstynowskim. Znalazł się tam także i Stanisław Szembek, agitujący zawzięcie przeciwko rajcom i podlegający chłopstwo do otwartego buntu.

Kiedy tak obie strony, jak dwa wrogie sobie obozy patrzyły na siebie z podejrzliwością, rzucił ktoś wieść, że sąd jedzie. W jednej chwili cisza nastąpiła zupełna, a tak we dworze, jak i w chacie Stanisława Stachyry oddech zapało przywódcom z oczekiwania, gdzie też zgromadzenie sądowe stanie. Mógł bowiem sąd zjechać do dworu, a w takim razie fawor ten złym byłby prognostykiem dla włościństwa, tak samo, w razie, gdyby sąd stanął u Stachyry, mieszczanie nie mogliby bardzo liczyć na pomyślny wyrok dla siebie.

Sąd też w osobie komisarzy królewskich Andrzeja Łahodowskiego i Mikołaja Chodakowskiego w asystencji znowuż woźnego i świadków szlacheckich zwrócił swe kroki w stronę domostwa Stachyry. Na ten widok spochmurniały oblicza panów radziec i natychmiast wyszła z dworu korna deputacja z przedstawieniem »że *non in suo loco* (nie na właściwym miejscu) Ichmość odprawować chcą, bo minawszy dwór tej wsi, który jest *locus* właśnie *differentiarum*, do poddanego domu zjechali«, proszą tedy posłańce »abyście Waszmość raczyli zjechać do dworu, gdzie część nie mała panów radziec i panów przysiężników i panów mieszczan czekają i proszą o to Waszmościów«.



Komisarze dali deputacji odpowiedź wymijającą, a sama deputacja wychodząc z domostwa Stachyry w niemaleń się znalazła niebezpieczeństwie. Oto tłum zamarstynowski począł deputatów poszturkiwać, grozić im i miastu całemu, przyczem posypał się grad kamieni i nie mniej ciężkich słów obraźliwych.

Nie było już mowy o pokojowem załatwieniu sprawy. Mieszczanie wniesli natychmiast nową protestację »tak przeciwko tym swawolnym poddanym, jako i Szembekowi, który tego autorem jest« i oświadczyli, że dokumentów i aktów na poparcie praw swoich nie mogą pokazać »w domu poddanego swego *pro iura et dignitatem civitatis* (ze względu na prawa i godność miasta) i zabiegając *contemptui maiori*, który miasto odniosło nie mały w osobach posłańców pierwszych«.

Równocześnie wniesiono gołosłowny wywód prawny, dowodzący, iż się »żadna krzywda ani bezprawie nie dzieje tym poddanym i niesłusznie tę rebelję przeciw panom swym podnieśli, a mianowicie Zamarstynowianie, są albowiem *coloni et cmetrones* wsi własnej miejskiej, a nie przedmieścia, od mieszczanina lokowani. Zawsze ci kmiecie podlegali juryzdykcji miejskiej i szarwarki, jako im miasto rozkazywało robili, a co większa, że im wójta i starsze miasto podawało, którzy zawsze takowe *iuramenta* miastu oddawali, przysięgając posłuszeństwo, wierność i porządne oddawanie szarwarków, czego wszystkiego stali się *periuri* (wiarołomni)

i ci teraz, którzy te przysięgi oddawali, są największym powodem tej rebelji».

Na wywód ten odpowiedzieli chłopci zamarstynowscy długim pismem, wywodząc przedewszystkiem, że sąd pod żadnym warunkiem nie może się odprawiać w dworze, gdyż ten »jest przez p. Adama Śmieszka zapowietrzony, tak iż od tego czasu w świetlicy nie palono, bo i nie było czem, bo jako w powietrze morowe, stoły i ławy popalono i dzisiaj dopiero drewno po sąsiadach szukano, bo dwornik już i płoty w piekarni popalił, sam mieszkając. O którym zapowietrzeniu pan Wojciech Pedianus w powietrze burmistrz przy Lwowie będący, wiedząc, do dwora nie śmie iść i sam pan Śmieszek z miasta nie śmiał wyiść, wiedząc o takim niebezpieczeństwie, które tam po nim zostało».

O ile powyższy morowy argument miał na celu wywołanie przestachu u sędziów i odciągnięcie ich od prowadzenia sprawy we dworze, o tyle argument drugi stanowi gorzki wyrzut dla zarządu miasta i stawia tych chłopów biedaków wysoko na piedestale obywatelskim, gotowych do robót, do szarwarków, do wszystkiego, dla dobra miasta i jego fortyfikacji:

»Woleli panowie raycy, na on czas będący, iż *kmethones in Zamarstinów residentes*, kamienie, wapna, cegły, drzewa *ad munitionem civitatis* (dla obwarowania miasta) wozili. W basztach miejskich na on czas nie były takie ruiny, jakie teraz są, tak iż nie żeby armata, albo dla obrony ludzi stać na piętrach mogli, ale dawno zbudowane pogniły, drugie wypalo-

no, dachy obleciały, że się mury one, z wielkiem kosztem budowane wałą«.

Dobrze więc — powiadają chłopci nasi, — będziemy robili dla miasta szarwarki, staniemy w obronie jego, wszystkie ofiary poniesiemy na ołtarz lwowskiej Rzeczypospolitej, tylko niech nie żądają od nas, abyśmy do dwora pańszczyznę robili, niechże nie gardzą nami panowie mieszczany, bo i nasza prozapia, tak samo jako i ich pochodzi z czasów, »kiedy niemczyzna we Lwowie była gruba, zatem Polakom, albo Rusi nie właśnie słowa były do wymowy«. A przecież ten sam Stachyra, do którego domu rajcy brzydzą się przyjść ze swymi dokumentami i poczytują to sobie za obelgę dla swego stanu, toż człowiek uczciwy przecież, z zacnej familji i »rzadko który rok minie czasem, aż się im ledwo wyprasza, aby go łądwójtem nie kreowali«.

Ale nie dziw taka duma: »bo też panowie rajce w mieście nobilitacji nowej sobie dostawiają, za którą nobilitacją grunty miejskie w ziemstwo się obracać będą«. Dość więc już tego dobrego: »niewinnie ich panowie rajcy sadzali w więzieniu, gnoili, w nakłady nie potrzebne wprawili — dosyć biedy mają, co nigdy żołnierz z domów ich nie wynidzie, którego żywić muszą, a obrony od pp. radziec nie mają, którą im powinni. Nie prosili ich o opiekę, bo jako żywo żaden dzierżawca, takiego tyraństwa nad nimi nie czynił jako właśnie mieszczanie«.

Wyrok ostateczny zapadł dopiero w r. 1605 i w formie dekretu asesorskiego Wyrok, jak wo-

góle sentencje dawne, nie jasny, sprzeczny ze sobą, nikogo nie zadowolniający — źródło nowego pie-niactwa i obustronnych apelacji: »Powinni Zamarstynowianie tak szarwarki w mieście jako i roboci-zny folwarczne odprawować, ale, żeby kiedy szar-warki miejskie robić będą, robót folwarcznych nie czynili, folwarczne zasię roboty za szarwarki były im policzone«.

Od wyroku tego poszła naturalnie apelacja, a tymczasem Stanisław Szembek wygrał ostatecznie trzecią swoją część Zamarstynowa, która mu przy-padła po żonie. Przy wydzielaniu tej trzeciej części przyszło znowu do awantury, a tym razem już i szyby samego ratusza zadźwięczały od chłopskich okrzyków. Kiedy bowiem mieszkańcy Zamarstyno-wa spędzili z pola miejską komisję, wysłaną do przeprowadzenia pomiaru i wezwani zostali na ra-tusz, przybyli tam w ogromnej liczbie pod wodzą Stachyry, a rynek cały zagrział ich okrzykiem groźnym »do gardł naszych nie dopuścimy, bo by się to musiało krwią oblać!«

Poszła więc znowu protestacja do grodu, a w ślad za nią ponowne zrewoltowanie całego Za-marstynowa.

Kiedy bowiem komisja wyszła poraz drugi do pomiaru gruntów, ...»nadbiegli Zamarstynowianie, niektórzy mając siekiery za pasem i poczęli z wiel-ką furją wołać: nie będziecie mierzać, nie kazał wam tego król Jegomość, jedno Zamarstynów dzie-lić!« Potargano sznury, komisja ustąpiła z pola, ni-czego nie zdziaławszy.

Na tem urywa się wątek opowiadania na lat kilka po to, aby znowu wypłynąć z aktów w formie tragicznego już epilogu

W chwili, gdy spór między Zamarstynowem a Lwowem rozgorzał prawdziwą łuną na całą okolicę, gdy za przykładem zamarstynowskich chłopów wszystkie wsi okoliczne zapragnęły zrzucić ze siebie jarzmo mieszczańskie, nikt nie przypuszczał, że za plecyma ich stoi wróg trzeci, największy, który obie strony walczące przygniecie ciężarem potęgi swojej i klasowej wyłączności. Wtenczas kiedy chłopstwo z mieszczaństwem bój srogi zawodziło o ochłapy wolności, które im jeszcze z dawnych lepszych czasów pozostały, tysiące już włości jeźdźców pod ciężkim kańczugiem podstarościch szlacheckich i ekonomów, a pańszczyźniana niewola szła jak lawina w najdalsze nawet zakątki, łamiąc po drodze wszystko, co jej stać mogło na przeszkodzie.

Tak i nad Zamarstynowem zawisła ciężka ręka posesorów szlacheckich, a kiedy się wreszcie chłopci tamtejsi ocknęli, kiedy i na ratuszu lwowskim przejrano wreszcie i wspólnie wystąpiono do walki przeciwko wspólnemu wrogowi t. j. szlachcie już było zapóźno :

W roku 1608 wdowa po Stanisławie Szembeku ową nieszczęsną trzecią część Zamarstynowa sprzedała szlachetnie urodzonemu Janowi Zaleskiemu za 2000 złp., a w rok już później widzimy tego samego Stanisława Stachyrę z tymi samymi rajcami lwo-

skimi, jak wspólnie zanoszą przeciwko nowemu właścicielowi uroczysty protest do grodu:

»Iż on (Zaleski) w piątek przeszły, przyjechawszy do Zamarstynowa z hajdukami na one poddane nastał, gdzie i krzywdy, zdzierstwa wielkie czyniąc gwałtem wielkim przymusił ich do tego, iż ponievoli do dworu Zamarstynowskiego iść musieli. Gdzie pan Zaleski słowy surowemi rozkazał im, aby zaniechawszy robót z dawna powinnych, zwyczajnych, uprzywilejowanych dekretami Króla Jegomości obwarowanych, onemu we dworze roboty niezwykle to jest pańszczyznę odprawowali. I gdy się mu ci poddani tego wzbraniłi, wymawiając się iż tego nad powinność czynić nie mogą, gdyż według dekretu Króla Jegomości possesorom *terciae sortis* tylko czynsz oddawać, a roboty wszelakie miastu odprawować są powinni, tedy pan Zaleski oburzony będąc, z gniewem i furją wielką, mianowicie Zamarstynowców gwałtownie wzięść i do piwnic wrzucić kazał, w którym więzieniu cały dzień ich trzymał i puścić nie chciał. — Toż nazajutrz to jest w sobotę na Wolicy i Porzeczcu uczynił, nasławszy na nie hajduki, którzy po groszy sześciu z każdego domu wybierali i jeszcze sobie piwo kupować rozkazowali i tak za gwałtem wielkim i karaniem, srogiem grożeniem do tego ich przymusił, iż na pańszczyznę do młócenia ponievoli iść musieli, albowiem tak się na nie groził, jeśliby który na robotę do dworu nie poszedł, tedy go z domu hajdukami wzięść i we trzy kije bić każe. Tamże zaraz uczciwy Paweł Tarasowicz

poddany własny miejski świadczył się na Pana Zaleskiego, iż on wzięwszy nań okazją i do dworu nie przyszedł, w niedzielę przeszła, gdy z cerkwie rano szedł, spotkawszy go na dobrowolnej drodze człowieka spokojnego statecznego i w leciech podeszłego, hajdukom porwać i rozciągnawszy na drodze we trzy kije bić kazał, a gdy już hajducy bijąc, z mordowali się, sam stanawszy w głowach kijem go tak haniebnie bił, iż go za umarłego ledwie z ziemi podnieśli. Który biciem nie kontentując się, do dworu wziąć go do więzienia swego prywatnego wsadzić kazał.

Protest już nic nie pomógł, rebelii nie było już na Zamarstynowie, a na polach jego poczęło już chodzić czarne widmo niewoli, gwałtów i zdzierstwa...





## POPŁOCH TATARSKI.

---

Wigilijna noc roku 1653 \*) nie zapowiadała się wesoło dla Lwowa i okolicy. Nikt jakoś nie myślał o stosach słomy, którą magistrat, według starych tradycji, palił corocznie w noc Bożego narodzenia na rynku, nie w głowie były mieszczaństwu ówczesnemu pastorałki, ani Herodowe jasełka... Oto bowiem nagle z podmuchami zimowych wichrów i śnieżnych tumanów rozeszła się straszliwa, chociaż tak zwykła w owych czasach, trwoga tatarska. Powiadano sobie, że Tatarzy są już w pobliżu i jeno patrzeć chwili, kiedy nad całą lwowską kotłinią rozpętają się wszystkie piekła mordów i pożogi. Trwoga szła gdzieś od Buska; nikt jej źródła nie znał, nikt o szczegóły nie pytał, wypatrując jeno rychłoli straszne dymy zakłębiać się na krańcach widnokręga i zagrzmi dziki okrzyk tatarskich gardzieli. W rozkołysanej trwogą fantazji krzyki owe straszne już nawet majaczyły ognistymi języki pożogi, słyszano je tam, gdzie ich naprawdę jeszcze

---

\*) Archiwum miejskie fasc. 61, 111. por. także krótką wzmiankę w Zubrzyckiego Kronice str. 333.



słyszeć nie było, a w sobotę, na trzy dni przed wilją, panika ogarnęła bez żadnej przyczyny tłumy przedmiejskie i stał się. »hałas i tumult strony Tatarów na przedmieściu«.

W sam ten prawie hałas i tumult zajęchało do gospody pani Anny Roliny, tuż obok murów, okalających kościół Bernardynów, trzech nieznanomych gości. Jeden z nich, z wystrzelonem okiem i chmurną postawą nazwał się Maciejem Jeżowskim, dwaj inni Jan Jeziński i Antoni Stasiewicz wyglądali na jego pacholków, wszystkich zaś miny i obejście dowodziły aż nadto, że to błędni jacyś, samopas poza chorągwią swoją chodzący żołnierze, słowem swawolna kupa, jakich mnóstwo włóczyło się wówczas po kraju, siejąc rabunek i zniszczenie na równi prawie z nieprzyjacielem. Za chwilę przypytał się do nich czwarty, w czerwonym żupanie, »szram przez gębę mający« niejaki Popławski, a z pogwarki ich dowiedziała się pani Rolina, że cała ta czwórka to »familja« Jana Marcinkiewicza, towarzysza chorągwi wojewody sandomierskiego i że nie mogąc dla wielkiej drożyzny iść razem z panem swoim do obozu, umyśliła pojechać do Gródka i tam najgorsze czasy przeczekać.

Tymczasem na przedmieściu tumult się uspokoił, chociaż obawa przed Tatarami wstrząsała jeszcze tłumy, myślące o ratunku i ucieczce. Maciej Jeżowski i towarzysze widzieli przez okienko gospodniej alkowy, jak gromady całe wraz z dobytkiem uchodziły do miasta przez bramę halicką, patrzyli w milczeniu na zdwojone wobec niebezpieczeństwa

warty mieszczkańskie na murach, na tę trwogę, która wisiała w powietrzu, widoczna prawie, choć nieuchwytna, a tem straszniejsza, że nieokreślona jakaś i taka bliska.

Maciej Jeżowski patrzył i milczał. Milczał także Popławski i Jeziernski i Stasiewicz, a ich głowy zwolna chylić się zaczęły ku sobie z cichem szemraniem słów tajemniczych: Gospoda pani Anny Roliny stała się miejscem jakiegoś knowania i narady...

Niedziela minęła spokojnie, a jakoś z rana w poniedziałek p. Stanisław Krzczonowski, rajca miejski stojąc na warcie przy bramie krakowskiej zauważył trzech ludzi podejrzanych, którzy »przypatrywali się pilnie zwodowi i innym rzeczom przy bramie«. »Czego ja postrzegłszy — powiada dalej p. Krzczonowski — spytałem *ex officio meo*, na co by to czynili, ale oni, że im to wolno jakoby miało być, odpowiedzieli, dokładając, że tego nieraz było, a nigdy o to nie pytano. O co gdy odemnie naganę odnieśli, od bramy odeszli«.

Był to jednooki Maciej Jeżowski, w czerwonym żupanie Popławski i towarzysze. Nie chcąc widocznie ściągać na siebie jeszcze większego gniewu pana Krzczonowskiego, schronili się do pobliskiej karczmy, a tam usadowiwszy się jakoś we czwórce na trzech koniach, ruszyli gościńcem żółkiewskim w stronę Hołoska.

Nad Hołoskiem wstał ranek chmurny i ponury. Nikt nie wiedział, czy wieczór go żywym zastanie; trwoga obsiadła strzechy i serca włosczańskie, a w jej drganiach konwulsyjnych mieniły się już obrazy

szumem pożaru i strasznymi etapami jassyru, tego *fatum* przeklętego, na które rady nie znała Rzeczpospolita przez tyle wieków, ni łaski niebieskiej a Ale żyć trzeba było w tem piekle, pracować nawet, z gorzką pewnością, że to dla wroga dobytek znoyny, dla tatarskich bachmatów ozime zasiewy.

Więc i ranka owego zaczęło się na Hołosku życie ciężkie, bez jutra i nadziei: Tymko Łapków, młynarz, rozpoczął pracę, jak codziennie, ale niebawem pozasuwał młyn i poszedł.. »wyglądać niebezpieczeństwa od Tatarów«, Fedko Osczuczek wyjechał do lasu po drwa, aby »mieć jaki grosz na pożywienie dzieci i siebie w mieście, gdzie zamyślał przebyć przed tymi wrogami«, Hryńko Szczuczek i Walenty Kulik już nawet wysłali do miasta żony i »dzieci tamże pozanosili« ..

Tak oni wszyscy przygotowali się na nieszczęście, bierni i bezradni, jak Andrzej Głowa naprzykład podwójci, który siedział beczynnym w chałupie »z bojaźnią dla takowych trwóg« lub Stanisław Borsuk dla którego jedyną nadzieją było » pewne miejsce, gdzieby go Tatarzy nie byli żadnym sposobem naleźli« Jeden tylko Impan Handlowski, posesor Hołoska, gęstą miał minę, choć... konie w stajni już posiadłane. Wierzył w niebezpieczeństwo, ale kazał pastuchowi wypędzić bydło folwarczne na zmarłe zagony, mimo, że chłopska chudoba już od kilku dni była zapędzona w bezpieczne miejsce.. pod mury miasta nie zdobytego.

W takiej to chwili, przyszła Maciejowi Jeżowskiemu i towarzyszącej, szatańska myśl zainscenizo-

wać we czwórkę rzekomy napad tatarski, wywołać popłoch, a w ogólnem przerażeniu rabować jak Tatar, a potem uciekać tak samo jak Tatar. I nie był pomysł taki zbrodniczy unikatem w czasach owych strasznych, lecz unikatem raczej była straszna kara, która w tym wypadku wystąpiła z całym okrucieństwem dawnych praw.

Jęsto straszny przyczynek do charakterystyki owych czasów i tej niepewności jutra, w której żyły całe gromady ludzkie, że czterech zwykłych opryszków potrafiło rozkołysać strach i panikę do niesłychanych rozmiarów. Wystarczył wrzask czterech gardzieli i kwartet »Hała!«, aby na całym wielkim obszarze rozpasaly się wszystkie żywioły trwogi, tak ogromnej i przerażającej, że akta procesu w tej sprawie dziś jeszcze uderzają niezwykłą mocą wyrażań, w których jak z jednej strony drga nuta przerażenia do szału niemal dochodzącego, tak znowu ze strony drugiej chęć zemsty, która by wypełniła, a choćcy i przeszła nawet miarę sprawiedliwości.

Mielnik Łapków patrząc w stronę Lwowa, dojrzał jak czteru jeźdźców dopadło dwu rzemieślników, Wojciechowskiego i Strzempskiego, jadących samotór do miasta, jak zaczęli jednego z nich wiązać w łyki, odzierać ze szat, jak drugi chyżo rzucił się do ucieczki, jak wreszcie czteru owych drabów z dzikim wrzaskiem puściło się ku wsi. Rozumiał więc Łapków, że chwila mordy i pożogi nadeszła, a z piersi jego dobył się krzyk trwogi:

— Jezus Marja — Tatarzy!

Na ten okrzyk Hołosko całe oszalało. Kto żył i mógł — stary czy młody, białogłowa czy dziecko, wszystko rzuciło się do tłumnej i bezładnej ucieczki. Całe gromady biegły na oślep przed siebie, szalejąc ze strachu i rozpaczy. Rozbity na części tłum wpa- dał to w błota zamarstynowskie, to w sprzecznych kierunkach ucieczki napierał na siebie, goniąc osta- tkiem sił, byle czempędzej ująć z miejsca, na któ- rem piekło rozgorzało. Straszne rzeczy tam się dzia- ły, w owym tumultie — straszne w opowiadaniu naocznych świadków, a jeszcze straszniejsze te za- pewne, co się bez świadków obeszły wśród oparze- lisk i nigdy niezamarzających bagiennych toni.

A jak kamień rzucony z góry, po chwili lawi- ną się staje i w tytaniczne rozmiary urasta, na za- gładę wszystkiemu, co mu drogę zagrodzi, tak ro- sła trwoga przez czterech opryszków wzniecona, co- raz dalej i dalej. Już i z Zamarstynowa ludzie bie- gli na błota i moczary, na krakowskiem przedmie- ściu dzień sądny zapanował, konwulsje ogarniały tłumy, pod murami miejskimi. Zamykano na gwałt bramy miasta, na murach i basztach stawały cechy i zdyszani rzemieślnicy, zajeżyły się bastjony od ru- sznic i muszkietów, a u jednej otwartej dla ratunku okolicy, furty jezuickiej (za dzisiejszym kościołem Jezuitów) działy się sceny przejmujące zgrozą. Na wąski most, rzucony przez Pełtew cisnęło się wszyst- ko w dzikim popłochu, wyciągając ręce ku zbaw- czym murom i dumnym wieżycom, poza którymi spokój był i bezpieczeństwo, jak na łonie matki — tej starej lwowskiej Rzeczypospolitej. Most nie

mieścił uciekających, kto silniejszy pięścią zdobywał pierwszeństwo, jęk dzieci i niewiast nikogo już wtedy nie czulił — co mu tam, że jedno dziecko i drugie spadło w mętne nurty Pełtwi, że je fale zimną nakryły mogiłą... co mu tam...

Tymczasem na Hołosku, cisza już była i spokój, bo ostatecznie czteru drabów nie mogło zbyt długo trzymać w szachu całej ludności. Napastnicy wpadli do wsi, gdzie zmyśliwszy »mowę tatarską i udając się za Tatarzynów wielkie wiolencje i gwałty poczynili, a po tatarsku hała! hała! wołając, wielki strach na ludziach zbudziwszy, dla którego strachu i tumultu, wielkie szkody między ludźmi uciekającymi poczynili, bydło zabierali, do komór się dobywali« itd. Nawinał się im pod rękę i Fedko Oszczuczek, wracający z lasu z furką drzewa, który później, słuchany jako świadek, takim przygodę swoją skreślił obrazkiem: Na widok napastników powiada — »ja zaraz w nogi od woza i wołów, a w tem jeden do wołów, drugi na mnie nacierając, strzelił prosto ku mnie, ale kula mimo pachę moją poszła, a jam głosem wielkim gwałtu wołał, bom rozumiał, że mnie już zabił«.

Ale w tej chwili nadbiegła odsiecz, a mianowicie p. Handlowski z kilku chłopami, zbrojnymi w kosa i rohatyny, wszyscy odważni i rozwściekani, bo już im się jasną stała zbrodnicza machinacja. Opryszki czempredzej puścili się do ucieczki i umknęli rzeczywiście, z wyjątkiem tylko jednego Jezowskiego, który ugrzązł w błotach koło Rzęsny,

i omal nie uległ, sądem doraźnym, pod ciosami rozjuszonego chłopstwa.

Ostatecznie sprowadzono go na ratusz lwowski, w asystencji całego wzburzonego pospólstwa, które na swoich barkach niosło trupy potopionych dzieci i z płaczem wielkim domagało się przez usta instygatora miejskiego prawa i sprawiedliwości.

Jeżowski nie wypierał się: »Puściliśmy się stąd do Gródka — powiada — i zstąpiliśmy z drogi do Hołoska, za namową niejakiego Popławskiego, tym umysłem, abyśmy tam co zarwali i zarwaliśmy już byli parę wołów, a Popławski jeżdżąc na koniu po wsi i po polu wołał po tatarsku »Hałła! Hałła! ufając koniu swemu dobremu«...

W tej jednakowoż chwili sąd ławniczy przerwać musiał swoją czynność, gdyż okazało się, że Jeżowski jest szlachcicem, a jako taki podlegał w myśl statutu toruńskiego, sądowi złożonemu częściowo i ze szlachty. Zaproszono więc dnia następnego na sąd podstarościego lwowskiego Macieja Dąbrowskiego i wspólnie z nim przeprowadzono badanie oskarżonego i świadków. poczem zapadła uchwała, aby Jeżowskiego, przed wykonaniem wyroku śmierci, który nie ulegał wątpliwości, wziąć jeszcze na... tortury.

Czyn Jeżowskiego miał znamiona wyjątkowej nawet w tych czasach dzikości, to prawda, ale to co potem nastąpiło, rzuca niemniej, mroczny cień na całą sprawę, tak jak go rzucają tysiączne jęki męczonych rafinowanymi sposobami wszędzie tam, gdzie się ongi prawo głosiło i sprawiedliwość.

Na jednej z ławniczych ksiąg starego Lwowa, przechowanych dziś w archiwum miejskim znajduje się ciekawe, choć tajemnicze *molto*: »Trumna co po schodach salnych chodziła«. Napis ten umieszczono w taki sposób, że każdy, kto tylko księgę otworzy musi go odczytać. Znaczenie tych tajemniczych wyrazów zawiera inna księga, według której sędziowie lwowscy, postąpili w pewnej sprawie lekkomyślnie, a może i ze złą wolą, skutkiem czego, człowiek niewinny śmierć poniósł i męczarnię. Odtąd, zawsze o północy widziano na schodach ratusza i w pustych jego salach, czarną trumnę, która chodziła jak wyrzut sumienia i powstała na całą współczesną generację sędziów lwowskich. Widzieli ją stróże nocni, pospólstwo o owej trumnie historje sobie straszne i dziwy opowiadało, aż wreszcie legenda stąd urosła i wieczne ostrzeżenie dla sędziów, z których każdy w chwili otwarcia księgi dla wpisania w niej wyroku, przypomnieć sobie musiał: »trumnę co po schodach salnych chodziła«.

Znał zapewne tę legendę i ponury orszak, który w dniu 23. grudnia 1653 popołudniu zmierzał od więzienia pod ratuszem do narożnej baszty, po kościele katedralnym, gdzie był straszny warsztat średniowiecznej sprawiedliwości... miejsce tortur. Na czele postępował wójt miejski Andrzej Wachłowicz, doktor filozofii, za nim asesorowie sądu, a wreszcie związany zbrodzień i kat, razem z pachołkami.



W baszcie, w obliczu wszystkich narzędzi tortury, odpowiadał Jeżowski najpierw dobrowolnie: »nikędy, ja i kompanja moja, co są w Gródku, dla czynienia tumultów, albo rozbojów, ani do miasteczek ani do wsi nie zabiegaliśmy, nigdzie nie robiliśmy. Nie namawialiśmy się na żaden rozbój wyjeżdżać, tylkośmy się namawiali, żeby jakiego wołu gdzie porwać, aleśmy się nie udawali za Tatarów...«

Nastąpiły potem męczarnie, z drobiazgową dokładnością w protokole opisane i łacińską określone terminologją. Z wyrafinowaniem szły one, a straszem stopniowaniem, od skrępowania postronkami, do trzykrotnego prężenia stawów i członków na specjalnej maszynie i przypiekania boków. A tuż przy ustach męczonego stał pisarz i skrzętnie notował każde słowo ofiary, jej krzyki, jęki i wołania o litość. »Zmiłujcie się nademną, nie kaźcie mnie psować!« woła nieszczęsny — „dla Boga zmiłujcie się — dobrodziejstwo moje — popuścić mi kaźcie — Jezus! dla Boga puście mnie, już nic nie powiem, nie mam co powiadać — wiem że już nie będę człowiekiem — ściąć mnie kaźcie odraz!...

I nic nie powiedział katom swoim, nieszczęsny, tylko w męce strasznej mającyl coś o Janowej Trembaczce na rogu w Gródku, jakies z ust jego spienionych szły słowa niezrozumiałe, bez ładu i związku, wspomniał »rządźnik pański kozacki polzocisty i wafłasowy czerwony i kołdrę pstrą turecką wiszniową i kilim i koc ledajaki..

..Pisarz skrzętnie notował, sąd pilnie słuchał martwy i zimny... a na dworze zapadała już noc .. ostatnia noc przed wigilią i błyskami miłosierdzia i dobroci... Gwiazdy betlejemskiej.

Na drugi dzień, skoro świt został Jeżowski wyprowadzony na krakowskie przedmieście, gdzie go najpierw ścięto, potem ciało jego na cztery posieczono części i wbito na pale w cztery strony świata.

Święta Bożego narodzenia minęły spokojnie.. Tatarów nie było.



IV.

U KRATEK LOMBARDU.



## MONS PIUS.

---

W trzydzieści lat przeszło po założeniu przez ks. Piotra Skargę pierwszego w Polsce banku pobożnego w Warszawie, pomyślał i Lwów o własnym lombardzie, gdzieby ludzie ubodzy w zastaw swoich kosztowności uzyskiwać mogli nie wielkie pożyczki\*). Rzec dzisiaj tak znana i prosta, miała w dawnych wiekach swoje teologiczne komplikacje, skutkiem czego interes finansowy chronić się musiał pod skrzydła kościelne i to co zrobi dziś pierwszy lepszy bank, urastało dawniej aż do rozmiarów *montis pietatis*, góry pobożności, wznoszonej na cmentarzach, w cieniu kościołów i pod duchownym zarządem.

Wszystko to działo się zresztą jedynie w tym celu, ażeby wyminąć przepis prawa kanonicznego, zabraniający pobierania jakichkolwiek procentów, które wobec dawniejszych stosunków gospodarczych były prawie zawsze lichwą. Ponieważ jednak potrzeba łatwego a taniego kredytu była bardziej piekącą, aniżeli nagroda po śmierci za dochowanie

---

\*) Arch. m. III. 9. Por. także ks. Szydelski: Konstanty Zieliński arcybiskup lw. Kraków 1910.

przepisów kanonicznych, przeto społeczeństwo z pod deszczu kościelnego wpadało pod rynną żydowskiej lichwy. Kościół tedy, nawarzywszy biedy ratować musiał wiernych, a ratował nie jakąś polityką ekonomiczną, ale jałmużną i miłosierdziem, które były rodzicielami banków pobożnych.

Jeżeli dziś lwowski mag strat tak długo, a bezskutecznie walczy o założenie miejskiego zakładu zastawniczego, to ma niewątpliwie dobro społeczności na oku, ale dobro to, niema nic wspólnego z pojęciem jałmużny. Dawne zaś *pii montes* były prawie wyłącznie fundacjami dobroczynnymi, od których fundatorowie spodziewali się generalnego odpuszczenia grzechów żywota i legitymacji wstępu do nieba. Stąd też jeżeli po długich a ciężkich bólach urodzi się kiedy we Lwowie miejski zakład zastawniczy, to nie będzie on w prostej linii potomkiem tego lombardu, który istniał przed dwustu pięćdziesięciu laty pod katedrą.

Zresztą był to lombard typowy, taki sam jaki ma dziś powstać w naszym mieście, rozwijał swą filantropijną działalność a nawet prześladowany był tą samą fatalnością, która i dzisiaj zamiarom śpiewa do snu kołysanką protokołów i referatów, prowadząc je ostatecznie prostą drogą na »filurę«, »ekspedyt« aż do registratury.

Dziwnym trafem, wśród ogólnego zniszczenia lwowskiej przeszłości dziejowej, ocalały kamienne biusty założycieli właśnie tej instytucji humanitarnej. Kto ciekaw, może je dziś jeszcze oglądać w katedrze w pierwszej kaplicy na lewo na nagrobkach.

Pawła i Marcina Kampianów, dwu, bez przesady powiedzieć można najtęższych obywateli, jakich po wszystkie czasy gmina lwowska wydała.

Myliłby się jednak srodze, toby sądził, że dr. Paweł Novicampianus, lub syn jego dr. Marcin, z polska już Kampianem się nazywający, byli filantropami z zawodu, rozczulającymi się nad niedolą i nędzą ludzką i że z tego źródła wypływa pierwszy miejski zakład zastawniczy. Obie te postacie dziś jeszcze z poza obłonek kamiennych patrzą na świat zanadto surowo, nieużycie i srogo, aby je posądzić można o jakiegokolwiek sentymenty. Dr. Paweł Kampian medyk i kupiec hurtowny ciężkim był dla swoich wierzycieli, sąsiadów i całego otoczenia, a syn jego Marcin to postać ponura, nieledwie że demonicznym urokiem owiana i grozą despotyzmu. Nieugięty i Nielitościwy dla swoich dłużników, ciężki dla chłopów podmiejskich wiosek, zimny i wyrachowany kupiec, {finansista o bardzo szerokim zakresie, wszechwładny i żadnego oporu nieznoszący pan lwowskiego ratusza, potrafił dr. Marcin Kampian stawić czoło nawet zarazie mrowej jako burmistrz z władzą dyktatora, gdy skutkiem moru rozpręęły się wszystkie węzły społeczne i religijne, potrafił na ratuszu rzucić w twarz obelgą całemu duchowieństwu, owej tak strasznej podówczas potędze i wytrzymać z żelaznym uporem burzę, którą całe miasto nad jego głową zasiało.

Czulość nie miała przystępu do tej żelaznej duszy, a zakład zastawniczy, czyli »Pius Mons«, jak go podówczas nazywano, powstał jedynie tylko

dzięki monumentalnemu zmysłowi, który mu kazał wieżę wynieść ratuszową, wspaniałe dla rodu swego założyć mauzoleum w katedrze lwowskiej i dzięki żywej bojaźni przed sądem ostatecznym, która ówczesne sumienia ludzkie bardziej trwożyła, aniżeli dzisiaj.

Dr Paweł Kampian zapisał na łożu śmiertelnym 1000 złp. na cele miejskiego zakładu zastawniczego, inni lwowscy obywatele drogą legatów powiększyli tę kwotę, dr. Marcin Kampian rzucił hojną dłońią 35 000 złp., olbrzymią na owe czasy sumę i ze zwykłą sobie, a żelazną energią, zabrał się do zrealizowania myśli.

W roku tedy 1627 stanął na lwowskim ratuszu z żądaniem, aby miasto wyznaczyło plac na wybudowanie porządnego budynku dla lombardu miejskiego. Komisja, złożona z rajców Erazma Syksta, Marcina Korzeniowskiego, Jana Alembeka, i Mikołaja Siedmiradzkiego, wespół z prałatami kapituły, gdyż podobnie jak dziś bez namiestnictwa, tak wówczas bez duchowieństwa nie mógł powstać żaden »Mons Pius«, wyznaczyła miejsce na cmentarzu katedralnym od południa, jak dziś szereg domów kapitułnych za katedrą, zabierając równocześnie na jego cele i cztery jatki rzeźnicze, znajdujące się w pobliżu. Nie obrażało to, nawiasem mówiąc, wcale ówczesnych pojęć ani higienicznych ani religijnych, że w bezpośrednim sąsiedztwie katedry znajdowały się jatki rzeźnicze, w których nie tylko, że sprzedawano mięso, ale po prostu bito w nich bydło.

Śmierć nie pozwoliła Kampianowi dokończyć dzieła, ale mimo braku osobnego budynku, sam zakład wszedł w życie i oddawać począł ludności ubogiej znakomite usługi.

Niebawem jednak zaciężyła nad nim prawdziwa fatalność. Szereg nieszczęść i katastrof miejscowych, ogólne klęski wojenne, ten cały potop kozacki, który zalał kraj potokami krwi i chmura go otoczył pożogi, wszystko to zepchnęło miejski lombard na miejsce ostatnie tak, że ostatecznie zapomniano o nim zupełnie.

Resztki kapitałów i zastawy dostały się w ręce spadkobierców Kampiana, a mianowicie Marcina Grozwajera, aż wreszcie burmistrz-poeta lwowski Bartłomiej Zimorowicz, ożeniwszy się z Rozalią Grozwajerówną, znalazł je i całą sprawę na nowo lwowskiemu społeczeństwu przypomniał.

Za jego to wpływem i staraniem został miejski zakład zastawniczy zorganizowany na nowo, otrzymał w r. 1668 od arcybiskupa lwowskiego Jana Tarnowskiego zatwierdzenie swoich statutów, dostając się wreszcie pod wyłączny prawie zarząd duchowieństwa katedralnego.

Tarnowski ulokował lombard przy katedrze, przeznaczając na pomieszczenie jego sklep murywany na cmentarzu, w pobliżu zakrystji katedralnej. Zarząd składał się z dwu prowizorów, którymi musieli być zawsze kanonicy katedralni, i z t. z. »prokuratora« lub »notariusza« (dziś byśmy go nazwali dyrektorem), którym był zwykle jeden z członków rodziny Kampianów.



Lombard udzielał pożyczek na wszystko, a więc na złoto, srebro, przedmioty wartościowe, suknie i odzież, z wyjątkiem jednakowoż futer, których ochrona przed molami przedstawiała najwięcej trudności. Termin wykupna zastawu oznaczony był na pół roku, a największa pożyczka, którą było można na zastaw otrzymać nie mogła przenosić kwoty 100 złp. Postanowienie to miało na celu utrzymać popularny i filantropijny charakter banku, do czego też zmierzała niesłychanie niska na owe czasy stopa procentowa. Pobierano bowiem wszystkiego 4<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, a pożyczki niżej kwoty 50 złp. były zupełnie bezprocentowe. Ludzie zamożni byli stanowczo wykluczeni od korzystania z dobrodziejstw zakładu, gdyż nie wolno było nikomu pożyczać pieniędzy, jak tylko ludziom ubogim, a to pod grozą... ekskomuniki! Cały dochód, po opędzeniu kosztów administracyjnych, rozdzielany miał być między biedne panny i wdowy. Taksatorami były cechy rzemieślnicze.

Zastawy na czas niewykupione były sprzedawane. W tym celu na drzwiach katedry przybijano odpowiednie ogłoszenie, a co najciekawsze, obok tego ogłoszenia stawiano sługę bankowego, który miał nad niem czuwać i w razie, jeżeli ktoś z publiczności okazał chęć kupna, prowadził go do prokuratora zakładu.

W czasie najazdu szwedzkiego w r. 1703 odbył bank długą a poniewolną podróż, tak, że przez pewien czas kapituła była w srogiej niepewności co do losów jego, a nawet niewiedziano po prostu,

gdzie się znajdują zastawy. Na wiadomość bowiem o zbliżaniu się do Lwowa wojsk Karola XII. uchwała kapituła wśród paniki i popłochu wywieźć bank w miejsce bezpieczne. Zabrał go tedy uchodzący z miasta arcybiskup Konstanty Zieliński, zostawiając zawiadowcy banku kanonikowi Długoszowi zwykłe tylko a sumaryczne pokwitowanie.

Przezorność okazała się wielce zbawienną, bo wszystkie zastawy niechybnie byłyby padły ofiarą żołnierzy szwedzkich. Ale po odejściu Szwedów, ani arcybiskup sam przez dłuższy czas nie wracał ani też o banku żadnej nie dawał wiadomości. Dopiero w r. 1706 a więc w trzy lata po zdobyciu Lwowa zapewnił Zieliński kapitułę listownie, że *Mons pius*, wywieziony do Prus, razem ze wszystkimi kosztownościami, pozostaje w bezpiecznym miejscu. Nie wielka to była pociecha dla tych, którzy swoje kosztowności w nim zastawili, tem bardziej że czasy nie były bardzo bezpieczne a nad głową samego arcybiskupa zawisa ciężka ręka Piotra Wielkiego za to, że ukoronował na króla Stanisława Leszczyńskiego. Grom jej nie dał też długo czekać na siebie: arcybiskup lwowski został przez Moskali uwięziony, a skutkiem tego bank uwiśł w powietrzu.

Na wiadomość o uwięzieniu arcybiskupa i wśród starań o jego uwolnienie, zawezwano też byłego zawiadowcę banku ks. Długosza, aby przedstawił kwit arcybiskupa na zabrane pieniądze i kosztowności, a zarazem przedłożył rachunek. Według tego rachunku, przeprowadzonego jeszcze w r. 1695. majątek banku wynosił 16.000 złp. tak w różnych za-

stawach, jakoteż w gotówce. Ciekawą jest okoliczność, że pierwszym i głównym klientem banku, przeznaczonego jak wiadomo dla ratowania ludzi ubogich, był przedewszystkiem... sam arcybiskup. Wśród zastawów bowiem znajdowały się arcybiskupie na 8.600 złp., inne zaś należały do szlachty, księży i bogatszych mieszczan. Dla tych, którym bank służyć miał w samej swojej zasadzie, to jest dla ubogich, jak z tego widać, miejsca w nim nie stało. Wśród zastawów były przeważnie kielichy, pierścienie, szable, pasy lite itp. W gotówce było wszystkiego 16 złp.

W chwili, gdy kapituła z ciężkiem sercem i bez nadziei ujrzenia zastawów z powrotem, kazała wciągnąć przynajmniej rachunek do aktów, arcybiskup przebywał w Żółkwi, jako więzień Piotra Wielkiego, a potem w Kijowie, skąd pisał, że *Mons pius* dotąd szczęśliwie w Prusach pozostaje. Myśl o nim towarzyszyła wygnańcowi aż do Moskwy. Jeszcze na łożu śmiertelnem pamiętał o banku i zastawach, a w testamencie swoim wydał dyspozycję, aby go do Lwowa z powrotem przywieziono.

Ale podobnie jak kapituła, tak też i sam arcybiskup nie wiedział dobrze, gdzie się znajduje nieszczęsna skrzynka z zastawami. Zabrał ją brat arcybiskupi Stanisław Zieliński podstoli płocki do Kujaw, potem przewieziono ją do Prus, a wreszcie do Warszawy, gdzie znalazła przytułek w klasztorze Misjonarzy, skąd dopiero w r. 1709 w tryumfie i ku wielkiej radości zastawników wróciła do Lwowa.



WCHÓD DO BANKU ORMIAŃSKIEGO.

(Rysował z natury Fr. Kowaliszyn)-

Odtąd już w cieniu zrujnowanej katedry spokojnie wegetował *Pius mons*, aż do roku 1761, kiedy o jego zarząd wybuchł ostry spór między arcybiskupem Sierakowskim a magistratem. Procesowano się z wielkim zapalem, a tymczasem przyszły nowe czasy i rządy austriackie, a tak w ogólnem rozprężeniu i w pieniacej powodzi utonął dawny lwowski instytut humanitarny.

Równocześnie jednak, w cieniu drugiej katedry lwowskiej, w malowniczym zaułku ormiańskim wyrastał, już jednak pod skrzydłami dwugłowego orła, drugi *Mons pius*, któremu dane było doczekać aż do dnia dzisiejszego. Za czasów polskich sprytni i obrotni Ormianie rozumieli dobrze doniosłość tańszego kredytu na ruchomości, to też przy każdym ormiańskim kościele istniał osobny zakład zastawniczy. Rząd austriacki, porządkując stosunki majątkowe kapituły ormiańskiej, połączył w r. 1792 poszczególne banczki w jeden *Mons pius*, któryby przyjmował zastawy na 8 procent, a dochodami swymi przyczyniał się do szczupłej dotacji duchowieństwa ormiańskiego.

W tej formie przetrwał „bank ormiański *pii montis*“ aż do dnia dzisiejszego, prawdziwy zabytek ośmnastego wieku, wtłoczony w zakątek kompleksu budynków, okalających katedrę ormiańską, zakonserwowany w swej starości doskonale i stylowo.

Spiesz doń przeważnie tylko proletarjat ze szczupłymi swymi kosztownościami i ciśnie się do kratek, za którymi znikają wprawdzie pamiątki rodzinne, ślubne pierścienie itd., ale za to wychodzi

kilka guldenów potrzebnych... czasem bardzo potrzebnych.

Wejdźmy na chwilę do wnętrza „pii montis“ ormiańskiego.

Zaraz na wstępie uderza przybyłego jakiś stary, średniowieczny więcej, charakter miejsca. Obok stara i cicha katedra ormiańska, a z za okien jej o szybach malutkich bije blask świec i szmerem rozlega się głos księdza, czytającego liturgię w starym, niezrozumiałym języku Ormian. Po drugiej zaś stronie szary i beładny kompleks budynków, niska starożytna brama z krzyżem, małe podwórko, kilkanaście schodów kamiennych, drzwi malutkie żelazne... ot i »pius mons«. A na około ulica Ormiańska i Skarbkowska z domami o trzech oknach, okrągłych bramach, gdzieniegdzie rzeźbionych, ciemnych. I gdyby nie nowożytny, nerwowy ruch na około, to zdawać by się mogło, że żyje się o sto lat wstecz, w siedzibie »przesławnej nacji ormiańskiej«, podpory „lwowskiej Rzeczypospolitej“.

Sam zakład, to wielka, ciemna izba, przedzielona kratkami drewnianymi na dwie połowy. U sufitu jeden wielki belek poprzeczny, przechodzący ni stąd ni z owąd w filar pionowy.

Przez kilka malutkich, okratowanych okien wpada nieco światła słonecznego, trochę poważniejszego szmeru liści i drzew z arcybiskupiego ogrodu, czasem doleci przeciągły śpiew z kościoła lub sława woń kadzidła.

A w sali bankowej kilka czarnych postaci, niektóre w sutannach czarnych, siedzą przy prostych.

biurkach lub zwolna przechadzają się po szczupłej przestrzeni. Księża także pełnią tu funkcje urzędników, a jeden z nich, szczupły o pociągłej twarzy i wybitnym typie ormiańskim, stoi przy pulcie i coś oblicza, kilku zajętych jest pisaniem, a u stołu o marmurowym blacie — człowiek cywilny.. kasjer. Z drugiej strony przed kratkami kilkanaście postaci. Na czołach ich bieda wyrzeźbiła swoje hieroglify, ich szaty, niezdecydowanej barwy, szare jak całe ich życie, ich postać korna i przestraszona... oto klientela ormiańskiego piis montis.

Sami robotnicy i wieśniacy.

Gdzie indziej w innych bankach istnieją podobno dyskretne wejścia, dla tych, którzy się wstydzą zastawiać. Tu wejść takich niema, bo tu tylko nędza, a nędza, to nie grzech i nie wstyd, to tylko nieszczęście.

To też wobec tej nędzy i czarne sutanny tam po drugiej stronie, zachowują się jakoś inaczej niż w innych urzędach. Nie słychać ostrych słów znieważenia, a jest natomiast pewien ton familiarny.

Do okienka, gdzie przyjmują zastawy, zbliżył się stary jakiś, siwy, przygarbiony człowiek w zielonkawym ze starości surducie i kładzie kilka przedmiotów, korale, srebrne pierścionki, łańcuszek ze staroświeckim kluczykiem itd. Ksiądz bierze przedmioty do rąk i pyta krótko:

- Wiele na to?
- Wiele można — najwięcej.
- No, a ileż wam potrzeba?

— E, mnie potrzeba dużo, to wszystko nie wystarczy.

Przedmioty idą na wagę, taksator wypowiada jakąś liczbę, staruszek siada na ławie i czeka, aż mu wydadzą siwą kartkę i kilka guldenów. — Tymczasem do okienka zbliża się kobieta zmizerozana, z próżnym koszem w rękach i kładzie dwa małe żółte pierścionki, obrączki ślubne.

Ksiądz nie przyjmuje zakładu, mówiąc: „to za mało!“ ale spojrzawszy na twarz kobiety, zawahał się chwilę, a wreszcie mówi: „niech pani zaczeka, dostanie pani dwa guldeny“. I kobieta odetchnawszy z ulgą, usiadła obok staruszka w zielonkowanym surducie.

Zbliża się potem jakiś wieśniak z koralami, dwie kobiety w czerwonych chustkach, a gromadka czekających zwiększa się coraz więcej. Kobiety zaczynają rozmawiać, a za chwilę wywiązuje się ogólna dyskusja o loterji liczbowej. Ostatecznie tak żywotna dyskusja zesłała za chwilę na zupełnie niewłaściwe tory osobiste, a to dzięki jakiemuś interlokutorowi, który dopuścił się nieprzyzwoitego żartu względem jednej z niewiast. Ta nazwała go za to „grubianinem“, on ją nawzajem „szmata“ i zaczynało być coraz głośniejsze, gdy w tem kasjer wywołał ową niewiaścę i wręczył jej kartkę zastawniczą i pieniądze, a nowy wypadek zwrócił umysły w inną zupełnie stronę. Oto wieśniak jakiś zgubił kartkę zastawniczą i opowiada o tem swoim nieszczęściu księdzu o ormiańskim typie. Schował dobrze niebieski karteluszek do skrzyni razem z pa-



pierami co ze sądu przysły i potem do niego już nie zaglądał. Aż dopiero baba zaczęła pić a lamentować, że bez koralu się nie obejdzie. Co z babą poradzić? trzeba wykupić, aż tu gdzieś karteluszek zaginął. Prosi więc księdza, aby mu koral, chociaż bez kartki wydano. Ksiądz tego zrobić nie może; niech wieśniak przyjdzie za dwa tygodnie to się poszuka. Chłop skrobie się w głowę, prosi jeszcze, bo mu daleko jechać a z babą będzie miał gorzką godzinę. Wtem do rozmowy mieszają się inne jakieś dwie baby i zwrócone do wieśniaka, wołają tonem wymówki: „Czemuście nie pilnowali kartki, to przecież tak samo jak pieniądze“, a trzecia zaraz dodaje: »Ta gdzie, gdzie! baba musi wszystko robić, a jeszcze i pisma pilnować — niech ręka boska broni jakie te chłopcy wszystkie do niczego«.

Ucichło na chwilę wszystko, a w tem drzwi otwierają się na nowo i wchodzi jakaś postać wysoka, chuda, o kanciastych rysach ze szpiczastym nosem, w szerokim kapeluszu.

- Stara panna. — Kładzie kolczyki złote.
- Wiele na to?
- Cztery korony?
- Za dużo, tylko trzy pięćdziesiąt.
- A cztery by nie można?
- Nie.

I stara panna milknie, ale w tem wzrok jej pada na pieska, który przybył z pewnym klientem i nagle odzywa się głośny, fałszywy dyszkant: »O jaki ładny, śliczny, chodź tu piesku, na, na,

jaki mądry!« A ksiądz na to: »może pani zechce w cichości podziwiać, bo tu krzyczeć nie wolno«.

— »Nie, bo ja miałam także takiego, . Miluś się nazywał i zginął w dziewiętnastym roku ze starości — mówi stara panna, już znacznie ciszej i siada. Rysy jej znieruchomiały, oczy patrzą w jeden punkt i дума, może o swoim Milusiu, a może o czym innym. O latach, gdy była piękną i młodą, gdy za nią oczy młodych biegły, a ona czekała, aż się pojawi królewicz z bajki, »pan bogaty ustrojony w złote szaty... jak do ślubu...« A tymczasem w około niej ludzie kochali się, żenili, biedowali, a jej nikt na wspólny trud życia nie chciał, nikt do jej okna nie zapukał, czarem słów słodkich nie upoił, »najukochańszą« nie nazwał. Lata mijały, serce zgorzkniało, a teraz jest sama, bo nawet poczciwy »Miluś« ją opuścił, a i tych kolczyków jej już nie potrzeba... bo i na co? żeby młodość przypominały i życie złamane?

— Biedna.

I tak życie codziennie płynie w banku ormiańskim — cichym, smętnym starego Lwowa zaułku.



V.

DZIEJOWY GRYMAS.



## JADWISZKA ZE LWOWA.

(Z dziejów serca królewskiego)

### I.

Od godziny wtórej popołudniu upalnego dnia 26. września 1634 gorączka oczekiwania poczęła we Lwowie dochodzić do punktu kulminacyjnego. Rozstawione po murach działa czekały tylko na hasło, by huknąć radosnym ogniem, u sznurów dzwonnicy uwiśli kościelni dziadkowie, a taka była cisza upalna w powietrzu, że aż ze szczytu ratuszowej wieży dochodził odgłos strojonych basetli i szalamajek.

Za chwil kilka miał stanąć w mieście król Władysław IV.

Na ulicach i w rynku było stosunkowo pusto. Cechy, mieszczanie, ormiańscy kupcy, kilka chorągwi Kozaków i kto tylko mógł, wyruszył już dawno za miasto, by w drodze powitać majestat królewski. Kurz z pod kopyt końskich osiadał powoli na trzyokiennych kamienicach, ale pełno go jeszcze było w powietrzu, bo od miesiąca ni kropla dżdżu nawet nie spadła w kotlinę lwowską\*). Żółkły od skwaru, niezwyčajnego przed św. Michałem, zielone wzgó-

---

\*) Por. Pamiętniki Albrychta Radziwiłła T. I. str. 222. por. także K. J. Hrck: Pobył Władysława IV. we Lwowie i moja rozprawkę pt. „Królówie polscy we Lwowie“.

rza dokoła, a także od jesiennej oschłości sady przedmiejskie jakoś brunatno patrzyły i czerwonych liści pełno już było wszędy po drzewach.

Jesienią i kurzem spowity, Lwów czekał..

A razem z całym miastem czekała w oknie kamienicy Jakubuszowskiej w rynku i Anna Łuszkowska na tryumf przyjazdu królewskiego i jej córka, »wstydliva« Jadwiszka.

W roku 1634 każde dziecko we Lwowie, na pytanie, gdzie jest kamienica Jakubuszowska, odpowiedziałyby, że koło kamienicy dra Dybowickiego z jednej, a koło domu murarza Piszczymuchy ze strony drugiej. Dziś po kilkuset latach sprzedaje w tej samej kamienicy wódkę p. Baczewski\*).

W roku 1634 powiedziałyby również każde dziecko we Lwowie, że kamienica Jakubuszowska pełna jest swarów i trajkotu niewieściego. Pierwiastek kobiecy przeważał tak w parterze, jak i na wszystkich jej piętrach, których współwłaścicielkami w różnych częściach i na mocy różnych tytułów własności były dwie wdowy i jedna panna. Pani Anna Łuszkowska i pani Anna Szwarcowa miały ponadto całą rezolucję dawnych mieszczek lwowskich, a panna Neta Szymonowiczówna sporą pogardę dla wszelkiego prawa i urzędu, który siedział na ratuszu.

W tej chwili patrzyły wszystkie przez okna, czekając przyjazdu królewskiego. Wśród nich siedziała przy matce »wstydliva« a przepiękna Jadwiszka Łuszkowska.

---

\*) Rynek I. 31.



VLADISLAUS IV *ym* Gratia REX Poloniae ac Hungariae  
*effigies* Chircensia S. R. M. et Austriae *consilio* Art. *Wilhelmi Hondii*  
*Ylma* *Leckma* *Herman* *Fili* *Pater* *Imago* *At* *Stat* *et* *Populo* *scilicet* *quod* *artibus* *corer*  
*Ab* *Legation* *Sancti* *esse* *Die* *Gratia* *Simone* *Artis* *Magi* *Imo*  
*Quo* *Mercator* *Turcarum* *Inter* *et* *illo* *Stano* *Urbis* *Pragae* *hunc* *peritus* *scilicet*  
*Quo* *Syria* *manum* *in* *lece* *tele* *tenent* *Urbem* *Porta* *et* *hinc* *gubern* *Et* *a* *P* *Bene*  
*Com* *grat* *S. R. M.* *et* *13* *D. D.* *Ord* *General* *sed* *Pole* *1600*

KRÓL WŁADYSŁAW IV.  
(Według miedziorytu Wilhelma Hondiusa).

Żadne, niestety, akta nie przechowały jej ryśopisu. wobec czego trudno powiedzieć, jakie oczy miała Jadwiszka, jakie włosy i lica jakie. To pewna jednak że o takich. jak ona, śpiewał Zimorowicz Lilidorach, Dorymundach, Majorannach, za takimi chodził pasterz Menalka w wieńcu, »w włoskie przygrywając skrzypice«, szalał młody Bertyn, a nawet po lasach lwowskich nimfy wzdychały, zazdroszcząc do niej podobnym dziewczkom urody. Bo, »cokolwiek miał krasy w sobie świat wesoly, cokolwiek zdobyć mogły śliczności żywioły«. wszystko to padło na sierotę Jadwiszkę, która oto teraz piękna jak Amarylis wodziła okiem po rynku na czysto wymiecionym, po łuku tryumfalnym, z uwistym na jego szczycie pękiem herbownych sztandarów, po konterfekcie króla Jegomości, widniejącym z okien ratusza.

Gdyby tak ktoś w tej chwili dreszczu i oczekiwania miał czas na wspomnienia, toby o Annie Łuszkowskiej i jej córce Jadwiszce rzewną, sierocą piosenkę mógł opowiedzieć.

Przypomniałby najpierw Jana Łuszkowskiego, a zarazem, jaki był z niego kupiec i obywatel lwowski — *civis et mercator leopoliensis*, jak z trudem i pracą ciężką, po jarmarkach, po wiślanych spławach, gdzieś daleko w Gdańsku dorabiał się fortuny i jak ta fortuna powoli poczyniała mu już otwierać podwoje do ratusza na krzesło radzieckie. Jan Łuszkowski wybrany został do kolegium czterdziestomeżów, skąd słała się już prosta droga do patrycjatu\*).

\*) Arch. m. „Liber electionum“ z r. 1627.

Ale przyszedł czas klęski i utrapienia. W ogromnym pożarze Jarosławia, na jarmarku, spłonęło sukno, na kredyt kupione w Gdańsku do spółki z mieszczańinem Brynnikiem\*). Zły spółnik naraził na proces kosztowny i utratę kredytu u kupców gdańskich, a gdy na domiar zatoneły na Wiśle galary Łuszkowskiego — znalazł się on nad brzegiem przepaści, z której uratował go na chwilę list zwłoki króla Zygmunta III. z r. 1627, nakazujący wierzycielom ciszę i milczenie przez rok cały, dopóki się nieszczęsny dłużnik z biedy nie wygramoli\*\*).

Syn oto nieboszczyka Króla Jegomości i do-brodzieja, sam najmiłościwszy zjeżdżał teraz do Lwowa. Z oddali już było widać chmurę pyłu, unoszącego się z pod kopyt końskich. Chmura zbliżała się coraz ku bramie halickiej, a w tej chwili z baszt, strzelnic, z przekopów wałowych wykwitły płomienne wstęgi, skędzierzawiły się obłoki dymu i huk stu dział i moździerzy pomieszał się z szumną, radosną mową dzwonów kościelnych, głośnym krzykiem rozradowanych ludzi...

Burmistrz Maciej Hayder rozpoczął witalną przemowę do króla.

Jan Łuszkowski już tego wszystkiego nie widział. Śmierć dała mu wieczne moratorium od twardej wierzycieli, a cały ból i troska życia spadła na wdowę z nieletniem dziewczęciem. Pamiętała

---

\*) Inducta Iud. civil. tom 48 p. 1090 i dalsz

\*\*\*) Acta cons. z r. 1627.



dobrze Anna Łuszkowska te straszne czasy, kiedy ani ludzie ani prawo nie miało litości nad jej żalobą, kiedy tuż w kilka dni po pogrzebie męża zjawili się w jej izdebce Stanisław Wilczek i Szymon Guga, ławnicy lwowscy i na zrozpaczonej wymogli zeznanie, jako Annie Szwarcowej, sąsiadce swojej i współwłaścicielce kamienicy Jakubuszowskiej, dłużną jest 1.100 złp. po mężu i 200 złp., które pożyczła na jego pogrzeb. A równocześnie, jak grad, sypnęły się pozwy Jędrzeja Jaryczowskiego, ks. Krzysztofa Janeckiego i wszystkich, którym cokolwiek winien pozostał nieboszczyk. Za pozwami przeszedł sekwestr i ostatni akt doli sierocy: familja magistracka, *vulgo* pacholki, siłą wyrzucili wdowę z jej części kamienicy, a gdy jeszcze do tego ks. Janecki, proboszcz z Rohatyna, doznał srogiej niepewności o los swojego tysiąca złp., musiała Anna Łuszkowska pójść, jako żywy fant, do ratuszowego więzienia za długi. Było to w r. 1631\*).

Nieletnią Jadwiszką zaopiekował się wówczas dr. Paweł Dominik Hepner.

Ten sam Hepner szedł teraz z orszakiem królewskim ulicą Halicką. Zdala świeciły złote gałki baldachimu, niesionego nad majestatem królewskim, przodem jechało dwunastu senatorów, co najprzedniejszych w Królestwie, huk armat zagłuszał okrzyki radości tłumu, który cisnął się i tłoczył, by choć z daleka zobaczyć osobę króla. W ciasnocie

---

\*) Wszystkie szczegóły tu i w dalszym ciągu podane, zaczerpnięte są z ksiąg radzieckich lwowskich (*Acta cons.*) z r. 1629 i dalej.

ulicznej zmieszało się wszystko i złotem tkane szaty Ormian i broń błyszcząca i długie cienie jesiennego mroku i herbowny snopek Wazów na konterfektach i czarne inskrypcje na łuku tryumfalnym. A gdy jeszcze do tego zagrział z wnętrza katedry uroczysty głos organów, gdy zachybotwały żółte światła na setkach świec woskowych, a run się uczynił od wchodzącego do świątyni orszaku królewskiego, to było we Lwowie tak, jak w dzień olbrzymiego wesela lub rezurekcji. Wszystkim, którzy szli dokoła i patrzyli na królewską postać męzną, zdało się, jakoby miasto lwowskie na stóp kilka się ponad ziemię uniosło i oblokiem otoczyło chwały, promieniami zwycięstw, a wiekopomnych czynów oręża, których glorię przynosił ze sobą król, pogromca carów Moskwy.

I gloria gorzała nad miastem, siedmiobarwną tęczą kojąc w niem smutki i bole...

Takiej chwili i Anna Łuszkowska snąc zapomniała o czasach swojego więzienia za długi. Choć właściwie nie tak to dawno opamiętał się wreszcie proboszcz rohatyński i wpadł na pomysł, że prędzej dojdzie do swego tysiąca, jeżeli dłużniczkę z kaźni ratuszowej wypuści. Nie mogło się to jednak odbyć inaczej, jak tylko z wielką paradą i ceremonją. Na ratuszu stanęło aż trzech kanoników: Jan Baranowski, Wojciech Pełczyński i Mateusz Kozłowski, wobec których Anna Łuszkowska uroczystą złożyła przysięgę, »iż ona ze Lwowa nikędy nie wyjdzie, pokąd złotych tysiąc, długu istotnego, swego własnego, księdzu Janeckiemu, wierzycielowi

swemu, na raty i czasy postanowione nie zapłaci i onemu się nie ziści“.

Jakoś się potem wypogodziło nad głową utrapionej dłużniczki, tak, że razem z Jadwiszką oglądać dziś mogła z własnego, chociaż mocno obdłużonego okna, tryumf przyjazdu królewskiego.

A właśnie na rynku wśród ciżby ludzkiej mąż poważny, sam kanclerz Królestwa perorował imieniem króla, szumne podziękowanie; orszak królewski, w okurzonych aż do szarości szatach, odcinał się żywo od barwnego i wystrojonego tłumu lwowskiego, a oczy wszystkich kierowały się w jego środek, kędy pod baldachimem stał sam król Władysław IV.

Mąż w sile wielu, niezwyklej urody i o „pięknym składzie ciała“, chociaż już nieco »cielisty«. Jeszcze zbyt duża tusza nie zabrała mu owych wdzięków, które „dawniej były jego ozdobą, ścigały na niego oczy wszystkich i ujmowały mu serca“. Pewne zmęczenie i melancholja nieokreślona, tęskna, rwąca się na błękitne loty, widniała ze wszystkich rysów królewskich, a smutek dusz wybranych oświeślał je rozlewnym blaskiem monarszej wrodzonej grandezzy. Była w niej aureola świeżych tryumfów nad Moskwą, pomieszana z wielkoduszną dobrocią majestatu, zniżającego się chętnie do poziomu otoczenia, był też i smutek ducha zawiedzionego w swoich pragnieniach i dalekich planach.

Jadwiszka Łuszkowczanka patrzyła, jak w tęczę. Za nic jej cały orszak królewski, za nic ta cała

mocno grzmiąca pompa. Z obłoków kurzu, z mrocznych cieniów jesiennego wieczoru, z rozgrzanej zapałem piersi całego miasta szła ku niej postać mocarza, zawrotna mara, zapierająca oddech zachwałą, prawie aż bluźnierczą myślą...

Czy wzrok Władysława IV. spotkał się w tej chwili z zorzą spojrzenia dziewczyny, o tem milczą akta radzieckie i wszelakie inne kroniki. Ale to pewna, że onej godziny Jadwiszka przeszła do historii.

Skromnej, biednej dziewczynie wielkie się losy pisały i pełniło przeznaczenie miłości szalonej, nienawiści powszechnej i zemsty losu okrutnej...

Siódma już była godzina wieczorna, gdy zdronżony król wraz ze swoimi ruszył ku kamienicy Korniaktowskiej\*), gdzie dla jego wygody trzy sąsiednie domy przebito i połączono razem, jako rezydencję królewską.

## II.

Czterotygniowy pobyt Władysława IV. we Lwowie, dał znowu historykom jego powód do kilku zgryźliwych uwag na temat pospolitowania się majestatu królewskiego z szarym tłumem poddanych. Sam nuncjusz papieski Visconti\*\*) biadał delikatnie nad tem, że »król nie przebierał w towarzystwie, poufalił się łatwo z ludźmi niższego stanu i chętnie zaglądał nawet do niechlujnych chat wie-

\*) Rynek I. 6, później kamienica Sobieskich.

\*\*) Relacje nuncjuszków apostolskich. Tom II. str. 187.

śniaków«. We Lwowie zaś postępowanie królewskie było tego rodzaju, że okazała się potrzeba sięgnąć aż do wzorów klasycznych i z żonglerską zręcznością obchodzić temat zbyt drażliwy :

»Lubiąc nadewszystko swobodne życie — pisał tenże sam Visconti do papieża — nie cierpiąc w niczem przymusu, ściągnął na siebie podejrzenie zbytecznego może zamiłowania tych przyjemności, które zmysłowemi zowią, a dla których niegdyś sam Jowisz zstępował z wysokości Olimpu na padół ziemski pod postaciami, mniej godnymi ojca bogów i ludzi«. I chociaż słuszność kazała pocziwemu nuncjuszowi porównać Władysława IV. »z owym wielkim Demetrjuszem, synem Antygona, który, o ile był zwolennikiem rozkoszy, o tyle umiał nad niemi panować, gdy był zajęty sprawami wojny lub pokoju« — to kto wie, czy na widok zabaw królewskich we Lwowie nie zjeżyłaby mu się nawet tonzura ze strachu i grozy.

Stała się bowiem rzecz zgoła nieoczekiwana. Król zapalał gwałtowną miłością ku Jadwiszce Łuszkowskiej, a że był już w tym wieku, kiedy kocha się po raz ostatni, więc miłość objęła gorącym płomieniem serce królewskie i miała zadecydować o całym przyszłym życiu jego.

Jakoż istotnie czerwoną wstęgą przesuwa się ten afekt ku córce mieszczańskiej po przez wszystkie plany matrymonjalne króla, ten sam afekt chmurzył mu horyzont pożycia małżeńskiego z Cecylją Renatą, ponury rzucał cień na wycieczki kró-

lewskie do odległego Merecza\*). I trwała namiętność aż do samej śmierci Władysława. Umarł podobno na rękach Jadwiszki, niosąc jej wspomnienie do grobu, a zarazem gorzką niechęć całej szlachty, odbitą w zjadliwych wierszach, dowcipach i w zabobnym strachu całego ówczesnego świata oficjalnego, który w miłości tej widział czar siły nieczystej, a w samej Jadwiszce wiedźmę niedobłą.

Jak się to złożyło, że Władysław IV., natura wysubtelniona dalekimi podróżami, obcowaniem w kole uczonych, złotoustych humanistów, że król ten tak daleko wyższy od swego otoczenia poziomem ducha i wykształceniem, ugrzązł w pięknych oczach pospolitej mieszczałki, trudno dziś na zimno wyrachować. Ale to pewna, że w ówczesnym Lwowie nie było trudno o czar miłosny i ziele serdeczne. Kwiat sadów wiśniowych, a urok polnego bławatka, macierzanki woń i barwinku grządki przedokienne, wszystko to krasę sypało na lwowskie dziewczęta, których »gładkości porównać nie może jutrzienka, chociaż z ust ogniste róże rzuca po niebie, chociaż na swą kosę co dzień wylewa kryształową rosę«.

Piękne one były Roksolanki różanolice. O nich po gajach pasterze śpiewali szumne sielanki, a spisywał je ratuszowy skryba wierszami składnymi. I pełne były drzewa zaklęć miłosnych, pełne pa-

---

\*) Prof. dr. Czermak w szczegółowej swej pracy p. t. „Na dworze Władysława IV.“ (Szkice historyczne, Kraków 1901) nie znalazł śladu Jadwigi Łuszkowskiej, mimo, że mówi na kilku miejscach o stosunku króla do kobiet.

sieki chichotu srebrnego, a każdy sad mieszczański, każdy wzgórek podlwowski roił się od boginek leśnych i nimf nadobnych, które z mitologicznych krain żywcem sprowadzili poeci dla wykazania, że »nie tak zorza z jasnej kosy rozpościera świetne włosy — nie tak wargi swe szkarłatne wystawia światu udatne — jako młoda Telegdona, pięknym ogniem rozpalona«...

Bo i o tem trzeba pamiętać, że każda Małgorzata, Agnieszka, czyli Neta lub Greta, jak się najchętniej a pieśczośliwie zwały podówczas panny zamożnych rodów mieszczańskich, przybierała w poetycznej fantazji »uciesznych Rozymundów« miano klasyczne, albo przynajmniej z włoskich sielanek zaczerpnięte. Chodziła więc Tymorynna razem z Licydynną, kochał się Andronik w Koronelli, a Dorymunda w Serapionie, wzdychał Leondary, a nie chciała go słuchać Amorella.

I był Lwów pełen zapachu kobiecego wówczas, gdy doń zawitał Władysław IV., rozkwitały w nim serca, lada kupczyk o swojej lubej śpiewał na nutę »śliczny aniele, w człowieczem ciele duchu przewybrany!« A gdy się trafiło, że posag Amorelli zbyt był wielki dla chudopachołka i za wysokie progi, to i westchnienie się znalazło stwierdzające, że »nietylko zbliśka twego ogniska płomień ludźmi władnie, ale z daleka palisz człowieka każdego szkaradnie«...

A każda taka lwowska Majoranna czy Lancellota wdzięczyła się niebieskim okiem do również rodzimych Serapionów i Amarantów, wzdychając do

nich niemniej czule, choć może bardziej skrycie na temat, że »wszystko fraszka, kiedy młodzienaszka nie ma dziewczka strokana«...

W atmosferze takiej zakochał się i Władysław IV., zwłaszcza, że to serce królewskie zawsze było dziwnie przestronne i na wdzięki niewieście czułe. A mógł się zakochać tem snadniej, że oto tutaj na bruku lwowskim jeszcze jeden wielki poryw duszy królewskiej rozpływał się w szarości codziennej polityki. Jechał pełen wojennych, pierś rozpierających zamiarów, tak się czempredziej zmierzyć pragnął z całą potęgą turecką, ale Rzeczpospolita uznała, że nie czas obecnie, ni pora. Więc zniechęconemu królowi nic innego nie pozostało, jak tylko łowy, no i te uciechy, dla których Jowisz zstępował niegdyś na ziemię.

Oddał się więc jednemu i drugiemu z zapalem, a nawet z pewną zawziętością, z jaką zwykle duch nerwowy rzuca się w wir uciech, szukając w nich zapomnienia. Dworzanin królewski Albrecht Radziwiłł, który w pamiętniku swoim dzień po dniu prawie opisał pobyt królewski we Lwowie, wspomina dyskretnie tylko o łowach, bardziej natomiast bezwzględny Jączyński\*) piętnuje bez ogródki nocne hulatyki, w których król brał udział razem z przyrodnim bratem swoim Aleksandrem, obecnym także podówczas we Lwowie i Janem Kazimierzem, dopóki ten nie zapadł na ospę. Że zaś zgorszenie było wielkie, świadczy jeden autor i drugi: Jączyński,

\*) Rafała Jączyńskiego: Collectanea. Rękopis bibl. Ossolińskich nr. 627.



gdy prawi o tych, którzy psuli latorośle Wazów (*corruptores iuventutis*), Radziwiłł znowu, gdy opowiada, jak udał się z perswazją do królewicza Aleksandra i jak go pobudził do skruchy. Jączyński idzie jeszcze dalej, bo rozpuście na nocnych biesiadach przypisuje chorobę królewicza Aleksandra, która zaraz po wyjeździe ze Lwowa skończyła się jego śmiercią.

W bakchiczny ten taniec zaplątała się również Jadwiszka Łuszkowska, która niebawem ze zwykłej, a bardzo pieniądze utrapionej mieszczańeczki, wyrosła w oficjalną faworytę, czy metresę królewską. Władysław zakochał się po uszy, a że nie traktował tego stosunku jako przelotnej miłości, dowodzi wielka nienawiść, jaką cały dwór królewski wnet żywić począł do Jadwigi, a zarazem pewne uszanowanie, z jakim się o niej odtąd wyrażają akta radzieckie lwowskie. Wspomniany już wyżej Jączyński, nie będąc widocznie dobrze poinformowanym, skoro mianuje ją »Dorotą, córką rzeźnika« — z całą pasją natomiast wyraża się o niej samej, określając ją raz jako *femina formosa sed vitiata*, kobietę piękną, której trzeba unikać, albo jeszcze dosadniej „*scortum*“, który to wyraz lepiej może, że nie będzie tu na polskie przetłumaczony. Radziwiłł przechodzi nad nią w milczeniu do porządku, ale z uczuciem, któremu w pamiętnikach swoich dopiero w parę lat później dał dosadny wyraz, mianując ją kobietą słynną z niewstydu i niesławy.

Na innem natomiast stanowisku stoją urzędowe akta radzieckie, ilekroć Jadwiga Łuszkowska znała-

zła się z niemi w pewnym kontakcie. Dla nich przedewszystkiem przestała ona być »wstydliwą« — *pudica* — który to przymiotnik należał się każdej pannie, stojącej w towarzystwie zastępcy prawnego przed urzędem, a poczyna się stawać *nobilis* — szlachetną — ba nawet szlachetnie urodzoną — *generosa*.

Sądząc z powyższych świadectw, musiał Władysław IV. istotnie czas swego czterotygodniowego we Lwowie pobytu przepędzić, jak pierwszy lepszy pasterz arkadyjski, jeden z tych Dorylasów czy Narcyzusów, którymi przepelnione są sielanki Zimorowicza. Zresztą sam Zimorowicz znał osobiście uroczą Jadwiszkę, był jej sąsiadem, w procesach jej matki występował niejednokrotnie jako rzecznik prawny, widział pewnie zaloty królewskie i cały romans, którym hucznie rozbrzmiewało miasto i on to niewątpliwie po latach, pisząc swoje sielanki, wspomniał o tem wszystkim, każąc śpiewać Panasowi pieśń o uroczej Marelli: »Kędy proszę, Marellu, co poranek chodzisz?« Są tam przeźrocze alluzje do niezwykłego tego romansu, dzięki któremu na głowie Marelli często widać było »kwiaty pańskie, narcyzy, hijacynty, lilje albańskie« — zamiast wasilka i mięty, któremi brzydzą się panięta:

„A w wirydarzach swoich każą tulipany  
Z koronami carskimi sadzić na przemiany“...

Zimorowicz wie także, że Marella jak najgorzej wyszła na tych faworach. Ale to już muzyka przyszłości, bo w tej chwili, owego października r. 1634, szła miłosnego upojenia był udziałem tak bardzo niedobrej pary, a dziw szedł poprzez wszyst-

kie gaje, sady i pasieki, szemrał na pół uschłym szelestem jesiennego listowia, że oto król, władca najpotężniejszy w niewoli żyje i więzach serdecznych. Powtarzały tę dziwną nowinę, jakby z przestraczem dryjady leśne, sprowadzone, jak już wyżej wspomniano, przez poetów z dalekiej mitologii, wyśpiewywał ją kochliwy pasterz Menalka na zgiętym kornecie, a wieść szła coraz dalej i dalej... „gdzie oświecone jutrenką trzy góry w ostrych pazurach trzyma żółtoskóry lew“...

I pełne były komnaty tajemniczych szeptów, pełne westchnień alkowy panięskie i wszędzie było pełno tak nieprawdopodobnej, że aż trwożnej mowy:

Król ukochał Jadwiszkę, której pani matka dopiero co wyszła z aresztu za długi..

Nuncjuszowi Viscontiemu mogło się istotnie wydawać, że wracają czasy, kiedy Jowisz zstępował na ziemię pod postaciami, mniej godnemi ojca bogów i ludzi.

Jedne tylko mury kamienicy Korniaktowskiej kryły zazdrośnie, całkiem już zresztą publiczną, tajemnicę serca królewskiego. I gdyby te ściany przyszej kamienicy Sobieskich nie były później tylekroć przerabiane, gdyby do nich nie przylgło tyle wspomnień o Janie Sobieskim i Marji Kazimierze, to kto wie, czy w tej kamienicy, którą zakupiło obecnie miasto Lwów, nie odezwałyby się jeszcze echa sielanki królewskiej, stłumione szepty i miłosne zakłęcia, kto wie, czyby się nie rozgrzał jeszcze tak dawno zamarty płomień namiętności, który igrał tutaj wśród tych komnat z zamurowanymi śladami

drzwi do sąsiednich obu kamienic, złączonych ku królewskiej rezydencji.

A tak ze wszystkich tych szmerów serdecznych, z owego szumnego grania namiętności pozostał tylko niemiły zgrzyt gęsiego pióra skrybów ratuszowych i prozaiczny dźwięk przeliczanych pieniędzy. W sielankę i pasterski nastrój romansu królewskiego, zgrzyty te, prawie równoczesne, padały niemiłym, przykrym dysonansem, który rozwiewał ułudę i pasterskiej fletni granie, różanolicą zorzę barwił chciwem pożądaniem złota.

Właśnie bowiem wtenczas, gdy król gorzał i szalał namiętnością, poczęło się nagle i w tym samym stosunku polepszać materialne położenie Anny Łuszkowskiej. Co chwila staje ona na ratuszu i płaci większe sumy swoim wierzycielom, porządkuje prawa własności do kamienicy Jakubuszowskiej. Notują pisarze skrzętnie jej zeznania finansowe w księgach radzieckich, a równocześnie na widok wypłacanej gotówki uśmiechają się zapewne pod wąsem i spoglądają jeden na drugiego..

Zanadto brutalnie i szczerze połączył się romans z brzękiem złota, ażeby mógł się ostać urok pasterskiej sielanki. Na szczęście jednak w r. 1634 nie było we Lwowie zbyt subtelnych i przerafinowanych umysłów, więc nikogo to nie dziwiło, że dwaj najpoważniejsi patrycjusze ówczesni, Paweł Boim i Maciej Hayder, towarzyszyli pani Łuszkowskiej do ratusza, gdy ta składała sumę 2000 złp. na rzecz Anny Szwarcowej, jako zapłatę długu ciążącego na kamienicy Jakubuszowskiej, a Bartłomiej

Zimorowicz interweniował przy sensacyjnym kontrakcie kupna i sprzedaży, na mocy którego szlachetna — *nobilis* — Jadwiga Łuszkowczanka kupiła za sumę 3000 złp., licząc po 30 groszy za każdy złoty, drugą część kamienicy Jakubuszowskiej od »wstydlivej« Agnieszki *vulgo* Nety Szymonowiczówniej. Sensacja była tem większa, że Jadwiszka wyliczyła całe 3000 złp. natychmiast i w gotówce. Opowiadano więc sobie o szczegółach kontraktu, o tem, jak panna zastrzegła sobie w tej kamienicy dożywotnie mieszkanie, złożone z izby, alkowy, kuchni i komórki, o tem, jak pan Mikołaj Adamkowicz, krawiec, ma pretensję do trzeciej części ściany granicznej... Słowem sielankowy charakter całej afery zmieniać się począł powoli na kupiecki, o ile potem jeszcze nie przybrał pewnego odcienia pieniaczkiego.

Władysław IV. zaś doszedł w płomiennym afekcie do tego, że postanowił zabrać Jadwiszkę ze sobą do Warszawy, a co większa, osadzić ją na zamku królewskim. Sama Jadwiszka oczywiście zgodziła się, a chodziło tylko o to, ażeby uspokoić macierzyńskie uczucia i wątpliwości pani Anny Łuszkowskiej. Jakoż znalazł się rychło plaster na rozbolełe serce w oryginalnej postaci... dyplomu królewskiego na pergaminie, z podpisem królewskim i pieczęcią większą koronną. Na samym wyjeździe ze Lwowa, dnia 26. października, wygotowała kancelarja królewska zupełnie formalny przywilej, nadający Annie Łuszkowskiej wolność od wszelkich podatków i prawo wyrębu w lasach królewskich.

Ciekawy ten i charakterystyczny dokument brzmi w tłumaczeniu polskim, jak następuje\*):  
 »Władysław z Bożej łaski Król polski, Wielki książę litewski etc. Oznajmiamy tym listem naszym, komu o tem wiedzieć należy, wszem wobec i każdemu z osobna, że mając w łaskowości naszej wzgląd na ubóstwo i niedostatek uczciwej Anny Łuszkowskiej, wdowy po. obywatelu lwowskim, jako żyjącej w stanie wdowim i przez wiele nieszczęść, jakoteż złej wiary wierzycieli dotkniętą, postanowiliśmy przyjść jej z pomocą. I dlatego uwalniamy ją od wszystkich ciężarów i podatków, tak staroście, jak miastu lwowskiemu, jak wreszcie komukolwiek należących się i wyjmujemy ją od opłaty tychże na mocy najwyższej władzy naszej królewskiej, przywilejem tak, ażeby od wszelakich danin, ciężarów i podatków publicznych i innych aż do śmierci swojej była wolną. Ażeby zaś jej większą jeszcze łaskę naszą okazać, dozwalamy jej niniejszym przywilejem naszym, wolnego wrębu w lasach, należących do starostwa naszego lwowskiego, zwanych „Drowacz“, a to na ognisko i użytek domowy aż do końca jej życia...«

Tak płacił król za swoje uczucia. Pani matka zaś, mając dostateczną nawiązkę za ból swój macierzyński, zgodziła się na wyjazd Jadwiszki w tych warunkach, a sama ukrywszy przywilej królewski w skrzynce, wzięła się do gospodarstwa i do procesów ze sąsiadami. W gospodarstwie pomogła jej

---

\*\*\*) Acta cons. z r. 1638.

znakomicie dodatkowa subwencja z kieszeni królewskiej, w procesach zaś obrotność i energia, zwykła u kobiet w dawnych czasach. Oporządziła przedewszystkiem swoją część kamienicy tak, że »wszystka izba była pięknie pobielona, osadzona i okna insze powprawiane«, a gdy sąsiadka, wspomniana już wielekrotnie, Szwarcowa swoją znowu część w zaniedbaniu utrzymywała, rozpoczął się między obiema kobietami uporczywy proces, w którym wiele duplik i tryplik wnieśli do ksiąg radzieckich rzecznicy prawni\*). Drugi znowu proces rozpoczął sławetny Mikołaj Adamkowicz, krawiec, sąsiadujący z tyłami kamienicy Jakubuszowskiej. Pozwał on Annę Łuszkowską i pannę Netę Szymonowiczównę o własność jednej trzeciej części muru granicznego, a że obie niewiasty, nie wyłączając panny Nety, dostatecznie były fertyczne i nie dające się zjeść w kaszy, więc znowu polały się strugi atramentu, a pan Adamkowicz miał sporo utrapienia. Musiał nawet wystąpić w obronie powagi sądu, wołając w jednej ze swoich duplik, że »panna Neta lekce sobie waży urząd Waszmościów«, bo, gdy inne mieszczki stawają skrupulatnie na terminach, to panna wspomniana ignoruje wszelkie zarządzenia władz i nic sobie nie robi z żadnych nakazów prawnych.

Tak to się one bawiły niewiasty, które los wprzągł do współwłasności kamienicy Jakubuszowskiej, a tymczasem Jadwiszka Łuszkowczanka błyszczała w pałacu królewskim w Warszawie ca-

---

\*) Acta cons. tom 42, 43 i dalsze.

łym ogniem urody, bogactwem królewskiego kochanka i własną elegancją a wytwornością...

Tylko już sielanki nie było.

### III.

Jeżeli w październiku r. 1634 tylko Lwów rozbrzmiewał romansem królewskim, to już z początkiem roku następnego komentowała go bardzo zjadliwie cała Rzeczpospolita. Widok bowiem tak niezwykle uprzywilejowanej faworyty burzył żółć we wnętrzu wszystkich, którzy się tylko dworem interesowali. Jadwiszka Łuszkowczanka zamieszkała publicznie na zamku w Warszawie w wyznaczonych jej apartamentach na drugim piętrze, a gdy później urodził się syn z tego związku, dał mu król swoje nazwisko rodowe, Konstantyn de Waza, zupełnie tak jak dziecku ślubnemu\*). Było to więc zanadto jawne pogwałcenie wszelkich ustalonych pojęć i zapatrywań, aby je znieść mogła opinia, tembardziej, że chodziło o osobę niskiego pochodzenia i marnej mieszczańskiej prozajki.

Mimo tej prozajki jednak potrafiła się Jadwiszka utrzymać na wysokości damy dworu. Przeniesiona ze skromnej izdebki w kamienicy Jakubuszwskiej do pałacu królewskiego przystosowała się bardzo szybko do nowych warunków życia i otoczenia, a co większa, w jednej niemal chwili przedzierzgnęła się w wielką damę, pełną smaku, ele-

---

\*) Kwiatkowski: Dzieje Władysława IV. Warszawa 1822, str. 359.



gancji i wytworności. Powiadają, że ulubiona przez damy ówczesne forma poduszeczki na szpilki przyjęła od naszej bohaterki nazwę »jadwiszki«<sup>\*)</sup>, coby dowodziło, że córka pani Anny ze Lwowa stała się wyrocznią w rzeczach mody i elegancji. Tak samo bowiem i pani Fontaigne dała nazwę słynnemu przez długie lata fontaziowi.

Po za tem jednak nie dorosła, zdaje się, Jadwiszka nasza do poziomu dam francuskich, chwytających niekiedy ster rządów w swoje ręczki. Umiała natomiast roztoczyć dokoła osoby królewskiej tyle czaru i niewieściego uroku, że trzymała nim dostojnego kochanka przez długie lata u stóp swoich, wywierając nań wpływ demoniczny aż do samej śmierci. Jest to wogóle rzecz trudna do pojęcia, jak dziewczyna niskiego stanu i niewielkiego zapewne wykształcenia potrafiła do tego stopnia opanować umysł tak niepospolity, jak Władysława IV., ale jakiegokolwiek były zapatrywania współczesnych, to przecież nie uznawały one zdaje się tej prawdy, że przepastnych ścieżek, po których miłość chadza, nikt wyrozumieć nie zdoła ani sprostować,

Nie mogła ich też wyrozumieć cała współczesna Rzeczpospolita. Co bliżsi osoby królewskiej dziwili się bardzo, dalsi szkalowali ten stosunek, inni wreszcie widzieli w nim nieczystą moc czarów.

Dziwił się więc dwór, zazdroszczący mieszcze wpływów, łaski i chętnego oka królewskiego, to też plotek było sporo, domysłów i podejrzeń, które pełzały w szerokie koła szlacheckie, jak zwykle

<sup>\*)</sup> Rozmaitości lw. Rok 1828, nr. 48.

każdemu królowi niechętnie. Stąd potworne powieści o rozpustnym życiu, o marnotrawstwie grosza publicznego „na nierządnicę”. Wspomniany już kilkakrotnie Jączyński z całą pasją nazywa króla *publicus concubinarius* — publicznym rozpustnikiem, dodając, że wszystkim wstyd było mieć takiego króla.

Dziwiło się duchowieństwo. Sam nuncjusz Visconti, który gdzieś coś zasłyszał o gusłach i czarach na Rusi, donosił papieżowi, że król został urzeczony, że cała jego miłość nieposkromiona to czar tylko i siła djabełka. Przekonanie to podzielał także i arcybiskup gnieźnieński, który wpadł na godny czasów swoich pomysł wypędzenia miłości święconą wodą i egzorcyzmem...

Ceremonja ta odbyła się istotnie, a nikt ze współczesnych nie pożałował biednego arcybiskupa, żaden Homer się nie znalazł, któryby heksametrem opisał walkę pobożnego męża i jego wyprawę z pastorałem na psotnego syna nadobnej Wenus.

Za prymasem i cały senat Rzeczypospolitej zmobilizował się na niechlubną wojnę ze skrzydlatym, a tak bardzo niebezpiecznym amorkiem. Posypały się gęsto *vota* senatorów i płynne przemówienia, tak, że zdawało się, iż samem tylko gadaniem potrafi *senatus* zaciukać nieszczęsnego Kupidyna. Nadzieje były płonne — trzeba się było chwycić bardziej politycznych środków. Postanowiono tedy wybić klin klinem i króla .. ożenić.

Dzieje pierwszego małżeństwa Władysława IV. znane są dobrze historykom, a również i swaty, tak bardzo podobne do jarmarku żywym towarem. Ze-

wszystkich dworów w całej Europie nadesłano konterfekty co najpiękniejszych księżniczek, ubiegali się różni mocarze świata o pokrewieństwo z dworem polskim, senat Rzeczypospolitej obradował zawzięcie, a senatorowie wygłaszali długie mowy za jednymi księżniczkami a przeciwko drugim księżniczkom, wyszukując ich wady i zalety, nie osobiste, broń Boże! ale polityczne, oparte na międzynarodowych korzyściach, posagach, targach, obietnicach ..

Rzeczpospolita chciała sprzedać swego króla jak najdrożej, zagraniczni oferenci swoich córek patrzyli znowu, czy im się nie uda okpić senatu co do wysokości posagu, albo przynajmniej zaćmić mu głowę splendorem pokrewieństwa lub korzyścią politycznej konjunktury.

A w tym chaosie targów, zabiegów i swatów osoba najbardziej interesowana, sam król odgrywał rolę najzupełniej bierną. Chwiał się na jedną i drugą stronę, jak trzcina, wiatrem miotana, zapalał się do tej lub do owej księżniczki krwi tem łatwiej, że w gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, którą jego pełnomocnik do ołtarza poprowadzi. Miał już swoją wybraną po nad wszystkie tę mieszczkę lwowską, która siedziała na drugim piętrze zamkowym i do której uciekał, gdy mu już za dużo było tego małżeńskiego jarmarku.

Raz tylko jeden porwał się i wyrzekł w senacie słowo, które prawdopodobnie nie zostało dobrze zrozumiane i dlatego tylko nie wywołało szalonej burzy. Kiedy już bowiem zdecydował się na

córkę Palatyna reńskiego, a senat go począł gromić, że to przecież Kalwinka, Władysław odpowiedział w najwyższym rozdrażnieniu: »Gdy pomieniona wybrana się nie podoba, inszą namknijcie, albo pozwólcie inszą jaką, w Królestwie polskiem urodzoną, królowi obrać za małżonkę«.

Zachodzono w głowę, którą król mógł mieć na myśli z kobiet, »w Królestwie Polskiem urodzonych« — wszyscy magnaci poczęli się oglądać na swoje córki, snuto najnieprawdopodobniejsze kombinacje, a nikt nie pomyślał nawet o Jadwiszce Łuszkowczance. Może wreszcie zmora jaka zamajaczyła u tych, co znali bliżej charakter królewski i jego więcej niż egzotyczne pomysły, ale sama myśl była tak potworną, tak dziką i fantastyczną, że musiałaby być uznana za bluźnierstwo przeciw majestadowi. Sam król zresztą nigdy nie powiedział, kogo miał na myśli i nigdy już więcej nie objawił pragnienia pojęcia żony, »w Królestwie Polskiem urodzonej«. Poniósł do grobu tajemnicę swego pragnienia, ale może nie bardzo będzie od prawdy odległym domysł, że wówczas, gdy w rozdrażnieniu dyktował te słowa kanclerzowi, myśl jego biegła równocześnie do tej, która siedziała na drugim piętrze pałacu, piastując syna królewskiego.

Jarmark zakończył się wreszcie małżeństwem króla z arcyksiężniczką austriacką Cecylją Renatą we wrześniu roku 1637, a więc równo w trzy lata po poznaniu się z Jadwigą Łuszkowską.

Mimo przygotowań weselnych, mimo nawet zawartego już ślubu, Władysław nie usunął ko-

chanki swojej z zamku, ani też ona nie uczuła, że jest teraz jak najmniej potrzebną. I trzeba było dopiero publicznego skandalu, aby przypomnieć królowi zmianę sytuacji, a Jadwiszce pokazać, którądy prowadzi droga... z zamku. Skandal ten opisał z lubością Jączyński i przekazał go w ten sposób potomności.

Podczas uroczystości weselnych, po ślubie, odbywały się mianowicie na dziedzińcu zamku królewskiego igrzyska koni, niedźwiedzi, dzików i turów. Przypatrywał im się cały dwór królewski, młoda królowa, mnóstwo gości, a ponad głowami wszystkich, z wysokości drugiego piętra patrzyła na zabawę także Jadwiszka. Apartamenty jej wypadły tuż nad sypialnią młodej królowej.

Nagle w pewnej chwili zadzwonił z tej właśnie wysokości wesóły śmiech rozbawionej kobiety i srebrzystą kaskadą zleciał na całe dostojne zgromadzenie. Jączyński powiada, że śmiech ten był zuchwałym, gminnym i krzykliwym, ale wobec niechęci, jaką nasz autor stale żywił do Jadwiszki, nic dziwnego, że nie dosłyszał on w nim tych metalicznych dźwięków, które tak miłe były królowi. Nie dosłyszeli ich także dworzanie, mimo, iż wszyscy, jak na komendę, podnieśli głowy w tę stronę. Spojrzała także i Cecylja Renata, a zwracając się do otoczenia, zapytała, kimby była ta śmiejąca się kobieta. Jak zwykle w takich wypadkach, znaleźli się usłużni, którzy królowę o wszystkim poinformowali i... skandal wybuchł natychmiast.

Skromna, pobożna i poczciwa Niemka oburzyła się aż do głębi duszy i zaraz pod pierwszym



Medal z r. 1637, na pamiątkę zaślubin Władysława IV. z Cecylią Renata.

wrażeniem wysłała służącego na drugie piętro, z zadaniem, aby Jadwiszka w tej chwili wynosiła się z zamku, jeżeli nie chce wylecieć przez okno. Sensacja naturalnie była olbrzymia, a oczy wszystkich zwróciły się na króla, czekając, w jaki sposób zdoła on wybrnąć z tego, nad wyraz głupiego i kłopotliwego położenia. Władysław IV. wykręcił się dyplomatycznym zwrotem: »Niechaj ustąpi sługa, kiedy nadchodzi pani«, a równocześnie cichaczem przeniósł Jadwiszkę do pałacu swego w Ujazdowie, gdzie ją odwiedzał tak często, że Cecylja Renata robić mu musiała na ten temat ciężkie i gorzkie wymówki, a horyzont małżeński schmurzył się zaraz w pierwszych tygodniach pożycia pary królewskiej.

Od tego czasu zapalała Jadwiszka gwałtowną, prawdziwie kobiecą nienawiścią do królowej. Że zaś była w przekonaniu współczesnych czarownicą, więc wszystko złe, jakie tylko Cecylję Renatę w jej bardzo nieszczęsnem pożyciu małżeńskim spotkało, przypisywano natychmiast demonicznej sile mieszczeni lwowskiej\*). Zabobonny też strach czuła przed nią Cecylja Renata, ale też za żadną cenę nie chciała zrezygnować z praw swych małżeńskich.

Stały więc do walki dwie kobiety. Jedna z nich miała do dyspozycji cały arsenał środków, przykuwających mężczyznę: zalotność, wytworność, urodę — a druga, córka cesarza, nic, tylko modlitwę i rezygnację, wybuchającą niekiedy żalem płacziwym i uporem, ufnym w śluby i sakrament.

---

\*) Kubala: Jerzy Ossoliński. Tom I. przy opisie sprawy Denhoffa.

## IV.

W nieznośnej atmosferze pożycia pary królewskiej postanowiono jeszcze raz wybić klin klinem i wydać, teraz znowu, Jadwiszkę za mąż. Król zdecydował się na to zapewne w jednej z chwil refleksji i zbliżenia się do Cecylji Renaty, a chodziło tylko o wyszukanie odpowiedniego amanta i dość odważnego konkurenta do ręki Jadwiszki. Musiał to być człowiek przede wszystkim bez skrupułów, a powtóre dający się skusić łatwo widokami karjery i sutą nawiązką za to, czego się już nie mógł spodziewać w tem małżeństwie.

Obydwa te przymioty posiadał w wysokiej mierze Imć Pan Jan z Wypych Wypyski herbu Grabie, dworzanin królewski i chorąży ziemi nurskiej.

Z trudem tylko udało się zebrać trochę wiadomości o tym człowieku, ale za to z każdej wyłazi postać pospolitego karjerowicza, łowcy okrucichów, spadłych ze stołu królewskiego, jednego z tych, o których mawiano, że »pana ze wszystkim dobrego ciągnęli ledwo nie ze skóry«. Jan Wypyski został chorążym nurskim 28 stycznia 1634 po Jakóbie Pogorzelskim, zaraz potem sprzedał jakąś majątność, Chrzanowo niejakiemu Zawiszy, otrzymał w dożywocie wójtowstwo bełzkie, a w dwa lata później 23 grudnia 1636 otrzymał od króla starostwo mostowskie \*).

---

\*) Metryka koronna w Warszawie tom 180 p. 268 i 491. <sup>2</sup>Donat. grodu warsz. t. 48. p. 1719. Metr. kor. 182. p. 278. Daty »awdzięczam uprzejmości śp. Adama Bonieckiego z Warszawy, wydawcy „Herbarza polskiego“.



Na takiej platformie odbyły się z nim rokowania co do ożenku z Jadwiszką. Starostwo mostowskie za małą było widocznie nagrodą za małżeństwo w takich warunkach, a może i król miał jaki interes w tem, ażeby osadzić Jadwiszkę w ukochanym przez siebie Mereczu, dość, że pod datą 7. sierpnia r. 1637 zapisano w metryce koronnej konsens królewski na odstąpienie starostwa mostowskiego niejakiemu Rozdrażewskiemu, a Wypyski otrzymał starostwo mereckie.

Po załatwieniu tych formalności stanął dopiero Wypyski na ślubnym kobiercu. Wesele było bardzo huczne, sam król podobno oddawał narzeczoną oblubieńcowi, a mowę weselną miał Jakób Maksymiljan Fredro, podkomorzy przemyski.

Mowa ta »na weselu Pani Jadwigi ze Lwowa, Faworitey Jego K. Mci Władysława IV.« zrobiła bardzo wielkie wrażenie na współczesnych\*). Szlachta przepisywała ją sobie do raptularzów, jako kapitalny przykład oratorstwa, w warunkach bardzo trudnych, dyskretnych i w sytuacji całkiem... głupiej. Zaśmiewano się z conceptów pana podkomorzego, który z prawdziwie wielkopańskim humorem wywiązał się z zaszczytne go swego zadania i z takim dobrodusznym uśmiechem traktował rzecz całą, że nie można było wiedzieć, czy kpił pan podkomorzy, czy na serjo kadził prosto w nos oblubieńcom niezwykłym, a zwłaszcza Jadwiszce.

»Nie zawsze pokora szczęśliwa — wołał pan podkomorzy — tak i szczęście nie zawsze korne,

---

\*) Rękopis bibl. Ossolińskich nr. 240 str. 91.



KRÓLOWA CECYLIA RENATA, PIERWSZA ŻONA WŁADYSŁAWA IV.  
(Według sztychu Wilhelma Hondiusa).

ale pokora rzadka przy szczęściu cnota. W tej matronie dziwować się każdy musi takowej ludzkości i skromności, która każdemu przystępna, każdemu dobroczynna, nikomu *infesta* (nieprzyjazna) nie była...

I tak dalej brnął mowca bez opamiętania, a zszedłszy wreszcie na grunt weselny, rozpoczął od przeznaczenia, które widać złączyło młodą parę, mimo, że właściwie wszystko ją rozłączało:

»Nie bez tego, żeby zacność domu Waszmości, gdzie zawsze starożytność z poczciwością w jednej sforze chodziła, nie do innego ciągnęło postanowienia, nie bez tego, żeby tak wysokie *qualitates* (zdolności) Waszmości i we wszelkich sprawach *dexteritas* i *prudencia* (rozważa i roztropność) czego innego nie radziła. Nie bez tego, aby kwitnąca młodość i łaska J. K. Mci i tak wielki fawor ludzi, którycheś sobie cnotą, godnością, usługami zjednał, do czego innego nie prowadziły. Szedłeś jednak tam, gdzie cię fata kierowały. stanąłeś na tem miejscu, gdzie z góry naznaczono i zahamowano«

Toż samo tyczy się i pani Jadwigi, »która za szczęściem swoim przyszedłszy do tego, że się J. K. Mci jako najprzedniejszemu wszystkich sierot opiekunowi dostała, wreszcie dostała tego, że fata jej serce i oczy J. K. Mci do niej obróciły i skłoniły. Otrzymałszy ten los, że bliżej nad insze do upodobania i uciech królewskich przypuszczona, azaż nie mogła sobie za łaską tak wielkiego i możnego, hojnego monarchy coraz to większych nadziei i fortunnych ozdób swych czynić? Azaż nie mogła z rąk tak wielkiego opiekuna i patrona, wielmożnego towarzysza upatrować? Mogła nieo-

chybnie! Damom takim niczego się zwykle nie odmawia. A przecież do tego towarzysza serce skłoniła, którego jej szczęście i niebo oznaczyło«.

Mowca przewidział nawet zarzuty, które mogłyby być ewentualnie przeciw temu małżeństwu podniesione i rozprawił się z nimi w sposób taki, że słuchacze chyba całej siły woli potrzebowali, aby nie ryknąć choralnym śmiechem. „A nie bądź Waszmość — mówił — tego rozumienia *et non haeret* (i niech się nie czepia) to myśli Waszmości, aby to miało co *dehonestare* (ubliżyć), że do poufałych stosunków pana swego przypuszczoną była«. Inaczej bowiem mówi prawo polityczne o zwykłych śmiertelnikach, a inaczej o królach, w dowód czego przytoczył mowca faworytę Henryka IV. francuskiego, której syn między książąt krwi został policzony i arcybiskupa Verdumskiego, który był takiegoż pochodzenia, zresztą mógłby mowca „wiele przykładów przytoczyć, jako takowe damy wielkich królów zawsze za zacne były uważane“.

Najwięcej jednak, zdaje się przemówił do serca pana młodego ten ustęp z przemówienia, w którym mowca wyliczył korzyści z tego małżeństwa: »wszystko cokolwiek z rąk panów swych bierzemy, nie może być jeno zacnego, jeno pocziwego, jeno ozdobnego, ponieważ od majestatów królewskich, które są źródłem ozdoby i szlachectwa, lubo różnym sposobem, na poddanych zwykły honory i ozdoby przychodzić...«

Wyliczeniem tych honorów i »ozdób« zakończył mowca, ku zadowoleniu Jadwiszki, która, jak to łatwo zrozumieć, słuchała wynurzeń podkomorzego z uczuciem, jakby ją brano na męki.

## V.

Miodowe miesiące przepędził choraży nurski przy akompaniamencie brzęku złota, przeglądając wielkie dary i prezenty królewskie, w miłym upojeniu, które niósł szumny tytuł starosty mereckiego. Słowa podkomorzego przemyskiego spełniały się jakby jaki sen złoty o dukatowym blasku. Spłynął nań »honor« i łaska królewska i bogactwo, a w dodatku do tego wszystkiego i Jadwiszka wraz z dwiema częściami kamienicy Jakubuszowskiej we Lwowie. Istny róg Amaltei — Fortuny uśmiech radosny.

A pan Wypyski coraz głębiej zapuszczał niewód, celem polowu ryb złotych. Skoro zaś król opłacił mu się już sownie, to i Jadwiszka powinna uczynić to samo, bo i dla niej się przecież poświęcił ten rycearz nadobny.

Z takiego punktu zapatrywania wychodząc, nikt nie mógł mieć jakichkolwiek zarzutów co do darowizny dwu części kamienicy Jakubuszowskiej na jego, Wypyskiego, wyłączną własność. Jakoż w rok przeszło po ślubie zeznała Jadwiszka w grodzie warszawskim\*), że darowuje i zapisuje swemu małżonkowi po wieczne czasy swoją kamienicę we Lwowie. Wszystko to, co Anna Łuszkowska bolem macierzyńskim okupiła, wszystko, co wyprocesowała na krzykliwej sąsiadce, miało stać się obecnie własnością jej zięcia, bez żadnych zarzutów ani zastrzeżeń.

Był to cios srogi dla pani Anny, tem bardziej, że nawet jeszcze w chwili, gdy pełnomocnik Wy-

---

\*) Donat. grodu warszawskiego 49 p. 133.

pyskiego jechał do Lwowa, aby w tutejszym urzędzie radzieckim oblatować wspomniany dokument, ona nie zasypiała sprawy z sąsiadką swoją Anną Szwarcową. Niedawno uzyskała od króla zupełnie formalny mandat, nakazujący rajcom, aby przyspieszyli załatwienie sporu z sąsiadką, a na mocy tego mandatu komisja miejska rozgraniczyła jak najdokładniej własność obu kobiet. Pani Anna Łuszkowska zdawała się być u szczytu swoich marzeń o »własnym kącie«, bo i spłacanie dalszych długów męzkowskich szło bardzo rażno, niewątpliwie przy pomocy kasy królewskiej. Teraz oto marzenia te przecięte zostały intromisją jej własnego zięcia, który po tym akcie nie miał nic pilniejszego do czynienia, jak sprzedać obydwie części kamienicy Jakubuszowskiej mieszczaninowi lwowskiemu Jakóbowi Szolcowi za 5500 złp. Spisano bardzo długi i bardzo formalny kontrakt\*), zapisano go w aktach radzieckich lwowskich pod r. 1640 i odtąd ginie w aktach lwowskich wszelki ślad po Annie Łuszkowskiej i jej córce Jadwiszce. Zapomniano o nich powoli w mieście — a sielanka nasza z bruku lwowskiego i pałaców warszawskich przenosi się w ciemne bory litewskie aż tam, gdzie Niemen przyjmował w objęcia swoje rzeczkę Mereczankę i gdzie niedaleko od Trok rozsiadło się miasteczko Merecz z zamkiem murowanym na wzgórzu.

Tutaj osiedli Ichmć państwo Wypyscy, jako starostowie, bez jurysdykcji grodowej, tu przy młodej parze kości swe stare i sterane przytulila pe-

---

\*) Acta cons. t. 48 p. 1090.

wnie i pani matka Anna Łuszkowska\*). Czuły jej zięć zdołał już kupić za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży kamienicy we Lwowie, całe miasteczko Grodzisk i Wolę grodziską w ziemi sochaczewskiej od niejakiego Okonia\*\*).

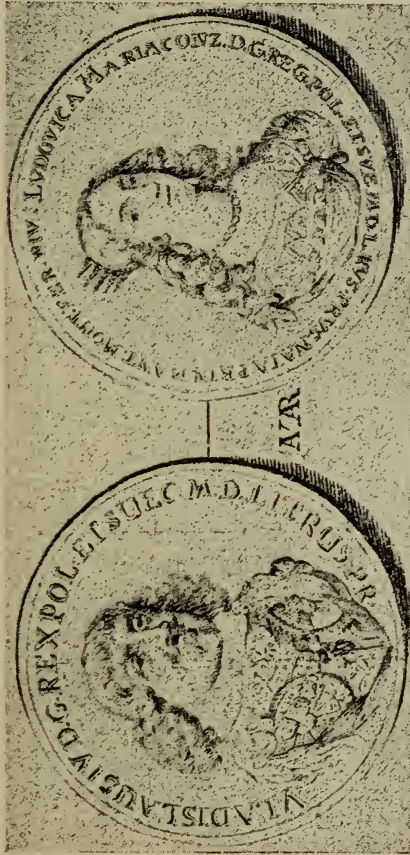
Władysław IV. cierpiał zapewne bardzo na widok tych wszystkich obrotów pieniężnych, których źródłem i osią była jego namiętność, a cierpiąc, kpił przedewszystkiem. Tak każdy zgorzkniały człowiek szydzi z płazów, wijących się u nóg jego, tak każdy pan wielki z pogardą patrzy na chciwość sług swoich. Dał starostwo mereckie, ale równocześnie obiegił całą Rzeczpospolitą zjadliwy kalembur, którego autorem miał być on sam, że to mianowicie już nie *capitaneatus merecense* ale *meretricense*\*). Ostrze tego dowcipu zwrócone było wprost przeciwko Jadwiszce, ale nie osłabiło ani na moment miłości, którą król gorzał bez przerwy, ani demonicznego wpływu Jadwiszki, któremu ulegał. Na tle lasów litewskich, w połowie drogi między Grodnem a Trokami, wśród echa rogów myśliwskich i grania ogarów, pod poetycką strażą »Silviiudów« Macieja Sarbiewskiego rozgrywa się daleki romans królewski, trwa sielanka. Tylko, że coraz dłuższe cienie na nią padają, coraz się więcej mętów gromadzi u dna puharu z napojem miłosnym. Król

\*) Pożycie Wypyskich opisał z pewnem prawdopodobieństwem historycznem p. Wincenty Rapacki w powieści p. t. „Grzechy Królewskie“. (Wyszła w r. 1908 pod zmienionym tytułem „Kostka Napierski“). W liście do autora oświadczył p. Rapacki z całą uprzejmością, że rzecz ta jest prawie wyłącznie przez niego pomyślaną fabułą powieściową.

\*\*\*) Metr. kor. t. 185. p. 622.

\*) p. Jaczyński. Meretrix kobieta lekkich obyczajów.

coraz większą niemocą złożony, Jadwiszka coraz bardziej leciwa, a między nimi ten nieszczęsny



Medal bity na pamiątkę zaślubin Władysława IV z drugą żoną, Marią Ludwiką.

Wypyski z jednej strony i nieszczęśliwa Cecylia Renata, zabobonnym strachem przejęta królowa.

Lasy mereckie były dla Cecylji Renaty źró-



dłem wszelakiego nieszczęścia. Za każdym powrotem z tych ukochanych knieji chmurniało dla niej oblicze królewskie, król stawał się bezwzględniejszym, coraz bardziej szorstkim, odpychającym. Bała się tedy królowa tego demona, leśnego chochlika, a widmo Jadwiszki prześladowało ją ciągle, widmo złe, niedobre, wydzierające szczęście rodzinne i serce małżonka. Raz nawet w Daugnach, w gościnie u Albrychta Radziwiłła, uczyła Cecylja Renata, że ją ktoś, samą w alkowie będącą, mocno aż do bolu ściska za rękę. Nikogo innego nie było w alkowie, ale tak królowej, jak i wszystkim, którym to zdarzenie opowiedziała, zaraz »przyszła suspicja na metresę niegdyś królewską z bezwstydu i publicznej niesławy o czarodziejstwo sławną, jeżeli by czego nie knowała przeciwko pobożnej królowej«.

A król co roku prawie wyjeżdżał do Merecza, nieraz po kilka miesięcy tam przesiadywał. Do łowów był coraz cięższym z powodu nadmiernej otyłości i trapiącej go choroby, ale dyskretni dworacy, notując skrzętnie każdy wyjazd królewski na Litwę, dodają zawsze, że król »łowami się bawił«.

Minęły już jednak czasy, gdy ks. Sarbiewski pisał prześliczne »Zabawy leśne« i wołał:

„Pieszczotliwy! mięki wietrze  
 „Pochłoń w siebie wonne zioła,  
 „Pój się kwiatów wonią,  
 „Niech twe wianie pot obetrze,  
 „Co królowi płynie z czoła...“

Złotousty Jezuita, towarzysz łowów Władysława IV-go, który Bersztańskie bory z nim przebiegł i w Solecznikach do porannej rosy się modlił,



KRÓLOWA MARJA LUDWIKA, DRUGA ŻONA WŁADYSŁAWA IV.  
 (Według sztychu Wilhelma Hondiusa).

w Kotrze pod drzewem siadywał — ks. Maciej Sarbiewski legł już na spoczynek wieczny w kolegiacie warszawskiej, gdy z innej strony rozlegać się począł zgryźliwy śpiew gęśli — potraçał niechęcią tłumy szlacheckie, zgorszeniem je poił..

To Waclaw z Potoka Potocki brząkał szysderstwem swojemu królowi i wyrzutem\*).

„Gdy mi bronią z Turczynem szukać sławy w mieczu,  
„Puściłem cug pieszczony Wenerze w Mereczu...

Mijały lata. Król owdowiał i po raz drugi się ożenił z Marją Ludwiką — a dalsze dzieje romansu skryły się w mrokach lasów litewskich.

O Jadwiszce w tych czasach nic już nie słychać i o jej synu, wspomnianym już Konstantym de Waza słych zaginał I byłaby tajemnicą zupełną, gdyby nie pośrednia wiadomość o dacie śmierci Jana Wypyskiego.

Choraży nurski umarł przed dniem 18 grudnia 1647 r, w tym bowiem dniu mianowany został jego następcą na urząd chorażego nurskiego Zygmunt Pogorzelski\*\*),

W kilka miesięcy później, bo już w kwietniu roku następnego umarł i król Władysław IV-ty w ukochanym przez siebie Mereczu w nieobecności królowej. Jest przypuszczenie, że umarł na rękach Jadwiszki...

Równocześnie od wschodnich granic Rzeczypospolitej rozgorzała straszna łuna wojny kozackiej.

Jadwiszka została sama na świecie, a nad jej głową nagromadziło się tyle ludzkiej nienawiści, tyle

\*) W. Potocki: Jovialitates.

\*\*) Metr. kor. t. 189., p. 736.

posądzenia o czary, taka ogólna pogarda ją otoczyła, jako osobę nieznanego a niskiego pochodzenia i podłej kondycji, że zmiłowania u tych, co pozostali, po śmierci opiekuna i kochanka, znaleźć chyba nie mogła. A gdy się zważy ponadto, z jaką zapalczywością rzucali się zwykle krewni męża na jego majątek, ile wdów, nawet nie tak niezwykłych i osławionych, znachodziło się w nędzy bez żadnej prawnej ochrony — to może przecież dalsze jej losy dadzą się związać z opowiadaniem Panasa o losach Marelli w pierwszej sielance Zimorowicza.

Wspomnieliśmy już przedtem, że znaną była Zimorowiczowi jakaś Marella, mająca kochanka dostojnego, który w wirydarzu swoim sadził »carskie korony«. Otóż ta Marella »niewidzianej piękności, do kraju przeniesiona zimnego, bez pochyby z raju« — doznała później wszystkich goryczy wygnania i nędzy do tego stopnia, że »kto się nie leni, może twoim zostać panem« — a ona sama, »jak płonka leśna bez fruktów, bez pana, bez latorośli stoi szpetnie pokreślana«.

Jeżeli tak, to łatwo być może, że sielanka tak pięknie na bruku lwowskim rozpoczęta, skończyła się na bruku lwowskim, ale smutnym dramatem nędzy i opuszczenia.





## AMOR Z PASTORAŁEM.

(Z życia Ormian lwowskich).

### I.

...Niech was Bóg błogosławi na niebie i ziemi, na łądzie i morzu, od strony aniołów i ludzi i we wszystkim kwitnąć pozwala, w zaszczytach i sławie na ziemi, z synami i córkami waszemi...

Takie niosąc błogosławieństwo, stanął patriarcha — katolikos ormiański Melchizedech w dniu 2. maja 1626 we Lwowie.

Pobożnym szmerem odrzekła mu: »amen« — ulica Ormiańska i tak się zdawało, jakby po niej przeleciał ptak srebrny z wieścią od dalekiego Araratu i wysnionej armeńskiej ojczyzny. Sam patriarcha nawiedził swe wierne we Lwowie i w ów bujny kawał Orjentu, który od wieków krył się dokoła katedry ormiańskiej, tchnął nowe wspomnienie utęsknionej macierzy. Wiec się rozdyszała dzielnica zawrotną, prawdziwie wschodnią fantazją hymnów radości i powitania. Jak z trybularza, kiedy doń spadnie kadzidła wonnego garść i uniosą się kędzierzawe smugi, kładąc w niebieską, pomierzwiową aureolę — tak arabeskowo kładły się i rozbiegały witalne słowa wśród patriarchy i wiernego

mu ludu. Bo oto »do tego, od Boga zachowanego miasta, do ukochanych wielkiego Oświeciciela potomków — przybył on, Melchizedech — »do wiernych i prawowitych synów matki światłości Eczmiadzyn, do najsprawiedliwszych i najrozumniejszych sędziów i całego ludu wiernego, wszelkiego stanu i wieku« — przybył on, katolikos »wysokiej, świętej i wielkiej stolicy Eczmiadzyn«.

Z nim razem wspomnienie nieszczęsnej, obcym panom uległej ojczyzny, wielkiego miasta Ani, co tysiąc liczyło kościołów. Kadzielne dymy klasztoru Eczmiadzyńzkiego i Wagarsciabał, armeńska stolica niosła pozdrowienie dzieciom swoim, we Lwowie mieszkającym.

Ale potomkowie św. Grzegorza Oświeciciela zanadto byli kupcami, a »katolikos« zanadto Ormianinem, ażeby tak pierwsi, jak i drugi mogli się zadowolnić dymem kadzideł. Zrozumieli też odrazu, że nie sam tylko sentyment sprowadził patriarchę do odległego Lwowa, że chodzi tu raczej o pieniądze, a patriarcha znowu wiedział dobrze, że nie tak łatwo przyjdą mu postrzyżyny przebiegłych owieczek. Było to bowiem po śmierci biskupa ormiańskiego Miesroba, kwestja zaś jego następcy, jak zwykle w kościele wschodnim, stawała się teronem wielkich operacji finansowych, a pieniędzy bardzo potrzebował właśnie katolikos Melchizedech. Śpiewano tedy hymny Dioskura i śpiew seraficki z wyklętym przez kościół rzymski dodatkiem Piotra Fullona, ale równocześnie patrzyli Ormianie bystro na palce patriarchy a zwłaszcza nie podobały się im tajne jego knowania z młodym księdzem, a wielkim hulaką, Mikoła-

jem Torosowiczem, Obawiano się po prostu, że kałolikos, przekupiony przez Torosowicza, wyświęci go na biskupa z pominięciem praw gminy ormiańskiej, która wspólnie z duchowieństwem sama wybierała kandydata na tę godność.

Obawy nie były płonne, a wzajemna obawa i podejrzliwość doprowadziły do sceny bardzo dramatycznej i niepowседневnej. Oto pewnego wieczora zamknął się patriarcha sam na sam z Torosowiczem w ormiańskim kościele św. Krzyża na przedmieściu i cichaczem począł go wyświęcać na biskupa. Wśród ciszy nocnej, przy żółtym blasku świec woskowych prawił długą wschodnią liturgję, a Torosowicz klęczał u stóp jego i przyjmował święcenia. Migotliwemi plamami światła patrzyła noc na niezwykłą ceremonję, z zakątków świątyni długie wypelzły cienie, a twardych wyrazów ormiańskich głos łamał się i brzmiał jakoś nieswojsko wśród ciszy nocnej i pustkowie: tylko hukanie sowy odległe i szelest skrzydeł nietoperzy odpowiadały na psalmy...

Nagle; . poczęła się podnosić płyta, kryjąca podziemia kościelne, a z głębi doleciał groźny brzęk szabel i jakieś zmieszane głosy. Zdawało się, że chór duchów nocnych przybieżał uczestniczyć ceremonji, a że zabobonna była bardzo nacja ormiańska i w czary wierząca, więc pobladł śmiertelnie kałolikos i mrowie przeszło po plecach przyszłego biskupa.

Duchy to jednak nie były, a tylko erespochan — senior nacji i starsi narodu ormiańskiego, którzy podziemną galerją przybiegli do kościoła, aby

w czas jeszcze przeszkodzić aktowi i uroczyście przeciwko niemu zaprotestować. Jakoż kilkanaście czarnych, brodatych postaci rzuciło się do stopni ołtarza z krzykiem wielkim, płaczem a wyrwaniem włosów z głowy wołać poczęły na patriarchę, aby zaniechał obrzędu. On jednak, zrozumiawszy, że do czynienia ma tylko ze swemi owieczkami, a nie duchami, przybrał odrazu stanowczą postawę, a gdy erespochan wraz ze starszymi narodu, dając upust wschodniemu swemu temperamentowi, poczęli się szarpać z patriarchą, a nawet wydzierać mu z rąk Torosowicza, katolikos, zapominając o własnej powadze, potrząsnął groźnie krzyżem, który trzymał w ręku i wymyślać im począł tak nieprzystojnemi słowy, że wstyd je było powtórzyć współczesnemu historykowi Ormian, Arakiellowi.

Nie wiedzieć, czy tak samo zawstydził się erespochan i starsi narodu, ale w każdym razie grubiaństwo katolikosa podziałało na nich uspakająco. Wyszli z kościoła, niosąc ludowi wiadomość o samym fakcie i możliwych jego następstwach. Lud począł się burzyć, a na drugi dzień rano ulica Ormiańska przedstawiała fragment dnia sądnego. Wśród piekielnego harmideru wyleciały szable z pochew, kobiety wydzierały kamienie z bruków, w *chuczu* t. j. w sali obrad sądowych wrzało, jak w ulu:

Synowie matki światłości postanowili rozsiekać patriarchę i na szablach roznieść biskupa.

Ale w tej chwili zaśmiała się do nich rzeczywistość skrzywionym grymasem satyra. Stały przed oczyma długie pozwy, olbrzymie koszty, a że kupieckim był naród ormiański, więc szable spadły



z powrotem do pochew, a kalkulacja wypadła w ten sposób, że lepiej było uznać Mikołaja Torosowicza biskupem.

Uznali go, a fatum dziejowe znowu skrzywiło się piekielnym grymasem. Bo stał się Mikołaj Torosowicz klątwą swojego narodu i nieszczęściem, przyczyną »wielkiego żalu i płaczu, a prawie krwawych łez wylewania«. Jakoż był to temperament nieposkromiony. W czasach renesansu byłby mógł stanowić ozdobę tronu Aleksandra VI., w siedemnastym zaś wieku budził tylko powszechne zgorszenie. Pełen fantazji i świeckich nawyczek, rozszalały wśród uciech żywota, wśród pieśni, kobiet i wina dzierżył pastorał ku swojej tylko korzyści, sam wyniosły, dumny, samowolny, z lisią przytem czy wschodnią przebiegłością, nie cofający się przed żadnym środkiem prowadzącym do celu.

Lud ormiański martwił ze strachu przed gniewem Bożym, bo oto na pałacu arcybiskupim usiadł amor złotoskrzydły i miasto hymnów monofizyckich zawiódł *canzon* miłosny i »dobre myśli« namiętne :

Arcybiskup porwał z klasztoru zakonnice Helenę.

Groza padła na rzesze wiernych, bo oto splugawione zostały sprzęty kościelne i słudzy Pańscy cierpieli niewymownie :

Arcybiskup zastawił aparat katedralny, a duchowieństwu groził, że kości mu poprzetrąca...

I gniew targać począł serca ormiańskie, bo arcybiskup handlu się imać począł i konie sprzedawał, kupując je w czasie wizytacji kanonicznych.

A obawę, zgrozę i gniew ludu ormiańskiego potęgowali jeszcze wysłańcy Eczmiadzynu. Biadał *newiragh*, delegat do zbierania jalmużny dla patriarchy i sprzedaży olejów świętych, lzy wylewali uczeni, a pobożni *anardraci*, co za posługę duchowną żadnej nigdy nie brali zapłaty, agitował *wartabied*, doktor z laską trójramienną co nad biskupy nawet orzekał prawo kanoniczne.

Doszło wreszcie do ostateczności i bawiący właśnie we Lwowie *wartabied* Grzegorz rzucił na arcybiskupa klątwę. Torosowicz bronił się pokorą i gwałtem, bezprawiem i apelacją, a wśród zamieszania i wzajemnych niesnasek poczęła w głowie jego dojrzewać myśl przyjęcia unji z kościołem rzymskim. Gdy więc spór doszedł do kulminacyjnego punktu, a katolikos Mojżesz, następca Melchizedecha, wysłał drugiego swego delegata, *wartabieda* Chaczadura dla załatwienia kontrowersji, Torosowicz udał się do kościoła Karmelitów i złożył tam wyznanie wiary rzymsko katolickie...

I znowu niemiłosiernym grymasem zachichotało fatum dziejowe po nad ulicą Ormiańską, a także nad głową samego Torosowicza. Rozpacz ogarnęła tłumy ormiańskie i podyktowała chęć rozsiekania arcybiskupa i rozniesienia go na szablach. Ale za nadto kupiecką była nacja ormiańska — więc skończyło się tylko na wysmarowaniu sadzą portretu Torosowicza i przebicium mu (t. j. portretowi) czoła gwoździem. Zniewaga ta obeszła bardzo arcybiskupa bo w uporczywym a długoletnim procesie, który wyprzedził przyłączenie się Ormian do unji, żalił

się on niejednokrotnie, że owieczki jego »murzyna zeń uczyniły«.

Wysmarowanie też portretu sadzą było jedyną większą satysfakcją przeciwników unji, bo za Torosowiczem stanęło, jak jeden mąż, duchowieństwo katolickie, Jezuici, królowa Marja Ludwika i cała polska społeczność Lwowa razem z magistratem. Unja więc z kościołem rzymskim stała się faktem dokonany, mimo całego szeregu późniejszych jeszcze sporów i burzliwych zajęć.

Mylił się jednakże Torosowicz sądząc, że przyjęcie unji zapewni bezkarność jego życiowym nawyczkom. Duchowieństwo katolickie z nuncjuszem Pignatellim i arcybiskupem lwowskim poczęło wglądać bystro w życie domowe Torosowicza i wypowiedziało przedewszystkiem śmiertelną wojnę amorowi, który gnieździł się w salach pałacu arcybiskupiego. I snąc jedna z tych wielkich ludzkich namiętności, szalejąca jak burza nad życiem, zamieszkiwała w domu i sercu arcybiskupa, bo szermierze kanonów kościelnych, łamiąc ją przemocą, złamali także życie jednostki ludzkiej i dokonali prawdziwej tragedji.

Miłości swojej nie chciał się pozbyć Torosowicz za żadną cenę Uknuto więc formalny spisek i gwałtem a potajemnie uprowadzono wspomnianą już wyżej Helenę. Znalazł się nawet jakiś amator między dworzanami królewskimi, który za sowitem wynagrodzeniem ożenił się z »arcybiskupią westalką« ak powiada uczony Teatyn współczesny, Alojzy Marja Pidou. Oczywiście małżeństwo nie mogło być trwałe, a osobliwy małżonek, przeputawszy w po-

spiesznem tempie posag, samą »westalkę« porzucił we Lwowie, zostawiając ją na łasce losu i na pastwę choroby...

I tutaj zaczyna się coś, co mimo publicznego zgorszenia i całej kanonicznej niewłaściwości świadczyć może o wierności Torosowicza oraz o serdecznych sprężynach, które kierowały tą niesforeną, a podstępna duszą.

Porzuconą a chorą »westalkę« przyjął z powrotem i przez całe dwa lata jej ciężkiej choroby, nie szczędząc kosztów, a »ku wielkiemu żalowi i ustawicznym ludu narzekaniom« pielęgnował ją aż do samej śmierci. »Umarła więc ta Helena — jak powiada z uczuciem ulgi O. Pidou, Teatyn — i żyła tylko w osobie dwu synów swych, którzy, złe odebrawszy wychowanie, mało dają nadzieji, aby się wiele od swego rodzica różnili«.

Na jej pogrzebie omal że znowu cała nacja ormiańska nie porwała się do miecza. Arcybiskup bowiem uparł się, aby zwłoki pochowane były w ormiańskim kościele św. Krzyża. Przedtem zaś »sarmackim zwyczajem« urządził bardzo wystawną stypę, na którą zaprosił swego sufragana i mnóstwo osób. Rozdrażnienie Ormian doszło do kulminacyjnego punktu, oświadczyli kategorycznie, że ormiańskiego kościoła profanować nie pozwolą. Prefekt kolegium teatyńskiego postął w czasie uczty pogrzebowej Teatyna O. Anioła z perswazjami, ale arcybiskup nie chciał o niczem słyszeć, a owszem gwałtem zatrzymywał O. Anioła na stypie. Dopiero za wdaniem się duchowieństwa łacińskiego odstąpił od swego zamiaru i — jak powiada kronikarz Teatynów lwo-

wskich, »zniósłszy ciało do kościoła OO. Reformatorów, przy dźwięku muzyki i organu ukochaną pochował westalkę«.

Zdawało się, że teraz nastąpi już spokój. Ale niebawem znowu zgroza padła na całą ormiańską społeczność, a kronikarz teatyński z ubolewaniem notuje, że »Torosowicz na miejsce zmarłej młodszą przyjął pod nazwą służącej«. Tego już było za wiele. Za staraniem więc Teatynów i nuncjusza zwabiono Torosowicza pod różnymi pozorami do Rzymu i tam go przez lat kilka trzymano z należnymi honorami, ale też pod silną opieką kongregacji *de propaganda fide*.

A dziejowe fatum skrzywiło się znowu w pocieszny grymas. Dziwną bowiem logiką rzeczy Ormianie poczęli nagle żałować swego arcybiskupa i stać do Rzymu uprzykrzone prośby, aby go uwolniono. Rzym wahał się długo, ale ostatecznie po sześciu latach niewoli wypuścił Torosowicza...

I jeszcze dziwniejszą logiką rzeczy powrót znienawidzonego arcybiskupa stał się pochodem tryumfalnym. Na spotkanie jego wyjechał aż do Janowa prefekt collegium Teatynów i sufragan w konnym otoczeniu wszystkich alumnów i wielu innych Ormian, którzy przyjechali powitać źródło tyłu swoich strapień, w karetach i powozach. Ruszyła także wszystka młodzież ormiańska na szlachetnych koniach, w łuki i sajdaki ozdobnie ubrana. Wystawność powiększył jeszcze Ormianin perski Bogdanbek, który właśnie powrócił z poselstwa do szacha perskiego i wyszedł o milę za przedmieścia Lwowa na spotkanie arcybiskupa, w kosztowne przybrany

szaty, w kapeluszu, zdobnym perłami i brylantami, z licznym zastępem sług, którzy mieli na kraju sukien utwierdzone dzwoneczki i kółka stalowe, wydające podczas pochodu »miły« dźwięk, a na czele nieśli małe chorągwie, na końcach dzid umieszczone.

W polu urządzili rajcy ormiańscy ucztę na cześć arcybiskupa, poczem odbył się wjazd do miasta wśród tłumów ludności, »co się do okien i w ulicach cisnęła«.

W katedrze ormiańskiej duchowieństwo odśpiewało uroczyste *Te Deum*, grała muzyka, Ormianie radosne hymny śpiewali w swoim języku i nie było nikogo, ktoby odczuł groteskowy grymas i zjadliwą ironię.. fatum dziejowego.



VI.

DWAJ GOŚCIE



## WJAZD STEFANA CZARNIECKIEGO.

---

Witał Lwów wszystkich królów, witał każdego starostę, w jego mury tryumfalnym pochodem zajeżdżającego, każdego arcybiskupa przy jego uroczystym ingresie, hetmana, wojewodę, każdego nieledwie dygnitarza, co wjeżdżał w progi bramy halickiej, lub krakowskiej, pewien zawsze salw witalnych miejskiej artylerji i gromkich wiwatów lwowskiego pospólstwa. Jeżeli jednak przy tych witalnych obchodach niekiedy tylko anioł stawał tryumfu i mistyczny wykwitał promień zapału, to tylko dlatego, że utrapioną była zawsze lwowska Rzeczpospolita na punkcie pieniężnym, a każdy burmistrz i rajca, choćby niewiedzieć jaką szumną wygłaszał przemowę na powitanie, to musiał równocześnie ze smętkiem w duszy pomyśleć o prezencie dla dygnitarza i o tem że każdy prezent, czy to u Ormian, czy u żydów kupiony, na szwank finanse miejskie narażał i zwichnięciem groził budżetowej równowadze.

W chwili jednak, kiedy Stefan Czarniecki, zostawszy wojewodą ziem ruskich, odbywał tryumfalny wjazd do stolicy województwa, do Lwowa, miasto zapomniało o wszelkich finansach, a sam tylko try-



umf i wesele gorzały w sercach, błękitnymi smugami dymu z baszt strzelały i wieżyc miejskich, grzmiały trąbami z ratusza i *Te Deum* radosnem z katedry.

Był to bowiem czas dziwnie podniosły i dziwnie zaziemskim ogniem gorejący, coś jakby ostatni błysk słońca przed zachodem, jakby wcielenie cudu, jakichś rzeczy niezwyuczajnych, a wielkich, dla pokolenia, które patrzyło na nagły upadek i skory ratunek, nie całkiem zrozumiących, a świętych i cudownych.

Odrodzona w mistycznych blaskach Jasnej góry, w czynie tyszowieckiej konfederacji zaskrzepla otrząsa się Rzeczpospolita od najazdu, a ostatni z jej nieprzyjaciół, pogromiony pod Magierowem Rakoczy, umykał co tchu w swe góry siedmiogrodzkie. Zamilkł na chwilę szcęk oręża a z oparów jednego pobojowiska, jakie wówczas tworzyła cała ziemia polska szedł głos olbrzymi, niby trąba chórów archanioelskich, głoszący chwałę imienia... Stefana Czarnieckiego. Nazwisko zbawcy ojczyzny, herosa, tytana, co w chwili upadku gmach Rzeczypospolitej wziął na swe barki; powtarzały wszystkie usta z podziwem i czcią największą, a panegiryci suszyli swe mózgi nad wynalezieniem słów górnych, najklasycyzniejszych porównań na cześć tego, co ani z soli, ani z roli... hetmanem miał zostać dopiero na łożu śmiertelnem. A równocześnie u polskich rubieży zamierały serca mołojcom kozackim na samo wspomnienie »rabego psa«, na to samo wspomnienie Karol Gustaw zgrzytał zębami, pieniał się Chowański i komuniem uchodził Rakoczy.

Właśnie po pogromie Rakoczego, świeżym laurem promienny, zjechał Stefan Czarniecki z począ-

tkiem sierpnia 1657 do Lwowa. Bohater do miasta, nad którym również brzmiało jeszcze niewygasłe wspomnienie nadludzkiej obrony przed najazdem, grzmiał jeszcze w powietrzu głos ślubów Jana Kazimierza, ostatnie błyski siły i potęgi mieszczaństwa polskiego mury jego rozpierały, a cała Rzeczpospolita pełną była powieści i sławy Lwowa niezdobytogo, przedmurza Polski.

A więc wjazd Stefana Czarnieckiego do Lwowa był chwila, w której się słyzy łopot olbrzymich ptaków w powietrzu, chwila, której nawet napuszone przemowy panegirystów, ani jezuickie hołdy obniżyć nie zdołały.

Nadszedł wreszcie dzień siódmego sierpnia — powiada świadek współczesny \*) — pogodny nadspodziewanie po wczorajszym deszczu, dzień przeznaczony na wjazd uroczysty. Czarniecki stanął w południe dnia 6. sierpnia pod Rzęsną, gdzie obyczajem żołnierskim pod namiotem nocował, a tymczasem Lwów gotował się na jego przyjęcie. Z uderzeniem pierwszej nocnej godziny na całym zegarze czyli o zmierzchu, odegrano z wieży ratuszowej hejnał na trąbach i bębnach, który też powtórzono ze świtem dnia następnego, jako hasło do zbierania się orszaku powitalnego. A orszak ów, który ruszył naprzeciw na pola między Rzęsną a Lwowem, skła-

---

\*) Szczegóły pobytu Stefana Czarnieckiego we Lwowie czerpiemy z rzadkiej dziś niezmiernie broszury współczesnej której tytuł: „*Ingressus illustr. ac Inclytis D. D. Stephani in Czaruca Czarniecki, Terrarum Russiae Palatini, Petricov. Coven. et Ratnensis praefecti — Leopolim Metropolitanam eiusdem Russiae urbem, post Hungaros, Cosacosque et Valachos ac Moldavos insignibus aliquot cladibus affectos. Anno 1657. Dantisci. Sumptibus G. Forsteri 1659*“.

dał się przedewszystkiem z cechów wszystkich z insygniami i chorągwiami, urzędu radzieckiego na rydwanie ratuszowym, bogato przystrojonym i konnej szlachty, na czele której stanął starosta lwowski Jan Mniszech. Na polu pod namiotem przemawiał do wojewody ziem ruskich najpierw imieniem szlachty Piotr Oźga, podkomorzy ziemi lwowskiej, imieniem zaś miasta Walerjan Aiembek, rajca lwowski.

Następnie ruszył cały orszak porządnie sformowany w stronę miasta

Przodem postępowały oddziały piechoty, zbrojne, utworzone z rzemieślników lwowskich i uformowane na sposób wojskowy a bardzo liczne. Za nimi Ormianie na koniach tureckich i arabskich, we wschodnie rzędy przybranych, sami strojni i zbrojni, ze wschodnim »perskim i trackim« przepychem przedstawiali »miły dla wszystkich widok«, jak powiada nasz sprawozdawca. Postępowała dalej kohorta młodzieży lwowskiej, z samych synów patrycjuszowskich wybrana, w liczbie dwustu głów, ustrojona w kapiące od złota szaty mieszczańskie narodowe. Szaty te jednak niebardzo się podobały autorowi naszej broszury, bo twierdził, że ta młodzież więcej miała blasku na sobie, aniżeli podziwu u widzów. Potem szedł oddział żołnierzy miejskich przy odgłosie trąb i bębnow w wyuczonym ordynku, który naturalnie przypomniał autorowi natychmiast rzymską arenę,

Za nimi, a przed samym wojewodą jechał orszak szlachty, konno, zbrojno i buńczucznie, w liczbie trzystu »lub więcej« osób. Tu już nie było jedna-

kowego stroju, ani ordynku. Jechali jedni w lamparcicach, inni w rysich skórach narzuconych na ramiona, inni, pancernych znaków towarzystwo, w błyszczącej, polerowanej zbroji. Każdy z osobna wystąpił, jak tylko mógł okazale, toteż nic dziwnego że »podziw był wielki wśród patrzących«.

Niektórzy chwyтали za oczy widzów nie tylko z powodu barwnego stroju. Im bliżej było wojewody, tem gęściej żołnierzy i pułkowników, wojennych towarzyszy pana Czarnieckiego, ogorzałych okrutnie w służbie wojennej i rycerskimi czynami wślawionych. Znała ich już w onczas cała Rzeczpospolita, tych rycerzy, upadłej Ojczyzny obrońców, znał ich także Lwów, więc palcami sobie pokazywano i głośno wywoływano tych, co najdzielniejsi, co w każdej koronnej potrzebie zawsze pierwsi stawiali. A im się poszczerbane twarze, mieczem i znojnym potem zorany śmiały z dumą i radością, koło kochanego wodza jadącym.

A on sam, Stefan Czarniecki, regimentarz, a dziś już wojewoda ruski i senator jechał jak orzeł pośród drobniejszych sokołów i kobuzów. Raba, ospą zorana i szablą pocięta twarz jego, o długiej brodzie i złotem podniebieniu, co mu je kula armatnia wyrwała, śnać nie miała, w tej chwili tryumfu, owych groźnych błysków, które strachem przepęłniały najmężniejsze nawet serca nieprzyjaciół. Jechał radosny, na wiernym swoim koniu, tym samym, co, znacznie później w Sokołówce na łożu miał śmiertelnem żegnać hetmana umierającego. W tej jednak chwili radośnie strzygł uszami, bo tuż obok dwu trębaczy wojenną grało pobudkę.

Nareszcie zbliżającemu się do miasta orszakowi zamigotał w oczach, kamienny i forteczny gród, z dziesiątkiem wieżyc, pięknie w słońcu błyszczących. Jedna i druga salwa artylerji miejskiej, a już w bramie halickiej zsiadał z konia pan Czarniecki i z nim wszyscy jego towarzysze, ażeby starym obyczajem, pieszo przejść ulicę Halicką aż do katedry.

W krótkiej onej drodze, która z powodu wielkiego tłoku i ciasnoty miejsca, bardzo się powoli i długo odbywała, towarzyszył bohaterowi wszystkich polskich współczesnych pobojoisk prawdziwie wojenny alarm. Grzmot dział głuchy a donośny mieszał się z grzechotem ręcznej strzelby, półhaków i samopalów, bo strzelał każdy mieszczanin, każdy żołnierz, ku czci wodza i zbawcy ojczyzny. Kto nie strzelał, ten okrzyki wznosił radosne i tak się czynił gwar ogromny i radosny aż do samego proga katedry, gdzie kapituła czekała na wojewodę z krzyżem, magistrat miejski, tłumy pospółstwa i kanonik Wojciech Pigłowski z przemówieniem.

Mimo wielkich słów i biblijnych zwrotów przemówienie to nie czyni wcale wrażenia przesady. Fakty tylko przytaczał ks. kanonik Pigłowski, a one same za siebie przemawiały i uprawniały zupełnie do takiego zakończenia:

»Ty jesteś ów mąż wojenny od młodości swojej, Ty skałą, na której podstawa królestwa ugruntowana i sam dom Boży, który Cię tu wita całym sercem, Ty jesteś ową kolumną złotą, na srebrnej podstawie, na której szczycie wieniec nieśmiertelności złoży potomność. Ty jesteś synem mądrym,

z którego słusznie cieszy się matka, Ty chwala Jeruzalemu, radość Izraela, Ty pociecha ludu Twojego. Ponieważ działałeś mężnie, wzmocnione jest serce Twoje, ręka Pańska umocniła Cię, przeto błogosławić Cię będą przyszłe wieki« ..

I nie pomylił się kaznodzieja katedralny, ale ten, do którego owe wieszczę słowa były skierowane, nie lubił wcale długich oratorskich popisów. Na łacińską przemowę kanonika, odpowiedział krótko po polsku, a mowa jego, jak powiada autor broszury, z której czerpiemy, trwała wszystkiego pół kwadransu i nie przypadła mu widać wcale do gustu, gdyż nie uznał za stosowne przytoczyć jej nawet w streszczeniu. Cóż bo mógł powiedzieć na kwieciste mowy zawodowych oratorów, ów »pies raby«, co niby orzeł spadał z góry na wraże zastępy, co powiedzieć mógł ów, któremu kula pod Monasterzyskami podniebienie wyrwała, a druga pod Batowem nogę przebiła, ów, co życie całe słuchał tylko wymowy armat, zgrzytu koncerta, szumu skrzydeł i proporców husarskich? Pewnie nic takiego, coby wyćwiczonym w jezuickich kolegjach retorom do smaku przypaść mogło.

Tymczasem dziekan katedralny, Łukasz Witkowski, rozpoczął nabożeństwo, któremu razem z organami przygrywały wszystkie miejskie armaty, umieszczone na murach miejskich, basztach i bramach i cała milicja miejska z półhaków.

A na rynku stanęły dwie chorągwie husarskie, za nimi pułk piechoty niemieckiej i całe obywatelstwo miejskie. Po nabożeństwie poszedł Stefan Czarniecki piechotą przez rynek lwowski do pałacu

arcybiskupiego, który mieścił się w rynku w domu dziś liczbą 9 oznaczonym. Chyliły się przed nim sztandary cechowe, grały rusznice i półhaki, to znowu muzyka, to wreszcie przegłoszające wszystko okrzyki radości i entuzjazmu pospólstwa lwowskiego.

W pałacu arcybiskupim odbył się wspaniały obiad, który zakończył uroczystości dnia owego. Nazajutrz odwiedził Czarniecki kolegium jezuickie, gdzie prowincjał Jezuitów Andrzej Sikorski, w otoczeniu całego kolegium, wygłosił długie przemówienie po łacinie. Czego tam nie było w tej mowie: wszyscy bogowie greccy i rzymscy, Homer, Patrokles, Alides—mówca odwoływał się do całego świata kazał mu na swoje pytanie odpowiadać, parafrazował imię »Stefan«, wieńczył niem bohatera i t. d.

Zaledwie Czarniecki krótkimi słowy po polsku odpowiedział, aż tu znowu jeden z uczniów kolegium jezuickiego z nową wystąpił perorą, w której Bellona spacerowała po Scylli i Charybdzie, zodjak topił się w morzu Bałtyckiem, Mars z Palladą pod boki chodzili, a Ateńczyków uważał mówca za nieszczęśliwych z tego powodu, że Czarnieckiego nie mogą pomieścić w rzędzie swoich bohaterów...

Wojewoda krótko odpowiedział i tak to trwało przez całe trzy dni pobytu jego we Lwowie. Codziennie odbywała się uczta, a na niej coraz to nowi goście. Cały Lwów przesunął się wówczas obok osoby Czarnieckiego, jak w barwnym kalejdoskopie: dygnitarze świeccy z ks. Dymitrem Wiśniowieckim na czele, kanonicy, mieszczanie, szla-

chta, a wreszcie cała chmara mnichów, ile ich tylko było po lwowskich klasztorach.

Powołany przez króla do Krakowa, wyjechał wreszcie Czarniecki z gościnnego miasta, odprowadzany i żegnany z takim samym ceremoniałem i orszakiem, jak przy powitaniu.







## POBYT KS. JÓZEFA PONIATOWSKIEGO.

---

Jesienią roku 1874 ogłoszono po wszystkich miastach i dominiach galicyjskich dekret nadworny z wiadomością, że na czas grożącej wojny z Turcją utworzony zostanie w Galicji ochotniczy korpus jazdy, składający się z 300 towarzyszy i 300 pocztowych. Przymusowy werbunek do szeregów armji austriackiej nie wystarczał jakoś. Trzeba było zaapelować do rycerskiego ducha młodzieży polskiej, dać jej ułudę, że w narodowych służby szeregach, zwabić na ochotnika nadzieją żołdu większego, pięknym polskim skusić mundurem.

Więc formowano galicyjski korpus wojskowy zupełnie na modłę polską. Te same mundury, ten sam podział na towarzyszy i pocztowych, wzięty żywcem do tego stopnia, że pokręcono słowa na niemieckie »towarziken« i »posdownen«. Dla młodzieży szlacheckiej znalazło się zapewnienie, że galicyjski korpus, nawet w czasach pokojowych uważany ma być za korpus narodowy (*Nationalcorps*) a pocztowych, czyli pachołków werbowano zwykłym wówczas sposobem, »mit Pauken und Trom-

petten« przy śpiewie i muzyce, obchodząc wsie, miasta i przedmieścia.

Tak powstałi austrjaccy ułani.

Zasadą przy ich formowaniu było także oszczędzanie ludności miejscowej. Poddanych galicyjskich brano stosunkowo nielicznie, natomiast gęsto rozmieszczone były komendy werbunkowe na granicach okrojonej Rzeczypospolitej i stamtąd głównie werbowano materiał ludzki, za przykładem Fryderyka Wielkiego, zmodyfikowanym o tyle tylko, że w miejsce gwałtownego porywania ludzi do wojska pruskiego tu zachowano wolny system werbunkowy.

Komendy werbunkowe odsyłały ochotników do Lwowa, Przemyśla i Tarnowa, skąd poszczególne szwadrony, po odbyciu początkowej musztry zebrać się miały w Bernie morawskim pod dowództwem chewaliera de Hotze, Szwajcara, wojskowego rosyjskiego, później kirasjera austrjackiego, który umiał trochę po polsku i znał miejscowe stosunki.

Dowódcą pierwszego dywizjonu formującego się we Lwowie mianowany został ks. Józef Poniatowski i stąd jego gościna we Lwowie i kilkumiesięczny pobyt na bruku tutejszym.

Ks. Józef Poniatowski, był podówczas oficerem austrjackim. Wstąpił do armji dnia 6. lutego 1780, jako nadliczbowy podporucznik (superumerärer Unterleutnant) do drugiego pułku karabinierów (obecnie pierwszy pułk dragonów) — pierwszego lutego 1781 został rzeczywistym podporucznikiem, 24. września tegoż roku drugim rotmistrzem, 26. lipca 1782 komendantem szwadronu, a 9. września 1783 trzecim majorem.

W tym charakterze przeniesiony on został z dniem 1. grudnia 1784 do Lwowa, w charakterze komendanta I. dywizjonu nowo formującego się korpusu galicyjskiego. Nominacja jego miała charakter wybitnie polityczny i rząd austriacki, względnie rada wojenna cesarza Józefa II. obiecywała sobie wiele po młodym bratanku króla polskiego Stanisława Augusta. Był on bowiem widomym niejako znakiem dobrych chęci rządu austriackiego w kierunku stworzenia narodowego korpusu galicyjskiego i służyć miał za wabika dla młodzieży szlacheckiej.

Do tego wszystkiego mianowano rotmistrzami tegoż dywizjonu hr. Michała Wielhorskiego i hr. Piotra Wodzickiego.

Ks. Józef spieszył z objęciem nowego stanowiska. Jakie mu myśli przy tem przyświecały niewiadomo, dość, że pomimo tego iż nominacja jego i przeniesienie nastąpić miało dopiero z pierwszym grudnia, on już w drugiej połowie listopada stanął we Lwowie razem ze swymi towarzyszami, którzy wyszli wprost, z istniejącej podówczas we Wiedniu, galicyjskiej gwardji szlacheckiej.

Jako wojskowy, w urzędowym charakterze stacjonowany, miał on prawo do bezpłatnej kwatery którą magistrat wyznaczył mu w kamienicy w rynku pod nrem. kons. 155 (dziś rynek 1. 36, gdzie sklep Narodnej Torhowli). Było to najlepsze pomieszczenie, jakim tylko dysponował magistrat ówczesny i wyznaczane bywało tylko najwyższym dostojnikom, przebywającym czasowo we Lwowie. Przed ks. Józefem mieszkał tam generał Ronikier, hr. Cortum (na II. piętrze), a z prywatnych lokatorów

starościna Rzczycka (na I. p), hetman Rzewuski i td. Sama kamienica istniejąca po dziś dzień w pierwotnej postaci, była wówczas własnością obywatela lwowskiego Franciszka Rösslera, który z iście niemiecką pedanterją prowadził księgę wydatków na budowę jej i reparacji (*Baubuch*), oraz rejester lokatorów. Właśnie z rejestru owego, znajdującego się obecnie w Archiwum miejskim, czerpiemy wiadomość o pobycie ks. Józefa we Lwowie, wraz z kilku szczegółami z dziejów samej kamienicy. Stała ona na miejscu zburzonego domu, zwanego *lapidea Gelazinouska*, siedziby patrycjuszów lwowskich Śmieszaków, którzy mając w rodzie swoim kilku uczonych mężów, ich śladem z łacińska Gelazinami się przewalili. W r. 1778, pusty plac kupił za 17.500 złp. Rössler i według planów architekta Gibeaut wybudował na nim nową trzypiętrową kamienicę ogólnym kosztem 101.954 złp. Budowa skończyła się w roku 1781, a Rössler mimo dystyngowanych lokatorów zbankrutował, tak że i kamienica w kilkanaście lat później poszła na bęben i otrzymała nowego właściciela w osobie Antoniego Fischera.

Ks. Józef Poniatowski sprowadził się na nową kwaterę 24 listopada 1784. W bezpośredniem sąsiedztwie w tej samej kamienicy mieszkali równocześnie „Obrist Kriegs Commissair“ v. Schlager i „Obrist und Verpflegs Directeur“ br. Humbracht, w otoczeniu zaś ks. Józefa znajdowali się wyżej wymienieni oficerowie, za których kwatery otrzymał Rössler od magistratu komorne 100 fl. (*für die Herrn Officiers bey Fürst Poniatowski*). Za lokal zajmowany przez samego ks. Józefa wypłacała kasa miejska

Rösslerowi 156 florenów. Czas, w którym ks. Józef mieszkał u niego, określa Rössler ogólnikowo od 24. listopada 1784 do roku 1785.

Przypuszczać należy, że zima przeszła ks. Józefowi Poniatowskiemu we Lwowie bardzo wesoło, był to bowiem czas kiedy karnawał lwowski sławny był w całej Polsce. Tu się bowiem ludzie najlepiej w tych smutnych czasach bawili, a ks. Józef w mundurze ułana galicyjskiego podobnym łądząco do munduru polskiego przedmiotem był powszechnego podziwu, a równocześnie razem ze swymi dwoma szwadronami pierwszego dywizjonu budził daleko idące nadzieje, co do zamysłów rządu austriackiego

W styczniu roku 1785 był już jeden szwadron zupełnie gotów. Odbyła się tedy z wielką uroczystością przed mieszkaniem księcia defilada poczem szwadron w dniu 6. stycznia, odprowadzony przez ks. Józefa i młodzież polską, służącą we Lwowie wojskowo, do pierwszej stacji pocztowej, odjechał do Tarnowa gdzie był główny punkt zborny całego korpusu.

D. 7. tutego odjechał też drugi szwadron, a z nim razem i ks. Józef do Tarnowa, potem do Berna, gdzie się zebrał cały korpus, aby ruszyć do Wiednia. We Wiedniu stał korpus przez dwa lata, poczem rozbity został i przydzielony do poszczególnych pułków szwoleżerskich.

Ks. Józef Poniatowski był galicyjskim ułanem tylko do września roku 1786. Mianowany bowiem pierwszym podpułkownikiem, przeniesiony został równocześnie do cesarskich szwoleżerów (dziś 6 pułk

ułańów), gdzie też 15. lutego 1788 mianowany został drugim pułkownikiem.

W lipcu r. 1789 skwitował ze stopnia wojskowego i wrócił do służby polskiej.

Po upadku Konstytucji 3 maja i po złożeniu dowództwa w ręce Kościuszki, Lwów miał sposobność, jak twierdzi prof. Aszkenaze, po raz drugi gościć w swoich murach ks. Józefa »Z końcem sierpnia 1792 wyjechał z Warszawy, zatrzymał się we Lwowie, gdzie zamieszkał u ks. Jabłonowskiej i wypoczywał w martwej ciszy galicyjskiej po męczących przeprawach obozowych i warszawskich do końca września 1792«.

Pałac Jabłonowskich (dziś koszary), miejsce gdzie ongi hetman Stanisław Jabłonowski z niesłychanym przepychem i wystawnością przyjmował Augusta II. stał się cichą ostoją dla synowca królewskiego. Szum odwiecznych drzew w ogrodzie i na pobliskiej »Skałce«, cała owa malownicza i dziś jeszcze tak piękna okolica Lwowa, wszystko to rzeczwiście napęlić może duszę skołataną ukojeniem. Czy ukojenia tego doznał w cienistych szpalerach ogrodu Jabłonowskich późniejszy marszałek Francji? Być może, bo podobno w tym właśnie czasie spisywał swoje pamiętniki.



VII.

ZEGARMISTRZE i ZEGARY.



## I. MISTRZOWIE.

Pierwsza archiwalna wzmianka o zegarmistrzach we Lwowie pochodzi z r. 1404. Był to zegarmistrz miejski przeznaczony do nakręcania, regulowania i naprawiania zegaru ratuszowego i był również jedynym we Lwowie adeptem sztuki zegarmistrzowskiej. Małe zapotrzebowanie zegarów mechanicznych nie mogło utrzymać wielu zegarmistrzów, ani też wytworzyć odrazu rzemiosła cechowego, tak że przez cały wiek piętnasty, a nawet spory kawał szesnastego, nie mogło być mowy we Lwowie o rzemiosle zegarmistrzowskiem, we właściwym, cechowym tego słowa znaczeniu. Było więc zegarmistrzowstwo, podobnie zresztą, jak początkowo wszystkie rzemiosła wynikłe z nowych wynalazków, lub ze zwiększenia się potrzeb cywilizacyjnych, czy zbytkowych, sztuką wolną, którą się mógł zajmować każdy, k'o tylko miał ku temu ochotę. Najwięcej czasu i ochoty do urządzania zawitych mechanizmów zegarowych posiadało duchowieństwo zakonne, w którym zresztą żyła tradycja wynalazku zegarów mechanicznych przez Pacyfikusa.



biskupa Werony, czy też arcybiskupa z Rheims, późniejszego papieża Sylwestra II. Podobnie więc i we Lwowie, jak wskazują źródła archiwalne, sztuka zegarmistrzowska uprawiana była po klasztorach.

W roku 1504 Grzegorz mnich (*Gregorius monachus*) sporządził zegar ratuszowy, za co mu z kasy miejskiej przez 8 tygodni wypłacano po 37 gr. wynagrodzenia, w czterdzieści lat później (1548) gwardjan Bernardynów, syn mieszcanki lwowskiej Stencel Hazowy, za oporządzenie zegaru na wieży bramy halickiej otrzymał dwa garce małmazji, za które urząd radziecki zapłacił  $17\frac{1}{2}$  gr. Odwrotnie znowu zegarmistrze miejscy, utrzymywani na koszt miasta, mieli najrozmaitsze zajęcia uboczne, zostające ze sztuką zegarmistrzowską w bardzo czasami luźnym związku. I tak pierwszy wymieniony w księgach rachunkowych zegarmistrz, Jan Gutjar, był równocześnie postrzygaczem sukna, drugi Piotr Scheffelar puszkarzem miejskim, trzeci Wawrzyniec Hellebezem kupcem hurtownym, inni jak Szczepan Sporer (1421), Mikołaj Burkhardt (1459), Mikołaj Schonfelt (1462) ślusarzami. W r. 1505 miasto przyjmując zegarmistrza Konrada zastrzega sobie w kontrakcie, że ma on mieć równocześnie pieczę nad armatą miejską. Stanisław Sroka znowu, zegarmistrz podjął się w r. 1536 wyrobu hakownic miejskich, ale z nieumiejętności narobił tyle szkody miastu, że przez cały rok musiał w nagrodę, nakręcać zegar ratuszowy za darmo. Robili wreszcie zegarmistrze formy na cegły do cegielni, naprawiali wodociągi, oprawiali szyby okienne w ołów, zegarmistrz Balcer w r. 1563 robił pieczęć z lewkiem

miejskim do piętnowania beczek z rybami, a na wzajem znowu majstrował koło zegaru miejskiego kowal Jan, naprawiali go ślusarze itp.

Zegar ratuszowy był też głównem polem popisu dla zegarmistrzostwa lwowskiego, a i zegarmistrze miejscy stanowili przez długi czas niejako elitę swojego stanu. Stać się »jurgeltnikiem« miejskim, oznaczało najwyższą karierę zawodową i wyzbycie się wielu trosk życiowych. Otrzymywał bowiem zegarmistrz miejski przedewszystkiem mieszkanie *in natura*, w osobnym domu obok ratusza a w pobliżu jatek szewskich — *in domo Zegermagistri* lub *in lapidea Zegarmistrzowska*, którą miasto zawsze kosztem swoim konserwowało. Kamieniczka ta jednopiętrowa zburzoną została już przez rząd austriacki przy końcu ośmnastego wieku. Obok pomieszczenia, otrzymywał także zegarmistrz miejski honorarjum, które w różnych czasach było różne. Zegarmistrz Wawrzyniec Hellenbazem (1414) pobierał rocznie 3 grzywny wypłacane na św. Stanisława, nowy zegarmistrz Antoni przyjęty w r. 1496 pobierał półtora florena kwartalnie, zegarmistrz Konrad 2 marki na kwartał, za co miał dbać także o armatę miejską i w razie »potrzeby lub niebezpieczeństwa od nieprzyjaciół okazać się dobrym obywatelem«. Tenże Konrad jednak wyemigrował niebawem do Sambora, a jego następca Ambroży, pobierał już tylko 8 gr. na tydzień, które to »salarium« podwyższono w r. 1563 do gr. 15. Nie obeszło się też bez specjalnych honorarjów za większe naprawy i różne dodatki świąteczne, lub »*pro contentatione*« z różnych powodów np. »gdy się żenił zegarmistrz

miejski, na rozkazanie panów, obeslano go winem z flaszami garcy 2 i półkwarty za złp. 6 gr. 24« czytamy w księdze wydatków za rok 1630, podarunki zaś na święta Bożego narodzenia powtarzają się corocznie. Nie miał się tedy źle zegarmistrz miejski, zwłaszcza jeżeli był »porządnym i prędkim w naprawianiu zegarków ludziom tak duchownym, szlacheckim jako i miejskim«, a już wcale, gdy »bardziej cudzej roboty pilnował niż miejskiej« co się również zdarzało, często, choć z drugiej strony zegarmistrze miejscy stawiani być mogli na wzór sumiennosci. »Ja, zegarmistrz, mieszczanin lwowski, którym przez 30 lat zegar miejski służąc Ich M. P. P. Raycom y miastu wszystkiemu dirigował y w swoim staraniu miał« — tak reasumuje całe swoje życie Sebastjan Szwaynowski, w r. 1629 w testamencie. ale widać, że obowiązki jego nie przeszkadzały mu prowadzić handlu miodem, jak to wynika z dalszych postanowień tegoż testamentu.

Zresztą prawa i obowiązki zegarmistrza miejskiego określi najlepiej »kontrakt z zegarmistrzem« zachowany w „księgach lonherskich“ następującej osnowy:

»My lonherowie miasta Lwowa, w r. 1648 z Rady, Ławicy i Czterdziestu mężów do disponowania i zarządzania dobrami miejskimi a Spti. Mgtu consulari Leopoliensis obrani i deputowani będąc, wiadomo czyniemy. Iż Jm. Pana Caspra Szelinga zegarmistrza i obywatela lwowskiego, którego od wielu ludzi zacnych mieliśmy sobie zaliconego do opatrywania y nakręcania, tudzież sporządzenia

y naprawiania zegarów mieyskich na wieży ratuszney y Bramie Halickiey będących za zegarmistrza y jurgieltnika mieyskiego zaciągnęliśmy i takowe zegary, z mieszkaniem mieyskim wolnym tu pod ratuszem przy szewskich jatkach z dawna do zegarmistrzów należącym puściliśmy y konferowali. Przy którym mieszkaniu salarium roczne złp. 156, na każdy tydzień po złp. 3 rachując, względem pracy jego około tych zegarów nakręcania, naprawiania i opatrywania podejmowanych, puściliśmy Do których to zegarów tak opraviania jako i smarowania żelaza, stali, drutu y oliwy co miesiąc po gs. 12 ex aerario publico, gdy potrzeba, dawać pozwoliliśmy. A pomieniony P. Casper Szeling zegarmistrz y jurgieltnik mieyski podczas trzymania zegarów mieyskich wszelaką pilność, aby zegary dobrze, porządnie, wedle biegu słonecznego, tudzież indeksy według godzin szły i skazowały, powinien mieć, trzeźwo się chować i dobrym a porządnym gospodarzem bydź. Przy których to zegarach i mieszkaniu, gdy dobrym, czułym, trzeźwym rzemieślnikiem i gospodarzem przerzeczony P. Casper Szeling zegarmistrz będzie, wcale zachować obiecaliśmy y sukcesorów naszych P. P. Oeconomów teraz i na potym będących do zadzierzenia i przy tych zegarach zachowania onego, obligowaliśmy y obligujemy. Czym wszystkim, tak mieszkaniem jako y salarium w zwyż opisanym, często mianowany P. Casper Szeling przed nami oczywiście stojąc kontentował się i dobrym, a trzeźwym zegarmistrzem ludziom tak duchownym, szlacheckim jako y mieyskim w naprawianiu zegarków porządnym i prędkim bydź

przyobiegał. Co dla lepszej wiary to postanowienie y kontrakt teraz zawarty do ksiąg lonherskich wpi-  
sać rozkazaliśmy. Działo się we Lwowie dnia 6  
miesiąca marca roku pańskiego 1649“.

Inni zegarmistrze uprawiali swe rzemiosło we  
Lwowie samoistnie. Liczba ich w dawniejszych wie-  
kach nie przekraczała nigdy kilku rodzin, które  
z pokolenia w pokolenie przekazywały sobie taje-  
mnice zawodu. Najdłużej utrzymała się tradycja ze-  
garmistrzowska w rodzinie Sokołowskich, której  
protoplastą w zawodzie był Szymon Sokołowski,  
który ze ślusarza przekształcił się w zegarmistrza  
w r. 1573, przyjął prawo miejskie i dał początek  
rodowi, który aż do końca XVIII wieku trudnił się  
zegarmistrzowstwem i w osobie Jana Sokołowskiego  
(1784) wygasł.

Drugą taką rodziną zegarmistrzowską byli  
Grabińscy, której przodek Grzegorz Grabiński już  
jako zegarmistrz przybył w r. 1588 ze Śremu do  
Lwowa i tu przyjął prawo miejskie. Sztuka zegar-  
mistrzowska przechowała się w tej rodzinie aż do  
naszych czasów, a ostatnimi jej reprezentantami byli  
Ksawery Grabiński (1825) i zmarły niedawno śp.  
Wacław Grabiński.

Jak wogóle lwowskie mieszczaństwo, tak też  
i żywioł zegarmistrzowski, chętnie zasilał się jedno-  
stkami, które zdala przybywały, osiadały tutaj i za-  
aklimatyzowane podnosiły poziom rzemiosła, lub też  
stawały na jego wysokości. Takim był Melchior  
Thyl przybyły ze Striegau na Śląsku, zegarmistrz  
widocznie lepszy, gdyż na jego oznaczenie, akta po  
raz pierwszy używają miana „*horologiorum magister*“.

Przyjął on prawo miejskie w r. 1574, ożenił się, a umarł w r. 1584. W r. 1601 przybył do Lwowa zegarmistrz Michał Herbst ze Sacelli w Karyntji i założył tu rodzinę, której dalsze pokolenia jednak zerwały ze sztuką zegarmistrzowską. Równocześnie pracował we Lwowie wspomniany już Sebastjan Fonsvano, który rychło nazwisko swoje spolszczył na Szwaynowski.

Z początkiem wieku ośmnastego wielkiej zażywała powagi we Lwowie rodzina zegarmistrzowska Bartoszewiczów. Walenty Bartoszewicz spokrewniony z warszawską rodziną zegarmistrzów Nietuszewskich, trudnił się także jubilerstwem, a jego syn Andrys Bartoszewicz był zegarmistrzem bardzo ruchliwym, jak świadczy szereg procesów, które miewał przed urzędem radzieckim zawsze w związku ze swoją sztuką. W r. 1752 żył wreszcie zegarmistrz Jan Bartoszewicz, prawdopodobnie syn tego ostatniego.

Równocześnie żył we Lwowie Władysław Skarzyński, którego roboty dwa zegarki widział Maurycy hr. Dzieduszycki\*) w zbiorach ks. Czartoryskich w Sieniawie.

Z upadkiem rzemiosł polskich wogóle z początkiem XVIII wieku, upada i sztuka zegarmistrzowska we Lwowie, brak zaś zarobku powodował zajażdże spory konkurencyjne. W r. 1748, na przykład, zegarmistrze Jan Hakiel i Ludwik Rorn, zobowiązują się wobec urzędu radzieckiego »iż oni tak Andrysa Bartoszewicza, magistra zegarmi-

---

\*) M. Dzieduszycki: Dni, noce, godziny, Lwów 1870.

strza, jako i innych panów zegarmistrzów nachodzić respektem roboty, perturbować na drogach publicznych, napadać, tak sami przez się jako i osoby subordynowane na zdrowiu onych szkodzić nie będą, pod wolną sekwestracją osób swoich“. W następnym roku wydaje urząd radziecki wyrok na Andrzeja Karłowskiego zegarmistrza „*respectu praepeditionis in arte horologiarii*“. Pokrzywdzonymi byli zegarmistrze Zacharjasz Filipowicz i znowuż Andrzej Bartoszewicz.

Obszerniejsze wiadomości o osobach zegarmistrzów we Lwowie posiadamy dopiero z szóstego dziesiątka lat ośmnastego wieku, to jest od czasu, gdy po założeniu cechu zegarmistrzowskiego, założono także i księgi cechowe. Założycielami cechu byli Jan Hakiel, Antoni Kamiński, Jan Rokser i Konrad Łukasiewicz.

O tym ostatnim nic nie wiadomo. Widocznie zaraz po roku 1766 wyemigrował ze Lwowa, albo umarł, gdyż do nowego cechu zegarmistrzowskiego nie wstąpił i wszelki o nim dalszy ślad ginie.

Nie wszedł również do nowej konfraternji i drugi zegarmistrz w dyplomie wymieniony, Rokser, który również ani razu nie przychodzi w księgach cechowych. Dopiero w roku 1784 a więc już dawno po »rewindykacji« przyszedł do magistratu lwowskiego list z miasta węgierskiego Nemeth Lipow z prośbą, aby wysledzono miejsce pobytu Jana Roksera, który w r. 1746 wyemigrował z tego miasta, wraz z synem swoim również Janem do Lwowa, pozostawiając swój dom i grunt wartości 1.000 fl. na łąsce i niełąsce sąsiadów. Ostatecznie z domu

pozostało 100 talarów, które Jan Rokser lub jego spadkobiercy mogli sobie odebrać. Stąd więc poszukiwania za Rokserami. Otrzymawszy ów list lwowski magistrat udzielił go w krótkiej drodze konfraterni zegarmistrzowskiej, celem wyśledzenia poszukiwanych. Starszyzna jednak cechowa, wraz z pisarzem znalazła się wobec tego listu w niemałym kłopotcie, gdyż ani jeden z nich nie umiał tyle po łacinie, aby wytłumaczyć, czego tam żądają. Więc musiano zapłacić tłumaczowi pewną sumę za przetłumaczenie listu na język polski, a przy sposobności tego wydatku zapisanego w księdze cechowej dowiadujemy się, że »Jan Rokser, niegdyś zegarmistrz lwowski żyje« i znajduje się w Krzemieńcu, skąd wyemigrował on zdaje się do Warszawy, gdyż zegarmistrza tego nazwiska wymienia Kołaczkowski\*) między zegarmistrzami tamtejszymi.

Natomiast trzeci z założycieli lwowskiego cechu zegarmistrzowskiego Antoni Kamiński stał się prawdziwym patriarchą lwowskich zegarmistrzów, między którymi przez długie lata wiedzie prym, powszechnie szanowany i poważany. Samo pochodzenie z rodu zegarmistrzowskiego stawiało go bardzo wysoko między towarzyszami zawodu i dawało mu stanowisko uprzywilejowane, które własnymi zasługami podniósł jeszcze. Antoni był synem Jana Kamińskiego, słynnego w początkach ośmnastego wieku zegarmistrza lwowskiego. Zegarek z r. 1725 jego wyrobu znajdował się według Kołaczkowskiego na wystawie starożytności

---

\*) J. Kołaczkowski: Wiadomości o fabrykach i rękodzielnictwach w Polsce. Kraków 1879.



we Lwowie w r. 1885. Drugi (a może i ten sam) zegarek wyrobu Jana Kamińskiego, stołowy, ze szklanymi szybkami po bokach, bardzo ładnie i dokładnie z mosiądzu wyrobiony znajduje się obecnie w archiwum miejskim we Lwowie.

Antoni Kamiński piastował bardzo często godność cechmistrza i seniora cechu, reprezentował we wszystkich okazjach cech na zewnątrz, a z wielu luźnych wzmianek rozrzuconych tu i ówdzie w papierach cechowych wynika, że zażywał on ogromnej międy współtowarzyszami swymi powagi. Z wyrobów jego niestety niewiele do dnia dzisiejszego się dochoowało, ale za to, choćby ów zegarek wyraźnie imieniem jego sygnowany, a w muzeum przemysłowym miejskim się znajdujący świadczy bardzo chlubnie o jego sztuce i zdolnościach zegarmistrzowskich.

Antoni Kamiński umarł w r. 1783. Pozostała po nim wdowa prowadziła dalej warsztat, w trzy lata zaś później objął go syn Antoniego, Jakób Kamiński, również zegarmistrz bardzo ceniony i szanowany, kilkakrotny cechmistrz. Jakób Kamiński jest ostatnim z męskich potomków Jana i na nim kończy się ród, w którym sztuka zegarmistrzowska szła z pokolenia w pokolenie.

Czwartym wreszcie i głównym założycielem cechu zegarmistrzowskiego był Jan Hakiel, towarzysz Antoniego Kamińskiego i z nim razem pierwszy cechmistrz nowej konfraternji. O zdolnościach jego fachowych świadczy zegarek, który znajdował się na powszechnej wystawie krajowej we Lwowie w r. 1894, w dziale starożytności. Jestto

mianowicie zegar stołowy brązowy, pozłacany, czteroboczny, zarębiony z szybkami szkła po bokach i z napisem wewnątrz »*Johan Hakiel a Leopold*«. Zegarek ten 75 cm. wysoki, 85 cm. szeroki był własnością Jerzego hr. Dunina Borkowskiego.

Trzecim magistrem był Jan Sokołowski, który zaraz z samego początku, wszedł do cechu jako konfrater. Dopiero później bo w latach od 1772—1779 przybywają ponadto Antoni Marquand, Józef Schmidt i Piotr Guerrin, tak że w r. 1779 cech zegarmistrzowski liczył razem sześciu konfratrów.

Po Janie Sokołowskim przechował się w archiwum miejskim we Lwowie srebrny zegarek podróżny, w formie książeczki, bardzo ładnie i z artystycznym smakiem wykonany. Zresztą nie ma żadnej o tym zegarmistrzu wiadomości, jak tylko, że w r. 1784 umarł, a pozostała po nim wdowa prowadziła dalej pracownię swojego męża.

Tak samo ciemną zostaje postać Antoniego Marquanda, a co się tyczy Józefa Schmidta, to zwraca on na się uwagę tragicznym skonem i dziwnym jakimś pechem, który go prowadził do częstych stosunków... z aresztem miejskim na ratuszu. Miał widocznie jakieś zajścia z władzami czy coś podobnego, bo oto w r. 1779 zabierają mu, zapewne z polecenia cechu, chłopca Grześka do aresztu. Za transport do kordygardy płaci cech z własnych funduszków 14 groszy, zaś »za wikt w areszcie będącemu 3 złp.« W kilka lat później w r. 1782 znajdujemy zupełnie niespodziewanie w zapiskach cechowych »ekspens pogrzebu ś. p. Józefa Schmidta,

konfratra, któren w areszcie na ratuszu umarł«. Dlaczego i za co dostał się on do więzienia niewiadomo, nie miał również jak się zdaje żadnej bliższej rodziny, bo cech zajmuje się sam jego pogrzebem i płaci »za trumnę stolarzowi 7 złp., za płótno na koszulę arszynów 10 po gr. 16, aresztantom za obmycie ciała 26 gr. a wreszcie za kosztą pogrzebu u Karmelitów trzewiczkowych na przedmieściu halickiem ze światłem i mszami 24 złp.«

Nie tak tragicznie wprawdzie, ale w tym samym roku umiera i Piotr Guerrin i znowu pozostała po nim wdowa prowaźła dalej rzemiosło swojego męża.

Z innych zegarmistrzów, którzy wstąpili do cechu już po zaborze Lwowa przez Austryjaków wspomnieć by można o dwu jeszcze Ignacym Witkowskim i Ludwiku Chudzickim.

Z obcych, a we Lwowie osiadłych przybyszów wspomnieć wypada o dwu zwłaszcza, Robercie i Englu.

Fryderyk Robert pojawił się we Lwowie w r. 1788. Był z rodu Francuzem, urodził się bowiem w Rennes we Francji, pracował tam przez cały wiek swój młody, potem bawił we Wiedniu a bezpośrednio przed przybyciem do Lwowa na Węgrzech pod Preszburgiem. Po przewycięzeniu wielu trudności, dostał się wreszcie do cechu lwowskiego, a w r. 1791 produkował na sesji cechowej »zegarek ordinaryjny, godziny, minuty i dnie pokazujący, który konfraternia za dobrze zrobiony przyjmuje«. Zegarek jego wyrobu znajdował się podobno w posiadaniu zmarłego Kalikstą ks. Ponińskiego.

Nie długo się jednak cieszył Robert majsterstwem, bo już w r. 1794 umiera, a pozostała po nim wdowa prowadziła dalej zegarmistrzostwo.

W dwa lata po śmierci Roberta przybywa do Lwowa Szymon Engel wraz z synem swoim Janem. Starszyzna cechowa nie chce go przyjąć, gdyż Engel nie może się nawet wykazać metryką urodzenia, nie mówiąc już nic o innych potrzebnych papierach, które należało złożyć do lady cechowej. Engel jednak nie dał za wygraną, ale po prostu wytoczył cechowi proces. Spór trwał przez 3 lata, przeszedł wszystkie instancje, a ostatecznie dekret dworski rozstrzygnął sprawę na korzyść Engla. W r. 1799 wpisany on zostaje w poczet majstrów pod warunkiem, że jako sztukę majsterską zrob »stołowy zegar idący, z czterema kwadransami«. Równocześnie wyzwolił też Engel syna swojego Jana na towarzysza i z nim wspólnie utworzył we Lwowie warsztat zegarmistrzowski, który wkrótce zasłynął dobrocią swoich wyrobów.

O wiele mniej trudności z przyjęciem do cechu, miał inny sławniejszy lwowski zegarmistrz Stanisław Dąbrowski. W r. 1798 »melduje się on aby był przyjęty za konfratra, na co się konfrater, nia z ochotą zgadza, pod warunkiem jedynie, aby jako sztukę misterną dobry Minut-Uhr z dniami zrobił« z czego się on też niebawem wywiązał.

Wyliczeniem wreszcie mniej znanych Ignacego Kocha, Jana Kocha którego wyrobu zegary szafkowe trafiają się nawet dziś dość często, Antoniego Brandysa z Debreczyny i jakiegoś Stocka, można zamknąć poczet lwowskich zegarmistrzów aż do końca ośmnastego wieku.

Osobna wzmianka należy się jeszcze wdowom po zegarmistrzach, które wedle zwyczaju i ustawy cechowej, mogły prowadzić warsztat po śmierci męża w dalszym ciągu. W aktach znajdujemy kilka wypadków, że zegarmistrzynie, dawały sobie doskonałe radę z trudnościami zawodu. Tyczy się to zwłaszcza Agnieszki Wąsowiczowej, żony zegarmistrza Piotra Wąsowicza, który w r. 1632 złożył następującą charakterystyczną deklarację przed urzędem radzieckim: »iż małżonki swej więcej bijać, ani się upijać nie będzie, ale rzemiosła pilnować i z pracy rąk swoich żyć submituje się i dóbr przez ręce małżonki wyrobionych tyrać, ani w niwec obracać, ale jej wspólnie do wszystkiego dopomagać będzie i z nią wedle woli Bożej i przysięgi swojej uczynionej mieszkać obliguje się, a to pod winą urzędową etc.«

Deklaracja ta jednak na nic się zdała, bo Piotr Wąsowicz zapijał się dalej i skończył w szpitalu św. Łazarza. Żona, która przed nim umarła, zastrzeżęła w testamencie: »mężowi memu po śmierci mojej nie polecam żadnego rządu, przez niedołężność jego tak na rozumie, jak na członkach, które są jawnie Bogu i ludziom«. Mimo takich przeszkód potrafiła Agnieszka wychować przyzwoicie dwu synów, którzy kosztem 900 złp. jej własnych pokończyli nauki szkolne i wyuczyli się rzemiosła.

Drugą zegarmistrzynią, która uwieczniła egzystencję swoją w aktach cechowych, była wdowa po Piotrze Guerrinie, która po mężu swoim prowadziła warsztat zegarmistrzowski z wielkiem utrapieniem dla przełożenia cechowego. Była to bowiem ko-

bieta energiczna i po męsku silna... co poczuł na własnej skórze jej czeladnik Piotr Stobnicki. Na jego to bowiem żądanie i »na jego uzalenie, iż był od własnej pani pobity, nie mając przymierza u czeladzi, nastąpiła sesja ekstraordynaryjna, do której był uproszony I. M. P. Tabornino, wiceregent lwowski. Podczas której sesji wszystka czeladź domagała się satysfakcji, ku uzalonemu, gdzie decyzja stanęła, aby pani Guerrinowa za pobicie czeladnika swego sztrofu zapłaciła 6 złp. na ubogich i pobitego przeprosić i aby więcej tego nie czyniła«.

W r. 1803 znajdujemy we Lwowie 9 majstrów praktykujących, w r. 1811 majstrów 10 i 9 czeladników, a w roku 1814 majstrów 11.

Wśród nich największej zażywał powagi Jan Engel. On pierwszy we Lwowie zrobił chronometr, dający możność ścisłego pomiaru czasu. Chronometr ten znajduje się obecnie w posiadaniu lwowskiej politechniki, a jaką był w swoim czasie rzadkością świadczy okoliczność, że szlachta galicyjska, która urządziła konne wyścigi, przyjeżdżała przez długi czas corocznie pod sklep Engla sześciokonnym powozem, zabierała zegarmistrza z wielką pompą razem z onym chronometrem na plac wyścigowy, a potem gdy chronometr oddał już należyte usługi odwoziła go gremialnie do miasta.

O innym nadzwyczajnym zegarze zrobionym przez Jana Engla słyisał ś. p. Józef Weiss z opowiadania. Miał to być zegar pendułowy, którego wykończenie kosztowało dwanaście lat żmudnej pracy. Za jednym nakręceniem szedł ów zegar sześćnaście miesięcy, a posiadał cztery wskazówki, z

których żółte wskazywały czas średni, czarne zaś czas miejscowy i sekundnik, a nadto wskazywał ów zegar całoroczny kalendarz. Urządzenie jego i mechanizm również był bardzo dowcipny. W sam nowy rok bowiem otwierała się dziurka od nakręcania i stała przez dziesięć dni otworem. Jeżeli w tym czasie nikt zegara nie nakręcił, otwór do nakręcania zamykał się automatycznie, zegar szedł jeszcze przez dalsze cztery miesiące, a potem stawał. W r. 1850 sprzedał syn Jana, Franciszek Engel zegar ów za 1800 zlr., po kilku latach jednak został on przez prowincjonalnych fuszerów zupełnie zrujnowany. Na wiadomość o tem nie mógł się Engel utulić z płaczem — a jeszcze po kilku latach wspominał o tem dziele ojca swojego ze łzami w oczach.

Jan Engel pozostawił kilkoro dzieci, z których Dominik Engel i wspomniany już Franciszek Engel byli bardzo cenionymi zegarmistrzami. Dzieło Dominika Engla, zegar ścienny, na sposób gdański zrobiony pełni jeszcze do dnia dzisiejszego służbę w prezydjum magistratu lwowskiego.

Córka wreszcie Jana Engla wyszła również za zegarmistrza Ksawerego Grabińskiego, który już w r. 1825 był razem z zegarmistrzem Szmerglewskim, starszym cechu. Ksawery Grabiński wstawił się wyrabianiem zegarów o krótkim wahadle i zegarków kieszonkowych, zaś syn jego, zmarły niedawno śp. Wacław Grabiński przez długie lata był pierwszorzędnym we Lwowie zegarmistrzem.

Z innych współczesnych zegarmistrzów wymienić należy wspomnianego już poprzednio Sta-

niśława Dąbrowskiego, którego potomkowie do dziś trudnią się jeszcze zegarmistrzowstwem, Bittnera, Mayera, Nowackiego i Proneisa.

W latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia znajdujemy we Lwowie dziewięciu razem zegarmistrzów, a mianowicie z wyjątkiem znanych nam już Ksawerego Grabińskiego, Franciszka i Dominika Englów żyli jeszcze podówczas we Lwowie zegarmistrze: Bauer, Majewski, Bartłomiej Siennicki, zegarmistrz miejski, Erazm Schätz, a nadto dwaj żydzi bracia Kronik.

Nieco później liczba ta uzupełnia się jeszcze kilkoma zegarmistrzami, z pośród których wyróżnia się jako długoletni zegarmistrz miejski, zmarły niedawno ś. p. Józef Weis, pochodzący z rodziny, której członkowie od trzech pokoleń wstecz trudnili się zegarmistrzowstwem. Dziadek i ojciec jego byli zegarmistrzami w Wieliczce, stryj zegarmistrzem w Bochni. Również i wszyscy trzej jego wujowie trudnili się zegarmistrzowstwem. Jeden z nich aż w Szwajcarii w Chaud Fond miał fabrykę zegarów, drugi w Londynie, a trzeci, Erazm Schätz we Lwowie.

Przez lat pięćdziesiąt opiekował się śp. Józef Weis lwowskim zegarem ratuszowym i tak ten swój obowiązek ukochał serdecznie, że gdy razu pewnego zegar ów przypadkowo stanął na czas jakiś, ś. p. Weis dowiedziawszy się o tem, padł na miejscu rażony apopleksją. Wrócił wprawdzie do życia, ale z choroby się już nie podźwignął. Wspomnieć wreszcie należy, że śp. Józef Weis jest wynalazcą gno-



monu kieszonkowego i zegara o tarczy wieżowej z jedną wskazówką, nadającego się doskonale z powodu taniej ceny do użytku po wsiach i małych miasteczkach. Zegar ów premiowany był na wystawie krajowej w r. 1894, tabrykacja jego jednak z powodu braku finansowego poparcia nie mogła być rozwinięta na szerszą skalę.

Nie brakło też i w tych ostatnich czasach ludzi niefachowych, amatorów, którzy lgnęli do zegarmistrzostwa, znajdując w tej żmudnej robocie wytchnienie, a wśród szmerów wahadeł ciszę i ukojenie, którą daje myśl o wieczności.

Opowiadał śp. Weis, że cieśla pewien odrobił zupełnie dokładnie na wzór lwowskiego zegara ratuszowego, zegar wieżowy, który następnie zakupiła gmina miasta Sambora. Wspomnieć tu także należy, o załogującym we Lwowie przed pięćdziesięciu mniej więcej laty rotmistrzowi K i n d l u, który dnię całe trawił na wieży ratuszowej, gdzie przy pomocy zbudowanego przez siebie sekstanta oznaczał dokładny czas słoneczny przez wyznaczony przez się, na jednej z kamienic przy ul. Akademickiej południk Lwowa. Sekstant ów był podówczas jedynym regulatorem lwowskiego czasu słonecznego i znajdował się do ostatnich czasów w posiadaniu ś. p. Józefa Weisa. A wreszcie i urzędnik pewien z namiestnictwa niejaki Kieliszkie w i c z urząd swój porzucił po to, aby się jać zegarmistrzostwa.





## II.

### CECH ZEGARMISTRZOWSKI.

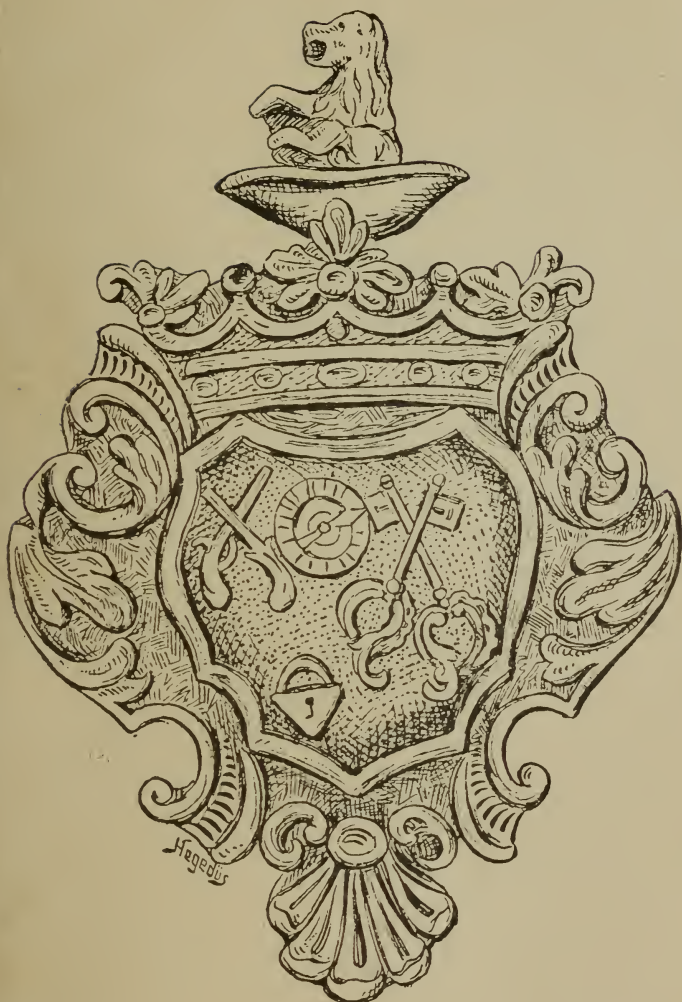
Nie mieli pierwotni zegarmistrze, zwani w aktach *horologistae, magistri horologii, zeygermeister* (nigdy *Uhrmacher*) stale określonego zakresu działania, o które tak dbało każde szanujące się rzemiosło dawnych wieków, najbardziej jednak zbliżeni byli do ślusarzy. Zdarza się też nieraz, że akta na oznaczenie rzemieślnika, który rozumiał się na zegarach używają alternatywnego określenia: *horologiarius seu serrifaber* — zegarmistrz czyli ślusarz.

Podobnie jednak jak ślusarstwo wyrobiło się z kowalstwa jako jego delikatniejsza, nowym potrzebom odpowiadająca forma, tak znowu ze ślusarstwa wyłonił się cały szereg nowych rzemioł, dzisiaj nawet po części dla nas zagadkowych jak rusznikarstwo, szyfyrstwo, samostrzelnictwo, trombernictwo, pobraycarstwo, płatnyrstwo, rynkmacherstwo, iglarstwo, kapsarstwo i t. d., a wreszcie i zegarmistrzowstwo, z chwilą kiedy zegary stawać się zaczęły coraz to niezbędniejszym sprzętem domowym i wypierać używane dotychczas klepsydry czyli t. zw. »zegarki ciekące«. Stało się to jednak dopiero w pierwszej połowie siedemnastego stulecia.

Z chwilą kiedy zegarmistrzowstwo ze sztuki wolnej poczęło się przeobrażać w rzemiosło, musiało się również zmieścić w ramach istniejącej organizacji cechowej. Ponieważ za mało było mistrzów kunsztu zegarowego, aby utworzyć osobny cech, przeto mieścili się oni początkowo, razem ze ślusarzami i pokrewnymi mu rzemiosłami, w jednym wspólnym cechu kowalskim. Separacja nastąpiła dopiero w r. 1637 na mocy uchwały urzędu radzieckiego, zatwierdzającej ordynację nowego cechu, do którego weszli, wydzieleni z cechu kowalskiego »mistrzowie i bracia ślusarskiego, rusznikarskiego, szyftyrskiego, samostrzelniczego, tromberniczego, pobraycarznego, płatnyńskiego, zegarmistrzowskiego i rynkmacherskiego rzemiosła.«

Statut tego nowego cechu zatwierdził osobnym dyplomem Władysław IV. w Warszawie dnia 29. grudnia 1638, ale nie zawiera on żadnych specjalnych przepisów, odnoszących się do zegarmistrzów. Dopiero przy potwierdzeniu tegoż statutu przez Michała Wiśniowieckiego w r. 1671 dodano tam artykuł następujący:

»Więc, że w teyże cesze (ślusarskiej etc.) zawierają się zegarmistrze, którzy tymże porządkom cechowym podlegać powinni, jednak iż dotąd sztuki żadne, onym naznaczone nie były, przeto każdy zegarmistrz, przyprawiający sobie cechę ma zrobić mały stołowy zegarek z kwadransami bijącemi, z ekscitarem i indeks kwadransowy. Unloft ma być taki robiony, z jedną sprężyną bijącą i kwadransową. To mały zegarmistrz ma robić. A wielki zegarmistrz powinien robić sztukę, to jest zegar na



OBESŁANIE (CECHA) ŚLUSARZY, ZEGARMISTRZÓW I RUSZNIKARZY  
LWOWSKICH Z POCZĄTKU XVIII WIEKU.

(Oryginał w Archiwum miejskim).

ścianę ze sznurami i kwadransami, coby na cały zygar bił i żeby wskazywał miesiąc za górami.

W spółności ze ślusarzami zostali zegarmistrze lwowscy aż do drugiej połowy ośmnastego wieku, kiedy to zdobyli się na cech osobny.

W lat piętnaście po utworzeniu osobnego cechu zegarmistrzowskiego w Warszawie, a więc w r. 1766 stanęli przed »prezydentem i radcami miasta J. Królewskiej Mości Lwowa« sławetni a wyżej już wspomniani Jan Hakiel, Antoni Kamiński i tegoż imienia Rokser, czterdziesto mężowie, tudzież ucziwy Konrad Łukasiewicz, mieszczanie miasta tegoż, jako magistrowie kunsztu zegarmistrzowskiego z gotową ordynacją cechu zegarmistrzowskiego i ze zwykłą formalistyczną prośbą, aby wreszcie osobny cech zegarmistrzowski został we Lwowie założony.

»Prezydent i radcy« przychyłili się do tej prośby »ponieważ w tym mieście dotąd konfraternia czyli cech zegarmistrzowski nie jest postanowiony, a ludzi, magistrów w tym kunszcie zegarmistrzowskim dobrze wyuczonych liczba coraz większa przybywa i uczniowie z różnych miast i miejsc do miasta tutejszego wędrowki swoje odprawują. Rządzenia za się i sprawowania w tym kunszcie żadnego nie ma przepisu, gdyż dla skąpości naonczas ludzi w zegarmistrzowskim kunszcie, jeżeli się jawny zegarmistrz w mieście Lwowie znajdował, do cechu i bractwa ślusarskiego w mieście tym zdawna będącego, należeć był obligowany i pod ordynacją kunsztowi ślusarskiemu służącą podpadać z uczniami swemi musiał, przez co trudność w terminowaniu uczniom i w wyzwoleniu onych, a przeto zamiesza-

nie między wielu kunsztami, różnicę między sobą mającymi, praktykować zwykło się«.

Pomijając jednak prawdziwą powódź słów i charakterystyczną dla czasów dawnych formalistykę, stwierdzić należy po prostu, że statut cechu zegarmistrzowskiego potwierdzony został na ratuszu lwowskim dnia 23. czerwca 1766, dwunastego września tegoż samego roku król Stanisław August ordynację tę sankcjonował osobnym dyplomem, którego oryginał znajduje się w archiwum miejskiem we Lwowie. Odtąd też rozpoczyna lwowski cech zegarmistrzowski swoje istnienie.

Zanim jednak przyszło do tej uroczystej dla czteru ówczesnych zegarmistrzów lwowskich chwili pokonać trzeba było wiele trudności i przebyć mnóstwo przedwstępnych rokowań. Hakiel z Kamińskim jeździli w tym celu aż do Warszawy, sypali pieniędzmi na wszystkie strony, zwłaszcza różnym dygnitarzom kancelaryjnym tytułem »kontentacji«. Pan Filmowicz regent otrzymał między innymi 100 złp., skóra pergaminowa na przywilej kosztowała 16 złp., wybite pieczęci majestatycznej 216 złp., oprawa przywileju 22 złp. i t. p. Jednym słowem cały »ekspens na prawa czyli przywileje y ordynacje« wyniósł 613 złp., które Hakiel i Kamiński wyłożyli z własnej kieszeni, a potem aż do roku 1772 ściągali je sobie ratami z dochodów cechowych \*).

Cała ta, przez Stanisława Augusta zatwierdzona, ordynacja cechowa wzorowana jest miejscami

---

\*) Księga ekspensy i percepccji (kodeks papierowy in folio, oprawny, znajdujący się w ladzie cechowej zegarmistrzowskiej w Archiwum miejskiem we Lwowie.

zupełnie dosłownie na ordynacji warszawskiej<sup>\*)</sup>. Również i wiele zwyczajów cechowych przyjęli zegarmistrze lwowscy od swoich zawodowych kolegów w Warszawie. Między innymi »ekspens narok cały dla czterech czeladzi konsolacji według zwyczaju konfraternji warszawskiej 10 złp.« powtarza się w księgach cechowych corocznie, drugi zwyczaj mianowicie, że każdy wyzwoleniec miał obowiązek złożyć przy wyzwolinach do lady cechowej *votum* srebrne t. z »szyld«, również jest warszawskiego pochodzenia. *Votum* to, względnie szyld, był niczem innym jak srebrną monetą współczesną, zwykle talarem, ozdobionym srebrną dekoracją, z nazwiskiem odnośnego wyzwolenca. Całość urządzoną była w formie medala do zawieszania<sup>\*\*)</sup>.

Wracając jednak do samej ordynacji, to różni się ona od warszawskiej o tyle tylko, o ile to ze względu na stosunki lokalne było niezbędnie koniecznem. Takim lokalnym przydatkiem jest między innymi postanowienie pierwszego zaraz artykułu, że mianowicie, członkiem konfraternji może być tylko zegarmistrz rzymsko katolickiej religji »albo jeżeli się trafi obrządku ruskiego z kościołem świętym rzymskim połączonego«.

Zebrawszy przepisy poszczególnych artykułów o ile one są identyczne z normami wogóle polskich zegarmistrzów obowiązującemi, spostrzegać się dają braki i niewłaściwości, na które wogóle rzemiosło współczesne chromało, obok postanowień, które ro-

---

<sup>\*)</sup> por. F. R-n: Cech zegarmistrzowski w Warszawie. Tygodnik ilustrowany r. 1892.

<sup>\*\*)</sup> Ibidem.

zwojowi jego sprzyjać w danych warunkach mogły. Nie tu jednak czas i miejsce rozbierać je ze stanowiska społecznego i ekonomicznego, a zauważyć można mimochodem tylko, że i nasza ordynacja zegarmistrzowska, jak i inne zachowały w sobie wiele dawnych przepisów cechowych, skutecznych może dla zwalczania nieuczciwej konkurencji zawodowej, ale równocześnie i takich, które chroniąc uprzywilejowanych członków cechu, wydawały konsumentów, to jest kupującą publiczność na łaskę i niełaskę monopolu.

Co natomiast podnieść należy, to większy stopień uzdolnienia fachowego, który żądano od kandydata na mistrza. Mistrzem bowiem zostać mógł taki tylko towarzysz cechowy, który odbył przepisana kilkuletnią wędrówkę po obcych miastach, następnie przez rok jeden pozostawał w pracy u mistrza lwowskiego, przyjął prawo miejskie, a wreszcie wykazał się doskonałością w zawodzie przedłożeniem zrobionej przez siebie »sztuki misternej«.

Wykazawszy przy pomocy metryki »poczcive swoje pochodzenie«, świadectwami i atestami fachowe uzdolnienie, stawał się towarzysz mistrzem kunsztu i wchodził w stosunek cechowy, po uiszczeniu nadto całego szeregu opłat cechowych, z których największa 200 złp. wynosząca, szła do skrzynki brackiej.

Mistrz kunsztu zegarmistrzowskiego we Lwowie (i indziej) miał obowiązek »zegary tak małe jak i duże, do noszenia lub stawiania, jakiegokolwiek denominacji, one porządnie robić; żeby nikt na nich żadnej nie miał się skarżyć racji«. Równocześnie



jednak, o kilka wierszy poniżej postanawia nasza ordynacja, że »nie ma jeden drugiego roboty ganić, szacować, a to pod karą pieniężną, od której przysługuje wprawdzie apelacja do »szlchetnego magi-



STARA PRACOWNIA ZEGARMISTRZOWSKA.

(Według drzeworytu Josta Ammana z dzieła „Beschreibung aller Stände“ z r. 1568).

stratu albo prezydenta«, ale apelacja ta utrudniona była kaucją, którą składać musiał apelant wnoszący odwołanie. Kaucja ta i utrudnienie apelacji, zastrzeżona w tem tylko jedynem miejscu, miała na celu wstrzymanie pieniactwa i nadanie orzeczeniom cechowym w tej jednej tylko kwestji, większej siły prawnej.

Toż samo i handel zegarami pozostawał wyłącznie w ręku cechu. Nikomu więcej nie wolno trudnić się sprzedażą zegarów jak zegarmistrzowi lub starszyźnie cechowej, wszelkie zaś inne zegarki, któreby się po za cechem znalazły w obiegu, mają być skonfiskowane a ich posiadacze, względnie sprzedawcy przytrzymani. W tym też celu, każdy zegar nosił na sobie markę cechową.

Każdy, kto po za obrębem cechu trudnił się zegarmistrzostwem, otrzymywał miano »partacza niecechowego« i »na którymkolwiek miejscu tu we Lwowie znajdować się miał i roboty zegarmistrzowskiej używać, taki niech będzie kto chce i gdziekolwiek mieszkający, wszystkie zegary i naczynia z pomocą sądu przyzwoitego tracić ma«.

O ordynację postarali się sami samoistni zegarmistrze, oni ją trudem i pieniędzmi wywalczyli, więc nic też dziwnego, że prawo cechowe to ich przywilej, to ich dobre prawo, z którego wynika tylko obowiązek innych. Stąd też niema w całej ordynacji ani jednego przepisu, któryby określał obowiązki magistrów wobec »dyscypułów« lub towarzyszy, jest natomiast ciągle mowa o obowiązkach tych ostatnich wobec magistrów, opłatach różnorodnych wnoszonych bądź to do skrzynki brackiej, bądź też przy wielu sposobnościach płaconych pisarzowi cechowemu, a nawet »serwitorowi« i t. d.

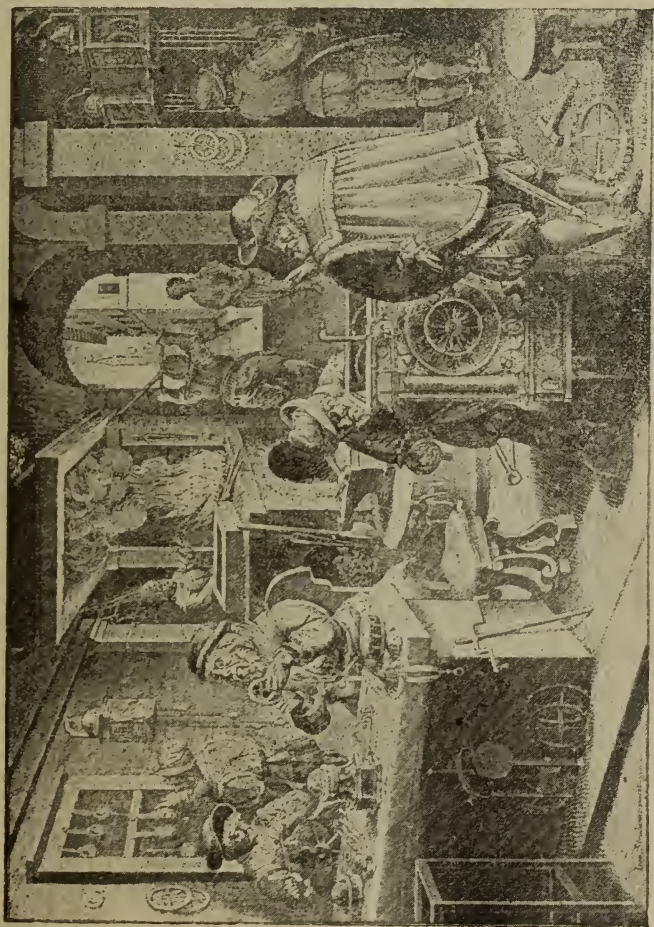
Dalsze utrudnienie i ograniczenie wstępu do zawodu stanowi postanowienie co do liczby uczniów, którą majstrowi utrzymywać wolno równocześnie. Żadnemu majstrowi nie wolno mieć więcej uczniów

jak trzech równocześnie, czwartego zaś przyjąć wolno dopiero wtedy, gdy jeden z nich już przynajmniej połowę lat swych wyterminuje.

Stosunek wreszcie robotników do pracodawcy unormowany jest z wyłączeniem tylko uwzględnieniem interesu tych ostatnich. Robotnik stosować się winien tylko do potrzeb swojego pracodawcy, jest do niego kontraktem przywiązany, a niemożnością wypowiedzenia miejsca i pracy potężnie skrupowany. »Jeżeliby który z towarzyszy — mówi przywilej zegarmistrzowski — nie miał woli u swego magistra, powinien go wcześniej o tym uwiadomić, a osobliwie w tych czasach, jak Trybunał i kontrakty lub inne zjazdy jakie publiczne bywają, ma to opowiedzieć przed zjazdem na cztery niedziele, a po zjeździe także we cztery niedziele, a po tem dwojakim obwieszczeniu przebywszy ćwierć roku u magistra wolnym dopiero będzie od kondycji«,

Prawdziwie ciernista droga żywota ścieliła się każdemu, kto dojsć pragnął do tego ideału, jakim było samoistne majsterstwo. Chłopiec przebyć musiał 7, a przynajmniej sześć lat terminu, jako »dyscypuł« terminu ciężkiego, w którym żadnych praw nie miał a wszystkie obowiązki, zdany był na łaskę i niełaskę, całkowitą samowolę swojego majstra. Znane są wypadki niehumanitarnego wprost postępowania z czeladzią i terminatorem a nie musiały być one zupełnie odosobnione tam, gdzie tylko platoniczne przykazanie boże, bez srogiej sankcji kary ludzkiej w grę wchodziło. A później kiedy już wreszcie stanął taki dyscypuł, jako »wyzwoleniec«, czekała go długa, cztery lata trwająca droga »do cu-

dzych krajów albo przynajmniej do miast stołecznych Polski wciąż wędrować« a wreszcie mnóstwo



WARSZTAT ZEGARMISTRZOWSKI W DAWNYCH CZASACH.  
(Według szkicy J. Collaerta z r. 1570).

wspomnianych już trudności u samego progu majsterstwa.

Dla jednej tylko kategorii ludzi, droga do majsterstwa w ogólnym ustroju cechowym, lżejszą była nieco, a to mianowicie, dla »synów magistrów« lub ich zięciów »co córki magistrów mieć będą za żony«. Podobnie jak wszystkie wogóle statuty cechowe, tak i nasza ordynacja postanawia, że uwolnieni są oni od połowy wszelkich opłat cechowych, które przez uczniów i towarzyszy składane być miały do skrzynki brackiej, chociaż co do jednej rzeczy, najważniejszej, byli synowie zegarmistrzów zrównani z innymi adeptami sztuki zegarmistrzowskiej, a to mianowicie pod względem wykonywania »sztuk misternych« czyli z niemiecka »majstersztyk ó w«. Tu już każdy bez względu na swoje pochodzenie ubiegać się mógł o majsterstwo, jeżeli po zadośćuczynieniu innym warunkom zrobił „jeden kieszeny zegarek ze wszelkimi należnymi rekwizytami, potym drugi do rychtowania lub polny zegarek, albo też taki, jaki panowie starsi i bracia nakażą«. Sztuka ta zrobioną być musiała w przeciągu jednego roku, jeżeliby się zaś okazała niedoskonałą lub wadliwą, to taki mniej uzdolniony lub niefortunny kandydat musiał pójść jeszcze na czas jakiś w kondycję do jednego z mistrzów.

Również uprzywilejowane było stanowisko wdowy po zegarmistrzu. Wolno jej przedewszystkiem prowadzić dalej proceder swojego męża »póki swój stan nie odmieni i za innej profesji nie pójdzie człeka«, ucznia jednak wolno jej trzymać jednego tylko »a najlepszym towarzyszem ma być opatrzo-

na, choćby gdzie indziej taki był w kondycji, ma być odebrany, a jej dany».

Z innych artykułów niniejszej ordynacji, których jest razem siedmnaście, wymienić by jeszcze można przepis »o sesjach«, które »co kwartał bywać powinny *etiam* w przytomności deputowanego».



PIECZĘĆ CECHU ZEGARMISTRZOW LWOWSKICH.  
(Z tłoku znajdującego się w Archiwum miejskiem).

od szlchetnego magistratu«. »Kłócić się« na tych sesjach niewolno, pod karą porządkową »*salva* jednak *apelatione* do szlchetnego Magistratu«. Każdy towarzysz i magister składać mają po 2 złp. kwartalnie do skrzynki brackiej na ogólne potrzeby cechowe. Co rok wreszcie na św. Macieja Apostoła.

(27 lutego) dokonać się musi wybór starszyzny cechowej, a mianowicie dwu cechmistrzów, przy czem składane być mają wszelkie rachunki, bilanse etc.

Taką jest w ogólnych zarysach treść zegarmistrzowskiej ordynacji cechowej, zatwierdzonej przez króla Stanisława Augusta. Szczegółów pod względem lokalnym ciekawych nie zawiera ona wcale, a jest raczej ogólnym szablonem cechowym, stosowanym na żądanie interesowanych w każdym poszczególnym wypadku. Na ogół zawiera ona w sobie wiele przepisów przestarzałych już nawet w tym czasie, kiedy została wydana. Nie jest to jednakowoż winą prawodawców, ale tego faktu, że ustrój cechowy, tak dobry i zbawienny w średnich wiekach i w tamtejszych warunkach gospodarczych i zarobkowych, nie postąpił od tego czasu ani na krok naprzód, nie chciał uznać ani zrozumieć nowych czasów, zwiększonego zakresu potrzeb cywilizacyjnych. Niedomagania te wszędzie zresztą uniemożliwiały rozwój rękodzieła, które ponadto z innych stron duszone, nieledwie prześladowane, nie mogło mieć w owych ciężkich i smutnych czasach tyle siły, aby własnym rozpędem rozerwać krępujące je pęta, aby nie dozwolić na dyktowanie sobie praw, lecz stanąć tak silnie, aby samo mogło sobie prawa postanawiać.

Ale mimo wszystko, miała ordynacja niniejsza dla zegarmistrzów lwowskich bardzo doniosłe znaczenie. Wyemancypowani z pod wpływu innych rzemiosł pokrewnych stają zegarmistrze lwowscy samodzielnie, wytwarzają zwarte grono ludzi, które

bez przeszkód i trudności w swoim zawodzie wydoskonalać się mogło.

A to pierwsze pokolenie cechowych zegarmistrzów lwowskich, sądząc po nielicznych wyrobach, które po dziś dzień się jeszcze przechowały, stanowić mogło jak najświetniejszy zawiązek na przyszłość. Robili rzeczy dobre i ładne, własnymi siłami i środkami, dbali o artystyczne prawie przyozdobienie dzieł swojej pracy, tak że tych kilka zegarów, które pozostały, dziś jeszcze za młode aby mieć wartość archeologiczną, stanowią jednak prawdziwe okazy muzealne, a wartością swą wchodzą już po trosze w zakres przemysłu artystycznego.

Szkoda tylko, że emancypacja owa i usamodzielnienie zegarmistrzów lwowskich dokonało się już po niewczasie — zapóźno. Zbyt prędko niestety przyszły nowe czasy i nowi ludzie, przynosząc ze sobą nowy kurs, który ze samodzielności zrezygnował, a wzorów i gotowych wyrobów tam szukać począł, gdzie ich jak najmniej szukać należało, już choćby z tej przyczyny, że żadnych tam naśladowania godnych wzorów nie było.

Zmiana stosunków gospodarczych i ekonomicznych, która się dokonała w ostatnim stuleciu, wroga polityka rządu austriackiego, fatalne wpływy obce, doprowadziły jak tyle innych rzeczy, tak i lwowskie zegarmistrzowstwo do tego stanu, że zegar na wieży ratuszowej lwowskiej, ten na który obecnie patrzymy, po tylu wiekach jest pierwszym, który nie został u nas na miejscu zrobiony, że u nas zegarek krajowego wyrobu stał się prawdziwą rzadkością, białym krukiem wśród obcego zalewu.



Praca i ekspens tych pierwszych lwowskich magistrów kunsztu zegarmistrzowskiego poszły na marne. A jednak mimo wszystko postacie ich pociągają jakoś ku sobie, wielkiem zamięłowaniem swego zawodu, a może także i dla tego potrosze, że to już ostatnie szczątki dawnego mieszczaństwa lwowskiego — ostatni czterdziestomężowie na lwowskim ratuszu.

Jak już wyżej kilkakrotnie wspominaliśmy, rozwój sztuki zegarmistrzowskiej we Lwowie jest analogiczny do stosunków, które w tym względzie panowały w innych miastach Rzeczypospolitej. I tak, w Warszawie tworzą zegarmistrze wspólny cech ze ślusarzami, puszkarzami, igielnikami, szpadnikami i nożownikami aż do roku 1751, kiedy to założono osobny cech zegarmistrzowski, w Poznaniu tworzą zegarmistrze wspólny cech ze ślusarzami aż do początków ośmnastego wieku, w Krakowie połączeni są razem z kowalami, ślusarzami, ostrożnikami, pancernikami i gwoździarzami aż do utworzenia osobnego cechu, co nastąpiło dopiero w r. 1797. Tak samo miała się rzecz w Wilnie 1610 i innych większych miastach polskich.

Tak jak jednakowym był rozwój stosunków cechowych, tak samo jednakim był wszędzie poziom zegarmistrzostwa polskiego. Okazuje się to najlepiej przez porównanie sztuk cechowych, które wykonywać musieli zegarmistrze, ubiegający się o majsterstwo w swoim zawodzie. Przytoczyliśmy wyżej sztuki majsterskie dla »większych« i »małych« zegarmistrzów lwowskich, które im przepisała ordynacja cechowa z roku 1671. Otóż równocześnie

w Krakowie, towarzysz chcący zostać majstrem, wykonać musiał »zegar wysoki kwatery i godziny, na cały zegar i półzegarze wybijający, któryby miesiące, 7 planet i 12 znaków niebieskich pokazywał«. W Warszawie znowu, towarzysz chcący zostać majstrem robił »zegar, któryby bił kwatery i także półzegarze«. W Poznaniu wreszcie według statutu z r. 1655 »towarzysz chcący zostać mistrzem musiał zrobić zegar stołowy cały i półzegarze w sobie zamykający, bijący godziny i kwadranse pokazujący«.

Inne nieco »sztuki misterne« przepisały ordynacje cechowe z ośmnastego wieku. We Lwowie, według przywileju cechowego z r. 1766 ubiegający się o majsterstwo robić miał, jak wiadomo, jeden kieszenny zegarek, ze wszelkimi należnemi rekwizytami, po tym drugi do rychtowania, lub polny zegarek, albo też taki, jaki panowie starsi i bracia nakazą. Prawie takie samo postanowienie zawiera i ordynacja cechowa warszawska z r. 1751, na której wzorował się miejscami dosłownie statut lwowski.

Przywilej z r. 1766 srogo odbił się na skórze tych wszystkich, którym dostęp do cechu ze względów wyznaniowych i innych był zamknięty. Zaraz bowiem po ostatecznem unormowaniu stosunków zegarmistrzowskich, po zakupnie lady cechowej, pieczętki i założeniu dwu ksiąg rachunkowych wziął się nowy cech przede wszystkim do wytępienia partactwa. Jak wiadomo każdy, który nie mógł czy nie chciał należeć do cechu, a trudnił się rzemiosłem, był partaczem.

Nie wiele co, prawda było wówczas we Lwowie partaczy. W mieście do szczytu zubożałem i wyniszczonem nie było potrzeba wiele zegarów, ale cech zegarmistrzowski z taką mocą, energją a nawet powiedzieć by można zaciekłością zabrał się do owych nieszczęśliwych partaczy, równocześnie zaś tyle przy tem wszystkiem rozwinął pieniactwa, że budzi się nawet mimowoli pewne uczucie litości dla tych nieszczęsnych.

Pierwszym, który poczuł na sobie całą grozę wyłączności cechowej i nowej ordynacji był »niewierny« Szender (Aleksander) Gerszonowicz, obywatel lwowski, były kuśnierz, który mieszkał na przedmieściu krakowskiem. Imał się on zegarmistrzostwa pokątnego i porzucić go przez lat kilka, mimo wszystkie prześladowania nie chciał. Spór jego i procesy z zegarmistrzami lwowskimi były bardzo namiętne i prowadzone po obu stronach z niesłychaną zaciętością i uporem, tak, że nie będzie może od rzeczy przytoczyć je tu dla charakterystyki, w główniejszych przynajmniej zarysach.

»Sprawa między niewiernym Szenderem Gerszonowiczem« rozpoczęła się w r. 1776, kiedy to ówczesni lwowscy zegarmistrzowie Antoni Kamiński, Marquand i Sokołowski przy pomocy wynajętych ludzi wpadli do domu Gerszonowicza, aresztowali go nieprawnie, osadzili w prywatnem więzieniu i wymusili na nim wreszcie podpis, że więcej naprawiać zegarków nie będzie. W odpowiedzi na to założył Gerszonowicz, wyszedłszy po dwu tygodniach z więzienia, uroczysty protest na niższym Zamku, oskarżając wymienionych wyżej trzech ze-

garmistrzów o gwałt publiczny na swojej osobie popełniony i o zwrot bezprawnie mu zabranych zegarków.

Protest ten w urzędzie grodzkim odniósł, jak się zdaje, pożądaną dla Gerszonowicza skuteczną i zegarmistrze sprawę przegrali, mimo, iż pilnie koło niej chodzili, trafiając darami tytułem »kontentacji« aż do samego ówczesnego »directora Policji«.

W roku więc 1779 wnoszą zegarmistrze »notę«, rodzaj rekursu do magistratu, która miała ten skutek, że na ustnym terminie Gerszonowicz, jak się zdaje przyparty do muru, złożył oświadczenie, że partaczyć przestanie, a co więcej, że się ze Lwowa wyniesie. Nic mu jednak to oświadczenie nie pomogło, bo ostatecznie po długich zachodach i po kilku jeszcze notach wydał magistrat dekret, nakazujący ponowne odebranie Gerszonowiczowi zegarków i zakazujący mu pod karą dalszego wykonywania rzemiosła.

Z wielką pompą i uroczystością ogłosili zegarmistrze swoje zwycięstwo nawet na ulicach Lwowa. Czytamy bowiem w »ekspensach«, że »od publikowania bez trąbę i woźnemu za dwa razy wywołanie (dekretu owego) dało się 5 złp.« Zabrano również skazanemu partaczowi zegarki i wszystkie przybory zegarmistrzowskie. Nędzny był to warsztat i nędzne musiał przynosić właścicielowi dochody, bo ze spisu skonfiskowanych rzeczy wynika, że znaleziono tam same tylko rupiecie bezwartościowe, jak między innymi »zygarek bez kluby, indeksu i weizera«, »zygarek stary bez perpendykułów«, »zygar drewniany z kwadransami nic wart«, »łań-

cuszków sześć pektoralikowych«, »instrumenta wszystkie nic warte« itp

Zdawałoby się więc, że niewierny Szender Gerszonowicz został raz na zawsze zniszczony i pokonany. Mimo to jednak nie dał on wcale za wygraną i rzemiosło dalej pokątnie prowadził, gdyż w księdze cechowej pod rokiem 1782 spotykamy nowy »ekspens za napisanie noty do dyskryktu względem partacza żyda Gerszona«. Zaczął się proces na nowo, przedsięwzięto w mieszkaniu jego ponowną rewizję w obecności instygatora i dwóch sług miejskich, »co do aresztu onego wzięli«. Na tem urywa się dalszy ślad walki z Gerszonem — jaki zaś był jej koniec, nietrudno wywnioskować.

Zaledwie jednak zakończyła się ta sprawa, pojawia się na bruku lwowskim drugi partacz żyd Lewek Eizyk złotnik. Udowodniono mu, że przeciwno zakazowi przyjął »zegarek katolicki do reparacji i zgodził się za 4 złp. 16 gs.« Wobec tego przewinienia zainicjowali lwowscy zegarmistrze ponowną akcję, której rezultatem była konfiskata zegarków Lewkowi przez woźnych i żołnierzy. Postarał się również cech o pozbawienie Eizyka Lewka pomocników przemysłowych, każąc aresztować pewnego terminatora za to, że zbiegł rzekomo od swojego majstra »powłóczył się i u owego Lewka robił«.

Trzecim partaczem był jakiś ksiądz ekstryktarz. W celi swojej zakonnej badał, może nawet z nudów, tajemnicę mechanizmu zegarowego, nie przypuszczając pewnie, że to będzie kiedyś jedyny dla niego środek do życia. Przyszła kasata zakonu,

która spokojnego mnicha wytrąciła z życia jego koleji, z zacisznej celi na świat burzliwy. Więc żeby z głodu nie umrzeć, chwycił się pracy godziwej. Naprawiał ludziom zegarki tak długo, dopóki go nie dostrzegło zazdrosne oko argusów cechowych. I zaraz w księdze cechowej pojawia się notatka: »względem doświadczenia księdza ekstrynitarza, że reperował zegarki różnym ludziom za pieniądze, był wokowany do Pana Prezydenta« i otrzymał surowy zakaz nie czynienia tego więcej.

Po za tym wojowniczym więcej charakterem cechu zegarmistrzowskiego, leżało szerokie pole pracy ekonomicznej i społecznej. Ale życie stamtąd coraz szybszem tempem uciekało, chowając się po za kilka utartych, sakramentalnych nieledwie formułek.

Do cechu lwowskiego należeli też zegarmistrze prowincjonalni, których w chwili założenia cechu nie było zbyt wielu. I tak w Brodach żył Franciszek Rudnicki, w Tarnowie Kamienobrodzki, ponadto posiadał zegarmistrzów Przemyśl, Jarosław i Oleszyce. Wszyscy oni jako »konfratrowie« podlegali tym samym prawom i mieli te same przywileje, podobne zresztą do innych cechów. Liczba ich nie przekraczała nigdy 10, przez cały zaś ciąg swojego istnienia aż do końca wieku XVIII wyzwolił cech lwowski 24 czeladników. Każdy z nich składał przy wyzwolinach, jak to już wyżej wspomniano, do lady cechowej t. z. votum, czyli »szildtalar cechowy«, krócej szyldem zwany. Były to przeważnie monety ozdobione srebrną dekoracją, z nazwiskiem odnośnego wyzwolenca. Całość urządo-

na była w formie medalu do zawieszania. W roku 1802 »z decyzji całej konfraterni szyldy, których było wszystkich sztuk 24 sprzedane zostali do mennicy za złp. 104 gr. 18« a w ten sposób znikła ta piękna pamiątka cechowa.

O ciekawych tajemnicach warsztatów zegarmistrzowskich z końcem XVIII wieku pouczają dwa rozporządzenia rządowe, pomieszczone w zbiorze t. z. »Pilleriana«.

Pierwsze z nich z 1 maja 1788 pod tytułem „iż pomniejsze sztuczki do zegarków za opłatą zmniejszonego cła z zagranicy sprowadzone być mogą“, wskazuje na to, że wyroby zegarmistrzowskie z firmą miejscową tak rozumieć należy, że poszczególne części sprowadzane były z zagranicy, a na miejscu tylko w całość składane.

»Najjaśniejszy Monarcha — czytamy bowiem we wspomnianem rozporządzeniu — mocą przysłanego Nadwornego dekretu aż do dalszego dziedzi-cznych krajach rozkrzewienia fabryk robiących sztuczki, z których zegarki składane bywają, postanowić raczył:

»Nayprzód iż sprowadzenie angielskiej gładkiej i trybowanej stali, jako też i stalowej blachy do zegarków potrzebnej, za opłatą cła 3 kr. od wartości złr. reńskiego,

»powtóre iż przywóz sprężyn, łańcuszków i włosków stalowych do perpendykułu służących, spiralem zwanych za opłatą cła 6 kr. od wartości 1 złr.

»potrzebie sprowadzenie szmelcowanych cyferblatów do kieszonkowych zegarków w głównych

składach za opłatą cła 12 kr. od wartości 1 zlr. powszechnie dozwolone zostaje.

»Przeciwnie zaś, że co się tyczy sprowadzenia szmelcowych cyferblatów do wielkich zegarów, jako też i innych sztuk do zegarków potrzebnych, zakaz w tej mierze wydany w swojej dzielnicy tym kształtem zostawać ma, iż one nie inaczej tylko za paszportami i za opłatą 36 kr. od wartości 1 zlr. z zagranicy sprowadzone być mogą«.

Inne rozporządzenie z 6 grudnia 1793 »względem sztychowania imienia na zegarkach« rzuca brzydkie światło na niektórych zegarmistrzów, strojących się w cudze piórka. Czytamy bowiem:

„Z powodu zaszyłych zażaleń od zegarmistrzów wiedeńskich, że częstokroć na podłych zegarkach, których oni nie robią, ich imiona sztychowane bywają, a stąd onymże znaczny uszczerbek w ich reputacji wynika — Najjaśniejszy Majestat mocą najwyższego Nadwornego wypadłego wyroku najłaskawiej rozporządzić raczył, iż gdyby kto ważył się imię żyjącego jeszcze tutejszo krajowego zegarmistrza, na jakimym zegarku, którego on nie robił sam sztychować, lub sztychować kazał, takowy postępek za oszukanie osądzony, przestępca zaś stosownie do prawa ukarany będzie“.

Zresztą zajmował się rząd austriacki zegarmistrzami raz jeszcze, a to mianowicie w r. 1842, w którym ogłosił zegarmistrzowstwo za »profesję komercyjną, zależącą od uprawnienia« z tem jednakże zastrzeżeniem, że gdzie zegarmistrzowstwo jako wolne zatrudnienie uznane zostało — tam i dalej



zegarmistrzowie bez przeszkody i bez koncesji sztukę swoją wykonywać mogą.

Tak trwało aż do r. 1887, kiedy w myśl ustawy przemysłowej, cech zamienił się w stowarzyszenie przemysłowe. W tej chwili ważnej dla dalszego rozwoju rzemiosła, pracowało w zawodzie zegarmistrzowskim 104 osób a mianowicie 35 mistrzów, 42. czeladników i 27 uczniów.





### III.

#### ZEGARY LWOWSKIE.

Zegar ratuszowy. Pierwsza wzmianka o zegarze na lwowskiej wieży ratuszowej pochodzi z r. 1404, od tego też czasu księgi miejskie pilnie notują każdy wydatek na zegarmistrza, którego pieczy powierzony był ów główny miernik czasu lwowskiego. Miasto nie mogło się obyć bez zegara, więc pilnowało go jak oka w głowie, nie szczędząc pieniędzy i starań, a stąd historia lwowskiego zegara ratuszowego da się odtworzyć z całą dokładnością. Zebrane z aktów miejskich szczegóły ogłosiliśmy już w pracy o ratuszu lwowskim i tam też ciekawego czytelnika odsyłamy, podając tu tylko najważniejsze\*). W czasie przebudowy ratusza i wieży przy końcu wieku XV. za panowania Jana Olbrachta, zawieszono na niej w r. 1491 dzwon zegarowy wagi 11 centnarów, odlany przez Macieja konwisarza, według formy sporządzonej przez pu-szkarza Walentego, zapomocą którego ręcznie wybijano godziny dopóki wspomniany już poprzednio mnich Grzegorz nie zbudował nowego zegaru, który

---

\*) F. Jaworski: Ratusz lwowski. Lwów 1907.

też znalazł się na wieży w r. 1504. Zwyczajem średniowiecznym zegar musiał być jak najbardziej ozdobny i dlatego miasto ugodziło się z Janem malarzem, który za cztery czerwone złote podjął się zegar pomalować i odpowiednio a całkowicie przyozdobić. Olbrzymia na owe czasy suma honorarjum malarskiego dowodzi, że i malowidło musiało być odpowiednio bogate. Ponieważ zaś miasto nie całkiem dowierzało artyście, przeto porękę za pilne, sumienne i punktualne wykonanie roboty przyjął na siebie Jan Gielitowski obywatel lwowski. Ten to zegar nazywa Zimorowicz w swojej kronice krótko zegarem automatycznym wybijającym godziny.

Po wielkim pożarze, który w r. 1527 obrócił w perzynę cały Lwów prawie, zegar na wieży ratuszowej, jakkolwiek mocno zdezelowany, ocalał. Okazała się jednak potrzeba gruntownej reparacji tak samo jak i całego szczytu wieży. Tę ostatnią wykonał architekt i rzeźbiarz w jednej osobie, niejaki Łukasz, malowidła zaś na tarczy zegarowej i »palce indeksów« odnowił braciszek z zakonu Dominikanów Aleksy, za wynagrodzeniem 1 fl. 6 gr.

W dwadzieścia lat później znowu restaurowano zegar ratuszowy, dając mu nowe liny, nowe ciężary z kamienia, skrzydła płócienne do mechanizmu itd. Stolarz Szymon zrobił nowe wskazówki oraz tarczę, na której obok cyfr godzinnych wyrysowany był także bieg słońca i księżyca, inne ozdoby w cenie 22 groszy wykonał zegarmistrz wraz z swoim pomocnikiem, a Augustyn malarz, syn Błażeja Porucznika z Kamieńca podolskiego otrzymał za malowidła i za posrebrzenie tarczy zegarowej 6 fl. i 3 gr.

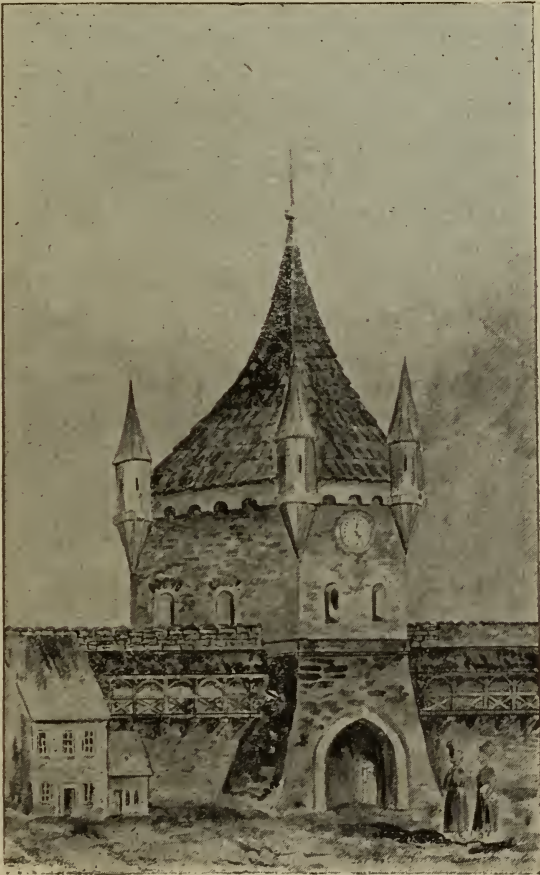
Nowy pożar w r. 1571 zniszczył doszczętnie, z takim trudem i kosztem odnowione, dzieło. Przywołany po pożarze z Przemyśla zegarmistrz Baltazar Słowik uznał, że stary zegar jest już kompletnie do niczego. Zdjęto go więc z wieży osadzając na niej tymczasowo zegar z bramy halickiej, a mistrz Melchior Thyl ze Śląska zabrał się natychmiast do roboty nowego zegara za cenę 220 fl., przyczem wszystkie koszta materiału miało ponieść miasto. Robota trwała przeszło dwa lata, a po jej ukończeniu uznał, znowu z Przemyśla przywołany, Baltazar Słowik, że wypadła całkiem dobrze, tak że w r. 1574 zegar siedział już na wieży. Dodano jeszcze potem osobno dzwon do wybijania kwadransów za 37 fl., krzyż wielki żelazny, na którym osadzone były wskazówki, nowe ciężary, dwie liny 36 sążni długie, które, specjalnie wynajęty, chłopak wysmarował łojem i tłuszczem, a potem nastąpiła cała seria artystycznych wydatków: Pawłowi murarzowi za wykowanie tablic zegarowych po wszystkich stronach wieży ratusznej 30 fl., Wojciechowi malarzowi za wymalowanie tychże tablic czterech 34 fl., za miedź i pozłocenie indeksów 8 fl. itd. Temu to zegarowi poświęcił Sebastjan Klonowicz kilka wierszy w swojej Roksolanii.

Z początkiem siedemnastego wieku odnową ratusza i zegara zajął się bardzo gorliwie słynny rajca i burmistrz lwowski Marcin Kampian. Reparację tego ostatniego i przyozdobienie wykonał zegarmistrz Sebastjan Szwaynowski, robota jego nie była jednak zbyt trwałą, bo już w roku 1641 pracowali koło zegaru malarze i murarze, ci ostatni restaurując aniołki gipsowe, otaczające tarczę zegarową.

Odtąd wybijał zegar ratuszowy dla miasta same tylko nieszczęsne godziny lub milknął w czasie wielkich katastrof wojennych, które od połowy siedemnastego wieku nieprzestannie prawie nawiedzały Lwów. Nowy mechanizm sprawiono w r. 1721, ten zaś ustąpił w roku 1788 miejsca zegarowi kupionemu przez miasto okazyjnie, z wieży kościoła Jezuitów po kasacie tegoż zakonu, który to zegar rozbił się razem z wieżą ratuszową, w czasie jej zawalenia się w r. 1826.

Na nowo zbudowanej wieży osadzono zegar sprowadzony z Wiednia, a wykonany w warsztatach tamtejszego instytutu politechnicznego. Urządzenie i mechanizm wieży zegarowej wywołały podziw w ówczesnym lwowskim świecie naukowym. Uregulowaniem jego zajął się profesor Stampfer, a wyczerpujący artykuł w czasopiśmie »Mnemozyne« z r. 1837, pióra profesora matematyki Straszničky'ego dawał profanom wyobrażenie o tym cudzie współczesnej mechaniki. Funkcjonował on jednak tylko lat jedenaście, to jest do bombardacji Lwowa przez Hammersteina w r. 1848, kiedy to spłonął razem ze szczytem wieży. Po jej odbudowaniu w r. 1851 osadzono na niej nowy zegar z fabryki Wilhelma Stiehle pod Wiedniem, który do dnia dzisiejszego pełni swoją służbę.

Zegar na Bramie halickiej. W czasach dobrobytu i świetności utrzymywało miasto drugi jeszcze zegar wieżowy, umieszczony na wieży, unoszącej się nad bramą halicką. Brama ta cieszyła się zawsze specjalną opieką urzędu radzieckiego, który dbał o jej przyozdobienie, urządzenie, a zarazem



BRAMA HALICKA Z ZEGAREM  
(odtworzył według dawnych planów i opisów Fr. Kowaliszyn).

praktyczne zastosowanie do potrzeb miejskich. Po wielkim pożarze, który w r. 1572 nawiedził Lwów akta radzieckie z żalem się wyrażają o spłonięciu wieży nad bramą, bardzo kunsztownie i wielkim kosztem wzniesionej (*fabre et sumptuose elevata*). Największą zaś jej ozdobą był zegar wieżowy, osadzony na wieży w r. 1549, mniejszą zapewne więzienie miejskie, które się mieściło tuż pod zegarem, a najmniejszą chyba kramy i budy, tak w samej bramie jakoteż i za bramą w fosie miejskiej się znajdujące.

Zegar na bramie halickiej sporządzony został przez gwardjana Bernardynów, syna mieszczanki lwowskiej Stancel Hazowy. Tak przynajmniej sądzić trzeba ze wzmianki, zawartej w t. z. »Kronice Alembekowskiej« w Archiwum miejskiem, gdzie zapisano, że urząd radziecki obdarzył wspomnianego gwardjana dwoma garcami małmazji za staranie i trud (*cura et opera*) około zegara na wieży halickiej. Równocześnie w tym roku (1549) wyciągnięto dzwon zegarowy na wieżę, zbudowano komorę na pomieszczenie zegara, a zegarmistrzowi miejskiemu, który odtąd miał obowiązek regulować i uakręcać oba zegary, podwyższono płacę do 12 gr. na tydzień, a później nawet do gr. 15.

W r. 1561 wspomniany już kilkakrotnie przedtem Baltazar Słowik, zegarmistrz z Przemyśla, który przyjął prawo miejskie we Lwowie zrobił nowy zegar na wieżę halicką, ogólnym kosztem 70 złp. Miasto wyznaczyło i urządziło mu warsztat w bramie krakowskiej. Po dokonaniu dzieła wrócił Baltazar z powrotem do Przemyśla, a jego zegar przeniesiony został prowizorycznie na wieżę ratuszową,

gdzie pozostawał aż do r. 1574, dopóki Melchior Thyl nie skończył budowy nowego zegara ratuszowego.

Większej restauracji, wraz z pewnem przyozdobieniem zegara na bramie halickiej dokonano w latach 1638 i 1639, kiedy to zegarmistrzowi wypłacono za naprawienie 40 złp., »kowałowi od koła indeksowego, które u niego zegarmistrz z czeladzią dwa dni robili 2 złp.« Stolarz sporządził tablicę, „na olej i farbowanie tejże tablicy i indeksów“ wydano 1 złp. 9 gr., poczem ją murarz wprawił na wieżę, a kował przybił sześciu hakami i pół kopą gwoździ.

Z tem wszyskciem jednakowoż »zegar halicki« rychło poszedł w zaniedbanie. W r. 1644 kontrola gospodarki miejskiej (*decemwiri ad audiendas rationes*) prosi w „exorbitancji“ ażeby zegarmistrze miejscy »zygar na bramie halickiej rozebrali i naprawili, gdyż wzięli *ad rationem* 20 złp.«, komisarze zaś, którzy w r. 1636 dokonali rewizji baszt miejskich, nie mogli znaleźć nawet kluczków do komory zegarowej. Czytamy bowiem w sprawozdaniu o stanie wieży halickiej: »Dzwon tamże zegarowy z młotem, a do kół zegarowych o kluczu nie mogliśmy się dowiedzieć, tylko udawali, że lepak jeden ma mieć klucz, a nie wiedzieć który. Koła te widać, iż pordzewiały, a śmiecia tam pełno«.

To jest ostatnia wzmianka o zegarze na wieży bramy halickiej.

Inne zegary wieżowe: a) zegar wieżowy u Jezuitów. Ulryk Verdum, który podróżował po Polsce w latach 1670—1672 wspomina, że Jezuici na kościele swoim posiadali zegar »niemie-



cki, jak go tu na miejscu zowią«, który tylko dwa-  
naście godzin bije i wskazuje, podczas gdy wszyst-  
kie inne dzwony biją dwadzieścia cztery godziny.  
Wynika z tego, że Jezuici wprowadzili we Lwowie  
pierwsi dzisiejszą rachubę czasu. Podczas wielkiej  
restauracji kościoła w wieku XVIII, wyprowadzono  
wieżę wysoką, a na niej w r. 1756 osadzono zegar  
»z wielką wygodą dla miasta i studentów«. Po ka-  
sacie zakonu Jezuitów zegar, który pozostał na o-  
pustoszonej kościele odkupiło miasto w r. 1788 i  
osadziło go na wieży ratuszowej. W r. 1830 znie-  
siono i wieżę kościoła Jezuitów, z obawy aby ją  
taki sam los nie spotkał, jak przed kilku laty wieżę  
ratuszową. b) Zegar na kościele Karmelitów  
trzewikow ych. Karmelici trzewikowi, którzy  
posiadali dawniej swój klasztor i kościół przy ulicy  
Halickiej, gdzie dziś sąd karny i gimnazjum Fran-  
ciszka Józefa, otrzymali w połowie ośmnastego wie-  
ku zegar wieżowy, który im zafundowała Joanna  
z Bethumów Jabłonowska. Zegar ten wraz z wieżą  
i dzwonami spłonął w r. 1769 w czasie napadu  
Konfederatów barskich na Lwów. c) Zegar u  
Bernardynów powstał za przeoratu ks. Wenan-  
tego Tyszkowskiego w r. 1753. W r. 1785, po wy-  
pędzeniu Bernardynów z ich siedziby, zegar znisz-  
czał razem z wieżą, która stanowiła mieszkanie dla  
ptactwa i kryjówkę dla kilku braciszków zakonnych,  
którzy się tam ukrywali, czekając lepszych czasów  
dla swego zakonu. W r. 1817 za powrotem Ber-  
nardynów, został i zegar zrestaurowany, a po za-  
waleniu się wieży ratuszowej, był jedynym zegarem  
wieżowym we Lwowie. Wtedy to »stary i niedo-

łęźny» zegar zrestaurowano na nowo, przyczem powstała kwestja, kto ma utrzymywać zegar, gdyż konwent Bernardynów opierał się, twierdząc, że zegar służy miastu i miasto opłacać powinno zegarmistrza do niego. Według opowiadania, zmarłego przed paru laty, zegarmistrza śp. Józefa Weisa był ów zegar bardzo starej konstrukcji, tak, że przed laty około 25, gdy się okazała potrzeba zrestaurowania go, żaden z lwowskich zegarmistrzów nie chciał się podjąć tej roboty. Wysłano go więc do Pragi, skąd powrócił tak dobrze zregulowany, że przez długi czas szedł dokładnie, wyprzedzając zegar ratuszowy o pięć minut. Była to po części także zasługa pewnego starego braciszka od Bernardynów, który zegar ów formalnie pokochał do tego stopnia, że nawet strzępami własnego habitu zatykał dziury i szpary na wieży, aby najmniejszy nawet powiew wiatru nie zaszkodził.

Dwa inne istniejące dziś zegary wieżowe, są zupełnie nowego pochodzenia. Zegar na kościele św. Anny ustawiono w r. 1862 w czasie restauracji tegoż kościoła, zegar zaś na kościele Marji Magdaleny przed 20 laty.

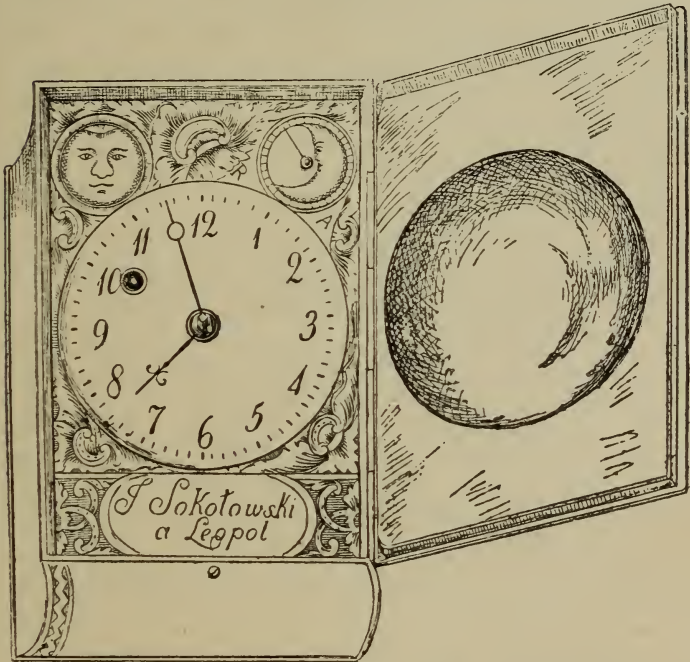
Zegary d o m o w e. O stopniu wykształcenia sztuki zegarmistrzowskiej w starym Lwowie mogłyby dać wyobrażenie tylko jej zabytki, gdyby się były dochowały. Niestety, z wyjątkiem nielicznych okazów z końca ośmnastego wieku, nie mamy żadnych widomych śladów zegarmistrzowstwa, z wyjątkiem luźnych wzmianek archiwalnych, zwłaszcza w inwentarzach spadkowych, opisujących, co ciekawsze zegary w masie spadkowej pozostałe.

Zresztą obok zegarów mechanicznych przez długie lata były w powszechnem używaniu klepsydry, zegary piaszczyste lub wodne. Jeszcze w siedemnastym wieku inwentarze kramów kupieckich zawierają »zegarki ciekące«, zaliczane do towarów norymberskich. W samym ratuszu godziny urzędowe dla podpisów liczyły się według klepsydry, oprócz zaś mniejszych był także »wielki piaszczysty zegar ratuszny«, za którego poprawę wyliczono w r. 1590 jakiemuś Bernardynowi 20 gr.

Oprócz jednak i obok tych »zegarków ciekących« używano na ratuszu i zegarów mechanicznych już od połowy szesnastego wieku. W r. 1551 sprawiono z funduszów miejskich strunę do zegara ręcznego (*horologium manuale*), który w innym miejscu nazwany jest »zegarkiem spiżowym« (*horologium aeneum*).

Nie ulega wątpliwości, że zegary te robione były we Lwowie, tembardziej, że wielu zegarmistrzów, otrzymawszy godność majstrów cechowych, ofiarowywało zegary zrobione przez siebie w dowód uzdolnienia (majstersztyki) na ratusz. Tak uczynił w r. 1580 zegarmistrz Szymon Sokołowski, któremu »za zygar nowy pozłocisty, z półzegarzem i kwadrantami, jako za sztukę przezeń zrobiony i panom do izby na ratusz oddany« dano tytułem »kontentaciy« 15 złp. Widocznie był to zegar większej wartości, skoro natychmiast sprawiono mu »skrzynię od prochu«. W r. 1603 znowu Błażej Kozarski zegarmistrz z Kamieńca podolskiego, za otrzymanie prawa miejskiego we Lwowie, darował do izby radnej zegar, na którego pozłocenie dano mu cztery czerwone złote.

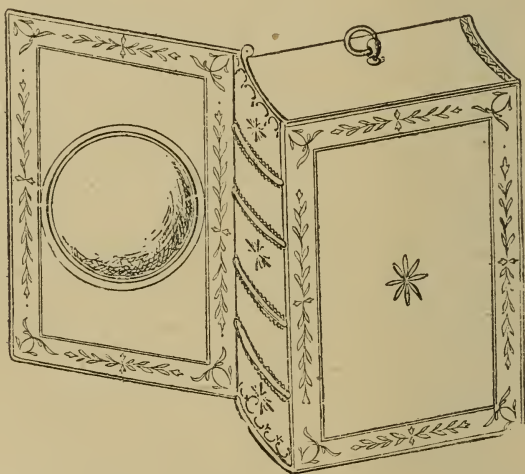
Trudniej już oznaczyć proveniencję zegarów, których opisy trafiają się tu i ówdzie po inwentarzach spadkowych. Co ciekawsze z nich wyliczył już Władysław Łoziński w „Patrycjacie“ (str. 214) np. zegar okrągły płaski, na którym siedm planet wyrzytych w około; zegarek w ośmiograniach, na



Zegarek kieszonkowy lwowskiej roboty z XVIII. w. (strona przednia.)

których są główki na kształt koników miedziane, posrebrzane; zegarek czworograniasty, podługowaty, na którym jest piesek zegarek okrągły, gładki z czterma herbami, piąty herb z krzyżem i rybą; zegarek okrągły pozłocisty, na którym twarze bo-

giń pogańskich są wryte; zegar mosiężowy pozłocisty, wyrabiany w gryfy na nóżkach żelaznych z blachą; zegar okrągły, niewielki, na którego głowie są trzy głowy cesarzów, a na spodku osoba jakaś; zegar na kształt ołtarzyka w hebanie czarnym; zegar w żelaznej blasze, na której namalowane są *virtutes*; zegar, na którym żyd stojący, pozłocisty, na talmudzie przez okulary czytający, w pantoflach itp. Wogóle zamiłowanie do zegarów w czasach świetności patrycjatu lwowskiego było znaczne.



Zegarek kieszonkowy lwowskiej roboty z XVIII. w. (strona tylna.)

Po takim naprzykład Janie Alembeku pozostało w spadku aż sześć zegarów, a między nimi jeden, »na którym koń pozłocisty, a na nim chłop siedzi«. Bartłomiej Zimorowicz posiadał 5 zegarków różnych etc.

Nie wszystkie te zegary były zapewne we Lwowie wyrabiane, tembardziej, że i w okolicy

kwitła sztuka zegarmistrzowska, a ustawiczne stosunki handlowe z Gdańskiem, pozwalały na sprowadzanie tego rodzaju luksusowych wyrobów. Między innymi także była w Przemysłu kolonia zdolnych zegarmistrzów, z których jeden, wspomniany już Baltazar Słowik pracował we Lwowie, drugi, ojciec jego Paweł Słowik wyjeżdżał aż do Warszawy, dla zrobienia zegaru na wieży tamtejszego ratusza, w Podhorcach pracował w połowie siedemnastego wieku zegarmistrz Paweł Dobrostański, którego wyrobu zegarek, niepośledniej artystycznej wartości posiada miejskie muzeum przemysłowe we Lwowie, Paweł zegarmistrz z Krosna osiadł w r. 1460 we Lwowie, toż samo w r. 1580 wspomniany już przedtem Grzegorz Grabiński, Błażej Kozarski z Kamieńca. Wyrabiano też zegary w Bieczu, Jarosławiu i innych miejscowościach.

Nie więcej też wiadomości o lwowskich wyrobach zegarmistrzowskich posiadamy w wieku ośmnastym. Obok już wymienionych wyrobów Jana Kamińskiego, jego syna Antoniego, Stanisława Skarzyńskiego, Jana Hackla, z końca ośmnastego wieku trafiają się jeszcze tu i ówdzie we Lwowie zegary z firmą Ignacego i Jana Kocha, Stanisława Dąbrowskiego, Robertsa i innych.



VIII.

AUTOR, DRUKARZ i NAKŁADCA.



## OCIEMNIAŁY CHWALCA.

(Wspominek pseudoliteracki).

Na »Jagiellońskim Helikonie« siedział przez spory szmat wieku siedmnastego ślepiec i... śpiewał. Ludzie się żenili i marli, a ślepiec im śpiewał. Ponad Wawelem szły chmury i rozgorzałe słońce świeciło wielkim tryufmalnym pochodom, w groby królewskie szedł kanonik Starowolski z Gustawem Adolfem, wjeżdżał tu uroczyście i Jan Kazimierz, Michał Korybut i Jan Sobieski wśród mistycznych blasków obrońcy chrześcijaństwa. Działy się rzeczy wielkie i małe, a śpiewał im wszystkim..... Stanisław Józef Bieżanowski.

Panegirysta. On nie widział tego życia, co w okół i w samej nawet Akademji krakowskiej rozpryskiwało się w tysiączne zdarzenia, wydymało czasem w szumne uroczystości i łagodziło wreszcie w spokojny ciurk codziennej szarzyzny. Stanisław Józef Bieżanowski oślepl w dwudziestym drugim roku swego żywota, a przez czterdzieści lat następnych pisał i śpiewał. W mrocznym cieniu spływały mu najlepsze lata, doktorat, kollegjum mniejsze i większe, jako ślepiec wykladał z katedry poetykę i wymowę, jako ślepiec stał się jednym z najplod-



niejszych pisarzy siedemnastego wieku. Biblioteka Jagiellońska posiada ni mniej, ni więcej tylko 146 panegiryków pióra Bieżanowskiego, w lwowskiem Ossolineum wielkiej grubości tom rękopiśmiennej kroniki polskiej, również pióra Bieżanowskiego. Zaiste ów ociemniały poeta stanąć może godnie obok najpłodniejszych pisarzy naszych, obok Wacława Potockiego, czy Szymona Starowolskiego, czy wreszcie obok Kraszewskiego.

Zadrga tylko pióro wątpliwością, czy w ogóle może Bieżanowskiemu przysługiwać miano »poety«. Był profesorem rymotwórstwa, napisał dziesiątki tysięcy wierszy łacińskich, tysiące wierszy polskich, ale mimo to poetą chyba nie był. Nie był poetą dlatego, że z najbardziej błahej, poziomej, codziennej okoliczności ukuć potrafił przynajmniej ze dwa arkusze wierszy, formatu małego folio, że do najbardziej banalnej, codziennej osobistości doczepić potrafił bezdeń najgórnieszych frazesów, a frazesy te nastrzępione barokowo, przenikają zimnym chłodem i poją smakiem, czy niesmakiem lukrecji. Bieżanowski napisał 146 panegiryków, ale nie będzie chyba ryzykownem twierdzenie, że nie było i nie ma historyka literatury, któryby je wszystkie przeczytał. *Ab uno disce omnes* — jeden lub dwa wystarczy, aby poznać całą umysłowość Stanisława Józefa Bieżanowskiego.

Tedy poetą nie był, ale za to obfitym, płodnym, zdolnym, niewyczerpanym w pomysłach... chwalcą najrozmaitszych ludzi, panegirystą. Opłakiwał, cieszył się, głosił sławę, składał życzenia, opiewał czyny heroiczne, bolał nad stratą... najwię-

kszych nawet miernot ludzkich, a wszystko wierszem metrycznym i stylem panegirycznym. Nie było w Krakowie w czasie czterdziestoletniej działalności Bieżanowskiego wesela, któregooby nie uczcił »prezenterem liljowym« lub »Hymeneuszem wesołym«, nie było pogrzebu, któryby nie stał się »źródłem obfitej żałości« dla panegirysty. Głosił sławę swoich profesorów, a potem doktoryzujących się własnych uczniów, opłakiwał śmierć Marji Ludwiki, cieszył się wyborem Michała Korybuta, podskakiwał radosnymi rytmami przy koronacji Eleonory, potem znowu płakał na ich pogrzebie — tryumfował razem ze Sobieskim, czcił pamięć Starowolskiego, witał wjeżdżających biskupów, senatorów, rozdierał szaty na ich pogrzebie, a potem znowu wycęzał słuch, czy nie kojarzy się jaki związek małżeński, choćby między łykami mieszczańskimi.

I zapewne w dostatkach chodził ów chwalca wszechstronny! Poświęcając swe wiersze wielkim i małym panom, zapewne je drogo sprzedawał, a może płatnym był wielbicielem, łyzyroniującym radość na zamówienie, dobrze honorowane! O nie! Ani nie chodził w dostatkach, ani zbyt drogo wierszy nie sprzedawał. Jak wszyscy panegiryci siedemnastego i ośmnastego wieku był i Bieżanowski przemysłowcem, traktującym swe wiersze jako produkt przemysłu. Ale ryzykował, a w ryzyku nie miał szczęścia. Panegiryk musiał być wprawdzie opracowany, własnym kosztem wydrukowany, a dopiero potem ofiarowany osobie, wymienionej w dedykacji. Obowiązkiem zaś tej osoby było przyjąć panegiryk z brzęczącą wdzięcznością. Bieżanowskie-

mu zaś często zdarzało się, że odnośne osoby przyjmowały panegiryk, ale nie »dorozumiewały się« przytem niczego, czyli mówiąc po lwowsku »robiły się tamowatymi«. Stąd też z wielką żalnością, ale też i z rozbrajającą otwartością mówi Bieżanowski w jednym z pism swoich: »Osoby, którym moje chwalniki poświęcałem, brudnem skapstwem oślnione i nadzieje moje i naukowe ślęczenie dotkliwie zawodziły«...

Biedny chwalca!

W takich warunkach nic dziwnego, że »kolega mniejszy« (*collega minor*) *Almae matris*, mimo swego profesorskiego charakteru nie miał nawet porządnego odzienia i świecił istic filozoficznemi dziurami na mocno wyszarzanej sutannie. Dopiero ulubiony jego profesor i mentor Jan Rachtamowicz Cynerski, którego panegiryki wyniosły na jedną z kanonji krakowskich... »widząc podszarżane szaty Bieżanowskiego, sutannę futrem podbitą z siebie zdjąwszy, na wzbraniającego się gwałtem włożył«. Bieżanowski jednak był niepoprawny. Uzupełniwszy bowiem w ten sposób swoją garderobę, wydrukował zaraz panegiryk na cześć Cynerskiego p. t. „*Tres panes coronati*“ i wielkim kosztem dał go ozdobić współczesnemu sztycharzowi Janowi Gorczynowi.

Wydając corocznie po kilka panegiryków wpa-  
dał »ojciec talentów« — *bonorum ingeniorum pater* — jak czasem nazywano Bieżanowskiego, w dotkliwe kłopoty z drukarzami. Wyplacał im też niejednokrotnie należytość... panegirykami, Naprzykład na wesele córki typografa krakowskiego Franciszka Cezarego wystąpił z szumnym chwalnikiem, którego

tytuł (mocno skrócony) brzmi: »Djana z orszakim panien nadobnych, nowym ulubieńcom, szczęśliwego powodzenia winszująca«... Znajdujemy tam takie na- przykład podrygi muzy:

»Słońce zapada, dzień jasny odchodzi,  
Noc się rozwija, miesiąc błądy wschodzi,  
Stoi wojsko szykowane,  
Gwiazdy ślicznie haftowane,  
Jak wiele tedy świetnych gwiazd na niebie,  
Tak wiele, panno, cnót wiemy do (!) Ciebie.

Od weselnych hymnów było Biezanowskiemu bardzo blisko do żałosnych trenów. Jakoż wystarczyła śmierć obojętnej zresztą matrony Eleonory Bełzeckiej, starościny bielskiej, aby nasz autor mógł napisać: »Źródło obfitej żałości, pięcią strumieni płynące, na oświadczenie nieoszacowanej straty kosztownego klejnotu przez śmierć nieuchronną, rozbójniczkę wydartego«.

Nie zawsze jednak wymyślał ociemniały chwalcę śmierci od rozbójników. Czasami tylko »żałosny tren« wrywa się z pod jego pióra, jak naprzykład w panegiryku: »Wiecznotrwała starożytniej ozdoby róża, albo nieśmiertelna pamięć wielkich cnót i zasług Michała Męczyńskiego, pod hieroglifikiem Róży herbowej potomnym czasem, żałosnym trenem podana«

Szczególniejszą predylekcję uczuwał Biezanowski do liljowych nastrojów. Jakoś w umyśle jego dziwnie kojarzyły się lilje z aktami weselnymi, tak, że w każdym prawie panegiryku »nupcjalnym« musi się znaleźć coś liljowego w różnej formie, na przykład: »Prezent liljowy z herbowego klejnotu

Ichm. Panów Delpacych na przezacny akt weselny nowych ulubieńców, przy melodyjnej wesołego Apollina cytarze ofiarowany. — albo też w innym panegiryku: »Lew przyjemny, chociaż ognisty, liljowym do wiecznej pamięci związkim zniewolony, przy wesołych aplauzach aktu nupcjalnego...«

Niekiedy znowu połączenie conceptów panegirycznych z trywjalnem nazwiskiem odnośnej osoby wywołać może w prost komiczny efekt, jak choćby porównanie pocziwego pana Mikołaja Królika z... lotnym orłem w panegiryku: »Hymeneusz wesoły przy szczęśliwkm orła lotnego z różdżką liljową prognostyku, na przezacnym akcie nupcjalnym Jegomości pana Mikołaja Królika, rajcy krakowskiego...«

Takim był *Stanislaus Josephus Bieżanowski Leopoliensis*. Jest bardzo miłym i sympatycznym rysem u ociemniałego chwalcy to ustawiczne markowanie swojego lwowskiego pochodzenia. Bieżanowski był Lwowczykiem i był dumny z tego, jakkowiek nie pochodził z wielkiego rodu patrycjuszowskiego, ani zostawił we Lwowie możnych i bogatych członków rodziny. Ujrzał światło dzienne w r. 1628 we Lwowie, tu jako żak chodził do szkoły metropolitalnej, a potem już całe życie nie był w rodzinem swoim mieście. A jednak je kochał, wdzięcznie wspominał, ludzi tutejszych czcił panegirykami, a nawet wielkie »*Acroama panegirycum*« poświęcił miastu, mianując je nieposkromionym potokiem górnych przymiotników. Wdzięcznym synem naszego grodu zwie się bardzo często sam Bieżanowski i snął ten gród wielką siłą przyciągającą, kiedy uczo-

nemu filozofowi, matematykowi, astronomowi, bo wszystkim był Bieżanowski potrosze, świecił przez długie lata mrocznej ciemni i bardzo twardego życia.

Niech mu wszystkie panegryki wybaczone będą — bo on kochał miasto swoje.

A kiedy po napisaniu ostatniego panegiryka na śmierć hetmana Stanisława Jabłonowskiego i sam Bieżanowski umarł w r. 1693, stanął na jego grobie Marcin Bielicki i w pompatycznym »Cordolium« wspomiał także i o miejscu urodzenia mistrza swojego, wołając: »kolebką jego była Lwa kolebka, poddasze potężnej Polski, Helespontu kopiec!«

Jeszcze »poddasze potężnej Polski« — ale dla czego Lwów miał być kopcem Helespontu? — Trudno rozwikłać drogę, którą szły porównania zdegenerowanych humanistów siedemnastego stulecia..

O Bieżanowskim słych zaginał prawie równocześnie z jego śmiercią. Pozostał tylko w akademji krakowskiej portret z umbrelką na oczach, jako wspomnienie ociemniałego pisarza, a z początkiem dziewiętnastego wieku odgrzebywać go poczęli uczeni i to głównie z racji jego kroniki, jako źródła do dziejów Polski. Literata, poetę, wierszopisa nikt w nim odgrzebywać nie chciał..

I może słusznie. Niech spią panegiryki jego w szatach bibliotecznych i niech nimi władają tylko bibliografowie XVII. wieku.





LATAJĄCY DRUKARZ  
i  
pierwza polska książka we Lwowie.

---

W maju r. 1578 przybył do Lwowa na dłuższy pobyt król Stefan Batory. Z nim chmara dostojników, sług, dworzan, petentów, cały rząd i kancelarja z hetmanem i kanclerzem Janem Zamojskim na czele. W tej ostatniej, wśród pisarzy i podpisów, rozlokował się także Paweł Szczerbic, Mikołaja Szarfenbergera krakowskiego drukarza, ręka prawa i sam typograf, swej sztuki świadom i doświadczony.

W gospodzie, kędy stały kaszty i wędrowna guttenbergowska prasa ręczna, jak również w całym Lwowie dziwiono się bardzo onym instrumentom, bo chociaż książka naonczas nie była tu już rzadkością i w budach księgarskich pod ratuszem dostał każdy, kto potrzebował nawet Mikołaja Reja »Żywot człowieka poczciwego« za 20 groszy, to jednak drukarz wciąż jeszcze był osobliwością. Dopiero bowiem przed czteru laty wytłoczył Iwan Fiedorów w klasztorze bazylijańskim swego »Apostoła« po rusku, ale obecnie drukarnia jego była

w zastawie żydowskim, a on sam zaś prowadził rozpaczliwą walkę z wierzycielami: pierwszy i jedyny dotąd drukarz lwowski, gdyż o Janie Lufcie, który przed trzydziestu blisko laty miał coś drukować we Lwowie, słych już był dawno zaginął.

Teraz oto, w r. 1578 przyjechał razem z dworem królewskim Paweł Szczerbic, Mikołaja Szarfenbergera przedni czeladnik. Sam Szarfenberger, syn Marka, a wnuk Macieja, prawdziwy dynasta drukarski w Krakowie otrzymał właśnie przed rokiem od Stefana Batorego przywilej\*) z nominacją na typografa królewskiego i z obowiązkiem stałego utrzymania na dworze królewskim jednego z czeladników swoich, świadomego sztuki typograficznej, który ma być zawsze przy boku Jana Zamojskiego i przygotowany na każdą naszą i kancelarji naszej potrzebę, razem z typami czcionek i innymi instrumentami«. Obok druków urzędowych i publicznych mógł on wykonywać w każdym miejscu królewskiego pobytu także roboty prywatne w gospodzie, którą mu marszałek królewski miał za każdym razem wyznaczyć.

Właśnie, kiedy Szczerbic rozkładał we Lwowie swe lary i penaty, wykończył Jan Kochanowski z Czarnolasu, pod świeżem wrażeniem gościny Stefana Batorego u Zamojskiego w Zamechu, wiersz swój, wzorowany na szóstej eklodzie Wirgiljusza pt, «*Dryas Zamchana*» i »*Pan Zamchanus*« razem z tłumaczeniem polskim. Wiersz pochwalny na króla i Zamojskiego, z tendencją wzmocnienia władzy

---

\*) Z daty Bydgoszcz, 22. lutego 1577, wydrukowany w Wierzbowskiego Materjałach, tom I.



królewskiej i z wyrzekaniem na upadek ducha rycerskiego w Polsce, był wierszem okolicznościowym, a podobał się zamojskiemu tak bardzo, że kazał go zaraz we Lwowie wydrukować.

Szczerbic pod firmą Szarfenbergera wykonał polecenie i oto wyszedł druk pod tytułem: »*Dryas Zamchana polonice et latine, Pan Zamchanus latine. Leopoli anno 1578*« — w formacie *quarto*, kart. 6, pod spodem rycina, przedstawiająca orła w locie, na odwrotnej stronie data wyśpiewania wiersza: 8 maja 1578 r.

Jest to pierwsza książka polska, z częściowym tekstem polskim wydrukowana we Lwowie. Dziś stanowi ona wielką rzadkość i dziwnym trafem niema jej we Lwowie, ani jednego egzemplarza. Według Estreichera posiada ją tylko biblioteka Tarnowskich w Dzikowie, Krasińskich w Warszawie i Uniwersytet w Warszawie.

Chwilowy pobyt we Lwowie zbliżył Szczerbica do miasta i sfer ratuszowych. I snąc gród lwowski i lwowscy ludzie przypadli mocno do serca wędrownemu drukarzowi, bo rzucił hetmana i kancelarję, przyjął ofiarowane mu w ratuszu miejsce syndyka miejskiego i został we Lwowie na stałe.

Jako dorabiający się majątku i znaczenia człowiek, znalazł się Paweł Szczerbiec na bruku lwowskim w dość trudnych stosunkach<sup>1</sup>, finansowych, tembardziej, że miał tutaj zamiar wydrukować swoje dwa dzieła o prawie niemieckiem, w które sporo włożył trudu i wiedzy prawniczej. W opresji pieniężnej przyszedł jednak syndykowi swemu<sup>2</sup> na po-

moc urząd radziecki, który mu wygodził 100 czerwonych złotych z fundacji Mikołaja Trzebińskiego, przeznaczonej na utrzymanie chorych w szpitalu św. Stanisława. W zamian wystawił Szczerbic wraz z żoną swoją Dorotą skrypt dłużny w r. 1581, w którym to skrypcie zobowiązał się wypłacić prowizorom szpitala św. Stanisława dług w przeciągu jednego roku z odsetkami po 8<sup>0</sup>/<sub>10</sub>. Za te, zdaje się, pieniądze powstała drukarnia Szczerbica pierwsza stała oficyna we Lwowie, która istniała przez rok 1581 i upamiętniła się wydawnictwem dwu dzieł samego właściciela.

On sam zaś, syndykiem miejskim będąc, znalazł się w ukropie nagłych i pilnych, małych i wielkich spraw miejskich, które załatwiał na miejscu w wielkiej izbie ratuszowej, gdzie mu też wyznaczono mieszkanie i w ciągłych rozjażdżkach, to na trybunał lubelski, to na sejmiki halickie, lub sejm korony, dokąd razem z delegacją miejską jeździł w r. 1582.

Na Sejmie zetknął się ponownie z hetmanem i kanclerzem wielkim koronnym Janem Zamoyskim, który mu zaproponował w kancelarji swojej miejsce pisarza dekretów królewskich z tytułem sekretarza. Szczerbic przyjął urząd, z wielkim żalem miasta, które na pożegnanie obdarowało go po królewsku. Czytamy bowiem w księdze dochodów i wydatków miasta z r. 1582 (A. III. 16): »Pawłowi Szczerbicowi za jego posługi i prace, które syndykiem będąc od miasta tego, na sejmiech i na trybunałach, za dworem, w ziemstwie i grodzie odprawował, iż w tym czasie wyprawował się do

Krakowa do Imci Pana Kanclerza Koronnego na objęcie sekretarji i pisarstwa dekretów króla Jegości, gratyfikując mu od miasta, darowaliśmy dwa konie wrone do wozu, które byli kupili Panowie na sejmie przeszłym w Warszawie, przytem konia trzeciego, a na wyjeździe zalecając mu sprawy miejskie darowaliśmy dziesięć czerwonych złotych.»

Dowodem wielkiego żalu, z jakim miasto żegnało swego syndyka, były również dwa garnce małmazji i dwa garnce muszkatelu, które mu na samem już wyjeździe włożono do wozu, a za które z kasy miejskiej zapłacono 2 fl. 12 gr.

Pożegnanie nie było zupełne, bo Szczerbic zostawił we Lwowie jeszcze na czas pewien swoją żonę, która pobierała od miasta resztę, widocznie niewypłaconej, pensji małżonka, a później niejednokrotnie załatwiał różne sprawy miejskie, tak że jeszcze w r. 1583 »za dalsze posługi« wypłacono mu z kasy 10 czerwonych złotych.

Przy boku wielkiego hetmana i kanclerza, który umiał ocenić zdolność ludzką i zasługi, wypłynął Szczerbic bardzo rychło, bo już w dwa lata później został nobilitowany, za sprawą i staraniem Jana Zamoyskiego, który go do własnego przyjął herbu i własny mu nadał przydomek. Dyplom szlachecki wystawiony dnia 25. lutego 1585, w którym Szczerbic mianowany jest »pisarzem naszych dekretów« podnosi przedewszystkiem wysoko zdolności jego, następnie doświadczenie nabrane przy sposobności licznych podróży, tak po prowincjach Polski, jako też w obce kraje. Policzano mu dalej między zasługi to, że młodość swoją jako drukarz przepędził

na dworze królewskim przy boku Jana Zamoy-  
skiego, dalej niezrównaną wiedzę prawniczą, znajo-  
mość języka włoskiego i niemieckiego, a wreszcie  
wojenny żywot jego ojca Pawła Szczerby, obywa-  
tela krakowskiego, który walczył pod Starodubem,  
Smoleńskiem, Chocimem, a także na Węgrzech  
w zastępach króla Ludwika.

W nagrodę za to wszystko otrzymał Paweł  
Szczerbic, przy zachowaniu tego samego nazwiska,  
herb Zamoyskiego »Jelita« z przydomkiem »Sarjusz«.

Odtąd już nie opuszczał Szczerbic kancelarii  
królewskiej i umarł na stanowisku pisarza dekre-  
tów królewskich. Śmierć jego nastąpiła w r. 1609  
w 59. roku życia. Na nagrobku jego w kościele  
krakowskim św. Trójcy przypominano mu wyda-  
wnictwo prawa niemieckiego, jak niemniej i to, że  
tłumaczył dzieło Justusa Lipsiusa p. t. »Politica  
pańskie, jako Pan i każdy przełożony rządnie żyć  
i sprawować się ma.« Znajduje się wreszcie w na-  
pisie nagrobkowym wzmianka o przeciwnościach,  
które Szczerbica w życiu spotykały i prześladowa-  
niach, o które on jednakowoż niedbał, zadowolony  
ze swego losu ubożego. Zostawił syna, który był  
proboszczem sędmirskim i dwie córki Marjanę  
i Dorotę.

Wróćmy jednak do pobytu Szczerbica we Lwo-  
wie i do jego drukarni. O samej drukarni nie ma  
w aktach żadnej wzmianki. Nawet wówczas, kiedy  
drukowało się jego dzieło, Szczerbic całymi tygo-  
dniami bawił po za Lwowem w sprawach miejskich,  
a mieszkanie jego równocześnie było kwaterą dla  
różnych dygnitarzy przejeżdżających przez Lwów

i podejmowanych na koszt miasta. W ogóle cała drukarska działalność Szczerbica pokryta jest mrokiem tajemnicy, a zapiski w księdze miejskiej (A. III. 15) wskazywałyby na to, że już przed wydrukowaniem pierwszej swojej książki, z wiosną r. 1577 był on we Lwowie w charakterze pisarza ławniczego. Bibliografia zna tylko dwa druki Szczerbica we Lwowie wytlóczone a mianowicie: »Speculum Saxonum, albo prawo saskie i majdeburskie, porządkiem obiecadła z łacińskich i niemieckich exemplarzów zebrane, a na polski język z pilnością i wiernie przełożone, przez Pawła Szczerbica natenczas syndyka lwowskiego. Drukowano we Lwowie, kosztem i nakładem tegoż Pawła Szczerbica własnym 1581«. Tytuł drugiego dzieła opiewa »Ius municipale, to jest prawo miejskie majdeburskie, nowo z łacińskiego i niemieckiego na polski język z pilnością i wiernie przełożone 1581.«

Karty tytułowe obydwu dzieł ozdobione są drzeworytem, przedstawiającym scenę wojenną, z orłem jagiellońskim u spodu i sentencjami łacińskimi po bokach. Pierwsze z nich dedykowane jest Janowi Zamoyskiemu, drugie Mikołajowi Firlejowi kasztelanowi bieckiemu, u którego ojca pozostawał Szczerbic, jak sam powiada w przedmowie, przez pewien czas w charakterze dworzanina.

Pierwsze to większe dzieło drukowane w języku polskim we Lwowie uczcił lwowski patrycjat demonstracyjnie całym szeregiem pochwalnych epigramatów, wierszem metrycznym łacińskim, które Szczerbic wydrukował u wstępu swojej książki. W epigramatach tych zalecał czytelnikom księgę

i powodzenia jej życzył przedewszystkiem Mikołaj Gelazinus, doktor praw i rajca lwowski, Szymon Aleksandrowicz magister sztuk wyzwolonych i ławnik, Wojciech Pedianus magister sztuk wyzwolonych i obywatel lwowski, Wojciech Ostrosz bakałarz sztuk wyzwolonych i ławnik, Stanisław Anserinus, również bakałarz sztuk wyzwolonych i pisarz miejski. Piękny to zaiste dowód wykształcenia i cywilizacji mieszczaństwa lwowskiego, piękne świadectwo dla Szczerbica i wzniosłe powitanie tej pierwszej książki polskiej we Lwowie przez samo miasto i tych co tego miasta byli solą i kwiatem.

Sam Szczerbic przedmowę do czytelnika zakończył krótko: »czytaj zdrów i łaskaw bądź« — zawistnym zaś i krytykom poświęcił kilkuwierszową zwrotkę łacińską.

Obydwa dzieła wydrukowane są czcionkami gotyckimi, czysto, równo, wyraźnie, na dobrym papierze, który wieki przetrwał i z poczuciem artystycznego smaku, widocznem w rozłożeniu linii, akcydensów i poszczególnych szpalt i wstępów. — Oba też pierwsze dzieła, wytłoczone we Lwowie zaszczyt prawdziwy przynoszą lwowskiej sztuce typograficznej. Przypatrując się obydwu księgom — można dopiero zrozumieć jak mało postąpiło lwowskie drukarstwo w ciągu wieków i jak nisko stoi dzisiaj ze swoją robotą pospieszną, niedbałą obliczone tylko na jednodzienne życie gazety, lub broszury.

I znowu lat blisko dziesięć po Szczerbicu trzeba było czekać we Lwowie na druk polskiej książki. Tym razem wystąpił z nią *Nicolaus Herbest Neapo-*

*litanus*. Ktoby myślał, że był to Włoch z Neapolu, ten doznałby srogiego zawodu, bo słynny humanista i rektor szkoły lwowskiej, pochodził całkiem prosto z Nowego miasta pod Przemyślem, które według zwyczaju humanistycznego przetłumaczył sobie na... Neapolis. Ta moda tłumaczenia poddaje także w mocne podejrzenie i samo nazwisko Herbesta, przypominające łacińskie *herba* — ziele, tak, że bardzo łatwo jest możliwe, iż pod pompatycznym *Benedictus Herbestus Neapolitanus* kryje się całkiem zwykły Benedykt Zieliński lub Zielinkiewicz z Nowego miasta.

Otóż ten Herbest wydał w r. 1592 we Lwowie druk p. t. »Bractwo lwowskie Bożego Ciała, postawione we Lwowie w kościele metropolitańskim za wolą i wiadomością Jana Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego«. Rzeczę tę wydrukował Maciej Garwolczyk (*Garvolinus*) drukarz krakowski, którego także jakiś nieznany bliżej los zawiął na czas krótki do Lwowa.

Te tedy księgi nieliczne są pradziadami obecnego lwowskiego ruchu wydawniczego.





## KSIĘGARZ W CZAMARZE.

---

W nieistniejącym już dziś domku przy ulicy Kurkowej zmarł w roku 1896 księgarz, który był zarazem politykiem, literatem, zbieraczem autografów, monet, kawałkiem historyka, dużej miary patriotą, a wreszcie urzędnikiem akcyzy miejskiej i magistrackim emerytem. Jak na jednego człowieka była karjera śp. Kajetana Jabłońskiego, wcale urozmaicona, zwłaszcza gdy się jeszcze do tego doda, że ów księgarz-historyk był w młodości swojej kupczykiem, w sile wieku gwardzistą narodowym i członkiem wydziału miejskiego, a u schyłku żywota jednym z organizatorów walki o niepodległość w r. 1863.

Bywały takie bujne siłą życia typy, w okresie przejściowym niemieckiego i polskiego Lwowa. Wychowani w twardym ucisku narodowym, przeżywszy rok złudzeń 1848 i późniejszą czarną reakcję i jeszcze późniejsze czasy konstytucyjne i ustaw zasadniczych, zachowały owe typy do końca życia coś, co ich dodatnio wyróżniało od dzisiejszego zbiurokratyzowanego społeczeństwa. Szumni, bujni i krzykliwi »tromtadraci« wiecznie figurujący w »czarnej liście« policyjnej, jako poli-



tycznie niebezpieczni« i jako tacy »nieznacznie śledzeni«, mieli oni jednak jako generacja, jako okres dziejów, dużo zasługi, jeszcze więcej miłości ojczyzny, zdolnej do ofiar i poświęcenia. Na ich głowy walił się ratusz pod ognistemi bombami Hammersteina, stały przed nimi otworem bramy więzienia Karmelickiego, syny ich szły na pole walki w r. 1863, a oni sami zawsze pełni fantazji, zawsze z gęstą miną szli na każdą potrzebę, czy na rozgardjasz przedwyborczy w ratuszu, na narodową paradę na kopiec, czy wreszcie na tajne knowania przedpowstańcze. Wszędzie ich było pełno i głośno onych »tromtadratów« w polskich butach, o szerokiej gębie i poczciwem a otwartem sercu..

Przeszły cienie Pawulskich, Srokowskich, Bojarskich, a nawet historia galicyjskiej literatury nie dobrze już pomni Kajetana Jabłońskiego, który przez długie lata był reprezentantem ruchu naukowo-wydawniczego we Lwowie i sam też na polu literackim pracował.

Syn księgarza lwowskiego Bartłomieja Jabłońskiego, który na samym początku wieku XIX. posiadał we Lwowie księgarenkę, wychowanek szkoły realnej, później praktykant pierwszorzędnego podówczas sklepu Sebastjana Glixelego, powrócił Kajetan Jabłoński z praktyki księgarskiej we Wiedniu w r. 1835, do Lwowa. Tutaj pod własną firmą prowadził księgarnię i wydawał własnym nakładem dzieła najlepszych podówczas pisarzy, jak Żegoty Paulego, Niemcewicza, Albertrandego, Zubrzyckiego, L. D. Borkowskiego, Pietruskiego, X. Wuyka (Biblia 3 tomy), Stęczyńskiego, Su-

pińskiego, Tymka Padury, Kraszewskiego, Dzierzkowskiego, X. Sadoka Barącza i innych. Kto wie, jak trudno było w owych czasach sprzedać książkę, jakie formalne łowy na »Imć Panów Prenumeratorów« czynić było potrzeba, jak niektóre dzieła, zwłaszcza naukowe, na zbyt kilkunastu najwyżej egzemplarzy liczyć mogły, ten pojmie już nie ruchliwość, ale wprost ofiarność księgarza-wydawcy w owych najsmutniejszych może w dziejach naszych chwilach.

Ale Kajetan Jabłoński był sam amatorem numizmatykiem i skrzętnym zbieraczem, zwłaszcza autografów i dokumentów, a dla ułatwienia sobie studjów, wyuczył się już w dość późnym wieku języka łacińskiego. Z jego polecenia ulicznicy lwowscy szukali »starych monet« na Wysokim Zamku, w błotniskach Pełtwi i rzeczywiście znachodzili dużo, nieznanych nawet, monet ruskich z czasów Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego i Władysława Jagiełły, które częściowo zdobią dziś zbiory biblioteki Ossolinskich i inne, częściowo zaś pomieszczone w bardzo obfitym i dokładnym, jak na owe czasy katalogu antykwarskim, rozeszły się przeważnie za granicą.

Autografy i dokumenty kompletował do końca życia. Był to zbiór bardzo duży, zaopatrzony mnóstwem dat historycznych, skrzętnie przez Jabłońskiego pozbieranych. mnóstwem uwag krytycznych i zwięzłych, czasami lapidarnych charakterystyk. Dziś zbiór ten jest własnością p. W. Fedorowicza w Oknie. Rezultatem tych studjów jest niedokończony niestety wydawnictwo »Podpisy i wzory pism sławnych w Polsce osob, począwszy od

XV. wieku z dołączeniem krótkich biografji., Lwów 1846«.

W roku 1848 odegrał Kajetan Jabłoński wybitną rolę w ruchu polityczno-wydawniczym. Sam deputowany na niedoszły do skutku sejm postulatowy, a równocześnie członek gwardji narodowej pisał i wydawał własnym nakładem mnóstwo druków ulotnych, politycznych, które ściągnęły na niego podejrzliwość lwowskiej policji, tak że do końca swego życia figurował na »czarnej liście« politycznie podejrzanych.

Po upadku wielkich nadziei »wiosny narodów« oddał się Kajetan Jabłoński studjom bibliograficznym, które mu przerwał rok 1863. Łącząc z własnej kieszeni wiele na organizację i wysyłkę sił zbrojnych do Królestwa, nadszarpnął znacznie swoją fortunę, a gdy nadto skutkiem powstania nastąpił zastój zwłaszcza w ruchu księgarskim, musiał Jabłoński zwinąć księgarnię i szukać środków utrzymania w lwowskim magistracie, gdzie w biurze niestałych dochodów miejskich pracował lat trzydzieści i doczekał się nawet emerytury.

Umarł ze starą encyklopedją Orgelbranda w ręku, której wiadomości bibliograficzne do końca życia studjował, nie mogąc się pozbyć sympatji do książek, tak samo, jak antypatji do żydów, Jezuitów i Świętojurców.



IX.

P. T. LWOWSKA PUBLICZNOŚĆ.



## W TEATRZE.

„Któż nam matką będzie? Oto nieoceniona dobroć Twoja! Ona jest dla nas kotwicą w rozhukanej fali — na niej wspieramy naszą nadzieję. Niech się jak chcą wicherzą przeciwności, niech nami jak jesiennym liściem miota los dziwaczny — może nas ujrzyć nieszczęśliwymi, ale niewdzięcznymi ku Tobie ujrzyć nie zdoła!“

Cóż to za ślubowanie takie? Któż jest tą »matką« i »kotwicą w rozhukanej fali?« Oto ni mniej, ni więcej tylko... lwowska publiczność teatralna, a tym, który przy podniesionej kurtynie taki jej złożył hołd i śluby wdzięczności, był w r. 1821 Jan Nepomucyn Kamiński, dyrektor polskiego teatru we Lwowie.

Były to jednak ostatnie słowa pochwalne pod adresem lwowskiej publiki. Od tego czasu wiele się rzeczy zmieniło, ale zdanie krytyków, dyrektorów teatru i autorów sztuk dramatycznych o gustach i wybredności Lwowianina, nie straciło ani krzty ze zjadliwej swojej satyry, a w najlepszym razie lekceważenia, objawiającego się... wzruszeniem ramion.

Gdyby tak zebrać te wszystkie pióra, które złamała rodzima i obca krytyka nad głową lwowskiej publiki, to utworzyłby się prawdziwy stoś całopalenia, na którym by spłonął lwowski kołtun wraz ze swoją operetką, bombą, głupią farsą, pieprzonym dowcipem i wszystkimi kalectwami i pokrakami prawdziwej sztuki, które mu dotąd taką przyjemność sprawiają.

Gdyby ktoś zeszyć chciał owe, porozdzierane przez rodzimych arystarchów, szaty nad gustami lwowskimi, to i wytrwały trud Penelopy za małym by się okazał... Tyle gryzącego kwasu i ironii wylano na głowy tej publiczności, że przemówienie J. N. Kamińskiego, wydaje się jakby cichą jakąś, zieloną oazą na wzburzonych fluktach morza czarnego atramentu.

Ale i sam Kamiński, głosząc owe lotne, w górę rwące słowa, srodze się we wnętrzu artystycznej duszy swojej musiał rumienić. Boć równocześnie gdy siebie i drużynę swoją oddawał wspaniałomyślnej pieczy Lwowian, czuł »niezawodny skon teatru polskiego we Lwowie«, rozumiał że wszelkie starania jego, jako »Anteprenera« i aktorów będą nadaremne. I rzeczywiście w trzy miesiące potem teatr na dłuższy przeciąg czasu musiał być zamknięty.

Owa wielka, potężna pani nie łaskawem patrzyła okiem na teatr i teatr... marnia! O! bo, mimo wszystko, publiczność lwowska, to mocarz ogromny... samą swoją nieobecnością zabijający! Na krzyki, wzgardy, na potoki atramentowej żółci — milczeniem odpowiada; na zdroje prądów ożywczych, na lotne skrzydła nastrojów głębokich, światowych,

pieczęć przykłada swojej nieobecności... Lwowski tłum nie idzie namaszczonego krokiem flaminów w koturnowe sztuki przybytki, lecz skocznym płasem, z wesołą spiewką obsiada krzesła teatralne i biada temu, ktoby go uczyć chciał na tem miejscu, druzgocące ideje przed nim rozwijać — biada prorokom... co by z desek przemawiali teatru!

Bo lwowska publiczność... to pani strojna, słoneczna, a teatr jej sługą. I chociaż grzmia esteci, łamają pióra krytycy, ona zawsze jedna... niezwyciężona. Uklęknąć przed nią musi każdy dyrektor, drzą najlepsi artyści, jak ongi gladiatorowie w cyrku Cezarów, do niej się modli panienska, w przeddzień debiutu, na jej skinienie mocarze pióra się wala, jak z drzew liście stracone... Chmurka na jej czole — to wyrok dla komedji, lekki uśmiech to śmierć dramatu, ziewanie — to duszący stryzynek dla operetki. O! pani to wielka i można ta lwowska publika, a jej cios tem dotkliwszy tem bardziej bolesny, im większa obojętność, z jaką go mimowodnie zadaje.

Jan Nepomucen Kamiński rozumiał to dobrze! On sam poeta i tłumacz Szyllera, Petronius z początku ubiegłego stulecia, esteta, co nad tłum patrzył i widział po nad nim gdzieś w dali cudne linie kształtów, harmonii... on ojciec sceny polskiej, kurczyć się musiał i płaszczyć przed molochem, co miał być jego pieniezną kotwicą... na rozhukanej fali. On, co się brzydził trywialnym, jaskrawym blaskiem, musiał go jeszcze zapożyczać i pełnymi garściami znosić i sypać przed oczy parteru i galerji, rozwiewać prawdę sceny w fantastyczne orgie tuzin-

kowych efektów, w kaskady niewybranego śmiechu, jaskrawe kalejdoskopy słów niepowiązanych, ani spojonych myślą, czy artyzmem!

— Biedny Kamiński!

Wabił publikę lwowską do teatru strasznymi okropnościami, to znowu błazeństwami, po to, aby po całej serji głupstw wystawić ostatecznie Szekspira czy Szyllera i przekonać się raz jeszcze, że nikt na tego rodzaju poważne rzeczy nie pójdzie. Psuł gust publiczności i równocześnie drogą zepsucia chciał go na wyżyny prawdziwej sztuki wyprowadzić... Prawdziwe błędne koło, bez ratunku i bez wyjścia... syzyfowa praca!

I stał się teatr współczesny karykaturą życia a lwowska publiczność, taką bez mała, jak dziś ją widzimy. . szyderską, jaskrawe efekty lubiącą i przedewszystkiem karykaturę.

Niewyczerpany zaś temat do karykatury stanowiła miłość, we wszystkich jej przejawach i fazach, od gruchania kochanków począwszy, po piekło małżeńskie. To też samo zestawienie sztuk granych podówczas wskaże drogę, którą szedł gust publiczności, aż do dzisiejszego zamięłowania do operetki.

Więc naprzód tytuły sztuk, przedślubną opiewające miłość: »Kochanek urojony«, »Postęp i miłość«, »Podwójny kochanek«, »Zgoda w ogrodzie«, »Oniemiał z miłości«, »Wstręt z miłości«, »Narzęczony ze Smorgonia«, »Kto kocha ten się kłóci«, »Kochankowie ekstrapocztą«, »Kawaler do wygrania przez loteryję«, »Niema miłość«, »Miłość sympatyczna«, »Pożegnanie, czyli malarz z miłości« itp.



Kto zaś przeszedł tę ciernistą drogę miłości i ożenił się, wbrew tendencjom innej sztuki p. t.: »Przegroda czyli zwycięstwo roztropności nad wybiegami miłości«, ten stawał wobec następujących kawałów: »Sydonia, czyli zgryzoty sumienia«, »Grymasy młodej żony«, »Ludgarda, czyli żona złośnica«, »Piekło domowe, czyli antykwariusz«, »Handel na żony«, »Małżeństwo nie według stanu«, »Dwóch mężów za jednego«, »Moc stosunków«, »Małżeństwo z musu«.

A wreszcie rezultat tego wszystkiego i pociecha: »Obiadek z Magdusią«, »Oberża pod obyczajnością«, a na starość po wywietrzeniu figlów miłosnych »Kaycio Tuczybrzuch z Cielątkowic«, lub »Bronzowa głowa«.

I pomyśleć, że całe pokolenia Lwowian kształciły się na tego rodzaju kawałach, a równocześnie ci, mniej erotycznie nastrojeni, rozkoszowali się sztukami w guście »Rożko Cymbałek«, »Marcinowa z Dunaju«, »Kartofel na balu«, »Doktor Pampuszek«, »Indyk nadziany dukatami«, »Dwóch Kasperków«, lub ogromną zawsze sensację robiącą sztuką »Syrena z Dniestru czyli Terefere w tarapatach«, której bohater Terefercio śpiewał wśród grzmiących oklasków i bisowań, taki naprzykład miłuchny kuplecik:

- »Bachus naylepszy Fijakier
- »Zawsze czapkę ma na bakier
- »Lubi wino, lubi faykę..
- »Wozi życia taradaykę..

A kiedy się już wyczerpała ta wcale niewybredna mitologja, a okrzykiem radości nie było

końca, dodawał aktor nad program następującą satyrę:

- »Szewc zamiast robić bót
- »Pod »Gęsią« pije miód itd.

Nawet sama pani Kamińska dopiero wtenczas mogła być pewną burzy oklasków, kiedy hucznie, wesoło, a skocznie zaśpiewała:

- »Wita was — wita was
- »Z miasta mleczareczka
- »Długi czas — długi czas
- »Szuka kochaneczka...

Ostatni ten kuplet wzięty jest ze sztuki lokalnej pt.: »Wanda Potocka czyli Hajdamacy na Ukrainie«, której »rzecz dzieje się we Lwowie i w lasku św. Zofji, powyżej rogatki stryjskiej, dnia 10 czerwca 1769«. O wartości jej daje wyobrażenie, już choćby scenarjusz »pierwszego oddziału«, a mianowicie: »Przed zaczęciem dramatu pokazuje się okropny obraz, przedstawiający skaliste i odludne ustronie, gdzie hajdamacy z pochodniami w rękę, zabijają brata głuchoniemęj. Ostatnia otoczona zbójcami składa, klęcząc, przysięgę milczenia. Orkiestra gra tu *allegro furioso* z uwertury«.

Jakakolwiek jest jednak wartość »Wandy Potockiej« to zawsze jest ona pomnikiem usiłowań w kierunku stworzenia sztuk lokalnych, ściśle lwowskich i dla lwowskiej przeznaczonych publiczności. Gdyby usiłowania te odniosły były jakieś poważniejsze rezultaty, mógłby się może i Lwów, podobnie jak Wiedeń lub Warszawa, poszczycić lokalną komedią, farsą, lub choćby operetką. Niestety jednak we Lwowie skończyło się na kilku poronio-

nych próbach w guście takich bomb, jak »Majówka w Pohulance czyli Miłość i polędwica«, między którymi sławna »Majstrowa z Chorążczyzny« prym wodzi. Bywały wreszcie za Kamińskiego i sztuki opiewające przeszłość miasta naszego, jak n. p. grywana w r. 1821. p. t »Oblężenie Lwowa«, o której powiedzieć nic nie umiemy chyba to, że nie ma ona nic wspólnego ze sztuką pod owym tytułem, napisaną przez Karola Brzozowskiego.

W okropnościach owych, w tych wszystkich trywialnych sztukach utopił się gust szerokiej lwowskiej publiczności, a dobiły go ostatecznie importowane z nad Dunaju wysoki wiedeńskiej „Gemüthlichkeit“. Jan N. Kamiński musiał schodzić do poziomu tego, na którym stała współczesna publiczność, chociaż sam znał dobrze sztukę prawdziwą i umiał kształcić aktorów. Dowodem tego choćby »przypowieści naukowe dla aktorów«, które z niemieckich najlepszych wzorów współczesnych przyswoił polskiej szkole dramatycznej. Przypowieści te, zwłaszcza co do mimiki, poprawne anatomicznie, dają wyobrażenie o współczesnych wymaganiach, tak że nie od rzeczy będzie przypomnieć naprzykład, jak w owym czasie aktorowie robili np. »filuterność«. Otóż »filuterność« czytamy w przypowieściach — — w twarzy maluje się, kiedy jedno oko nieco przymrużone, usta z tej strony, z której oko przymknięte, cokolwiek w górę podniesione, głowa nieco na jeden bok pochylona, a palec wskazujący u prawej ręki o podbródek oparty. Kiedy głowa na lewą stronę zwieszona, musi ciało na prawej stronie być wypięte«.

Wszystko to dobre — cóż jednak z tego, kiedy musiało się stosować do fantastycznego rozwydrzenia gustu ówczesnego, który karykaturę lubiał nawet na afiszu, nawet w samym tytule sztuki. Sztuka np. o jednym tytule nie mogła się ostać w repertuarzu, lecz koniecznie musiała się wyrodzić w prawdziwą pokrakę — w guście »Chłop panem milionowym czyli Dziewica ze świata czarodziejskiego«, lub taki naprzykład tytuł, który miał na afiszu zaraz zapewnić sztuce powodzenie:

### ZAMEK na CZORSZTYNIE

czyli

### OY STRACH!

mimo, że »Zamek na Czorsztynie« wcale nie był »oj strach!« gdyż muzykę do niego skomponował ...Kurpiński, a sam był operą „wielką, historyczną, nigdy tu jeszcze nie widzianą“.

Nie mogło być też inaczej tam, gdzie za swoich dwanaście centów chciał naród zabawy, ale to takiej szerokiej, żeby na cały tydzień starczyło. Nie było też zabawy, jeżeli policja żadnego gościa nie wyrzuciła z teatru, jeżeli na galerji żadnego nie było „szkandału“, jeżeli cicho i spokojnie było w teatrze. Dawniej taki obywatel siadał na bant jeden, głową o sufit się opierał, nogi spuszczał na drugi bant i z tak z wysokości śledził grę artystów. Wygodne jego stanowisko obserwacyjne budziło całe roje zazdrości, podnosiły się głośne protesty, a gdy odnośne indywiduum, nawet na kilkakrotne policyjne »zlazuj pan!« wcale nie odpowiadało, następowało uroczyste wyrzucanie widza, wśród śmiechów i dowcipnych uwag całego sąsiedztwa.

Bywały dawniej takie »grand szopki« w teatrze, że nawet w czasie wystawienia melodramatu pt. „Trzydzieści lat z życia szulera“, artysta pewien wprost ze sceny zwymyślał publikę galeryjną i to wcale nawet nieparlamentarnymi wyrażeniami.

Miała ta dawna niedzielna publika lwowska sporą dozę grubego humoru, nawyczki Anglików — tych z przed lat trzystu, co to się w teatrze Szekspirowskim — nowym wówczas sztukom Szekspira przysłuchiwali, miała specjalne upodobania, tak że przez długie lata galerja była ostatnim wyrazem krytyki teatralnej, ona robiła „kasę“, jej schlebiali autorowie, artyści, ona sztuki utrzymywała na repertuarzu, albo wyprawiała im klapę gruntowną i raz na zawsze.

Nie brakło też odruchowych protestów przeciwko tej rozwydrzonej hegemonii. Już w r. 1813 podzielił jakiś anonimowy krytyk lwowską publiczność na trzy części: „Pierwsza chodzi do teatru dla zabawy, druga dla sztuki, po co zaś ci ostatni idą, ani ja, ani oni sami tego nie wiedzą. Lecz ponieważ znawców bardzo mała liczba, cóż dziwnego, że „tereferkowie“ są panującym gustem. Bądź pewnym, że na sztukach Corneilla, Voltera, itd. zliczysz widzów na palcach, lecz kiedy ogromny afisz ogłosi „Syrenę z Dniestru“ siedź w domu, bo cię w teatrze uduszą“.

I od tego czasu ciągle wymyślała krytyka lwowska lwowskiej publiczności niedzielnej. Był czas kiedy każdy szanujący się krytyk kończył zawsze sprawozdanie swoje teatralne wymyślaniami

galerji od „niesforności“ „dziczy“ „tałatajstwa“ „hołoty“ i t. d. Ale „hołota“ ta nie wiele sobie robiła z głosów krytyki. Zagrali sztukę poważną to nikt nie poszedł do teatru, ale skoro przyszła na repertoar taka »Marcinowa z Dunaju« »Elfryda, czyli zaciekle mściwość«, »Dwóch (*sic*) Karolów, czyli skąpiec«, »Poręka czyli Anglik na Podlasiu« — teatr bywał pełny i z tem się musiała liczyć każdoczesna dyrekcja.

Ostateczny cios niedzielnej publice lwowskiej zadał nowy teatr. Znikła ta rodzima lwowska hałaśliwa i niesforna, ale zawsze do teatru przywiązana publiczność, biorąca żywy udział w grze aktorów, wyprowadzająca swojemi uwagami i dygresjami dolne sfery i krytyków z równowagi.

Znikł także typowy dla gustu lwowskiej publiczności wodewil »Pani majstrowa z Chorążczyzny« który przez kilka lat dziesiątek nie schodził z afisza, a dziś jeszcze tłucze się tu i ówdzie po scenach amatorskich.

»Majstrowa z Chorążczyzny« miała być niby sztuką lokalną, ściśle lwowską i tak ją przyjmowały całe pokolenia publiczności. Długie lata słuchali jej Lwowianie zawsze z tą samą wesołością, zawsze z jednakiem zadowoleniem. Coby dał jaki nowoczesny autor, nawet pierwszorzędny, gdyby sztuka jego tak długo nie schodziła z repertoaru! A jednak to „bryndza“ okropna, fabuła, któraby nawet w Ameryce dziać się mogła, tak samo jak we Lwowie, bo nic tu nie ma lwowskiego, z wyjątkiem kilku wyrażień, z wyjątkiem tego, że autor chce ko-

niecznie, aby rzecz działa się we Lwowie i to na Chorażczyźnie do tego.

„Majstrowa z Chorażczyzny“ to typ upodobań lwowskiej publiki niedzielnej. U nas — jak już wspomnieliśmy — nie było talentu, któryby lwowskie właściwości lokalne potrafił wprowadzić na deski teatralne z prawdziwym artyzmem, choć nie brak było dawniej domorosłych artystów, którzy lokalne śpiewali stosunki. W zapomnienie już poszła „Lwówianka, królowa Golcondy, czyli Finfa w obrotach“, „Chłop panen milionowym, czyli dziewczica ze świata czarodziejskiego“, również bezpowrotnie znikł z repertuaru „Skarb zakopany, czyli zbójcy na Zofijówce“ i nawet z nazwy już nie jest znany, a ze sztuki Suchorowskiego „Hanusia z Pohulanki“ został naiwny tylko i częstochowski kuplet:

- ›U nas na Pohulance
- ›W domu gościnność znana
- ›Wesołość i tańce
- ›Najlepsza śmietana...

Takie to były i inne jeszcze sztuki lokalne lwowskie. Dzisiaj we Lwowie króluje cywilizacja międzynarodowa. Lokalne właściwości, których i tak było nie wiele, znikły wraz z resztkami starych budynków, zostało tylko wspomnienie „Majstrowy z Chorażczyzny“, która jako okaz szczątkowy dawnych lwowskich gustów, obrazek lwowskiej cywilizacji, tuła się jeszcze po przedmiejskich scenach, spardjowana do reszty i pokiereszowana.





## W KAWIARNIANYM DYMIE.

W kawiarnianych mrokach żyją całe grupy ludzi, tworząc charakterystyczną i specjalną publiczność, żadną nowin, ruchu nerwowego i oddechu Europy, co wionie ze szpalt zadrukowanej bibuły, spragnioną plotek wielkiego miasta i życia, a przede wszystkim życia, błyskotliwego, na falach drgającego światła, w arabeskach dymu, wśród nawoływań kelnerów.

Znam pewnego dziennikarza, który z chlubą opowiada, że najlepsze swe artykuły stworzył w kawiarni, znam urzędników, którym ciężą powłoki biurokratyzmu jak szata Dejaniry, a którzy w kawiarni tylko szerszą oddychają piersią, w ostatnich czasach nawet rodziny całe z wielką pompą i uroczystością wybierają się w niedzielę... do kawiarni. Stała się więc kawiarnia dziś instytucją, prawie że społeczną, miejscem neutralnem dla schadzek ludzkich i dyskusji, a czasem także wielkiem targowiskiem, gdzie przychodzą do skutku tak różne interesy, jak różnem jest życie.

Wśród tej barwnej a krzykliwej publiczności kawiarnianej, spotyka się po kątach grupy ludzi cichych i w zadumnej kontemplacji pogrążonych. Czasem przy pionkach na szachownicy, czasami



w bezmyślnej grze w karty toną oni, dla otaczającego świata obojętni. Nic nie widząc w koło siebie, ani nie słysząc, patrzą jak sroka w kość w przesuwające się im przed oczyma »dziewiątki« i »dziesiątki« »asy« i »piki«. Obok każdego takiego stolika obsiadłego przez graczy gromadzi się druga grupa, równie cichych i zamyślonych osobników, którzy wcale nie grają, a tylko się grze przypatrują z równem, a może i większem zainteresowaniem niż sami grający. Są to tak zwani »kibice«, całkiem specjalna klasa amatorów gry, których by można podzielić na dwie grupy, kibiców czynnych, i biernych. Podczas gdy taki kibic bierny przypatruje się grze dla samej gry, to przeciwnie kibic czynny spełnia funkcje jakieś pomocnicze, za co zwykle partycypuje w wygranej.

Więc »kibic-buchalter« intabuluje pozycje poszczególne i zapisuje »ważniejsze wypadki w historii«, więc inny kibic posiada głos doradczy i po skończonej grze bierze udział w dyskusji i wzajemnych rekryminacjach, a wreszcie otrzymuje część wygranej o ile ona wypłacaną bywa w naturaljach, jak cygara, flaszki piwa etc. Są także kibice, którzy przy pomocy kopnięć nogą i innych telegraficzno-mimicznych znaków przestrzegają klientów swoich o grożącym im niebezpieczeństwie. Znako- mite są czasem sylwetki kibiców, zwłaszcza przy grze w szachy: ich miny i ruchy, zdumienie czasami, to znowu radość i irytacja, gdy klient ich gra dobrze lub się na każdym kroku blamuje. Zdarza się często, że grający podniesie pionka do góry i trzyma go nieruchomo w powietrzu, namyśla-

jąc się gdzie go postawić. Wówczas, i to można ciągle obserwować, głowy wszystkich kibiców pochylają się nagle i zaczynają patrzeć od spodu na rękę, trzymającą pionka, jakby tam pod jego podstawą znaleźli, albo przynajmniej spodziewali się się znaleźć coś bardzo ciekawego. Jest w takim odruchowem pochylaniu głowy pewien moment psychologiczny nawet, podobny do tego, z jakim ludzie patrzą na wiszącą, a tuż tuż spaść mającą bryłę śniegu z dachu.

Wogóle obowiązują kibiców ściśle postanowienia regulaminowe, które są nawet skodyfikowane w 21 paragrafach i w odpisach krążą po kawiarniach. Niektóre z tych postanowień określają towarzyskie obowiązki kibica, jak że nie wolno mu pluć na buty, *vis a vis* siedzącego partnera, inne znowu wzbraniają zbytniego mieszania się do gry, a jest jeden także paragraf, który zakazuje wymyślenia graczowi, gdy ten gra niefortunnie, czy nie-dołęźnie.

Pod wiedeńskim jednak błyszczącym pokostem dzisiejszych kawiarni znikły bez śladu dawne lwowskie typowe tego rodzaju przybytki. Ostatni zamknięty został w grudniu r. 1902.

Była to najstarsza we Lwowie kawiarnia J. Dobrowolskiego, zwana popularnie »Piekiełkiem«. Tradycyjna to była dziura, dzień i noc otwarta, a zawsze gwarem i szumem rozwydrzonych gości rozkołysana, zawsze pełna ruchu i typowych scen kawiarnianych, w które nocne życie wielkiego miasta tak bardzo obfituje.

Za jednym oknem starego typu, okolonem szyl-dowym napisem »Kawiarnia Dobrowolskiego«, roz-siadły się dwa niewielkie pokoje, o starożytnem sklepieniu, a zawsze okopcone i dymem przesiąknięte.

Pierwsza sala, długa niby wydęta kiszka, stanowiła czytelnię, a przechodząc wąską szyją i po kilku schodkach w salę bufetową, nadawała całej kawiarni, wrażenie korytarza, którego głowę stanowił bufet najeżony butelkami, a ogon szeleścił czarnymi płachtami dzienników i jaskrawą ilustracją pierwszej stronicy pism humorystycznych. Wśród błękitnych warstw dymu, drgających promieniami lamp i odbiciem ścian lakierowanych szumiało tu przez pół wieku życie gwarne i krzykliwe, bez granic niby i miary, szerokie, jak rozbawiona ludzka natura, a jednak... puste i głupie, że śmiech z takiego życia i z takich rozpasanych szałów, których szary ranek i twarda rzeczywistość jedyną nagrodą, zamglony wzrok pijanicy jedynem wspomieniem.

Kto jednak pamięta kawiarnię Dobrowolskiego w ostatnich latach, ten nigdy nie będzie miał wyobrażenia, czem było »Piekiełko« w latach dawnych, jaką ono odegrało rolę w towarzysko-kawiarnianem życiu lwowskiem od r. 1848 począwszy. W ostatnich bowiem latach była kawiarnia Dobrowolskiego jedynie ostatnią stacją opojów i najrozmaitszej nocnej hołoty, która po całonocnej wędrówce szyrkowej tam się leczyła czarną kawą, lub inną jeszcze ostatecznością, na podwórzu kawiarnianem.

Za nim jednak przyszło do ostateczności, uważali goście tamtejsi za swój święty obowiązek nie-

ludzkim rykiem napełniać cały lokal, a że jak wiadomo, każdy zalany gość ma swoje drażliwości, więc nieraz latały tam szklanki z »melanżem« w powietrzu, nieraz rozlegał się huczny trzask policzków przy załatwianiu spraw »honorowych«, a nie jeden, w ten sposób uhonorowany, z cylindrem złamanym w harmonję, z przetrąconym »stosem pacierzowym« wylatywał przy akompanjamentie kopniaków, aplikowanych rżęsiście, na ulicę, co w nomenklaturze kawiarnianej nosi skromne miano »wyrzucenia gościa«. Jednym słowem było Piekiełko w ostatnich czasach mordownią, maglem na żebra i kości swoich klientów, rodzajem konserwatorium dla ochrypłych i pijackich śpiewów, które tonem swoim »fortissimo« przerażały nieraz spokojnego przechodnia z ulicy Krakowskiej.

A przecież był czas, kiedy »Piekiełko« było pierwszorzędną we Lwowie kawiarnią i z góry spoglądało na inne mordownie, w guście takiej kawiarni, jak »pod żółtem prześcieradłem« przy ul. Kamińskiego, słynącej z tego, że gospodarz od kilku lat chory, leżał obłożony betami na bilardzie, lub kawiarni »pod piękną Heleną« w rynku, dokąd zlazili się goście z okrutnego szynku »pod kanoną«, który istniał dawniej przy Ormiańskiej, z lokalu »pod cyranką« z ul. Wałowej, gdzie obok taniego obiadu »można było dostać w pysk jak się trafił jaki awanturnik«, z mleczarni w bramie Andriollego, gdzie znowu kulawa baba szynkowała mleko i innych wziętych dawniej bardzo miejsc rozrywki, z których już dzisiaj i śladu nie zostało.

Do kawiarni Dobrowolskiego natomiast schodzili się goście z okolicznych, dziś już po części nieistniejących nawet restauracji pierwszorzędnych: Zihna w ulicy Krakowskiej, Götza, lub Stadmüllera, dawniej przy ul. Dominikańskiej i innych. Zwłaszcza popołudniową porą, mimo przepełnienia, panowała tam cisza grobowa. Wszyscy goście zatopieni byli w czytaniu gazet, których kawiarnia Dobrowolskiego posiadała największą liczbę i studjowaniem najnowszych wydarzeń politycznych, tak że najmniej rozgwar prawdziwą tam wywoływał sensację.

Razu n. p. pewnego siedział tam poważny obywatel, który się odznaczał ogromnym wzrostem i siłą. W tem otworzyły się drzwi i weszła jakaś figura, podejrzliwie się po całym lokalu rozglądając. Na widok owej figury zerwał się ów obywatel, chwycił ją za kołnierz i stentorowym głosem, a wśród ogromnej sensacji między zgromadzonymi wołać począł:

— Pan miałeś czelność pokazać się we Lwowie? Gdyby na świecie wierzby suchej nie stało, to bym cię na własnych plecach powiesił!

Pokazało się później, że był to szpieg, który w czasie powstania z r. 1863 oddawał usługi policji.

Ostatecznie ów obywatel nie miał potrzeby spełnić obywatelskiego obowiązku powieszenia szpiega na własnych plecach bo ten zbity, zmaltretowany i wytermoszony przez innych gości wyniósł się czemprędzej tam, gdzie pieprz rośnie.

W ogóle ciekawe to były postacie lwowskiej tromtadracji, które obłęgały dawniej stoły Piekiełka. Już dzisiaj i resztki ich znikają, już ich nie spot-

kać nigdzie, owych krzykliwych, rozwydrzonych, ale zawsze sympatycznych pogromców wszelkiego kołtuństwa i mameluctwa. Rewolucjoniści z urodzenia i temperamentu, politycy zakroju wojny europejskiej, demokraci ze szlachecką fantazją i staropolskiem warcholstwem, jedną nogą stali jeszcze w epoce wielkich zdarzeń i rewolucji, która na bar-kach swych wynieść miała dla nas niepodległość, a tuż przed nimi rozpoczynał się okres politycznej nudy i jałowości. — I oni, co na wiosnę patrzyli narodów, co przed nimi Wiedeń i kamaryła rzucała to konstytucją, to reakcją, to policyjnymi rządy, nie mogli znieść tchnienia jałowych czasów...

Więc obsiadali stoliki kawiarniane zadumani nad tem, co robi Francuz, czy też zechce dać pomoc polskiej rewolucji, czy też Bismark czego nowego nie knuje, lub co też myśli Garibaldi lub Mazzini. Ale wojna europejska za wolność ludów jakoś nie nadchodziła, a oni coraz cichsi byli, coraz bardziej się ich szeregi przerzedzały, aż wreszcie i tromtadratów nie stało w kawiarni Dobrowolskiego.

Nie stało też tam i lwowskiej cyganerji literacko-dziennikarskiej, która nocną porą zaczynała swoje kawiarniane urzędowanie wśród gwaru, krzyku i mnóstwa trunków, z których rodziły się najrozmaitsze projekty poto, aby za chwilę się znowu w kieliszku koniaku albo absyntu utopić. Przesiadawali tam Lam, Stebelski, Podgórski, Chochlik-Zagórski i inni.

Z kawiarnią Dobrowolskiego przeszedł do przeszłości spory kawał lwowskiej tradycji lokalnej

i lwowskiego życia przebrzmiałego. A na pochwałę lokalu tego powiedzieć trzeba, że nigdy, nawet w ostatnich czasach upadku, nigdy on nie uprawiał szulerki, nigdy nie grał na strunach namiętności swoich klientów.

W czasie kawiarnianego szychu, taniego komfortu, damskich kapeli, potoków światła elektrycznego, „Piekiełko“ usiłowało zostać zawsze tem samem „Piekiełkiem“ ale już mu i dawnych gości nie stało. — Więc się staczało coraz niżej, zeszło do rzędu lokali dla najobskurniejszych figur pijackich, a gdy wreszcie z powodu konkurencji i moczymordów nie stało — „Piekiełko“ przestało istnieć.





## BZIK KARNAWAŁOWY.

W rozigranych światła falach rej zawiodą błyskotliwy, taki barwny, jak motyle korowody, jak ruszałek jasne loty w pozłocistem wód zwierciadle. Tęcza złudy je spowije, na jedwabiu zwojach szął im zagra zapomnieniem, rozgorzeje śpiew miłości, ukojenia, świat się pięknym stanie.

A tłum idzie. Strojny, barwny idzie w tańca krąg szalony, w zapomnienia wir rozkoszny wpada. Jedwab, gaza, rozwieszono fatałaszkę, barwne figle, skrzydeł anielskich przydały niewiastom i one płyną, a płyną, jak różowe obłoczki poranka i wiją się w okół dansera, co niby olbrzymia jaskółka połami fraka strzyże nad cichego stawu taflą pozłotną...

Takie to i szczęście, a uluda, co jej lampy światła aureolą, takie to skrzydła anielskie, które się w sklepie na metry kupuje i szął, co mu rozklekotana muzyka podnieta. Gdyby tak zebrać te wszystkie westchnienia i przedbalowe skweresy, ten cały wysiłek lotnej fantazji panienek i ojcowskich pugilaresów, a potem te wszystkie rozczarowania po balu, to kto wie, czy ich wartą jest chwila szалу i ta chwila zapomnienia...

Ale w życiu tak mało wykwita promieni, tak mało mu kwiatów się kłoni i śmiechu i tańca... Bo



się tak jakoś godziny toczą niby po grudzie, niby po ścieżkach westchnień i płaczu wiją się ludzkie gromady. Brud spraw codziennych przesłania im znaki duszy przedwieczną ręką pisane i staje się ziemia cała niby w mglistą spowita szarugę, niby deptak olbrzymi, w którym chodzą ci, co przez lat pewną liczbę na życie zostali skazani.

Więc się podobno należy swawoli tanecznej godzina, karnawałowych szałów nędzne okrucy tym, co smutni są i stęsknieni światła, choćby pożyczanego, ułudy choćby chwilowej.

Więc niech im walca płynące drganie taką śpiewką serce ukołysze, ażeby zapomnieli i o tem, co wczoraj było i o tem co jutro będzie. Niech im sztucznymi zapachy rozmarzona sala balowa ogrodem się stanie szczęścia, miłości i szału. Niech raz wreszcie zatańczą wszyscy, co całodzienną pracą wy-czerpani snują się po świecie, niby cienie w mglistych obszarach.

A u nas we Lwowie życia skocznego jeden wieczór tym się także należy gromadom, których istnienie w granicach każdego „pierwszego“ w miesiącu się obraca, tym wtłoczonym w rangi, w statusy, tym których wiecznym tańcem cyfra ekshibitów, muzyką szelest „kawałków“, którym łopotanie myszy po registraturach jedyną marzeń przygrywką. Niech więc:

- ...co najgrubsze tańczą >konwoluty<
- >I ty podskakuj malutka >filuro<
- >Rozpogódź umysł swój troską zasnuty
- >Zacna, sędziwa ty >registraturo<
- >W skocznym zachwycie, niech zatoczą kołem
- >Cały >ekspedyt< razem z >protokołem<...

Lubię taneczne zabawy, chociaż to głupstwo i ułuda. Lubię przypatrzeć się tłumowi barwnemu i strojnemu, co uśmiechnięty kroczy w takt kilku muzykantów. To tak samo, jak w rzeczywistym istnieniu... ktoś pałeczką takt wybija, a ludzkość go podchwytuje i takimsamym rytmem dysze.

Lubię kobiece strojne korowody, bo one coś bardzo odległego przypominają. Może z zaświatów przyniesioną tęsknotę... może cherubinów zawrotne loty, gdy dusza na nie patrzyła wtenczas... gdy jej na świecie jeszcze nie było...

A wśród tej złudy, kobiecie skrzydeł przypiąć nawet nie żadna młodzianów fantazja różowa, bo te blaski pożyczane dają postać, w której jej jeszcze najbardziej do twarzy... postać aniołów.

I jeszcze dlatego lubię roztańczoną gromadę, bo wśród niej życie bodaj na chwilę swe ciernie obłamie, świat dobrym się wyda i świetlista go opromieni aureola. A choć aureola z nędznych światełek uwita, chociaż po zabawie pustka nastąpi i rozczarowanie, choć w samym tym szale banalność się goni z prozą i balowych rozmów pustymi dźwiękami, to jednak ciągnie ludzi wir tańca ku sobie, lub chęć przypatrzenia się roztańczonemu kłamstwu.

Tak samo ciągnie ćmy nocne do światła latarni.

A wśród tego szału jedna jest tylko chwila szaleństwa. To nad ranem, gdy w sali każda cząstka powietrza zadrga w takt muzyki, a z tego drgania nimb ciemny powstanie i okrąży gazowe światełka kilku barwnymi kręgami. Wtedy jest chwila ekstazy balowej. I stanie się sala niby mglistym polem Walhali, gdzie gonią się tęczowe mary, tak pomie-

szane w jedną orgję kolorów i taktów, że nikną osoby, poszczególne jednostki, a robi się jeden pokłębiony, rozmierzwiony splot ciał ludzkich, na którym się wszechwładnie rozsiada: bzik karnawałowy.

Lwów tańczyć umie i tańczyć lubi. Tańczył też w chwilach dziejowych, jak najmniej ku temu odpowiednich, potrafił tańczyć, zwłaszcza w czasach dawniejszych, w okolicznościach całkiem osobliwych.

Jedną z takich chwil, którym w całej pełni przysługiwałoby miano »bzika karnawałowego« przechował potomności skrzętny panegirysta XVIII w. \*) Były to zakonne obłóczyny z tańcami, które gawiedzi lwowskiej, zapełniającej w drugiej połowie ośmnastego wieku obdarte i obszarpane mury miasta, tym zubożałym potomkom dzielnego lwowskiego mieszczaństwa, dostarczyły nielada wrażeń. Wprawdzie huczna i butna zabawa magnatów, była w owych ciężkich czasach jedynym objawem życia, które się niejednokrotnie szalonem echem rozbiegało po wynędzniałem mieście, to jednak uroczystość wstąpienia do klasztoru księżny Teofili Wiśniowieckiej przewyższyła wszystkie dotychczasowe festyny, a tak była ciekawa i tak w stylu »roccoco«, że człowiek dzisiejszy, czytając jej opis w spólczesnej broszurze ks. Polikowskiego, nie dość się może wydziwić i czasom i ludziom tamtejszym.

Przedewszystkiem co może mieć wspólnego taki akt skruchy i pokory, jak wstąpienie do kla-

---

\*) Polikowski Anioł-ks.: Tryumf troistej łaski boskiej... trzema herbownego orła trąbami... potomnym wiekom ogłoszony. Lwów 1753.

sztoru, z tańcami, zabawami i festynem. Dzisiaj oczywiście związku tego zacisza furty klasztornej z hucznymi bankietami zrozumieć nie można, ale wówczas przywdzianie na się sukienki klasztornej było taką samą okazją do pijatyki i zabawy świeckiej, jak wesele naprzykład, chrzciny, lub wreszcie i stypa pogrzebowa.

U schyłku długiego i bogatego żywota, postanowiła księżna Teofila Wiśniowiecka usunąć się wreszcie w zacisze klasztorne i resztę dni swoich przepędzić na modlitwie. Matka jednego z największych rodów polskich, spokrewniona z królami, senatorami, hetmanami, osiągnęła księżna Teofila już wszystko, co w życiu można osiągnąć. Najstarsza jej córka wyszła za mąż za ks. Michała Radziwiłła hetmana wielkiego litewskiego, toż samo dwie inne córki zameżne i gromada wnucząt otaczała jej stare lata. Więc spokojnie schronić się mogła za kłauzurę klasztorną, tak samo jak wiele innych kobiet jej stanu dawnymi czasy czyniło.

Miejscem modlitwy miał być klasztor Dominikanek we Lwowie, fundowany przez nią i licznymi dobrodziejstwami obsypany. Klasztor ten już we Lwowie nie istnieje, kościół zaś jest tym samym, który stanowi cerkiew gr. kat. seminarjum duchownego przy ulicy Kopernika. Sam akt obłóczyn odbył się w dniu 11 lutego 1753 r. z następującą paradą:

Już na tydzień naprzód ogłosili tę uroczystość kaznodzieje po wszystkich kościołach, a kapela ks. Michała Radziwiłła, który miał wówczas swój pałac we Lwowie w okolicy dzisiejszej, ulicy Krasickich, »przez cały tydzień, na wieży przy kościele W. W.

Panien tak rano, jako i wieczór różne i przednie marsze wygrywała. Równocześnie poczęli się zjeżdżać zaproszeni goście. Za dalekoby doprowadziło wyliczanie za ks. Polikowskim całego tłumu panów i pań — wystarczy bowiem powiedzieć, że wszystko cokolwiek eleganckiego było w owym czasie w Polsce, arystokratycznego, magnackiego, wszystko to zjechało się do Lwowa. Zrzeczenie się świeckich spraw przez ks. Teofilę Wiśniowiecką, stało się „*cause celebre*“ ówczesnego eleganckiego Lwowa i uroczystością publiczną, której rozmiary do dzisiejszych wielkich obchodów narodowych pod względem pompy porównać się dadzą.

Oto bowiem w sobotę, to jest w wigilję aktu obłóczyn, około godziny jedenastej przed południem, odbyło się pontyfikalne nabożeństwo odprawione przez biskupa Jezierskiego, na którym to nabożeństwie »kapela przy wybornej rezonancji traktowała, garnizon wielkiej Buławy, pro praesidio zostający w tutejszem mieście wystąpił z paradą przez cały cmentarz,« a ks. Polikowski, z dokładnością dzisiejszego reportera notuje, że »probantka ustrojona była w suknię »drap d'or, bogatą kwiatami rzucaną dziewczynnej mody« i wymienia długie szeregi eleganckich gości, którzy całemu temu aktowi religijnemu nadawali pozorów świeckiej maskarady. Czytamy bowiem dalej, że wieczorem tegoż dnia w obecności gości, kapela wygrywała aspirantce do stanu zakonnego „różne przednie sztuki“, a w pałacu ks. Radziwiłła »wyborne i modne tańce« się odprawiały.

Właściwa uroczystość jednak odbyła się dnia następnego, w niedzielę. Rozpoczęła ją sakramen-

talna pobudka i odegranie marszów na dobry dzień przez kapelę. »Kościół cały osobliwszą inwencją, wspaniałą symetrią i pilną obserwacją proporcji, obiciem karmazynowem etc. dziwnie spektatora kontentował«. W około kościoła stanęła w paradzie tak dla asystencji, jak i »dla uskromnienia wielkiej ciżby« część »regimentu wielkiej buławy«, a podczas gdy w kościele prawily się msze jedna za drugą, zgromadzonych pod kościołem gości zabawiała kapela „przez wygrywanie włoskich wybornych sztuk“. Następnie odbyła się uroczystość kościelna, »przy odgłosach trąb, kotłów i salve z armat«, a ks. Polikowski miał kazanie »w bardzo eleganckim stylu.«. Po nabożeństwie wreszcie ks. Radziwiłł „wszystkich gości do pałacu swego zaprosił i tamże przy odgłosach trąb, kotłów i armat, oraz illuminacjach pałacu i altany na kępie zabawiał do późnej nocy“.

Równocześnie odbył się bankiet w samym klaszorzé, gdzie wnuczki księżnej same służąc do stołu »marcypany każdej osobie, osobliwie cukry, różnosząc częstowały«.

W ten sposób pożegnała się księżna Teofila Wiśniowiecka ze światem i jego doczesnemi sprawami.





## NA BRUKU.

Uliczna lwowska publiczność dostarczyć by mogła materiału obfitego do osobnej monografii, tyle w niej kaprysu, nieobliczalnych porywów, a równocześnie tyle gustu niewybrednego i zamiłowania we wszelakiego rodzaju jaskrawościach.

Z tem wszystkim jednak, ta prawdziwa lokalna publiczność coraz bardziej ustępuje miejsca, na modłę wielkomiejską przybranemu, tłumowi bez barwy i wyrazu. Typy lwowskie dawniejsze trafiają się tylko w niedzielę i tylko w kilku punktach miasta.

Wywołują je z dalekich domków przedmiejskich, zaraz o świcie dzwony kościelne, brzmiące na »Anioł pański«.

Brzmią przez chwilę uroczyście przy wtórce kościelnych sygnaturek. Jedna drugiej podaje wezwanie, a wszystkie razem płyną na spokojne dachy, w oknach kuchen się odbijają i w suterénach i w chatkach przedmiejskich. W okna zaś storami zabite i firankami się nie ważą... bo tam ludzie spać się niedawno położyli.

Ale w tej chwili odzywa się dzwonek na ratuszu i jakiś chrapliwy głos, rozespany, przeciągły. Ratusz budzi swoich, głos umęczony to

powitanie dnia na odwachu okrzykiem człowieka umęczonego wartą, a trąbka to poranny oddech i modlitwa cytadeli...

Kilka świateł w oknach, turkot dwu, czy trzech stor sklepowych, kilka wózków z pieczywem i... zaczyna się dzień wielkomiejski... niedziela.

Na bruku tłum coraz potężnieje, wyświeżony w niedzielne szaty spowity. To warsztaty i biura wyłały wezbraną falą ludzi, spragnionych wolnego powietrza i spoczynku.

O godzinie 9 rano, właśnie gdy świątkujący tłum na bruku dochodzi do rozmiarów potężnych, poczynają się między nim przewijać błyszczące kasiki z mosiężnymi trąbami na czele, które według z góry wydanego rozkazu idą cześć oddawać... Bogu.

I to wojsko z taką matematyczną dokładnością i w jednej, a tej samej godzinie schodzące, czy to ze stoków cytadeli, czy gdzieś z koszar Jabłonowskich wywołuje jednakowy zawsze efekt w fizjognomji świątkujących Lwowian. W jednej chwili opróżnia się połąć rynku od ulicy Ruskiej i druga połąć od ulicy Krakowskiej, a zapełnia się plac Trybunalski przed kościołem Jezuitów, plac św. Ducha i Kapitulny.

Trzeba bowiem wiedzieć, że część rynku od ulicy Ruskiej i tam, gdzie stoi dom z lewkiem św. Marka, niegdyś podobno własność konsulów rzeczypospolitej weneckiej, stanowi obecnie potroszę giełdę pracy dla poszukujących służby kobiet, a potroszę rodzaj „*forum romanum*“, gdzie się załatwiają najrozmaitsze interesy pod egidą »mohoryczu«, który obfi-



cie płynie z godeł »pod dzwonami«, »pod koroną«, „pod zielonym słoniem“ i »pod rzetelną miarą« vulgo »pod zweiundvierzig«. To samo też dzieje z drugiej strony rynku w t. zw. »krakowskiej bramie«.

Na odgłos więc muzyki wojskowej opuszczają swoje stanowiska gwarzący naród w tym celu, aby po jej bokach i na przodzie utworzyć szeregi, marszerujące w takt pałki »regimentstambora« i wygwizdywać ulubione marsze razem trąbami i czynelami.

Niedzielną muzyką jednak od lat już kilku odbywać się musi bez... durnego Jasia, który przez lat kilkadziesiąt był najbardziej typową, najbardziej znaną i najcharakterystyczniejszą postacią lwowskiej ulicy.

Nazywał się Jan Lis, a umarł 19. grudnia 1903. O nazwisku jego prawdziwym dowiedział się Lwów dopiero z kartek pośmiertnych, którymi pamięć durnego Jasia rozniósł po mieście właściciel Zakładu pogrzebowego p. Kurkowski, ten sam, co stanowił u biednego idjoty personifikację śmierci i symbol znikomości rzeczy ludzkich. Zresztą nazwisko nie było Jasiowi potrzebne, bo i tak znało go całe miasto.

Wraz z »durnym Jasiem« zeszedł do grobu kawał *sui generis* historii Lwowa, ostatni mohikanin brukowy, który przez długie lata znany był najmniejszemu nawet dziecku we Lwowie, a kalectwem swym umysłowym bawił niewybredne rzesze uliczników. Bo też i kalectwo to spokojne było, ciche, nienatrętne, a zwykle kaskadami wesołego śmiechu

upiękzone i beztroskliwej radości. Nad idjotą tym biednym, niepoczytalnym i w tej swojej niepoczytalności szczęśliwym, jaśniała jakby jakaś gwiazda ciągłego zadowolenia ze świata, ze siebie, z ludzi, taki pogodny optymizm i naiwna filozofja, jakie się chyba u dzieci spotyka.

Śmiał się durny Jasio ze wszystkich i wszystkiego. Śmiał się wtenczas, kiedy złote słońce wyjaśniało jego łachmany i wtenczas, kiedy mróz i zawieja najbardziej mu dawały odczuć rolę parjasa społecznego; śmiał się na pogrzebie, tak samo jak wtenczas, gdy z gronem pauprów towarzyszył muzyce wojskowej krokiem posuwistym, olbrzymim, tuż obok kapelmistrza. Powiadają niektóre ludy, że jest coś świętego w takim pogodnym obłąkaniu, że Bóg sam okrywa mrokiem duszę i odrywa ją od ciężkich spraw żywota, aby biegła swobodnie, szczęśliwie i bez troski. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to „durny Jasio“ był rzeczywiście przez lat kilkadziesiąt najszczęśliwszym człowiekiem we Lwowie, już choćby dlatego, że całe życie był dzieckiem, młodym, „durnym“ Jasiem, że mu złota młodość świeciła razem ze siwymi włosami na głowie, a pogodny śmiech dziecka towarzyszył... wiekiem zgarbionej postaci.

Szczyt popularności osiągnął „durny Jasio“ filozoficznymi uwagami swoimi na temat życia i śmierci, która dosięgnie tak samo bogaczy tego świata jak i biedaków. Tłum lwowski nigdy nie miał krwiożerczych instynktów społecznych, nigdy nie pożąda mienia i bogactwa tych którzy się rozbijają powozami, ale za to ma pewną, delikatną niechęć,

która właściwie nie jest zazdrością, choć jej cechą rzetelna pociecha, że wobec śmierci wszyscy są równi. Na ten temat snuł „durny Jasio“ niezliczone uwagi, będące w gruncie rzeczy bezmyślną i przypadkową kombinacją zewnętrznych wrażeń, które się o oczy i uszy idjoty odbijały. Personifikacją śmierci był u niego p. Kurkowski, mocarz wielki, władca karawanów, jarzących świec, pompatycznie ubranych pacholków, mistrz tych wszystkich pogrzebowych ceremonii, w których zwykle »durny Jasio« uczestniczył, o ile się one z muzyką odbywały. Stąd też prorokował »durny Jasio«, że p. Kurkowski zabierze niebawem wszystkich po jednemu... a tłum otaczający go słuchał i śmiał się.

Ma tłum lwowski dalej skłonność do lapidarniej krytyki, niewinnej, ale za to lubiącej w czambuł wszystko potępiać. »Durny Jasio« mu prawił, „że wszystkich dobrych ludzi pozabierał p. Kurkowski, a same łajdaki zostali na świecie...“ więc cieszyła się z tego gromada pauprów ulicznych, przekupek, posługaczy publicznych itp.

W zatłuszczonej magierce na głowie, w długim, obdartym szarafanie, w zrudziałych od starości butach był „durny Jasio“ stałą dekoracją niektórych lwowskich gmachów publicznych, a kiedy opuszczał na przykład hotel Żorza, aby kontredansowym krokiem i z huczącym śpiewem przejść ulicę Halicką i ustawić się koło głównej trafiki w rynku, to towarzyszył mu zawsze orszak rozgwizdanych, rozkrzyczanych, utrapionych pauprów, od których biedny idjota otrząsał się czasami potężnym kopniakiem, lub niemiej potężnym zamachem pięści. Nikt nie

pytał, co on zacz ten »durny Jasio«, jaka jego familja, skąd środki do nędznego życia. Wystarczało, że urodził się gdzieś na stokach kaleczej góry, że matka jego barszcz sprzedawała i tem podobne szczegóły, które sobie gawieź w formie anegdot opowiadała.

Nietykany przez władze, żywiony przez publiczność odpadkami cygar, stał się »durny Jasio« figurą typową, powszechnie znaną, charakterystyczną cechą lwowskiego bruku. Nieraz wśród gawieździ, otaczającej tę postać, stawał stróż władzy, półksiężycem ozdobiony rzecznik publicznego spokoju, a wtedy oczom przechodniów przedstawiał się niesłychanie ciekawy i oryginalny obrazek rodzajowy: policjant trzymający się za boki od śmiechu, razem z chłopackiem szewskim, przekupką, »batiarem«, dorożkarzem, co konie swoje opuścił, sługą z koszykiem w ręku i ekspresem.

W ostatnich czasach swojego życia doprowadził »durny Jasio« do tego, do czego napróżno wzdychali... greccy filozofowie, a zwłaszcza Sokrates, pragnący utrzymania z publicznych funduszków. Utrzymaniem jego i przyodziewkiem zajmował się magistrat, a kiedy starość zimna przyszła... dał mu schronienie w swoich zakładach dla nieuleczalnych i żywił go wreszcie na koszt miasta.

Aż wreszcie znikł »durny Jasio« z bruku lwowskiego.



X.

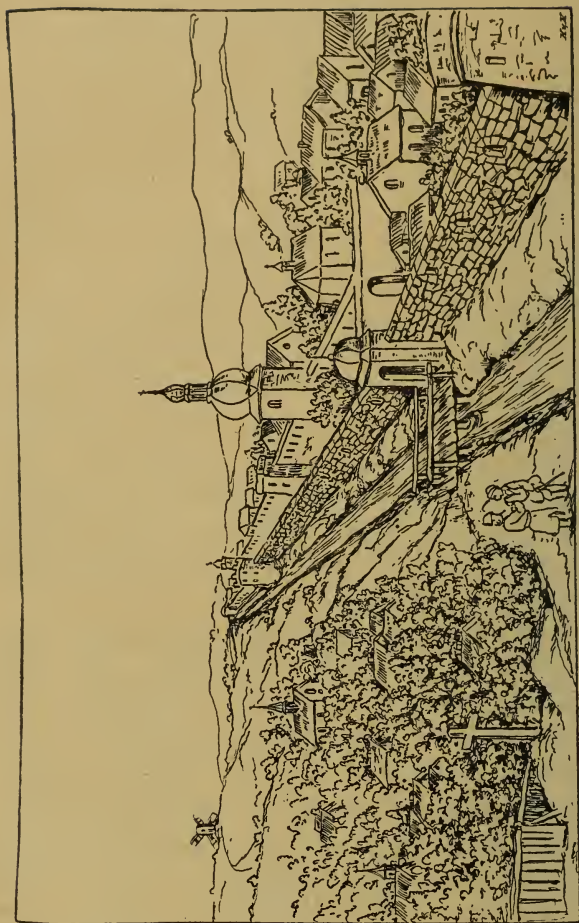
WŚRÓD DRZEW I ZIELENI.



## I. WAŁY HETMAŃSKIE.

Na Wałach hetmańskich karłowate drzewa skarłałe dzieci chodzą pod drzewami. Tak jakby kawał biednej, suchotniczej przyrody ujął we spianiałe ramy rzeźbionych i gipsowanych kamienic, przybrał we wstęgę mieniającą się ruchliwymi kolorami życia wielkomiejskiego, upstrzoną w tramwaj i dorożki, elegancki gwar szabasowej publiczności na ul. Karola Ludwika i harmider, dolatujący z Gheta lwowskiego po za teatrem.

W tych ramach wartkiego życia schnie mała oaza Wałów hetmańskich, czerwieniąc się tylko sztucznymi rumieńcami klombów, mundurami żołnierzy, lub wreszcie gorącym kolorem flirtu i niedwuznacznych romansów, których kwiaty zadziergnięte są na całej słonecznej, mało ocienionej przestrzeni od placu Marjackiego po teatr. Zresztą przyjdzie przechodzić, poduma, czy naprawdę król Jan III. dosiadał konia w ciężkim kontuszu i żupanie, jak to jest wyrażone na pomniku, czy też może w zbroi raczej pędził bohaterski geniusz na obronę Austrii



WAZY HETMAŃSKIE ZA POLSKICH CZASÓW

odtworzył według starych rysunków i planów p. Fr. Kowaliszyn.

przypatrzy się jak litościwa akacja niby umyślnie zazieleniła się bujnie, aby ukryć nędzę i zaniedbanie posągu hetmana Jabłonowskiego. Popatrzy więc na to przechodzień, oderwany od bystrego strumienia ulic Karola Ludwika i Hetmańskiej i wpadnie w ten strumień napowrót, zostawiając wolne miejsce dzieciarni, niańkom i żołnierzom.

Jedną tylko mają chwilę hetmańskie Wały, kiedy naprawdę się stają poważne i wielkie i jedno miejsce, skąd ta powaga rozlewa się czarem zaklętych ogrodów. To wieczorem, kiedy na białej wstędze rzuconej nad Pełtew podziemną, zabłysną dwa rzędy latarnianych świateł, a ktoś z balkonu teatralnego popatrzy na ten prawdziwy taniec świateł i cieni, plam czarnych i kolorowych, gazowych i elektrycznych płomieni.

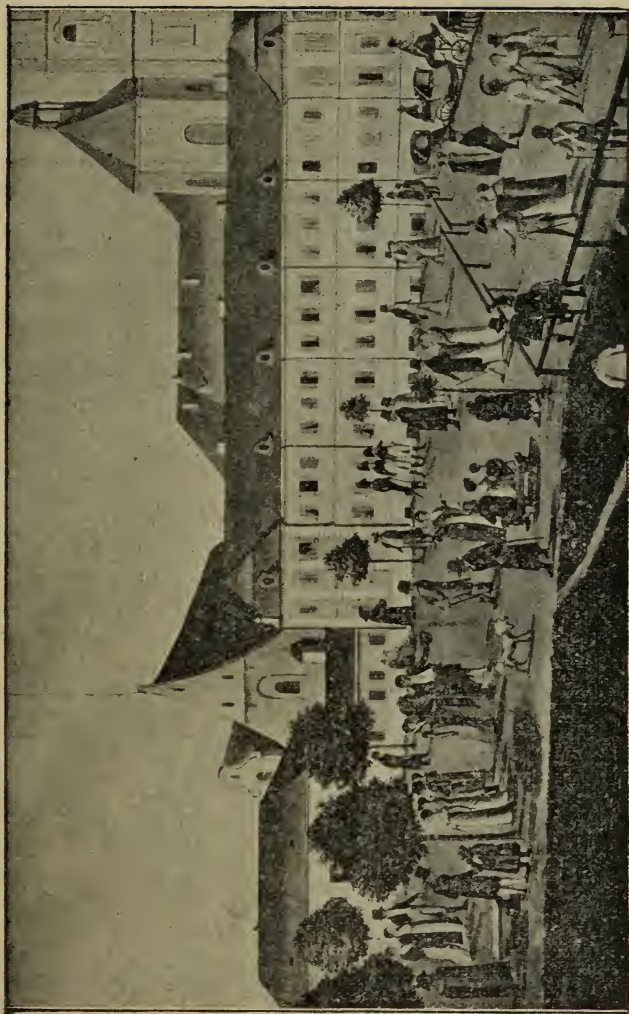
Są wtedy Wały hetmańskie i wielkie i ładne i imponujące do tego stopnia, że niktby nie pomyślał, że przez niecałymi stu laty spacerowała sobie tędy koza Mechla Arona, że krowy szczypały sobie tutaj trawę i obskubywały liście z drzew, a już wcale nieprawdopodobnem się wyda, aby ktoś mógł sobie tutaj rozpiąć sznur od drzewa do drzewa a na tym sznurze suszyć mokre koszule i inne sekretne części ludzkiej garderoby.

A jednak koza Mechla Arona jest faktem historycznym i krowy pasące się i bielizna jednego z obywateli lwowskich. Magistracko-austrjacki »*Bauamt*« przy końcu ośmnastego wieku ciągle się spotykał z takimi niespodziankami, urządzanemi mu przez patryarchalne zwyczaje obywateli lwowskich, a chociaż praszczurowie dzisiejszych dygnitarzy po-



datkowych umieli już wyzyskać tego rodzaju fakty dla celów fiskalnych, okładając właścicieli kóz, krów i mokrej bielizny karami »konwencjonalnemi«, to przecież zdarzały się i takie fakty, które mogły być co najwyżej tylko zanotowane w protokole. Do tych należy tradycyjna złośliwość pauprów lwowskich, którzy ze świeżo urządzonych i splantowanych wałów wyrywali z korzeniem dopiero co zasadzone i z Zimnej wody sprowadzone drzewa, burzyli nocami ławki kamienne, niszczyli trawniki i w inny jeszcze sposób zanieczyszczali »Haupt-promenade« jedyne *rendez vous* eleganckiego Lwowa przy końcu wieku ośmnastego.

Okolo roku 1776 rozpoczęto na gruzach dawnych fortyfikacji miejskich urządzać miejsce spacerowe, dzisiejsze hetmańskie Wały i w ten sposób zniszczono krajobraz, który przez kilka wieków dumą napełniał serce Lwowianina. Wał miejski, wysoki, obronny, odgraniczony z jednej strony czystym jeszcze naonczas strumieniem Pełtwi, a z drugiej strony od ulicy Hetmańskiej fosą miejską, za nią mur warowny, przerwany w jednym tylko miejscu, gdzieś na linii głównego wchodu do Dyrekcyi skarbowej furta jezuitką z kopulastym szczytem, a od niej most zwodzony, prowadzący ku jezuickiemu folwarkowi, na błota i łąki zaścielające obecną ulicę Jagiellońską i staw na miejscu, gdzie dzisiejszy pasaż Hausmana. Był bowiem krajobraz w okolicach wałów hetmańskich zgoła różny od dzisiejszej pryncypalności ulic Karola Ludwika, Jagiellońskiej, Kopernika, Sykstuskiej, placu Marjackiego. Już w roku 1840 pewien »gość z prowincji«, przyjechawszy



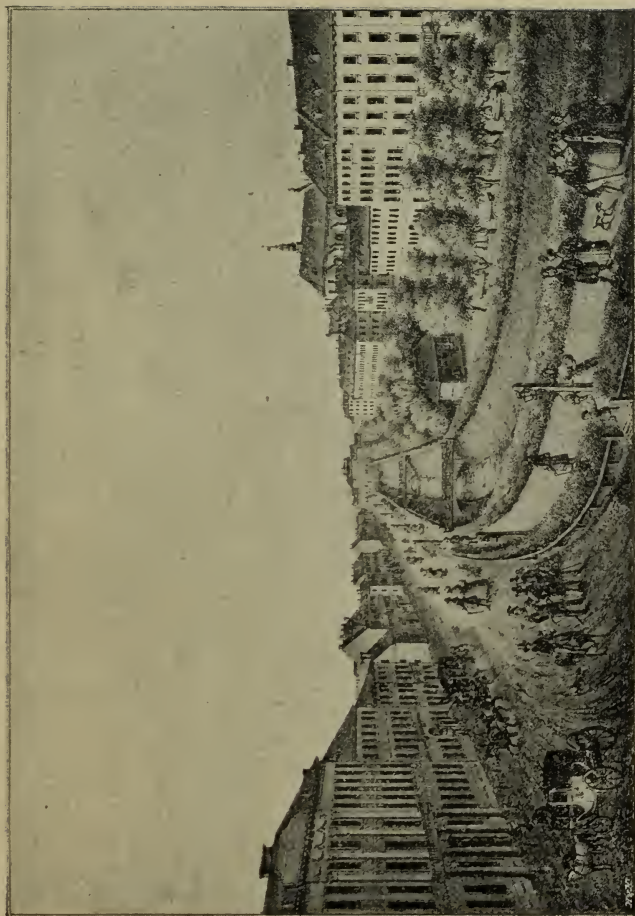
WALY HETMAŃSKIE W R. 1807

(według akwareli znajdującej się w Bibliotece Baworowskich. we Lwowie).

po 60 latach na nowo do Lwowa dziwił się bardzo ogromowi kamienic Hausnera, Penthera, Dreznera, Hofmana, które pokrywały plac Marjacki od dzisiejszego towarzystwa kredytowego ziemskiego po hotel Żorza. Wielka część tych kamienic przeobraziła się dziś w prawdziwie wielkomiejskie gmachy. Około zaś roku 1780, na całej ulicy Karola Ludwika »nic innego nie było tylko bagna i trzęsawiska. Kilka domków rozrzuconych tu i ówdzie na ulicy jezuickiej (dziś Jagiellońska) dwa domki na Sykstuskiej, a jak cała Szeroka ulica (dziś Kopernika) — wszystko miejsce było błotniste, same moczary, trzęsawiska zarosłe trzcina — tam na kaczki wyśmienicie polowano«.

Most prowadzący na folwark jezuicki, czyli do dzisiejszego ogrodu pojezuickiego bywał wielokrotnie przyczyną niemiłych wypadków. Raz panny lwowskie wystrojone z bajecznym przepychem i śpieszące na uroczystość obłóczyn pewnej swojej koleżanki w klasztorze Marji Magdaleny, załamały się tutaj, spadły do Pełtwi i musiały wrócić do domu »z większym wstydem, niż bolem«. Bywało także, że w czasie trwogi wojennej most się łamał pod naporem chroniących się do miasta, a furta jezuicka zapchana tłumem granym paniką, z trudnością przed wrogiem zamknąć się dawała.

Rząd austriacki użył rumowiska z murów miejskich do częściowego usypania fosy i wyrównania terenu pod przyszłą promenadę. Była zaś ta promenada początkowo podobna zupełnie do wału, wzniesionego na przeszło 4 stopy po nad okoliczny poziom. Na tem wzniesieniu zasadzono aleję

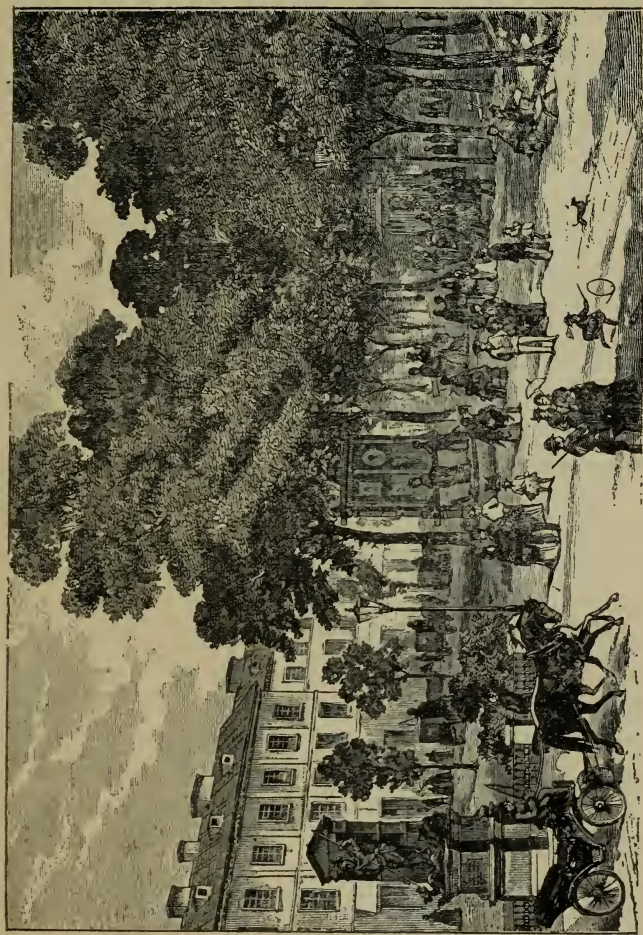


WALY HETMAŃSKIE W R. 1840.  
(Według Zawadzkiego: „Galicja w obrazach“).

drzewną, lecz korzystanie z przechadzki po niej było o tyle utrudnione, iż w wale znajdowało się kilka przerw, nie pokrytych pomostem, a służących do przepędu bydła. Dwie śluzy u wylotu ulicy Akademickiej i Karola Ludwika utrzymywały wodę w odpowiedniej wysokości.

Później fosę od strony ulicy Hetmańskiej zasypano, a na samych wałach stanęły rzędem kioski z lemoniadą, które wyrosły się później w »budki sodowe« znajdujące się dziś jedynie w szczytowych okazach na wałach gubernatorskich. Pawilon letni cukierni Wolfa był punktem zbornym złotej młodzieży, a drewniane szalety kawiarniane były targowicą interesów, na których określenie dziennikarstwo dzisiejsze używa terminu »handel żywym towarem«. Jeżeli mamy wierzyć takiemu na przykład Kratterowi, który przy końcu ośmnastego wieku wrażenia swoje lwowskie i galicyjskie spisał w dwu tomach, to handel ten, dzisiaj tak słusznie tępiony, znajdował się wówczas we Lwowie w pełnym rozkwicie, cieszył się protekcją ówczesnego dyrektora policji, a cnota niewieścia należała wtedy do największych i wyjątkowych rzadkości.

Ze względu jednak na to, że szalety owe kawiarniane należą już do przeszłości, nie warto rozpisywać się i o cnotce niewieściej, na którą one były tak bardzo zażarte, wspomnieć jednak wypada o tej publiczności, która nad niewonnym brzegiem Pełtwi szukała świeżego powietrza i wytchnienia a znachodziła ponadto bardzo dogodny teren do wzajemnych obserwacji, do krytycznych uwag i flirtu. Wspomiany już wyżej szlagon z prowincji,



WALY HETMAŃSKIE W R. 1874.  
(Według rysunku K. Miodnickiego.)

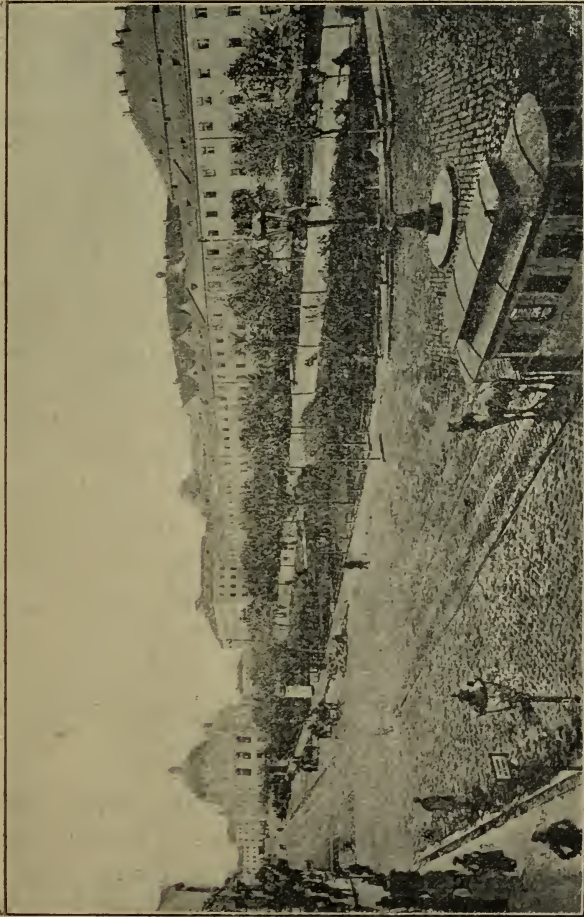
tak opisuje to pierwsze pokolenie Lwowian które zalegało wały hetmańskie przy końcu ośmnastego w:\*)

»Wtenczas panie chodziły w kusych i opiętych szlafrokach, wygorsowane jak na kulik, mając fryzury na głowie by puła, a na onych fryzurach pełno kwiatów, jak na jakiej mogile, pod którą parę szkieletów ludzkich spoczywało. A to było *a la mode!* Gdybyś mopanku widział staniki aż na plecach, suknie u dołu ze szlarkami, trzewiki żółte, lub czerwone, albo lilla, z różą na środku, rękawiczki po za łokcie, pończoszkowej roboty *ala dziur* — tak ci zabawne, jak lalki w katarynce. — Chłopcy zaczęli się przebierać z francuska, nosili kamizelki po kolana, fraczki do połowy piersi i waziotki ogonek, by na opędzenie much, a stanik prawie na środku plec, fryzury dziwaczne i kapelusze z wielkimi krysami, lecz chociaż słońce świeciło zawsze pod pachą noszone. W takiej gali zdybywałem ich w dnie świąteczne na wałach, lub po rynku spacerujących, starzy tylko nosili kapoty i kontusze. Żydów zaś widziałeś wszędy co nie miara, a wszyscy by kruki czarne, w racimorowych kapotach, z wierzchu mantel, nieprzymierzając z długimi rękawami, żydówki nosiły złotem naszywane napierśniki i bogate bindy na głowie, ubierały się w szuby lub jupki jedwabne, wyszyte różnemi kwiatami, a tak to jest mi dziś śmieszne, jak gdybym się patrzył na komedjantów«.

I śmiałyby się zapewne nasz poczciwy szlagon jeszcze bardziej, gdyby mu było danem doczekać

---

\*) Lwowianin z r. 1840 str. 45.



WALY HETMAŃSKIE W DZISIEJSZYM STANIE.



krynoliny, która w pękatych swych kształtach przez długie lata królowała na Wałach hetmańskich, lub też dzisiejszych olbrzymich kapeluszy.

Aż do szóstego dziesiątka lat ubiegłego stulecia stanowiły wały hetmańskie *rendez vous* dla eleganckiego świata lwowskiego, który wyparty stąd został dopiero przez tak zwaną »czarną giełdę«, co na długie lata stała się klątwą tego miejsca. Już w r. 1874 biadał korespondent warszawskich »Kłósów«: »wały zwłaszcza w części przytykającej do placu Marjackiego stały się targowicą giełdową, rojącą się grupami finansistów wyznania mojżeszowego, które tu całe dnie w oczekiwaniu na telegramy giełdowe, oddani załatwianiu operacji finansowych, przepędzają. Wszelkie protesty i usiłowania aby oczyścić przechadzkę publiczną z tego natłoku, tamującego cyrkulację, były bezskuteczne. Forowana wielokrotnie rozkazami władzy policyjnej giełda uliczna powraca tutaj zawsze, drepcąc z wolna w jednym kółku, aby tym sposobem wyłamać się pozornie z pod zakazu tamowania przejścia publicznego, nieruchomem pozostawianiem w miejscu. Tak tedy najpiękniejsza część wałów, od świtu do późnego wieczora, jest prawie nie do przebycia«.

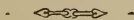
Czarne chałaty żydowskie zabarwiały Wały hetmańskie na charakterystyczny kolor ziemi obiecanej. Na straży krzykliwych giełdziarzy stał posąg świętego Michała, starożytne, przepiękne dzieło odlewnictwa lwowskiego, zniesione tutaj ze szczytu arsenału królewskiego obok Dominikanów. Święty Michał przechodził na wałach najczarniejsze chwile

swego istnienia, gdyż złodzieje lwowscy skradli mu nawet skrzydła złocone, a zabójcza woń Pełtwi do tego stopnia odebrała mu wrażliwość, że pozostał nieczułym nawet na inwokację lwowskiego wieszczą, który na widok »czarnej giełdy« wołał w natchnieniu :

- »O Ty potężny, wielki Michale,
- »Co z łaski ojców na piedestale
- »Stoisz, uczyni prosimy, cud,
- »Rozpędź Twą dzidą Izraela lud!

Dopiero zamurowanie Pełtwi, wycięcie starych drzew i nadanie wałom nowożytnego wielkomięskiego wyglądu, rozprószyło »czarną giełdę«. Po raz ostatni można było widzieć ten obrazek z niedawnej przeszłości Lwowa wtenczas, gdy »czarna sobota« na giełdzie wiedeńskiej, doprowadziła do ruiny wielu spekulantów a graczy lwowskich. Wówczas na Wałach hetmańskich rozgrywały się dantejskie sceny rozpaczy, z akompaniamentem wydzierania sobie włosów z brody i głowy i piekielnego krzyku.

W ostatnich czasach, dzięki wzmożonemu ruchowi tramwajowemu zatraciły wały hetmańskie prawie zupełnie charakter miejsca spacerowego. Powydzierano z nich całe szmaty dla przepuszczenia linii elektrycznych, a te rozbiegłszy się na wszystkie strony, dzwonią, skrzypią, piszcą piekielną wrzawą wielkiego miasta, które w tem miejscu jest na prawdę wielkie, imponujące, a poczyną być czteropiętrowe, nocami jasne jak w dzień i ludzkiego pełne mrowiska.





## II. WAŁY GUBERNATORSKIE.

---

Oto ziemia miłości i wspomnień. Poznasz ją po nagłej ciszy i odludziu, po smętnem szemraniu drzew, którym lat setka już dochodzi i po westchnieniu ją poznasz, które obsiadło tutaj samotne krzewy i pnie się bluszczem po starých murach. Siwych oczu tęskica tu większa, patrzących w pochylą dal placu Strzeleckiego i większy, a cichy i bezbrzeżny smętek się rozsiadł na Wałach gubernatorskich.

W samotnej pustce wieczora dziwne tędy chadzają majaki, a uporne, że je nawet trywialny chichot par zakochanych rozwiać nie zdoła. Po przez szpary listowia patrzy dwoje oczu szarych, a głębokich jak przeznaczenie i wiosna wionie skrzydlata, jasnowłosa, co słońcem uśmiechu omignie i nagłego gniewu błyskawicą i ciszą poranka i smutkiem wieczora przemówi... wiosna płochliwa.

Aż się szybkim krokiem rozwieje po nad Strzeleckiego placu długą płaszczyzną, wspomnienie jedno ostawiając że:

...księżycu

Pod twą stopą się tam lśniły

I że wszystkie anielice

Nie tak piękne, jak Ty były...

Taki to czar się pod stopy kładnie temu, kto przejdzie górną stroną Wałów gubernatorskich w chwili, kiedy tam niema ordynarnych romansów kucharek, ani kujonów, wykuwających lekcje szkolne, ani rozzierającego wrzasku łobuzów. W tym rzadkim momencie staje się cała okolica pod murami Miłosiernych i Benekyktyniek, obok pożarnej straźnicy i na kilkakrotnie przeciętej ulicami wstędze nasypu, równocześnie jakby drogą dla nimf jaśnowłosych i jakoby echem natarczywych wspomnień dziejowych.

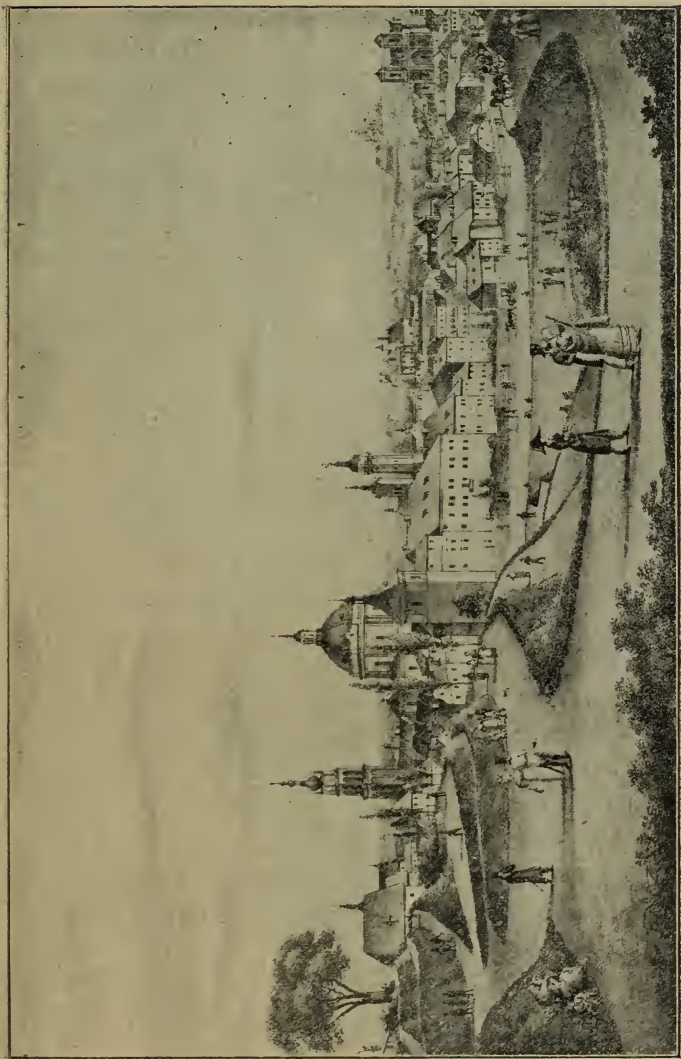
Wielka szkoda, że najpiękniejsze to może i najbardziej charakterystyczne miejsce napelnione zostało prozą lwowskiego żywota, a ona brudem swoim tędy szaleje i cały czar, całe wspomnienie odbiera staremu krajobrazowi.

Bo krajobraz gubernatorskich wałów zachował jeszcze po części swój dawny charakter. Jeszcze się czerwienią resztki warowni Bernardyńskiej i od Podwala dwa arsenaly, miejski i królewski, jeszcze odrapana baszta prochowa przypomina forteczny charakter miejsca i jeszcze się kościół Karmelitów nad wszystkim unosi ze strzępkami murów warownych, a wołoska cerkiew, Dominikanie, kwadrat budynków stauropigialnych, spad ku ulicy Ruskiej ongi furta bosacka, zaułki ulic Zacerkiewnej i Arsenalskiej stwarzają nastrój z przed kilku

wieków, tak jak w nim żyły dawne pokolenia, pomiędzy kościołem a basztą forteczną, wśród dźwięku dzwonów i armatniego huk.

Lecz ów krajobraz, jakkowiek wiele jeszcze zachował śladów przeszłości, zgoła był za czasów Rzeczypospolitej inny, opancerzony, forteczny, na każdym kroku wojenny i wojną dyszący. Komendanci fortecy lwowskiej, inżynierowie, rycerscy burmistrzowie i rada, pełną mieli świadomość, że w tym miejscu jest achillesowa pięta twierdzy, że tutaj natrudniejsza obrona i najłatwiejszy przystęp wrogowi, bo sąsiednie wzgórza i wzniesienia pnące się ku Wysokiemu Zamkowi dawały oblężającym dogodnie punkty obserwacyjne i stanowisko dla ostrzeliwujących baterji i impet dla spadających zastępów. To też wszystkie usiłowania mieszczan, cała sztuka inżynierów fortecznych królewskich, a wśród nich słynnego Berensa za czasów Jana III. ku temu tylko skierowana była, aby to miejsce opancerzyć jak najmocniej i jaknajbardziej ufortyfikować.

Więc najpierw bronił tego boku miasta stary mur forteczny, zbudowany jeszcze przez Kazimierza Wielkiego. Biegł on tuż za tylną ścianą kościoła Dominikanów i cerkwi wołoskiej, a najeżony był czterema basztami, z których pierwsza, rymarska, stała u zbiegu dzisiejszej ulicy Ormiańskiej i Skarbkowskiej w narożniku, którego ślady widoczne są jeszcze dzisiaj naprzeciw szkoły Staszica, druga stała na dzisiejszym skwerze przed cerkwią wołoską, trzecia, zachowana po dzień dzisiejszy u wjazdu do arsenału miejskiego od strony uliczki



WALY GUBERNATORSKIE W R. 1830.  
(Według współczesnej litografii).

Za zbrojownią, czwarta wreszcie na drugim rogu arsenału u rogu ulic Sobieskiego i Za zbrojownią, a miejsce jej wskazuje ścięty bok samego arsenału.

W linii dzisiejszej ulicy Podwale wzdłuż obydwu arsenałów biegł drugi mur fortyfikacyjny t. z zewnątrz z sześciu półkolistymi bastjonami, z których zachował się do dzisiaj jeden tylko w suterynach domu przy ul. Sobieskiego, zamieniony niedawno w winiarnię »pod starą basztą«.

Przestrzeń między oboma tymi murami wewnętrznym i zewnętrznym nie stała wcale pustką. Znadto bowiem mało było miejsca w mieście, ażeby można było zostawić niezabudowanym nawet tak wąski skrawek. Przyczepili tedy mieszczanie jeszcze w XVI wieku do muru wewnętrznego arsenał miejski, skład broni, kul i prochów, po za Dominikanami zaś zbudowali inżynierowie Władysława IV. według wskazówek bodaj czy nie Krzysztofa Arciszewskiego, drugi arsenał, królewski, skład broni na gotującą się wyprawę przeciw Turkom. Między oboma arsenałami na skrawku przed cerkwią wołoską stanęły ponadto dwie kamienice prywatne, tak że cały mur wewnętrzny został zakryty, tembardziej, że i na szczycie jego budowano mieszkania i doczepiano oficyny sąsiednich realności, ku wielkiemu utrapieniu władz miejskich.

Po za murem zewnętrznym, jak cała dzisiejsza ulica Podwale biegł głęboki rów, fosa miejska napełniona wodą, a za nią dopiero wał miejski, który był osią całego systemu fortyfikacyjnego i w tem miejscu bardziej był obronny i mocniej ufortyfikowany aniżeli z innych stron miasta.

Przedewszystkiem narożnik wałów, w tem samym miejscu gdzie dziś wojskowa pikieta, broniony był przez dużą okrągłą basztę t. z. »królewską«, na przeciw zaś głównego wejścia do namiestnictwa, zbudował inżynier Berens za Jana Sobieskiego drugi bastjon; potem stojąca po dzień dzisiejszy baszta prochowa z oszkarpowanym bastjonem rawelinowym, a wreszcie drugi narożnik gdzie dawniej stał teatr letni a obecnie klomb zielony koło strażnicy pożarnej, ufortyfikowany był »wielkim belluardem«, basztą, wraz z całym systemem oszkarpowanych nasypów ziemnych.

Wzdłuż ulicy Czarnieckiego biegł wreszcie rów, czyli fosa zewnętrzna a malutki stawek, a raczej sadzawka na skwerze przed domem l. 26 przy tejże ulicy, uzupełniała obronność miejsca.

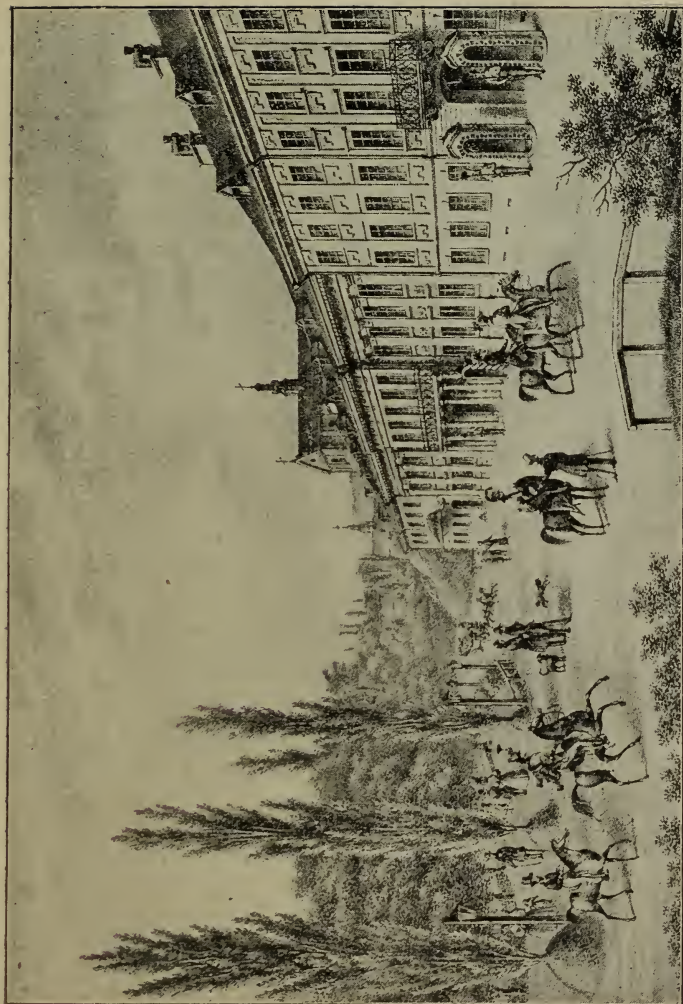
Mimo jednak wszystkie wysiłki sztuki inżynierskiej pozostała okolica dzisiejszych wałów gubernatorskich najslabszym punktem fortyfikacji Lwowa. To też kiedy Karmelicy zapragnęli ufortyfikować swój kościół i klasztor na górze położony, kiedy dla łatwiejszego dostępu do miasta wymagać poczęli wybicia w murach miejskich koło cerkwi wołoskiej furty, miasto broniło się przeciwko temu wszystkimi siłami i z całym nakładem procesowego pieniądza. Ostatecznie klasztor już w r. 1642 został ufortyfikowany, a fortyfikacje te zostały przez wspomnianego kilkakrotnie inżyniera Berensa na nowo umocnione w formie widocznej dziś jeszcze od strony ulicy Karmelickiej, wybita też została furta t. z. „bosacka“, biegnąca od baszty na skwerze przed cerkwią wołoską, przez kładkę i wał na miejscu dzisiejszego gimnazjum niemieckiego.



Wszystko to sprawiło, że niebezpieczeństwo, z tej strony miastu grożące, było największe. Próbował też tedy dostać się do miasta Chmielnicki, tutaj w czasie oblężenia tureckiego mieszkał w baszcie prochowej sam komendant Lwowa Eliasz Łącki, aby na chwilę nawet z oka i z uwagi nie spuścić niebezpiecznego miejsca; przez basztę prochową od strony niemieckiego gimnazjum wdarł się wreszcie w r. 1704 do Lwowa król szwedzki Karol XII. ze swymi wojskami. Najtragiczniejsze tedy w dziejach lwowskich zdarzenie zaszło... od wałów gubernatorskich.

Rząd austriacki przestraszył się srodze warowni lwowskiej i podobnie jak wszystkie inne zamki skasował ją przy końcu wieku ośmnastego. Rozrzucona z wałów i bastjonów ziemia posłużyła do zasywania obydwu fos fortecznych, wewnętrznej i zewnętrznej, przekop zaś na wprost ulicy Ruskiej zastąpił dawną furkę bosacką i stworzył komunikację z całą dzielnicą po za Wałami leżąca, która nosiła wówczas miano Komorowszczyzny.

Dzielnica była pusta i zaniedbana i na resztkach wału chwast tylko porastał i mnożyły się błotne, rozmokłe kałuże. Pałacyk Chołoniewskich na rogu ulicy Karmelickiej, zajazd poczty dyliżansowej, a zresztą świecił tu tylko plac pusty. Zdala tylko pod Franciszkanami bielily się dworki przedmiejskie, a bliżej Karmelici na górze, Karmelitanki bose (dziś kaplica arcybiskupia) patrzyły na błotną wstęgę dawnych wałów, które kończyły się głęboką przepaścią, po niej zaś położony most prowadził do Sióstr Miłosierdzia. »Począwszy od muru Bene-



WALY GUBERNATORSKIE W R. 1840.  
(od strony pałacu namiestnikowskiego)

dyktynek — powiada wspomniany już w poprzednim szkicu szlagon z prowincji — aż na dół spadzista góra i kawałek zezowatej ścieżki świeciło. W owe miejsce schodzili się żydkowie mali, ze swoimi belferami, a kładąc po groszu, lub po trojaku na kupkę jako zakład, wysypywali z krymki włoskie orzechy, gdy dwa orzechy w parze się stoczyły, więc ten wygrywał, kto je rzucił. My zaczajali się nieraz na onych żydków, a wtenczas napadali, gdy oni dużo orzechów mieli, co odebrawszy, uciekali na Zamek by się dzielić, ale się zaden z nas na Krakowski, ani na Zarwanicę nie ważył pokazać, bo go żydkowie wnet otrzepali«.

Takich i tym podobnych wspomnień młodości miał więcej jeszcze nasz szlagon: „Wracam do wiszącego mostu — powiada, jak się tamtędy po poręczach łąziło, płatając przechodzącym różne figle. Bywało, stanawszy na środku mostu, jak żydek przechodził to my zaczęli podskakiwać; most się kołysał, a żydek nieraz uciekał i z przestachu patynki pogubił, a w pończochach brnął w błoto po kolana. Na owym tedy moście wiszącym, co go ano zapewne Cyklopy stawiały, zdarzyła się razu pewnego awantura, że jeden drugiego, pokłóciwszy się wpierw, w błoto strącił; aż my biedne studenciska w strachu zleźli z mostu i kamrata za uszy z bagna wyciągali. Oj pamiętam ten dzień, bo się też nabrałem bizunów i surowie nam zakazano, by na ten most nie chodzić. Za to też my bąki zbijali po wałach i ptasie gniazda z baszt wiercili“.

Niewybredna sielanka zakończyła się dopiero w r. 1821. dzięki staraniom radcy gubernialnego



WALY GUBERNATORSKIE W R. 1840.  
(od strony pałacu arcybiskupiego)

Reitzenheima, względnie sielskiemu jego usposobie-  
niu. Pan radca bowiem, po odsiedzeniu godzin biu-  
rowych, lubił drzewa, kwiaty, zieleń trawników  
i chłód cienistej promenady. Umyślił tedy urządzić  
taką promenadę na opuszczonym wale i zamysł do-  
prowadził do skutku, ku wielkiej korzyści ogółu  
mieszkańców Lwowa. Topole włoskie, kasztany  
i inna zieleń okryła koronę wałów, rozrosła się  
i zamieniła dzisiaj w stuletnią prawie cieniłą aleję  
z licznymi drożynami i ścieżkami, które kręte są  
i ciemne, tak jak te drogi ludzkiego żywota, które  
tędy wieczorem wiją się i nikną w gęstwinie krze-  
wów.

Dzieło Reitzenheima uznała społeczność lwow-  
wska za pewnego rodzaju monument, czego wyra-  
zem była nazwa „Reitzenheimówki“ nadana nowej  
promenadzie. Ale radca podług hierarchii biurokra-  
tycznej musiał ustąpić koniecznie miejsca gubernatorowi. Dlatego też, gdy gubernator Hauer spro-  
wadził się do nowo zbudowanego gmachu namiest-  
nikowskiego, wały otrzymały lojalną nazwę »gu-  
bernatorskich«, którą odzierżyły do dnia dzisiejszego.  
Pałac »pod kawkami« rozszerzał się coraz bardziej  
chłonał w siebie sąsiednie budynki, jak kamienicę  
Młockich ozdobioną płaskorzeźbami przedstawiają-  
cemi sceny z Iliady, starą pocztę i inne, na któ-  
rych miejscu stały gmachy Namiestnictwa.

Przed kilku laty burza powaliła co najstarsze  
drzewa na wałach gubernatorskich, ogrodnicy miej-  
scy z ciężkim trudem usunąć zdołali gromady ka-  
wek które, jakby na urągowisko herbowi Galicji,  
gnieździły się tutaj z wraskiem piekielnym, a kie-

dy puszczono tramwaj elektryczny, a namiestnictwo nie chciało go mieć pod swymi oknami, przerwano wały, tworząc na rozkaz ówczesnego namiestnika hr. Badeniego, ów słynny »wykret Badeniego« ku ulicy Łyczakowskiej, który rozdzierającym piskiem swym zatruwa życie okolicznych mieszkańców.

Nowa linia tramwaju elektrycznego na wysoki Zamek przyniesie zapewne dalsze jeszcze zmiany na wałach gubernatorskich, które dotychczas zdawały się urągać rozwojowi miasta, zachowując ciągle charakter zacisza cienistego, szumiącego i liśćmi i gwarem miłości, a wspomnień historycznych.

Czy pęd Lwowa i jego rozszerzanie się nie Przełamią i tych resztek rycerskiego pasa, którym ongi całe śródmieście było otoczone — czy wały gubernatorskie nie czeka los wałów hetmańskich? — przyszłość to najbliższa okaże.





### III. PAŁAC I OGRÓD JABŁONOWSKICH.

---

Wszystkie echa, jakiegokolwiekby one drzemały w starym pałacu i ogrodzie Jabłonowskich, już dawno stłumił głos niemieckiej komendy i umęczony oddech musztrowanych kompani żołnierskich. Minęło wszystko: rycerskie wspomnienia hetmana i surmy, co Augustowi II. królewskiem grały przyjęciem i magnacka wystawa potomków hetmańskich. I jeszcze umilkł szum ośmu wyniosłych czworoboków lipowych, zasadzonych na pamiątkę odsieczy wiedeńskiej i szpalery angielskiego parku — zgasły kinkietowe światła najstarszego teatru lwowskiego, któremu tu, w ogrodzie Jabłonowskich, ko puła niebios godnem była przykryciem.

Może kiedy o wieczornej godzinie, gdy umilkną już trąby żołnierskie i żołnierska się ukoi sprośna piosenka — zaszemrzą tu jeszcze cienie zeszłowiecznej lwowskiej publiki, dla której ogród Jabłonowskich najmilszem był miejscem wytchnienia. Owa barwna, empirowa publiczność z początku

XIX wieku: panie w greckich, powłóczystych tunikach, panowie wyfraczeni na różne kolory może jeszcze kiedy wypełnią resztki lip i rozkwitłych czeremch bezmyślnym, rozchichotanym gwarem, może popod baraki wojskowe, ulicą świętego Jacka, ku Stillerowskiej górze pójdzie odgłos namiętnych szeptów, rozkosznych słówek, czarującego śmiechu... ale te wszystkie motyle echa prysną natychmiast pod brutalną mową koszar, rozpierzchną się powłóczyste barwne cienie na krzyk warty nocnej: stój! kto tam!

Bo pałac Jabłonowskich dziś na żółto pomalowany, bo w starym parku rozsiadły się niskie, trywialne baraki wojskowe — a jeszcze tylko w górze trochę sielanki, trochę zakrętnych wąwozów, wyniosłych wzgórków, choć i te obrównuje cegielnia i wypalone śle w miasto do budowy kamienic.

Dużo pięknych, czarownych widoków, z których słynęła ongi lwowska okolica, poszło na cegielnie, kamieniołomy i parcelację dużo cienistych gajów spłonęło opałem w piecach. Dobrze przynajmniej, że ogród Jabłonowskich swą starą nazwę zachował, a malutka uliczka »na Skałce« przypomina, że okolicę tę całą zwano od XVII. wieku »Skałką«. Bo i to zniknąć mogło we Lwowie, gdzie ludzie tak chętnie lubią zmieniać wszystko.. nawet nazwy starych ulic!

Ze starych sporów granicznych, z rozgadanych określeń jurystów i kauzyperdów, oznaczających dokładnie każdy sąsiedni kamyczek lub miedzę — wyskoczy dziwnie piękny i dziwnie poetyczny kraj-



obraz przedmieścia »na Skałce«, razem z miejskim łanem Temryczowskim. Wszystko to okolica, jak dzisiaj spory kawał ulicy Zyblikiewicza, Jabłonowskich, razem ze Stillerówką a nawet Żelazną wodą. Prawdziwa Arkadja lwowska, górzysta, zasiana mnóstwem ogrodów, pasiek, upstrzona dymiącymi strzechami czynszowników. Z jednej strony grodził ją nieistniejący dziś kościół św. Marka, poniżej dzisiejszej ulicy zwanej mianem tego świętego, a z sąsiedniej góry patrzył na nią kościół drugi św. Zofji, na Zofjówce. Środkiem rznął się krętymi drogami Pełtwi srebrzysty jeszcze naonczas strumyczek, a od ulicy Pełczyńskiej ścieliło się bagno znowu z Pełtwią, mostem, ciągle wyrywaną groblą i młynem radzieckim, rozklekotanym, szumiącym »kołami palecznemi, jakoteż i wodnemi«. A nad tem wszystkim sterczała wyniosła, naga góra, zwana »Skałką«. Ani jeszcze wtedy pałacu Jabłonowskich nie było, ani zabudowań miejskich. Prawdziwa sielan-ka, rozkwitła, bujna, pachnąca, roztaczała się tutaj wiosną, a zwierz dziki wył tędy nocą zimową. Ratuszowi juryści wytyczyli tu miejskie łany, wieczną darowiznę królów Kazimierza W. i Władysława Jagiełły dla miasta, a te łany dzierżyli mieszczanie lwowscy, sadząc na nich kmieci czynszowych i brzęczące pasieki.

Wszystko to w roku 1591 darował ówczesny dzierżyciel Michał Maleczkowski, razem z dworem, ogrodem i chłopami tam ulokowanymi, szpitalowi św. Stanisława. Odtąd zakluczyło się na Skałce od sporów prawnych tak zawitych i krętych, jak je tylko labiryntalny umysł ówczesnych prawników

zakluczyć potrafił. I szpital był właścicielem i kaźdoczesny dzierżawca uważał się za właściciela i miasto upominało się o swoje prawo własności, a to wszystko płaćtało się w węzeł gordyjski, który rzeczywiście mieczem mógł być tylko przecięty.

Miecz też rozwiązał owe trudne stosunki. Ostatni dzierżawca, czy poddzierżawca »Skałki«, kupiec lwowski Andrzej Amoretti zrobił w połowie XVII. wieku jakąś ciemną transakcję o cały ten obszar ze starostą żytomierskim Zbigniewem Bliskowskim, a tymczasem w r. 1672 zwała się pod Lwów cała potęga turecka. Pod kopytami najeźdźców, w trzasku armat oblężniczych, w płomieniach pożogi spopielala cała lwowska, ludna i bogata okolica, a przedmieście »na Skałce« stało się pustem, stłumionem uroczyskiem, po którym chodziły tylko jęki i »czerwony śmiech« wojny. W tem bowiem miejscu, gdzie dziś koszary Jabłonowskich, stał w czasie oblężenia tureckiego, sułtański tabor mostowni czy pod dowództwem wojewody wołoskiego Kantakuzena, a na wyniosłem wzgórzu na owej »Skałce« usypali Wołosi małe szańce, skąd działa wprost były skierowane na wieżę ratuszową.

Ostatecznie Turcy sobie poszli od Lwowa, a przedmieście „na Skałce“ zostało pustkowiem, któremu brakło i mieszkańców i właścicieli. Czasem tylko obozowały tam skonfederowane wojska Rzeczypospolitej, a w r. 1695 stał tam długo obozem hetman Stanisław Jabłonowski, tak długo, że starczyło mu czasu na zasiedzenie i zajęcie tego obszaru.

Odtąd przedmieście „na Skałce“ łączy się ściśle z nazwiskiem Jabłonowskich a przede wszystkim z imieniem samego hetmana i wojewody ruskiego, dla którego oddawna już Lwów był najmilszym schroniskiem. Grobowcem w kościele Jezuitów, odra-powanym pomnikiem na Wałach hetmańskich, Jabłonowszczyzną wreszcie, dziś w koszary zamienioną, przypomni się jeszcze czasem owa bohaterska postać, co upadającej Rzeczypospolitej dawała dziwnie pięknego, bohaterskiego blasku, a miasto nasze otaczała wyjątkowem ukochaniem, ów hetman, który na błoniach zamarstynowskich wstrzymał i pobił w r. 1695 stutysięczną czerń tatarską w takiej bitwie, trudnej i bohaterskiej, że o niej wojenne roczniki nigdy zapomnieć nie mogą. Krwawy i znojnny był żywot owego ostatniego z wielkich naszych hetmanów, a streszcza go lapidarnie nagrobek u Jezuitów głoszący, że Stanisław Jabłonowski, 49 lat był żołnierzem, 38 lat senatorem Rzeczypospolitej a 25 lat jej wodzem, streszcza go dalej napis na pomniku, że oto walczył ten żołnierz pod »Bereścziekiem, Batowem, Baworowem, Kamieńcem, Humanem, Krakowem, Jarosławiem, Gołębiem, Pragą. Kulikowem, Sandomierzem, Toruniem, w Kurlandji, w Holsztynie, pod Cudnowem, Chmielnikiem, Lachowicami, na Ukrainie, pod Buczaczem, Komarnem, Kałuszem, Chocimem, Złoczowem, Trembowłą, Żurawnem, Wiedniem i Parkanami. Dowodził na Wołoszczyźnie, Bukowinie, pod Chwastowem, Podhajcami, Lwów zwycięstwem obronił od Turków i Tatarów“...

Trudno rzeczywiście o lepszy życiorys, a jeżeli się doda, że wśród szczyku oręża hetman ten był i muz gorącym orędownikiem, że między innemi fundował kollegium Jezuickie we Lwowie, że wreszcie był i politykiem i mowcą, który na sejmie elekcyjnym w r. 1674 przemówieniem swoim zdecydował wybór Jana Sobieskiego, serdecznego na całe życie przyjaciela i powiernika — to postać ta cała otacza się nawet mimowolnie skrzydlatym nimbem...

Stanisław Jabłonowski spędzał wszystkie wolne chwile we Lwowie. Odwiedzając tutejsze kolegium i szkołę, witał uczących się żaków słowami: »Kłaniam wielkim senatorom, biskupom, wojewodom, hetmanom!...« a gdy mu korny Jezuita nauczyciel podszeptował: »Dzieci to przecież J. W. Panie« — odpowiadał:

— Co dzieci! — będą ludźmi i jakby już byli!

Tutaj u Jezuitów dnia 26 maja 1687 chował hetman małżonkę swoją Marję Annę Kazanowską z bajecznym przepychem. Dwu kardynałów celebrowało wówczas egzekwie, a mianowicie nuncjusz Pallavicini i kardynał Radziejowski, pogrzeb sam trwał dwa dni. Pierwszego dnia mówił kazanie żałobne biskup płocki Załuski, drugiego dnia Denhoff, biskup kamieniecki, gościom zaś na pogrzebie dziękował zięć hetmański Rafał Leszczyński, ojciec późniejszego króla Stanisława.

Związany z miastem naszym życiem, czynami, wojną, grobem swoich najbliższych, zapragnął hetman i stałego we Lwowie siedliska. Więc na „Skałce“ opustoszałej zbudował pałac ogromny, w stylu swo-

jego wieku, a obok niego założył park angielski, w nim zaś na pamiątkę odsieczy wiedeńskiej zasadził ośm czworoboków lipowych. Dziś pałac ten zeszpecony, zmieniony na koszary, stracił swój pierwotny charakter, ale zawsze zostało w jego murach dużo barokowej monumentalności i magnackiej potrzeby a gustu. W pałacu tym i ogrodzie przyjmował Jabłonowski w r. 1698 z niesłychanym przepychem króla Augusta II., a w r. 1700 odbył się tu cały szereg wspaniałych festynów na cześć poselstwa polskiego, wracającego ze Stambułu pod wodzą Rafała Leszczyńskiego.

Po śmierci hetmana w r. 1702, zamieszkał tu syn jego Jan Stanisław Jabłonowski, kanclerz wielki koronny, uczony statysta, polityk i poeta, autor znakomitego dzieła »Skrupuł bez skrupułu«, które mu zapewniło na zawsze imię w naszej literaturze. Ożeniony z Joanną margrabinią de Bethume rodzoną siostrzenicą królowej Marji Kazimiry, prowadził we Lwowie dwór prawdziwie królewski, a pałac Jabłonowskich i ogród rozbrzmiewał francuzczyzną, która zapanowała tu wszechwładnie, zwłaszcza po jego śmierci, gdy owa margrabina de Bethume została wyłączną właścicielką. Ciekawa to była Francuzica, która obok utrzymywania stosunków z arystokracją całego świata, a zwłaszcza z pretendencem do tronu angielskiego Jakóbem III., ożenionym z wnuczką Jana III., nie zaniedbywała drobiazgowych spraw gospodarskich i uporczywych procesów z miastem o przyległą pałacowi jurydykę, złożoną z kilku czynszowych zagród. Praktyczna gospodyni, otoczyła cały pałac ogródkami, eksploatowała przy-

ległe wzgórze jako cegielnię, a nawet zagięła parol na wspomniany wyżej młyn radziecki koło kościoła św. Marka, co znowu wywołało liczne manifestacje procesowe.

Później mieszkał w tym pałacu Józef Aleksander Jabłonowski wojewoda nowogrodzki, słynny z oręża, nauk i dziwactwa, który założył w Lipsku po dziś dzień „*Societas Jablonoviana*“, mającą wydawać dzieła do Polski się odnoszące, ostatni zaś właściciel Maciej Jabłonowski wielki mecenas sztuki, założył w ogrodzie teatr letni, zbudowany przez Włocha Maraino. Teatr ten bez dachu, o siedzeniach na splantowanym w trzy kondygnacje wzgórzu, z proscenium, udekorowanym kolumnami greckimi zapamiętał premierę »Krakowiaków i Górali« Kamińskiego w r. 1802 i był świadkiem jedyne go prawie w dziejach teatru zdarzenia, że na przedstawieniu „Izkahara“, które przyciągnęło się przez całą noc do rana, sama przyroda wyręczyła maszynę teatralną. Właśnie miała nastąpić scena ze wschodem słońca, gdy z podniesieniem kurtyny za jaśniało na horyzoncie prawdziwe słońce wschodzące i promieniami swymi ozłociło końcową alegorię. Zagrzmiała burza oklasków w widowni, mieszczącej do trzech tysięcy widzów, trwających całą noc na przedstawieniu w języku polskim, a te promienie i te oklaski rzuciły na ciernistą drogę Bogusławskiego parę kwiatów, tak rzadkich podówczas we wieńcu dyrektora polskiego teatru.

W tym czasie ogród Jabłonowskich roił się od tłumów, szukających tu spoczynku i ochłody, a jego wyniosłe lipy, poszarpane wzgórzami obra-

mienie, szmer strumyka Pełtwi napełniały wieszczów lwowskich poetycznym natchnieniem, objawiającem się takim oto brzękiem lutni:

„Kędy leży przedmieście tuż przy górach blisko,  
 „Tam pałac Jabłonowskich z obszernym ogrodem  
 „Gdzie ulicami chodzić można w spieki chłodem  
 „Tam wzniosłe w niebo lipy wzywają słowiki  
 „Tam niedaleko mruczą z opoki strumyki.

„Tu się z całego miasta liczne państwo schodzi  
 „I chłodnymi wieczoryienne prace chłodzi.“

Hej! było to »państwo« lwowskie huczne, gwarne i rozbawione. Z publiczności tej urabiać się poczęła gawiedź wielkowiejska dzisiejsza, o tych samych rozwydrzonych gustach i upodobaniach. Wystarczy powiedzieć, że balon powietrzny wypuszczony z ogrodu Jabłonowskich w r. 1972 przez Kroata Moranowicza wywołał taką samą »sensację« wśród tłumów lwowskich, jak balon puszczony przed paru laty z ogrodu na »Szumanówce« przy ul. Kochanowskiego, kiedy to ludek lwowski na złamanie karku biegł za powietrznym żeglarzem i upajał się radością, gdy ten uwisł wreszcie na kominie pana Stadtmüllera przy ulicy Krakowskiej albo też w ostatnich czasach przy wzlocie aeroplanów Granta i Hieronimusa. Ale tamte czasy były znacznie smutniejsze.

W szampańskich kieliszkach, w kamionkach »plucera« (podpiwka), wśród produkcji linoskoków tonała bowiem powoli cała wiekowa przeszłość Lwowa, znikwały dawne tradycje, a miasto nasze przywdziewało szlafrok niemiecki na sen twardy, nieprzespany aż do nowego świtu i nowych nadziei.

Szumiały tylko zielenią prześliczne okolice Lwowa i w ogrodzie Jabłonowskich lipy stuletnie szeptały pokój wiekuisty wszystkiemu co było.

Ale i czar zielonych konarów miał prysnąć niebawem. W roku 1822 zakupiła pałac Jabłonowskich wojskowość, a w siedzibie hetmana rozkwatrowały się dwie kompanje grenadjerów austriackich. Równocześnie pobliska »Skałka« zadymiła cegielnią Stillerów. Jakiś czas mieszkał latem na górze arcyksiążę Ferdynand d' Este, później cała góra przeszła na własność prywatnych nabywców, a dziś przerznęta ulicą św. Jacka świeci paru dworakami, z których dom pp. Christophów robi wrażenie arki Noego wśród powodzi »landwery« i pułku »de Nassau« (15 pp.), co tak krwawo zapisał się w pamięci Wiedeńczyków w czasie rewolucji 1848 r.

Stary ogród Jabłonowskich obnażył się w plac musztry, a po raz ostatni spoczęła na nim myśl polska w czasie pierwszej wystawy krajowej w r. 1877, która tutaj rozłożyła skromne zasoby bogactwa krajowego.

Wystawa ta, prarodzicielka wszystkich późniejszych, których tyle było i jest we Lwowie wielkich i małych, utkwiała, jako pierwszy przegląd sił przemysłu krajowego bardzo silnie w pamięci Lwowian i pozostawiła obok wystawy w r. 1894 najwięcej może wspomnień drukowanych i opisów.

»Na obszernym Jabłonowskich placu — pisze Agaton Giller w »Listach do przyjaciela o wystawie lwowskiej« — mając za tło obrazu wdzięczne, drzewami porośłe pagórki, wzniesiono obszerny drewniany budynek, mile w oko wpadający swoimi liniami i ozdobami. Jest to budynek dla przemysłu i rolnictwa przed którym tryska fontanna i rozpościerają się gazony i kobierce kwiatów, urządzone



gustownie przez lwowskich ogrodników. Za tym budynkiem wzniesiono na długiej linii szopy dla bydła i koni. Po lewej stronie ustawiono pod gołem niebem maszyny rolnicze — w różnych zaś miejscach placu zdobią go budki sodowe, bufet i różne pawilony przez zamożniejszych wystawców zbudowane.

»Z zewnątrz pod względem estetycznym najprzyjemniej w oko wpadają: pawilon księcia Adama Sapiehy, pawilon miasta Drohobycza, a w drugim rzędzie pawilon hr. Alfreda Potockiego, pawilon balneologiczny i dla orkiestry.

»Pierwsza brama, przez którą wchodzi się na wystawę, zielenią ubrana — druga z pomieszczeniem obok dla kasy, służby, straży i policji — jak i wszystkie inne budynki i pawilony chorągwiemi są pięknie przystrojone. W którą stronę spojrzeć wszędzie widok wesóły i powabny«.

Z opisu powyższego widać jak skromnem i ubogiem było całe to krajowe przedsięwzięcie. To też pokpiwał zeń w różny sposób Jan Lam, nieszczędząc zwłaszcza ludzi blisko stojących komitetu wystawowego. Nawet sobie samemu wypisał bardzo złośliwą charakterystykę, twierdząc że jest »umysłem niezmiernie krytycznym, znajdującym się najczęściej w krytycznem położeniu finansowem«, nieobecność zaś Krakowian dawała jego zgryźliwemu humorowi stateczne pole do popisu: »Mają Krakowianie nieprzewyciężony wstręt do zagranicy galicyjskiej — pisze z okazji otwarcia wystawy — bo prócz herbu na głównym pawilonie i wiceprezydenta Weigla, całe wielkie księstwo nadwiślańskie błyszczą swą nieobecnością«.

Do jakiego zaś stopnia był Lwów współczesny małym miastem dowodzi fakt, że gdy w dniu 9. września 1877 znalazło się na wystawie aż 840 osób, to był tak okropny ścisk i brak wszelkiego porządku, że kobietom w tłoku suknie poobrywano i omal nie przyszło do paniki.

Wystawa krajowa zamknęła też cywilne dzieje ogrodu Jabłonowskich, odtąd pozostaje on już stale pod strażą dwugłowego orła.





#### IV. W OGRODZIE JEZUICKIM.

---

Popatrzeć w dzień skwarny na ogród Jezuicki, to się żal robi tej kępy drzew, wciśniętej niby przemocą w kamienny kocioł dwupiętrowych domów. Jakby przeciągła mowa szmerów drzewnych przygłuchła od huk i wrzasku miejskiego, a lipy i topole tutejsze jakby zmartwiały, patrząc na pyłem okryte swe liście i na szalone podskoki wezbranej fali życiowej. Nawet wiatr, co się tu czasem przyczołga z pozdrowieniem od lasu Biłohorszczy lub Brzuchowic, tak sobie boki poobija o węgły kamienic, że mu już nie rozkołysać drzewnych wierzchołków Jezuickiego ogrodu szumną a tęskną pogwarką.

A kiedy znowu nad wieczorem tłum się lwowski wysypie na piaszczyste drożyny i każdy zakątek wypełni ogrodu, każdą jego ławeczkę obsiedzie, to się tak zdaje, jakby się rozbieżnymi ruchy podnosiło mrowisko, co go gałęzie przysypią. Jest wtedy ogród Jezuicki rozdyszany nerwowem tchnie-

niem sukni kobiecej, kaskadą operetkowych tonów, gorączkowemi się rozmarzy słowami flirtu, a na ogół jest zgiełkliwy i wstrętny.

Dopiero później, gdy znikną z jego krzewów śmy barwne damskich kapeluszy, kiedy przed białym oparem wilgoci umknie lwowski filister do domu, a ukoji się gwara namiętna spraw ludzkich, wtedy dopiero, w ciszy późnego wieczora, żyć ogród Jezuicki poczyna życiem własnem. To życie krótkie jak noc letnia przed brzaskiem skwarne go poranka, ale sam ogród dziwnie jest wtedy podobny do krzaka paproci, kiedy go chmara świętojańskich robaczek obsiedzie. Jego zieleń, zamglone kontury drzew, ścieżyn, kwiatów i murawy roziskrzają się niebieskawem światłem latarni gazowych, a czar zwolna osiada na przestrzeni od gmachu sejmowego po ulicę Matejki, taki czar zwodniczy, jakby go złoty róg Oberona wysypał na ziemię.

Czar osiedzie i mary się powiewne przesuną po ciemnych konarach. Te same mary, które przez cztery wieki zaludniały to miejsce. Taką ma długą i barwną historję lwowski ogród Jezuicki, że ino patrzeć jak się nocną porą przesunie po jego ścieżynach korowód długi, niby jakiś historyczny pochód zmartwychwstałych duchów, właścicieli dwu półłanków miejskich, na których dzisiaj Lwowianin „świeżego“ używa powietrza. Naprzód więc pójdą onym korowodem poważne, w długiej szacie a przy krótkim mieczyku postacie patrycjuszów lwowskich z XVI jeszcze wieku. A wśród nich jeden, co aż z weneckiej przybył dalekiej krainy, konsul i powiernik dożów od św. Marka na gruncie lwowskim.

A potem czarne postacie synów Lojoli, z początku bracia, a później pokurcze wielkiego Piotra Skarżi. Ich długie sutanny zaszeleszcza prowentem »folwarku jezuickiego« i zabębnią oschłymi formułkami scholastyki, która tutaj niszczyła mózgi młodzieży jezuickiego Collegium.

A oto nowy obraz. Miejsce czarnej sutanny, zajmują barwne tuniki i fraki z czasów pierwszego cesarstwa. Zaludnią się szpalery pojezuickiego folwarku gwarem karuzeli i sztucznych ogni, rozbawionym chichotem jaskrawej publiki, której tak dobrze było i wesoło w zapomnieniu niedawno minionej przeszłości. A potem stosowane cylindry i halsztuchy i na długie lata krynolina zaległy cieniste aleje ogrodu, aż wreszcie huk tromtadracji wyprzedził rozlegającą dziś wszechwładnie gwara starozakonną.

Stanął dzisiejszy ogród Jezuicki, na dwóch łąkach, względnie »półłankach«, które z nadania Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły stanowiły część własności miejskiej za murami Lwowa położonej. »Łan Rzeszowski« dłużej utrzymał się w bezpośredniej własności miasta, podczas gdy drugi, już w połowie szesnastego wieku przeszedł w posiadanie możnej rodziny patrycjuszowskiej Wolf Szolcowiczów.

W drugiej połowie tegoż wieku Melchior Wolf Szolcowicz założył w miejscu dzisiejszego ogrodu Jezuickiego wspaniały park, do którego wkłady pieniężne szacuje sam we własnym testamencie na przeszło 1000 złp. sumę olbrzymią na owe czasy, której przebiegły kupiec lwowski nie łatwo się poz-

bywał na rzecz tak nieproduktywną, jak ogród zbytkowny. Ale widać musiała to być rzecz wówczas we Lwowie nadzwyczajna, kiedy »ogród Szulcow-ski« przypadł do smaku i zięciowi Melchiora, Janowi Massari, przybyłemu aż z Wenecji do Lwowa za chlebem i handlem i kiedy w nim miasto wypra-wiło huczny i kosztowny bankiet na cześć hetmana i kanclerza koronnego Jana Zamoyskiego wielkiego, przyjaciela Lwowa i jego patrycjatu. Ów Jan Massari, po którym do dnia dzisiejszego została we Lwowie kamienica w rynku podl. 14, pięknie rzeźbionym lwem św. Marka ozdobiona, wykazał się na ratuszu lwowskim jako upelnomocniony konsul republiki weneckiej, a zrobiwszy znaczny tutaj majątek, starał się bar-dzo o przyozdobienie ogrodu swojego teścia i urzą-dzenie go na sposób włoski.

Ostatecznie jednak tak »Łan Rzeszowski« jak »ogród Szulcow-ski«, czyli obszar od dzisiejszej uli-cy Kościuszki i gmachu sejmowego, aż mniej wię-cej po czwarte gimnazjum, zawierający ponadto ca-łą ulicę Kraszewskiego aż do ulicy Sykstuskiej, spadł jak dojrzałe jabłko w ręce Jezuitów, którzy na samym początku siedmnastego wieku rozpoczęli we Lwowie budowę swojego kościoła i Collegium. Ogród Szulcow-ski dostał się im drogą zapisu, a w r. 1614 użyczyło im miasto »łanu Rzeszowskiego« w tym celu, aby wystawili tam sobie cegielnię na potrzeby nowej budowy, a potem oddali grunt miastu z powrotem.

Budowa trwała lat dwadzieścia, a przez ten czas Jezuici zdołali się na gruncie owym tak silnie zagospodarować, że ani nie myśleli o zwrocie. Obok bowiem cegielni, która przynosiła znaczne dochody,

wybudowali oni tam jeszcze browar, na działkach gruntu osadzili chłopów czynszowych, fundując dla ich wygody karczmę z żydami — jednym słowem założyli całą gębą folwark, który pod nazwą »folwarku jezuickiego« pozostawał w ich posiadaniu aż do kasaty Zakonu. Równocześnie część tego obszaru, razem z dawnym ogrodem Szulcowskim zamienili w »ogród włoski«, z całą wytwornością ówczesnego wieku założony, a „przyozdobiony alejami pod sznur, szpalerami, labiryntami dobrze zacienionymi, zupełnie tak samo jak we Włoszech, gdzie skwar słońca tak dokuczliwy«. W tym to ogrodzie „patres“ zażywali miłej sielanki i wczasu a młodź ich Collegium spędzała godziny rekreacji aż do ostatnich dni zakonu jezuickiego i Rzeczypospolitej.

Po długich ceregielach, procesach, protokołach i obdukcjach darował wreszcie po rozbiorze Polski, cesarz Józef I ogród Jezuicki miastu na cele publiczne, przyczem rząd nie omieszkał wydzielić dla siebie części, jak dzisiaj ulica Kraszewskiego do tyłów kamienic przy ul. Sykstuskiej, na skład drzewa. Odbywały się też na tym placu jarmarki na wełnę, a nawet w latach pięćdziesiątych była tam pierwsza we Lwowie wystawa przemysłowa, podczas gdy właściwy ogród Jezuicki zdziczał, »zarósł gęstwina lasu, z powietrza nachwytał więcej jadu niż woni«.

Wobec tego w r. 1799 sprzedał rząd cały ogród pojezuicki za 3410 złr. »przedsiębiorczemu traktjerowi miejskiemu« Janowi Höchtowi, który go urządził zupełnie na sposób francuski, dla wygody i zabawy lwowskiej publiki. Powstały wtedy łaźienki, altany, letni teatr pod gołym niebem i »plac ogni sztucznych«, karuzel na sadzawce,

»przestrzały cięte przez gęstwinię«, chodniki między szpalerami itd. Równocześnie na samym przodzie, w miejscu, gdzie dziś gmach sejmowy, wystawił Höcht dom jednopiętrowy, okazały, z rozległą facjată, co pod nazwą »kasyna Höchtowskiego« wslawił się później sądem obywatelskim na generała Ponińskiego, który się tłumaczył tu przed zarzutem zdrady pod Maciejowicami, przyczem sędziowie i goście, wypili tysiąc butelek szampana — przyjęciem cesarza Franciszka I. w r. 1817 i gościnnością dla lwowskiego »Sokoła« do r. 1877.

Z całej tej, urządzonej przez Höchta wspaniałości ogrodu Jezuickiego, pozostała do dnia dzisiejszego tylko kamienna glorietta wsparta na doryckich słupach, zresztą ani śladu tej hucznej zabawy, na którą lwowski kołtun patrzył ze zgrozą i oburzeniem, gdy zaczęto tam wprowadzać «aleje», przezwane »spacer pański niby szkołę wykwintu i zalotów, więc zawijać manowce wszeteczne, więc otwierać wyszynki, więc muzyki, więc gry, więc spektakle zaprowadzać«. W łązienkach zaś działy się takie rzeczy, że «się tam nie obmył człowiek, owszem pokalał»...

Spuśćmy jednak zasłonę na karuzel i łązienki, tem bardziej, że sama natura zniszczyła tę lwowską Sodomę i Gomorę. Wilgoć bowiem i gwałtowność wód od góry św. Magdaleny, zamieniły dolną część ogrodu w „trzęsawisko moczarzyste“, zatopiły i zgnożyły karuzel, a obywatel lwowski omijał to malaryjne miejsce zdaleka, tak że spadkobierca Höchta, Kajetan Morin zbankrutował na ogrodzie Jezuickim kompletnie i bardzo był kontent, gdy w r. 1847



znalazł nań chętnego nabywcę w osobie Franciszka Wędrychowskiego.

Odtąd ogród Jezuicki niszczał sobie powoli a nawet „rozmyślnie poniekąd był pustoszony“ aż do czasu, kiedy w r. 1854 Wędrychowski, utrzymując dla siebie dolną część jego, razem z kasynem Höchtowskim i nowo zbudowanymi łaźniakami, (na miejscu gdzie dziś gmach Florjanki,) resztę odstąpił miastu. Ogrodnik miejski Bauer wsławiony już wtedy założeniem ogrodu botanicznego i ogrodu przy zakładzie głuchoniemych, wziął się tak radykalnie do rzeczy, że przedewszystkiem wyciął co piękniejsze i starsze drzewa, a zresztą przyprowadził Ogród Jezuicki do stanu dzisiejszego, razem z restauracją i wszystkimi jego przyjemnościami.

Jakieżby jeszcze rzucić wspomnienie, tym wszystkim, co cienia szukają i ochłody w prastarem ogrodzie Jezuickim? Chyba, że tutaj urodziła się ta istna plaga lwowska... festyny, koła szczęścia i loterje fantowe. Pierwszy bowiem we Lwowie festyn odbył się 10 lipca r. 1842 w Jezuickim ogrodzie, a główną «atrakcją» zabawy był... drąg olbrzymi z zawieszoną na szczycie dla najzręczniejszego kiełbasą i ognie sztuczne po lwowsku «fajerwerkami» zwane, które wówczas święciły prawdziwe tryumfy, a dziś razem z drugą właściwością miasta naszego «fakelzugami» idą powoli w zapomnienie. W r. 1843 odbył się w Ogrodzie Jezuickim, drugi festyn, a na nim pierwsza we Lwowie... loterja fantowa.

W trzecim lat dziesiątku ubiegłego stulecia koczował w Jezuickim ogrodzie także letni teatr niemiecki i polski. O warunkach, wśród których odbywa-



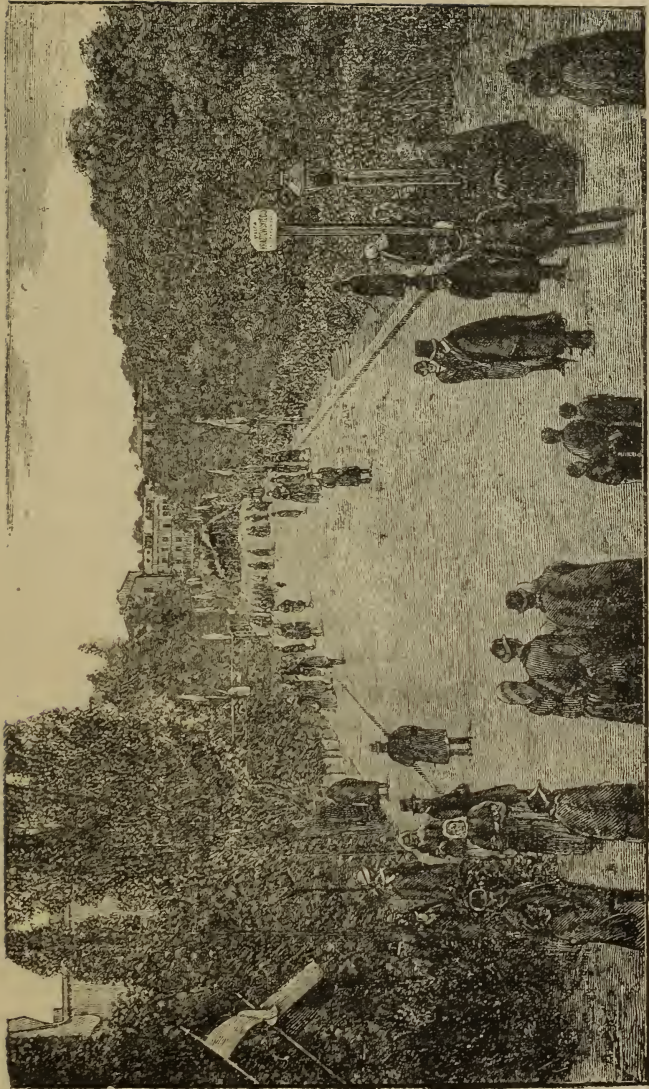
W OGRODZIE JEZUICKIM R. 1863. (rysunek Artura Grotgera).

ły się tam przedstawienia da najlepsze wyobrażenie treść zachowanego afisza, z dnia 22 czerwca 1828, w którym »aktorowie sceny polskiej za dozwoleniem zwierzchności« zawiadamiają że »będą mieli zaszczyt dać na letnim teatrze przedstawienie historycznego dramatu we 3 aktach z francuskiego p. Boirie z wojskowemi ewolucjami, bitwami, tańcami rosyjskimi, układu JP. Wilhelma, pod nazwiskiem: *Bitwa pod Pułtawą*. Gdyby pogoda nie sprzyjała, sztuka na inny dzień odłożoną zostanie. Wystrzały z moździerzów o godzinie 4 z południa ogłoszą spektakl ogrodowy. Kasa w ogrodzie otwartą będzie o godzinie pół do 5, jednakże biletów do ławek łożowych i miejsc numerowanych przez dzień cały dostać można w kasie teatralnej«.

»Aby zapobiedz nieporządkowi dwa osobne wchody są zrobione jeden prowadzi do łóż i krzesel drugi do pierwszego parteru«.

»Każdy kupujący krzesło otrzyma przy kasie dwa bilety pod jednym numerem. Żółty odda biletowi, biały zaś zatrzyma, jako znak, że jemu tylko krzesło przynależy. Ktoby zastał krzesło przez siebie kupione już zajęte, ma prawo wezwać bilettera, który wezwie tego co krzesło zasiadł do okazania znaku białego.»

Był czas również, kiedy ogród Jezuicki był ulubionem miejscem Artura Grotgera, który tu szukał wytchnienia po pracy, ucieczki od nędznych spraw żywota, i zadumy wśród drzew cienistych, które dającej mu złudzenie szumiącego boru litewskiego w »Lituanii«. Jeszcze w wigilię wystawienia tego nieśmiertelnego dzieła biegał Grotger po Jezuickim ogrodzie, uderzony pięknoscia dwu panie.



ULICA KRASZEWSKIEGO PRZED ZABUDOWANIEM.

nek, które jak się później okazało, były córkami Alfreda hr. Potockiego. (Lamus 1909 str. 426.)

Po wielkim duchu została też w ogrodzie Jezuckim trwała pamiątka to jest dąb Artura Grotgera? Mało kto słyszał o tej pamiątce, chociaż tłumy ludzi krążą codziennie obok czterdziestoleniego drzewa, z którego blaszana wyziera tabliczka, a na niej napis »Dąb Artura Grotgera«. Proszę pójść boczną aleją od ulicy Mickiewicza i popatrzeć. Naprzeciwko kamienicy pod l. 22 naprzeciw ławeczki, na trawniku po lewej, idąc od miasta, stronie aleji stoi dąbczak dość już rozrosły, chociaż dziwnie jakoś zaniedbany i nikły.

Ów dąbczak smutno i rzewnie przypomina losy genjusza, jakby był obrazem strzaskanego przedwcześnie życia i pięknych wiośnianych nadziei. Sądził go Artur Grotger w r. 1866 w jedynej szczęśliwej chwili swojego żywota, kiedy we Lwowie poznał narzeczoną swoją, ideał i cel życiowy. Sądził go we śnie szczęścia, gdzie się wszystko złoci, jak bajka na jawie, w owym fenomenalnym roku, w którym stworzył »Lituanję« i pierwszą serję »Wojny«, zrobił kilkadziesiąt portretów, kilkadziesiąt kompozycji i setki szkiców, w owym więc roku pracy i plonu, serdecznego kochania i wielkich, pierś rozsadzających nadziei.

Oddał kiełkujące w wazoniku drzewko narzeczonej swojej wielki artysta, jako symbol życia i szczęścia młodego latorośl. Nie chciał być kwiatem ani cieplarnianą roślinką, ale królem lasów naszych zapragnął zostać w życiu genjusz, tak samo, jak królem był już serc i myśli narodu. I nikt wów-

czas nie przypuszczał, że za rok niespełna legnie ów dąb, wichurą życiową strzaskany i losem, co od dzieciństwa kładł na czole Grottgera stygmat smutku i nieszczęścia.

A zasadzony w wazoniku dąbczak, który miał być zakładnikiem szczęścia i miłości, rósł już potem jako smutna i żałobna pamiątka niespełnionych nadziei. Wnet mu się stało za ciasno w wazonie, więc oddano drzewko miastu, które je kazało zasadzić w Jezuickim ogrodzie i opieką otoczyć.

Nigdzie też może lepiej nie mogło być pamiątce po Arturze Grottgerze, jak właśnie w ogrodzie jezuickim. Bo i tutaj wiele dobrych i złotych chwil przeżył twórca »Wojny«. W gronie wesołych towarzyszy, chadzał po ścieżkach tutejszych, w promieniste oczy szczęścia swego wpatrzony marzył w cienistych alejach, to patrzył na nie okiem artysty i przenosił widoczki ogrodu jezuickiego na papier jako szkice, z których jeden był nawet reprodukowany w drzeworycie w wychodzącym podówczas »Dzienniku lwowskim« a tutaj pojawia się poraz drugi.

Ale to fatum nieszczęsne, które ścigało artystę za życia nieszczęściem i ludzką obojętnością, nie oszczędziło też dąbczaka, jego ręką zasadzonego. Po latach poszło drzewo w zapomnienie, dziki bluszcz je spowił żywotne soki mu odciągając, na domiar rzuciła się jeszcze brudnica mniszka, a zarząd ogrodu miejskiego patrzył obojętnie jak na trawniku usychał... dąb Artuta Grottgera..

Dopiero publiczność przypomniała pamiątkę, ogrodnikowi, który zdecydował się wreszcie drzewo oczyścić z pasożytów i jako tako uchronić

Na koniec jeszcze jedno wspomnienie. W domu szwajcarskim restauracyjnym, gdzie dziś rozlega się tak wszechładnie szwargot niemiecki, przy akompaniamencie wojskowej muzyki, przesiadywał chętnie Wincenty Pol na literackich gawędach, tu w r. 1867 przyjmowało miasto nasze uroczyście i z zapalem Kraszewskiego, a w r. 1869 przeżyło jedną z lepszych chwil swoich, przyjmując z uniesieniem pierwszą a tłumną wycieczkę Wielkopolan. W r. 1880 wreszcie otwarto uroczyście nową ulicę Kraszewskiego, która wówczas jak widać na obrazku z „Kłosów“, tu reprodukowanym, przedstawiała tylko długi szpaler drzew i zieleni, zakończony jedynym tylko domkiem u góry.





## V. STRZELNICA.

---

Twierdza »kołtuństwa« lwowskiego przywdziewa każdej wiosny zieloną, dziewiczą szatę. Na jej stokach drzewa się rozgwarzą odwieczne, olbrzymi park ze wszystkich swoich wzgórków, kondygnacji, cienistych zakrętów ześle ku dołowi, pod biały pomnik Jana III. majowe westchnienie, czar życia i wiosny owładnie pełzające po murawie kwiecie, a owe wszystkie brunatne cienie, co zamajaczą od wieżyc strzelnicowych i omszałych konarów, ukoją się w jeden ton ciszy i dostojnej powagi.

W ową ciszę a dostojną powagę wieków spowita, drzemie w zamczystych skrzyniach Strzelnicy tradycja lwowskiego mieszczaństwa. Pada na nią w gotyckie litery zaklęty przywilej Zygmunta Augusta i Władysława IV. »dzielnej strzelby porządek« i wszystkich królów polskich miłościwe akty, a kur złocisty jeszcze od r. 1495 na straży tam stoi. O niechże grzmot kręgielni tej ciszy nie mąci, ani biesiadne uctowanie, bo tam historia śni gigan-



tyczne majaki, bo tam z dalekiej perspektywy dzisiejszego wieku, dziwne się odległe a wielkie tłoczą obrazy.

Bywają też chwile, kiedy w parku strzelniczym cicho, jakby »chronos« starawy makiem sypnął na rozgwarzone życie całej ulicy Kurkowej i sąsiedniego placu »Gwardji narodowej«. Bywa tak rankiem, a czasami i wieczorną porą, kiedy tylko wyjątkowy przechodeń, lub dwoje kochanków wspina się po stromych alejach Strzelnicy. Wtedy cała okolica owej »twierdzy« dziwnie się staje urocą, powiewną cichym dobrym szmerem wiosny rodzicielki. Ale to tylko naonczas, kiedy niema strzelania o tradycyjną »gęś i sól« lub do gwoźdźcia o honor królewski, kiedy rozmamrotane echo gawiedzi nie przerwie uroku. Jest takiej chwili dobrze na Strzelnicy jak niby na zielonym zaułku Lwowa, zdala od wielkomiejskiego gwaru.

A równocześnie po architektonicznych załamkach »twierdzy«, po białych linjach kamiennego pancerza Jana III. migotać poczną szerokie jakieś blaski, jakby przyćmione nieco od starości, z za wielkiej trochę oddali, ale zawsze pełne bujnego życia, silnych splotów, długich powłóczystych sukien z czamletu lub falendyszu. Cała przeszłość Lwowa ognikami świecić pocznie na bezludziu i w mimowolny się rytm bohaterski ułoży.

Właściwie Strzelnica w dzisiejszej swojej postaci, z graniastą wieżyczką, z drągiem na flagę, z blaszonym »kurkiem« na szczycie, nie ma co tak bardzo opowiadać, bo dopiero z końcem ośmnastego wieku osadziła się w tem miejscu. Gdyby się zaś

archiwum strzelnicowe z początku dziewiętnastego wieku chciało rozgadać, to lwowianin dzisiejszy, zawsze trochę odseparowany od prowincji dolno-austrjackich, tyrolskich etc., usłyszałby rzeczy, po lwowsku mówiąc »wprost horrendalne«. Bo oto w r. 1815 odbyło się na Strzelnicy strzelanie na dochód funduszu c. k. inwalidów wojskowych, w r. 1816 na wychowanie dzieci żołnierskich regimentu Nugent, w r. 1817 na zubożałych górali czeskich, w następnym roku na instytut ślepych dzieci żołnierskich w Wiedniu, w r. 1819 na dochód pływalni wojskowej we Lwowie. Obok tych szlachetnych celów, z którymi może godnie współzawodniczyć filantropia zwarjowanych dam galicyjskich, wysyłających dziś jeszcze pieniądze do Afryki na kształcenie dzieci murzyńskich, opowiedzieć by mogła nadto Strzelnica coś o paradach urządanych na cześć różnego rodzaju »najdostojniejszych gości« i o celności ich honorowych strzałów, mogłaby pokazać relikwie w formie... piór gęsich, któremi ci goście nazwiska swoje podpisywali w księgach pamiątkowych i t. d.

Początków jednak Strzelnicy należy szukać w ulicy Skarbkowskiej. Tuż za bramą krakowską, mniej więcej na przecięciu ulicy Krakowskiej i Skarbkowskiej stał od założenia Lwowa aż do końca ośmnastego wieku dom, zwany popularnie »celsztatem«, a na końcu ulicy Skarbkowskiej obok dawnej dzwonicy kościoła Dominikanów tarcza strzelecka. To była pierwotna siedziba »bractwa strzeleckiego«, dumnej i rycerskiej instytucji, co z mieszczan Lwowa, onych kupców i cechowych rzemieślników.

ników tworzyła dzielnych rycerzy i obrońców rodzinnych pieleszy. To nie towarzystwo, ani dobrowolny związek, ale to publiczna instytucja była Rzeczypospolitej lwowskiej, przywilejami królów obwarowana i ratuszowymi wilkierzami. Każdy mieszczanin i przybysz we Lwowie zamieszkały stawać miał w pewnych terminach, pod grozą surowej kary do strzelby, do hakownicy, do działa i zaprawiać się na wojenną potrzebę, na wały i baszty miejskie, na obronę miasta ojczystego, któremu lew z ratusza przyświecał, a wieżyce dumnie sterczały. Ze strzeleckiego więc bractwa urosły owe dumne i bitne pokolenia jedną ręką na wadze kupieckiej, drugą na mieczu oparte, wpatrzone w wiecznie gorejącą łunę od wschodu, a Strzelnica lwowska była szkołą rycerską w najlepszym i najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Ale nie sam tylko »celsztat« za bramą krakowską był miejscem rycerskich popisów. Na »strzelczej górze« (*mons sagittariorum*), na której dziś pałac arcybiskupa lwowskiego, ćwiczyła się także młodź lwowska w strzelaniu, najpierw z łuków, potem z muszkietów i dział, a to wszystko wedle ściśle skodyfikowanych przepisów i »porządków strzelby« układanych przez magistrat, a zatwierdzanych w kancelarji królewskiej. Porządek ten wymagał przedewszystkiem »aby każdy, kto do strzelby przyjdzie, Jegomości Pana Burmistrza, albo kto na jego miejscu będzie i Panów starszych strzelców, przystojnie uczcił, a słowem nieuczciwem, albo fukiem *in praesentia* Jegomości na żadnego z Panów sąsiad nie ważył się porwać pod winą gr. 40«. Inne

przepisy miały na celu bezpieczeństwo uczestników i zapobieżenie nieuczciwym podrywkom w strzelaniu, przeciwko zaś pijakom osobny paragraf stanowił, »aby też żaden strzelec upiwszy się nie przychodził strzelać, albo tam przyszedłszy, aby się nie upił, bo takowym strzelać nie dopuszczają i do puszkki da winy gr. 20«.

Bywały jednak chwile, że nie sama tylko powaga panowała na celsztacie, ale owszem, rozlegał się tam gwar zabawy i wesołości. Bractwo strzeleckie posiadało bowiem od najdawniejszych czasów wyłączny przywilej utrzymywania kręgielni, a każdy dygnitarz koronny przybyły do Lwowa zaraz był na »celsztacie« honorowany obfitą biesiadą. Bywał tam nawet kanclerz Jan Zamoyski, hetman Żółkiewski, najchętniej tam przesiadywał Jan Sobieski, którego pamięć dzisiaj Strzelnica uczciła pomnikiem dłuta Baracza, a w święto strzeleckie, na wybór i wjazd króla kurkowego, aż huczało tam od wiwatów i rozpasanej parady.

Sam też honor »króla kurkowego« nie był tak bardzo teoretyczny jak dzisiaj, bo podług przywilejów królewskich, już mniejsza z tem, że nosił on na głowie formalną koronę, którą rząd austriacki skasował, jako »niebezpieczną« współzawodniczkę korony austriackiej i węgierskiej, ale nadto osoba królewska miała być wolną »także od każdej i wszelkiej składki podatków naszych i Rzeczypospolitej i innych exakcji mostowych, wodnych i lądowych, tak w Koronie jako i zagranicą, na wszelkich miejscach, wyboczeniach, komorach i od wszelkich towarów tak tam jadąc, jako i nazad powra-

cając, tak podczas, jako i okrom jarmarku ..« Według przywileju Zygmunta Augusta, potwierdzonego następnie przez wszystkich następców, królem kurkowym miał być ten, kto w pół tarczę z jakiegokolwiek działa trafił, sam zaś ceremoniał wjazdu nowego króla i detronizacji starego opisany jest dokładnie w »porządku strzelby z r. 1693«.

Według tego ceremonjału najpierw miała się prawić wotywa w katedrze, »na której wszystkie cechy porządnie być powinni trzeźwo, pod karaniem na upitego«. Potem zbierało się wszystko pod cekhauzen miejskim (dziś na Podwalu) a starszyzna strzelecka udawała się na ratusz z prośbą »do Ichmościów Panów Radziec, aby *praesentia sua hunc actum* (obecnością swoją ten akt) przyozdobić raczyli«. Następnie ruszał z pod cekhauzu pochód: »Naprzód jechać powinno dwóch trębaczów, oznajmując ciągnięcie, za nimi Pan Pułkownik pierwszy ze swoim pułkiem, bębniami i chorągwiemi, za nimi drugi Pan Pułkownik ze swoim pułkiem *ut super* (jak wyżej). Za nimi Armata porządnie wyprawiona, cieśle przy armacie z bindami, przed którą pan ceykwart najmłodszy iść powinien, a za nim pp. puszkarze z cygotami, zostawiwszy do każdego działa po jednym puszkarzu, za Armatą dwóch cepaków (policja miejska uzbrojona w żelazem okute cepy) z cyną mieć mają«. Za tą kalwakatą niesiono cztery nagrody dla najlepszych strzelców, od najniższych poczynając. Więc »dwóch rzeźników, mają prowadzić barana z farbowanymi rogami, potrząśnionego blaszką złotą, ci ludzie w wieńcach«. Była to czwarta nagroda. Barana tego dostarczali

rzeźnicy, artystyczny zaś obowiązek pomalowania mu rogów i ozłocenia sierści należał, »do którego-kolwiek z pp. aptekarzy lub malarzy«.

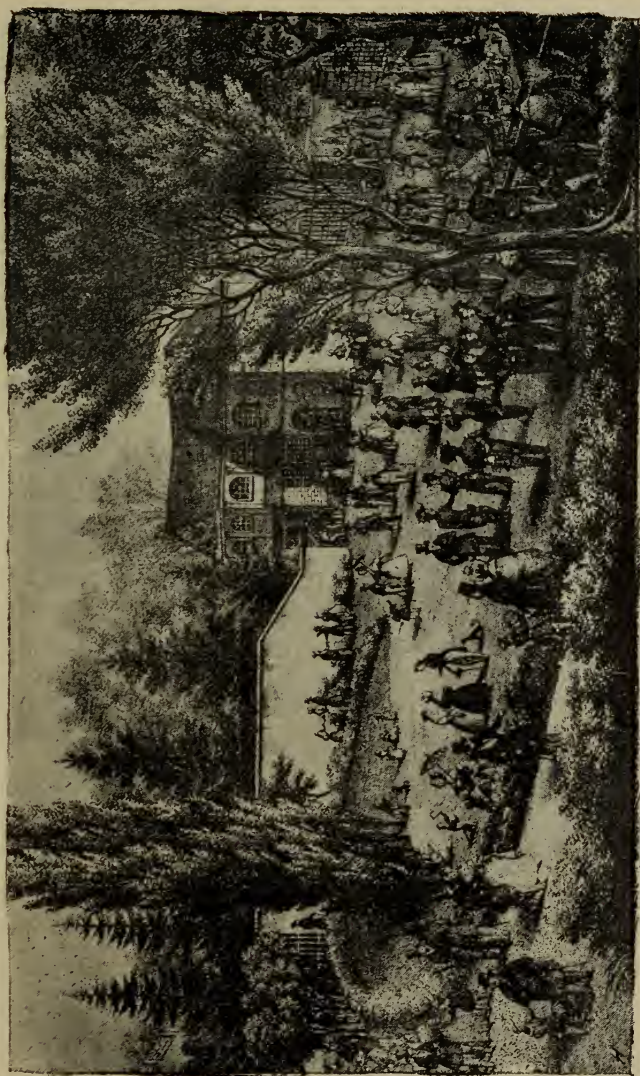
Potem, niesiono na kopji trzy i pół łokcia sukna, jako nagrodę trzecią. Sukno to miało być falendyszowe, koszt jego nie miał przenosić złotych 21. »Za suknem czterech rzeźników w białych koszulach i białych fartuchach z wieńcami, prowadzić mają woła z pozłocistymi rogami, uwieńczonego«, jako nagrodę drugą. »Za niemi trębacze z kotłami, za którymi ma jechać Król przeszły ubrany w klejnoty i koronę z rozstruchaniem w rękę«, jako nagrodą pierwszą. »Za panem ceykwartem ma jeden jechać, niosąc przywilej Jego Królewskiej Mości, za którym mają jechać Ichmość Panowie Rajce z inną kalwakatą, za którymi dwa pułki ostatnie, na ostatku kilka karawanów, albo kolasek. Do miasta tymże porządkiem wprowadzić mają, jako wychodzili, oprócz, że Król w większej pompie wjeżdzać powinien«.

Groteskowy ten ceremonjał, restytuowany *mutatis mutandis* w najnowszych czasach, a przypominający nieco mitologiczny wjazd Bacchusa, przykrojony został z końcem XVIII. wieku przez rząd austriacki, do biurokratyczno-wojskowego szablonu. Przedewszystkiem samo bractwo strzeleckie, dzięki tylko tej okoliczności, że i w innych prowincjach, a zwłaszcza w Tyrolu takie związki istniały, zawdzięczać może swoje istnienie. Za nim jednakowoż przyszło do tego, wyrugowano strzelców z celsztatu i z góry strzelczej. Zniesiono więc lary i penaty strzelnicowe do ogrodu zwanego Czczewi-

czowskim, w którym w r. 1789 stanął zrab dzisiajszego gmachu strzelnicowego. Równocześnie drzwiami i oknami poczęli się doń pchać Niemcy tak, że stare bractwo strzeleckie stało się niebawem kasynem i klubem biurokratów, którzy w chwilach wolnych zabawiali się także w wojsko i otrzymali nawet pewien rodzaj organizacji wojennej, a przede wszystkim... mundury. Szeregowiec mianowicie miał mundur zielony z wyłogami czerwonymi i guzikami żółtymi, spodnie i kamizelkę czerwoną, buty z czarnymi chobotami, kamasze białe, czarny obojczyk, kapelusz z czarną kokardą, z złotym sznurkiem, bez galonu z pióropuszem, rapcie zielone ze złotem i takież same epolety. Oficerowie różnili się złotym galonem na trójgraniastym kapeluszu. Oficerów było czterech: kapitan, porucznik, podporucznik i chorąży — czterech podoficerów i jeden feldwebel — wszyscy nosili harcocyfy bez loków.

Chodzili więc sobie strzelcy lwowscy w rangach swoich i maskaradowych kostjumach po Lwowie, jak dzisiaj np. »weterani im. arcyksięcia Rudolfa«, a ponieważ wojsko bez muzyki to — jak kasza bez skwarków, więc przygrywała im amatorska »banda«, złożona z muzykalnych urzędników gubernjalnych i innych. Zwłaszcza wielką była parada, gdy strzelcy zaciągali odwach, mieszczący się wówczas w rynku naprzeciw arcybiskupiej kamienicy, co się zdarzało wtedy, gdy załoga wojskowa opuszczała miasto np. w czasie wojen napoleońskich.

Ani jednak mundury, ani honor i cześć na odwachu nie przyczyniły się do wzrostu bractwa strze-



STRZELNICA MIEJSKA OK. 1840 R.



leckiego. Niemiecka gospodarka tak była fatalną, że zastawiono nawet godło strzeleckie owego połączonego »kurka« z r. 1495, korona, pamiątkowe medale na cześć najtrafniejszych strzałów dawno już poszły do mennicy austriackiej, realność strzelecka ledwie dyszała pod długami, a do tego wszystkiego ciągle nieporządki w rachunkach i scysje między »kapitanem« a członkami doprowadzały towarzystwo do zupełnej ruiny. Wobec tego znaczna część obywatelstwa lwowskiego, razem z szanowanym aptekarzem Ziętkiewiczem, wystąpiła ze Strzelnicy. Ostatecznie Ziętkiewicz, uproszony, stanął później na czele bractwa i doprowadził finanse jego do jakiego takiego porządku. Za jego rządów przybudowano w latach 1825—29 piętrowy dom przy strzelnicy, który w dziejach karnawału lwowskiego odegrał pewną rolę jako sala balowa. Odbywające się tam corocznie tzw. »bale mieszczzańskie« były tłumnie odwiedzane i znacznie przynosiły dochody. Równocześnie zaś nastąpiła jeszcze jedna reorganizacja korpusu strzelców i zmiana jego umundurowania. Odtąd mianowicie wcielony został ten korpus do milicji miejskiej i stanowił podczas zewnętrznych występów jej prawe skrzydło, dawny zaś trójgraniasty kapelusz zastąpiony został bardziej lojalnym i »duchowi czasu« odpowiadającym »pirogiem«. W myśl tedy tej najnowszej maskarady mundurowej chodzili strzelcy w »waffenrokach« z sukna jasno zielonego, o czarnych aksamitnych wyłogach, kartusz na przodzie, spodnie czarne ze złotym galonem, kapelusz stosowany z piórem czarnym, pałasz długi w pochwie czarnej, karabinek

krótki z pasem zielonym do noszenia na ramieniu. Oficerowie mieli ponadto szarfę jedwabną żółtą, amarantowym jedwabiem przerabianą.

Najkomiczniejszą jednak maskaradą w całym tym korpusie strzeleckim była... artylerja. Za czasów polskich, nauka strzelania z dział i hakownic była jednym z głównych zadań bractwa strzeleckiego i dopiero od czasu doszczętnego zniszczenia artylerji miejskiej przez Karola XII. w r. 1704, ćwiczenia te wyszły z użycia. Rząd austriacki wznowił je w r. 1796 i odrazu sparodjował. Powstał więc jako część składowa korpusu strzeleckiego, »korpus artylerji miejskiej«, złożony przeważnie z szynkarzy i piwowarów i to takich tylko, którzy odznaczali się poważną tuszą i należytą peryferją brzucha. Artylerzyści ci nosili korsykańskie kapełusze i białe spodnie z czerwonym lampasem, a głównem ich zadaniem było dawanie ognia podczas rezurekcji i innej parady. Armat pożyczala załoga lwowska. Wszystko szło dobrze, aż do roku 1832, w którym artylerji lwowskiej zdarzył się taki sam wypadek jak przed kilku laty artylerji rosyjskiej w Petersburgu w czasie święta Jordanu. Oto przez omyłkę nabito działo kulą, która ugodziła śmiertelnie mieszczanina Wnękwicza.

Wypadek ten wywołał całą powódź protokołów wojskowych, których wynikiem był prawdziwie salomoński wyrok: Ponieważ artylerja miejska okazała, że się nie umie obchodzić z armatami, a z drugiej strony żał było biurokratom skasować tak piękne mundury, przeto postanowiono, że kor-

pus artylerji miejskiej istnieć będzie dalej, ale bez armat i niebezpiecznej strzelaniny.

Tak więc powstała »artylerja piesza«, która w czasie większej parady występowała gremialnie, dając dowcipnisiom lwowskim sporo tematu do żartów i do anonimowych propozycji, domagających się utworzenia przy korpusie strzelców także oddziału... »konnej marynarki«.

Ostatnim „kapitanem“ strzelców przed rokiem 1848 był jeden z najzasłużeńszych obywateli ówczesnych śp. Franciszek Tomanek. Należał on do założycieli istniejącego do dziś zakładu głuchoniemych we Lwowie, brał wybitny udział we wszystkich pracach obywatelskich, o ile one wówczas były możliwe, a dla Strzelnicy był prawdziwą opatrnością, czyli raczej sprężyną, która ów zarzewiały organizm do ruchu pobudzała. Pragnąc korpusowi strzeleckiemu dodać osobiwie lojalnego splendoru, o możliwym tylko wówczas czarnożółtym odcieniu, rozwinął on między innymi żywą działalność, celem uzyskania dla korpusu nowego sztandaru, tem bardziej, że stary, darowany jeszcze przez Franciszka I. sterał się zupełnie. Nie była to jednak łatwa rzecz wydostanie takiego nowego sztandaru. Trzeba było robić „gesuch“ aż do tronu z wyliczeniem wszystkich zasług petycjonującej instytucji. Ponieważ jednak zasługi te na ogół były minimalne, przeto Tomanek w prośbie do tronu, wymienił także wszystko, co sam osobiście zdziałał. To zdaje się przeważyło na szali, gdyż już w r. 1844 odbyło się w ogrodzie Jabłonowskich, z niesłychaną paradą urzędową poświęcenie nowego sztandaru,

do którego wstępę darowała sama cesarzowa Marja Anna.

Cały ten »*privilegiierter Schützen Corps*« znalazł się jednak, razem ze swoim sztandarem, prawdziwie między młotem a kowadłem, gdy w r. 1848 nastały inne czasy, a milicja miejska, której część jak wiadomo ten korpus stanowił, wcieloną została do świeżo zorganizowanej gwardji narodowej. W czarnożółtych mózgach starszyny strzeleckiej nie mógł się pomieścić nowy porządek rzeczy, aż dopiero gromadne wystąpienie 150 członków do komendanta gwardji, generała Załuskiego, zmusiło po prostu strzelców, do zajęcia stanowiska pierwszego bataljonu gwardji honorowej.

Od kwietnia przeto do 2. listopada 1848, tj. do bombardacji Lwowa stanowili strzelcy część gwardji narodowej i z nią też razem zostali rozwiązani. Powrót do dawnych stosunków był już niemożliwy, a wreszcie z przeobrażeniem się Austrii w państwo konstytucyjne, Strzelnica poczęła przybierać dzisiejsze formy »Towarzystwa strzeleckiego« z wprowadzeniem napowrót ceremonjału i zwyczajów dawnego, staropolskiego Bractwa strzeleckiego.

Park strzelnicowy, odnowiony, urządzony na nowo i oddany na użytek publiczny, nie ściąga jednak tłumów publiczności, jak inne miejsca spacerowe lwowskie i dlatego jest bardzo miłym zaciszem dla tych, którzy uniknąć chcą gwaru wielkomijskiego, szastania modnemi sukniemi dam i powstających stąd tumanów kurzu. Starsze tam tylko drzewa pamiętają i wspomną zapewne czasami ów gwar rozbawionego towarzystwa lwowskiego, wten-

czas, kiedy strzelnicowy ogród był w modzie. W czasie Zielonych świąt naprzykład dosłownie cały Lwów »z nadziejami wiosny zielonemi, jak wieńce na ratuszu porozwieszane«, emigrował na strzelnicę, a ulica Dominikańska już od godziny 4 popołudniu roiła się od barwnego tłumu krynolin, malutkich parasolików, wciętych surdutów, wysokich w kształcie uciętego stożka cylindrów i czarnych halsztuchów. Gromady pauprów ulicznych naprzykrzały się w tem miejscu z wianuszkami bławatków, które chętnie nabywały piękności lwowskie ówczesne i natychmiast zaraz na ulicy przystrajały ramiona swoje girlandami tych niebieskich ślicznych kwiatuszków.

Na samej Strzelnicy tłum zebranego ludu płynął jak wzburzone bałwany. Modnisie lwowscy, lowelasy, wielbiciele płci pięknej i inne ananasy, których nigdy nie brakło we Lwowie, uprawiali flirt towarzyski w nieco innej formie aniżeli dzisiaj. Do dobrego tonu należało wówczas kupić masę pierników, sprzedawanych zawsze na Strzelnicy i rzucać je nieznacznie damom z tyłu, pomiędzy ramiona. Damy i śliczniuchne lwowskie dziewczątka łapały pierniki, jadły i śmiały się i była wielka zabawa »na migi i mrógi«, o której stare drzewa strzelnicowe wieleby mogły powiedzieć, gdyby tylko... chciały.

---

---



## VI. POHULANKA.

---

Szczęściem jej było, że się nigdy nie stała modną okolicą Lwowa. Skutkiem tego nigdy tamtędy nie szedł owczy pęd lwowskiego tłumu, ani ścisku nigdy nie było na Pohulance. Spekulując na romantyczne ustronie, bankrutowali wszyscy, którzy tylko czar przyrody chcieli sfinansować, a więc restauratorowie, cukiernicy, przedsiębiorcy, utrzymujący łódki na wyschłym już dziś stawku, huśtawki i kręgielnie. Lwowskiemu filistrowi zadaleko było chodzić na Pohulanę, przez długą ulicę „na Rurach“ po nad brzegiem Pełtwi i niebezpiecznie było wracać wieczorem, koło niskich chałupek, koło cmentarza, ogródka Makolondry i ponurej Szumanówki.

A Pohulanka rosła sobie dziko i rozkosznie. Wielki wąwóz, który położył się w samym jej środku miał w sobie cały wdzięk zaczarowanego ogrodu, o którym ludzie, jakby zapomnieli. To też od stawku blaski szły i iskry, jakie tylko słońce w pogodny dzień odbić umiało i szmer strumyków kołysał kolebkę Pełtwi i jej źródliśka takie

czyste i jasne jak myśl dziecinna, dokąd ją życie nie zbrudzi — tak jak Lwów swojej rzeczki.

Sam wawóz ciągnął się długo i jakby wprost wpadał w tonie błękitu, które jego zakończeniem były, światłem i niebieskim okiem, wyglądającym ciekawie z poza ciemnej i starej drzew zieleni.

A same drzewa z obydwu zboczy spadzistych aż na sam dół schodziły, jakby do zwierciadła wody i jakby ku straży kąpiącym się rusałkom.

Zieleń była tak jak i teraz jeszcze od zielonej rogatki, Snopkowa, Krasuczyna aż ku Żelaznej Wodzie i potem z drugiej strony po przez folwark zakonnic ormiańskich, Cetnerówkę, Pasieki, Łyczakowski park ku Kaizerwaldowi: olbrzymi zielony pierścień, któremu taka Pohulanka czy Cetnerówka drogimi były kamieniami... Pierścień jednak rwie się ustawicznie, bo miejsca pod parcelację potrzeba, a i sama Pohulanka, chociaż dzisiaj jeszcze tak czarowna, bodaj czy się długo oprzeć zdoła najazdowi najpierw lekkich wil podmiejskich, a potem ciężkim szeregom kamienicznym.

Dziś to jeszcze lwowska Arkadja, czy Szwajcarja, z zachowaną szczęśliwie pięknnością swobodnie rosnącego lasu, wzgórz, dolin, jarów i polanek i z zachowanym dotąd komfortem z początków ubiegłego stulecia. Bo na Pohulance dom restauracyjny jeszcze ma małe okna i białe nieozdobne ściany, jeszcze tam proste stoły i strasznie grająca muzyka i jeszcze tam ciągle nawoływania kelnerów i wiedeńskich walców brzęk dokuczliwy profanacją jest ciszy, która legła na tym zakątku zadumą, tęsknotą i zapomnieniem.

Zadumą omszały stuletnie drzewa i zrywa się ona za szelestem uschłego listowia, razem z krzykiem ptaków i szumnym śpiewaniem wierzchołków drzewnych. Pełno jej tam, gdzie naga ziemia ku słońcu wyziera ciekawie i gdzie się wzgórze kłosaami żyta zieleni młodego i tam gdzie milczące, zamknięte mauzoleum tajemnicę kryje starego wodociągu miejskiego. I może właśnie dlatego chadzać tamtędy nie lubi tłum rozbawiony, że tak jakoś cicho i tęskno na Pohulance i tak jest inaczej niż na rozbestwionych festynach placu wystawowego. Gdyby nie ta okropna muzyka w restauracji, której słuchać muszą słowiki i która tłumi śpiew wieczornego wiatru, to by zapomnieć można o tem, że się jest we Lwowie.

Ale muzyka gra w rozdzierający sposób, a ktoś jej wtóruje:

Mizzi, Mizzi, sei ja nicht so bö's...

Trywialne słowa padną w każdą szczelinę leśną, pełzają po wzgórkach i drożynach i aż się uszami przelewają, wraz z życzeniem, ażeby Mizzi poszła sobie do stu djabłów albo tam, gdzie chce jej adorator w wiedeńskiej piosence, która jakby przyrosła do tego miejsca, a na którą skarżył się już anonimowy autor w r. 1825, opisujący Pohulanekę w lwowskich »Rozmaitościach«.

Był jednak czas, kiedy Pohulanekę nie była wcale miejscem wycieczkowym, ani nawet nazwy swojej obiecującej nie nosiła. Za czasów bowiem Rzeczypospolitej była to posiadłość wiejska, na której chłopci siedzieli pańszczyźniani, a nad nimi rodzina Deymów gospodarowała. Krzysztof i Fran-



ciszek Deymowie, obaj radcy lwowskiego sądu apelacyjnego byli ostatnimi właścicielami wzgórz i jarów tutejszych i obaj woleli też życie miejskie raczej, niż odległą wówczas od miejskich murów sielankę. To też wyzbyli się z rozkoszą gruntów, lasów i chłopów na rzecz rodziny Dziewałtowskich, od której całą posiadłość kupił mecenas Franciszek Węgleński.

Ciekawy człowiek i ciekawa karjera. Węgleński był adwokatem wówczas, kiedy adwokatom najlepiej się działo we Lwowie. Nieuregulowane stosunki prawne, lekkomyślność szlachecka, krach austriackich finansów, rabulistyka prawna przy braku stałych norm i przekupstwie urzędników wszystko to wytwarzało grunt, na którym tylko fortuny adwokackie wyrastać mogły. A że Węgleński, obok Józefa Dzierzkowskiego, należał do najzdolniejszych adwokatów, gładki był w obejściu, dowcipny, wesoły, wszędzie nawet do cesarza trafić umiejący, więc też wkrótce doszedł do wielkiego majątku.

A jako człowiek majątny dobre miał gusta i fantazje. W czasach sielankowego sentymentu zapragnął także sielanki, ale takiej, jaką miał Horacy i ludzie rzymskiego cesarstwa, których ten czas, za wzorem Napoleona, tak chętnie naśladował. Kupił więc starą posiadłość Deymów, wybudował u wstępu do niej pałacyk, ten sam w którym dzisiaj restauracja, urządził prawdziwe *tusculum*, nazwał Pohulanką i hulał tam razem z całym lwowskim towarzystwem do upadłego.

Nazwa sama nie bardzo się zrazu przyjęła. Owszem współcześni najchętniej nazywali posiadłość laskiem Węgleńskiego, „Pohulanka» zaś utarła się nieco później, już po wyjeździe Węgleńskiego ze Lwowa.

Trudno wiedzieć, co właściwie spowodowało wziętego adwokata do opuszczenia rozległej a intratnej praktyki, wesołego towarzystwa lwowskiego i czarownej, z prawdziwie magnackim przepychem urządzonej Pohulanki. Syt zysków zapragnął może jeszcze sławy, czy też wiedzą swoją prawniczą doświadczeniem i zdolnościami służyć zapragnął Polsce, dość że przeniósł się do Warszawy, wstąpił w r. 1809 w służbę Księstwa warszawskiego, w dziewięć lat później był już senatorem—kasztelanem, a w r. 1819 objął po Sobolewskim tekę ministerstwa sprawiedliwości, zostawiając na tem stanowisku po sobie pamięć człowieka uczciwego i energicznego, podczas gdy we Lwowie długo jeszcze opowiadano kawały, na jakie brał sędziów i sądownictwo austriackie, o ile mu chodziło o wygranie jakiejś sprawy.

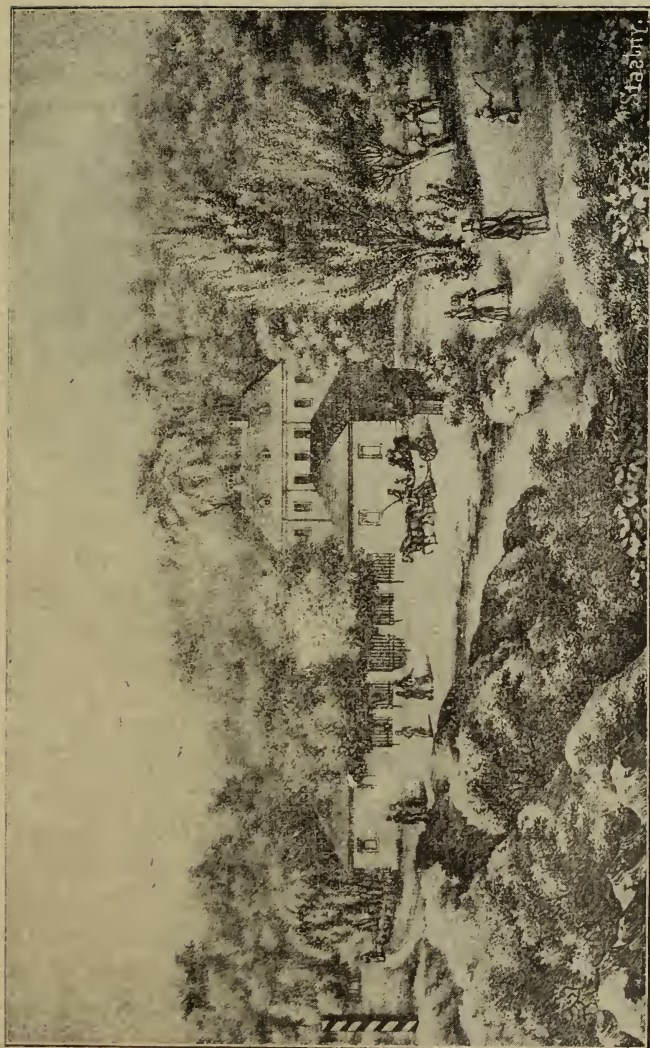
Już po wyjeździe Węgleńskiego ze Lwowa zwiedzał Pohulankę w r. 1820 Julian Ursyn Niemcewicz. Autor »Spiewów historycznych«, który objechał całą Polskę i w »Podróżach historycznych« swoich pilnie notował każdą piękność przyrody i każde dziejowe wspomnienie, poświęcił i uroczemu laskowi pochlebną wzmiankę: »Pohulanka, wieś zeszedłgo J. P. Węgleńskiego, ministra sprawiedliwości w przyjemnej nader dolinie, otoczonej górami, pięknie udrzewionymi. Miłe prawdziwie zacisze dla męża lubiącego wiejską zaciszę, spokojność i nauki«...

W chwili jednak, gdy sędziwy i zasłużony autor pisał te słowa, przestała być Pohulanka i zaciszną i spokojną, a z mężami, lubiącymi nauki wzięła rozbrat na zawsze. Od spadkobierców Węgleńskiego kupił ją bowiem restaurator Jan Diestl, który w pałacyku założył piwiarnię, na staw puścił flotylę łódek, zostawiając resztę ogrodu i cały lasek do użytku par zakochanych i samotników o pokładzie poetyczno melancholijnym.

Do tych ostatnich należał autor artykułu o Pohulance, pomieszczonego w »Rozmaitościach« z r. 1825. Był to snąc wielki amator podlwowskich drzew i zieleni, bo opisał je prawie wszystkie dookoła Lwowa i nieraz w dalszym ciągu niniejszych szkiców przyjdzie nam się powołać na jego nastroje i wylewy uczuć. Jedna litera podpisu wskazuje, że autorem tych przedmiejskich nastrojów, jest może Stanisław Jaszowski, jeden z pisarzy, który głębiej i lepiej kochał Lwów, aniżeli to nawet opisać potrafił.

Wyszedłszy »używać świeżego powietrza« udał się autor na Pohulanę, gdzie »z rzadką prawdziwie radością przechadzał się po krętych ulicach gaju, przypatrywał się źródłom wytryskującym z brzemiennej wodami ziemi«.

I byłby może autor zapomniał o całym świecie, gdyby »nie brzęk szklanek i gwar pijących piwo« skutkiem którego, już za małą chwilę widzimy i jego samego w restauracji, razem z Niemcami, którzy rozmawiali o dawnych hecach wiedeńskich i »fanfaronami, których ubiór złożony był ze szczerólniejszych kolorów. Mieli kapelusze kratkowe,



POHULANKA  
(według litografii z r. 1840).

chustki kratkowe, surduty kadrylowane, czyli po prostu powiedziawszy, podszyte kratkową kitajką i pantaleonki w prążki. Były to wzory ostatniego żurnalu, który tym razem zupełnie wypadł niesmacznie i jak gdyby na przekorę wszelkiej powadze, zdradzając zasady zwolenników swoich, czynił z nich istnych arlekinów«.

Od kufła poszedł znowu nasz autor oglądać piękne widoki: „Przedzierając się przez gęste chaszczce stanęliśmy na szczycie góry, okrytej wesołymi drzewami i panującej nad Pohulanką. Co za boski widok odkrył się stamtąd oczom naszym. Naokoło wysokie góry, a w środku padoł wyścielony drzewami, z pomiędzy których wyzierały niedbale małej kaplicy wieżyczki. Głuche naokoło nas panowało milczenie i tylko żab skrzeczenie przerywało je swoim nieharmonijnym dźwiękiem. W tem miejscu na szczycie, mchem leśnym uścielonej, góry zapomnieliśmy o stosunkach stolicy, o obowiązkach powołania i z przepelnionemi sercami, w milczeniu bo prawdziwe uniesienie nigdy nieużywa wyrazów, poglądaliśmy to po sobie, to na drzew gałęzie, któremi, jakby od niechcienia łagodny wietrzyk kołysał. Urwawszy na pamiątkę kilka nadobnych płodów Flory, z tęsknotą odrywaliśmy się od tego przyjemnego ustronia, gdzie wdzięk natury z każdego do nas uśmiechał się listka, w każdym odbijał się kwiatku i gdzie nasz umysł był wolny od namiętności i tak spokojny, jak te wody pobliskiego stawu, które nie zmarszczyły nawet szklanej powierzchni swojej«

Czytając ten wylew uczuć, trudno się oprzeć wrażeniu, że przecież dawnymi czasy większe było we Lwowie odczucie piękności własnego gniazda aniżeli dzisiaj. Być może dlatego, że trudniejszy był dostęp do widoków szwajcarskich, włoskich i innych, do których obecnie połowa Lwowa latem pielgrzymuje.

Z tych też lepszych czasów dla lwowskich drzew i zieleni, pochodzi i litografia z widokiem Pohulanki, którą tutaj w reprodukcji podajemy. Z drugiej jednak strony przyznać trzeba, że Pohulanka nie natchnęła żadnego z wieszczów lwowskich na nutę piękniejszą i trwalszą. W r. 1831, napisał Michał Suchorowski sztukę teatralną pod tytułem »Hanusia z Pohulanki«, ale tutaj osoba samego autora jest o wiele ciekawszą, aniżeli jego utwor. Suchorowski był bowiem jakąś niezwykle zwyrodniałą i zbrodniczą jednostką a koleje jego życia nadają się raczej do kryminalnego romansu. Doktor praw, wzięty adwokat, o literackich i naukowych aspiracjach — napisał bowiem kilka utworów dramatycznych, zbierał pieśni żebrackie, miał własne teorie lingwistyczne — dopuścił się Michał Suchorowski zbrodni pospolitego oszustwa, za którą długie lata przesiedział w Szpilbergu i wślawił się tem, że był ostatnim więźniem tego osławionego więzienia. Wyszedłszy zeń, zamordował do spółki z jakimś lokajem, w celach rabunkowych, proboszcza kościoła świętej Anny, za co na śmierć skazany, poszedł na dożywotnie więzienie właśnie w chwili, kiedy gramatyka jego porównawcza opuścić miała prasy drukarskie. Drukarz nie wiedząc co zrobić

z nakładem, zniszczył go, Suchorowski zaś gdy się o tem w więzieniu dowiedział, wytoczył mu proces z Brygidek, proces ten wygrał i uzyskał odszkodowanie w kwocie kilkuset złr. które dla niego złożono do depozytu sądowego.

W czasie zaślubin cesarza Franciszka Józefa napisał Suchorowski w Brygidkach wiersz okolicznościowy, w sześciu językach, który to wiersz zarząd więzienia posłał do kancelarji cesarskiej, skąd przyszła niespodziewanie... amnestja dla poety...

Suchorowski wyszedł na wolność po kilkudziesięciu latach więzienia, za wspomniane wyżej odszkodowanie kupił sobie domek przy ulicy Sieniawskiej, drukował jeszcze kilka utworów, między innymi »Szczytną pieśń Sławianów«, we wszystkich językach słowiańskich i umarł w ósmym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, jako porządny i Bogu ducha winien staruszek.

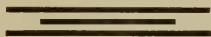
Wracając jednak do Hanusi z Pohulanki, to była ona pierwszy raz dnia 9. czerwca 1830 »na król. miejskiej widzialni lwowskiej, przez grono lubowników sztuki muzykalnej i dramatycznej na dochód ubogich we Lwowie wystawiona« — sama zaś zaczyna się następującym kupletem:

„Chłopaki z Pohulanki  
 „Węglińskie dzieweczki  
 „Splatajcie śliczne wianki  
 „Dla naszej Haneczki...

Już ten czterowiersz pouczy, że sztuka Suchorowskiego zupełnie zasłużonym pokryła się pyłem zapomnienia, tak samo jak i druga »krotochwila oryginalnie napisana przez A. Ładnowskiego pt. Majówka na Pohulance, czyli Miłość i polędwica«.

Od roku 1848 jest Pohulanka własnością rodziny Kleinów. Przeprowadzono wówczas na posiadłości znaczne zmiany, a mianowicie osuszono ją częściowo, przyczem Klein zbudował browar, z którego piwo przez długie lata dzierżyło we Lwowie prym, z powodu swojej dobroci a konsumowane było przede wszystkim na miejscu przez wycieczkowiczów, którzy każdej niedzieli obsiadali stoły restauracyjne. Główną atrakcją Pohulanki w tych czasach były pierogi, kurczęta i lody wyrabiane w letnim pawilonie cukierni Maisona.

Lwowskie akcyjne towarzystwo browarów wykupiło browar, którego budynki zamieniono w dom mieszkalny, stawek został zupełnie osuszony, pozostała zaś tylko tradycyjna restauracja i tradycyjna piękność przyrody, która oby jak najdłużej oparła się parcelacji i zabudowaniu...







## VII. CETNERÓWKA.

»Honor i chwała Jaśnie Wielmożnych Cetnerów domu, chyba natenczas w rozsypkę pójdzie, kiedy się góry lwowskie z gruntu sypać i wylewać będą « Tak mówił w roku 1781, panegiryczny kaznodzieja ks. Augustyn Filipowicz na pogrzebie starosty żytomierskiego Antoniego Cetnera, nie przypuszczając chyba, że już w stopięćdziesiąt lat później przepowiednia jego ziści się w zupełności. Bo góry lwowskie sypią się dziś naprawdę i wywalają, aby zrobić miejsce coraz to dalszym ulicom i pierzejom miejskim, a razem z górami niknie także sława Cetnerów, po których została już tylko nazwa ulicy Cetnerowskiej i Cetnerówki, pięknego zacisza za łyżakowskim cmentarzem

Gdyby jednak ks. Filipowicz mógł oglądać Cetnerówkę ową w dzisiejszym stanie i zaniedbaniu i porównać ją z przecudnym ogrodem, który tu kwitł jeszcze nawet przed laty pięćdziesięciu, toż toby dopiero wytoczył „wielką generałnych żalów konfederację“, rozpuściłby »smutki, co gwałto-

wnym wypadłszy impetem, po strapionych sercach grasują“, toż toby wreszcie opiewał »nieutulonych lamentów konspirację«. Bo zarosły jest dziś i zaniedbany piękny ogród Cetnerów, dzicz się na nim rozsiadła, ani już śladu w nim klombów, dróg, fantastycznych krzewów i trawników, jakie tylko mógł wymyśleć człowiek nieszczęśliwy, co w kwiatach jedyńie szukał w życiu... pociechy.

Jest trochę tragedji, a dużo, nieznanego już dziś sentymentu w takim życiu, co na bankructwie ideałów swoich i osobistego szczęścia wznosi ogród przepyszny, woniejący, rozkwitły i rozśpiewany całą pięknnością natury, wspomnożoną tajemnicami sztuki ogrodniczej. Jakoś dziwnie pociąga ku sobie człowiek, który rydlem i łopata borykał się w swoim nieszczęściu, w kwiatach szukał przyjaciół i zapomnienia, a w drzewnych szumach koił swe troski i melancholję.

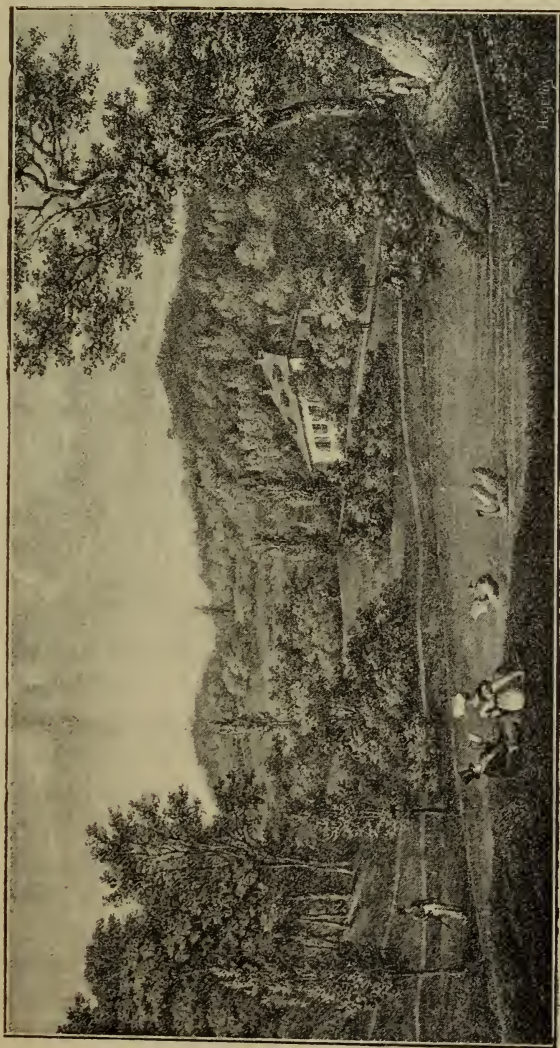
Ignacy Cetner, syn wspomnianego starosty żytomierskiego, miał dopiero trzy lata wówczas, gdy ks. Filipowicz na pogrzebie jego ojca, takie wyprawiał brewerje z »generalnych żalów konfederacją«. Dostało się przy tej sposobności i trzyletniemu chłopczynie, bo napuszysty kaznodzieja, jak wsiadł raz na pegaza, tak nie spoczął, dopóki nie obwieścił całemu światu, że malutki Ignas, to na »polskim Zodzaku nowe honorów światło, to jedyna po Antonim Cetnerze pozostała jutrzeńka« i dopóki nie wsadził chłopczyny »między błyszczące gwiazdy, jako gwiazdę nową«.

Zapomniał jednak kaznodzieja włożyć na skroń Ignacego Cetnera wieńca cierniowego, ale w tem

wyręczyło go same życie i małżonka Ludwika Potocka, z domu wojewodzianka poznańska. Nie miał bowiem Cetner szczęścia w życiu, ani w małżeństwie, a tej okoliczności zawdzięczał Lwów przy końcu ośmnastego wieku, że otrzymał wspaniałą ogród, Cetnerówkę.

Pan na Podkamieniu, Krakowcu i Bakończech, starosta korytnicki, wojewoda bełzki, odznaczał się Cetner niezwykłą słodyczą charakteru i dobrocią, głębokiem wykształceniem, co zjednało mu szacunek, poważanie i miłość u wszystkich z wyjątkiem własnej żony. Co wycierpiał pan wojewoda od tej niewiasty kłótlivej, pełnej najdziwaczniejszych zachceń i humorów, to już jego rzecz, ale gdyby podówczas były istniały samochody, to z pewnością byłby sobie sprawił taki benzynowy wehikuł, aby w nim uciec na wiatry, na cztery od swojej niebogi. Samochodów jednak nie było przy końcu ośmnastego wieku, a sześciokonna kolasa zawieść mogła pana wojewodę z Krakowca, gdzie było to »gniazdo rodzinne«, najwyżej do Lwowa.

We Lwowie też, który po zaborze austriackim rozpoczął bujny okres życia towarzyskiego, wśród gwaru i zabaw, znachodził Ignacy Cetner wytchnienie od trosk familijnych i zapominał o niesumienności swoich oficjalistów, okradających duży jego majątek na każdym kroku. Wśród ludzi wykształconych i inteligentnych upływało to życie, ciche na pozór, rezygnacją opromienione i modlitwą. Doszło do tego, że wojewoda bełzki po każdej sprzeczce czy to małżeńskiej, czy z wierzycielami, uciekał pod krucyfiks i żarliwie się modlił.



CETNERÓWKA  
(według litografji z r. 1840)

Albo też szukał pociechy w niemych i martwych przedmiotach. Tak szuka każdy bankrut życiowy, koło którego pustka zalegnie serdeczna i brak ludzkiego ukochania i pesymizm. Ignacy Cetner był takim sponiewieranym szmatem człowieka — był bardzo biednym i nieszczęśliwym — więc został zbieraczem starożytności.

Jedyna ucieczka dla rozbitków życiowych i dla ludzi, którym źle się stało na świecie i którym nudno a pusto wśród kabotyńskiej terażniejszości, takiej co to ją nawet nienawidzieć nie warto i złości ku niej mieć w sercu.

Taki pogodny i cichy pesymizm, który kochać ludzi nie mogąc, umiłowanie swoje przenosi na rzeczy, na przeszłość i w niej szuka smutków swoich ukojenia i niepamięci.

To też nie tylko pod krucyfiksem dobrze było Cetnerowi ale i wśród zbiorów, jakie miał w Krakowcu, a które budziły podziw w Ewaryście Kuropatnickim, autorze „dokładnego opisanie królestw Galicji i Lodomerji“ (r. 1736). Kasztelan bełzki i pierwszy »galicyjski« geograf z całym zachwytem wspomina o kolekcji obrazów Cetnera »portretów, kopersztychów, ksiąg, numizmatów, monet nasion (!) tabakier, guzików nawet samych, marmurów, konch, ptaków i co tylko pomnożyć może wiadomość historii krajów i naturalnej«.

Biedny Cetner, razem ze starymi guzikami i wypchanymi ptakami!...

Ale ten »mazgaj«, jakbyśmy dziś powiedzieli, ma tę zasługę, że młodszego podówczas Franciszka Karpińskiego pchnął na tory poezji, że »towarzy-

stwu“ lwowskiemu, z końca XVIII. wieku, o którym Niemcy jak Kratter, Bretschneider i inni nic innego opowiedzieć nie mogli jak całe serje skandalicznych historyjek, że temu towarzystwu dodawał przecież nieco powagi i nieco kultury, że wreszcie zostawił po sobie pamiątkę, która przez długie lata była jedną z osobliwości naszego miasta.

Na prawo od rogatki, po za parkiem Łyczakowskim leży zarosłe i ponure zacisze: Cetnerówka. W środku staw czarny o tajemniczej głębi, w którym się nawet cienie sędziwych drzew sąsiednich nie ukąpią, ani dziewczyna z Pasiek odbicia swojej postaci nie znajdzie. Przed paru laty burza zwała olbrzymi pień drzewny przez środek tej wiecznie milczącej wody, a ten sterczał tam długo na większą jeszcze grozę krajobrazu i większy postrach mieszkańców Pasiek, których ze stawu onego straszły topielce i inne duchy wodne.

Przez środek prowadzi droga do rodzaju folwarczku, czy innego zabudowania, a kamień ociosanych kształtów, który się czasem nawinie pod stopą przechodnia, przypomina, że brukowane było ongi to miejsce dla nóg, które nie chciały brnąć po błocie. Po bokach parowy i wzgórza różnego kształtu, a w ogrodzie dostrzec można do dzisiaj resztki jakichś dziwnie szlachetnych, już nawet nieznanym drzew owocowych i innych.

Tyle tylko zostało śladów z przepięknego niegdyś ogrodu, któremu wspomniany Ignacy Cetner całe życie poświęcił, szukając zapomnienia. Nie wstydził się wojewoda bełzki pracy ręcznej — sam kopał grzędy rydlem, sam z motyką obrabiał kwatery

ogrodowe. Co najpiękniejsze, najrzadsze kwiaty znajdowały się na Cetnerówce. Egzotyczne krzewy, sztucznie wyhodowane drzewa, amerykańskie jodły i Bóg wie jakie dziwy ogrodnicze wabiły w tamtą stronę mieszkańców Lwowa. Kamienna droga wiała się między skałami i wzgórkami, a na całym obszarze rozrzucił wojewoda grupy drzew w najfantastyczniejszych klombach i deseniach. Nawet barwy liści musiały harmonizować ze sobą, lub też tworzyć miłe dla oka kontrasty. Więc jasnozielone jodły amerykańskie z czarnymi bukami i jasionami, akacje z klonami, brzozy płaczące z dębami itd.

A wśród tego wszystkiego trawniki w najrozmaitszych deseniach, zbiegające do jednego punktu środkowego, który tworzył wspomniany wyżej stawek, kwiatowe najwyszukańsze kobierce w koło dworku, owocowe szpalery, cierplarniane grzędy, jednym słowem, co tylko wymyślić zdołała wówczas sztuka ogrodnicza, wszystko to sprowadzał natychmiast wojewoda na swoją Cetnerówkę.

Zwłaszcza jednak ogród kwiatowy był celem westchnień wszystkich lwowskich współczesnych amantów. Bo o bukiet dla panny, o rzadszy kwiat egzotyczny trudniej było wówczas we Lwowie, aniżeli na przykład dzisiaj, gdy kolej w przeciągu dwu dni dowiezie z Nizy, czy z Rivieri najwspanialsze kamelie i orchidee tak zimą, jak latem. W dawnym Lwowie zdarzało się niejednokrotnie, że grzeczny kawaler »na pniu« jeszcze zamawiał kwiat u ogrodnika za bajonńskie sumy i czekał cierpliwie, aż się rozkwitnie. Więc w nagłej miłosnej potrzebie udawano się do pana wojewody Cetnera, na Cetnerów-

kę, z prośbą o bukiet, czy kwiat jeden tylko, a wojewoda nigdy nie odmawiał proszącym.

Nie odmówił też i cesarzowi Józefowi II, kiedy ten zakładał uniwersytet we Lwowie, a z nim razem i ogród botaniczny. Dzięki bowiem swojemu amatorstwu Ignacy Cetner stał się powagą w rzeczach botaniki, coś tak, jak dzisiaj np. prof. Ciesielski. Więc zwrócił się Józef II. do Cetnera z osobistą prośbą, aby zechciał pomódz przy zakładaniu ogrodu botanicznego, co ten tem skwapliwiej uczynił, ile że właśnie zerwał ostatnie węzły łączące go z Rzeczpospolitą polską. W r. 1787 złożył województwo bełzkie w zamian za austriackie hrabstwo. Wywołało to pewien niesmak nawet w ówczesnem społeczeństwie galicyjskiem. Kpiono więc potrosze z ex-wojewody, a złośliwa kasztelanowa Kossakowska, dowiedziawszy się o tym fakcie, zawołała: „uczciwszy uszy, był to kiedyś cetnar, a teraz i funta nie waży“.

Ignacy Cetner umarł jako »Marszałek królestw Galicji i Lodomerji« a po jego śmierci lwowska Cetnerówka przeszła na jego synowca Andrzeja Cetnera, również wielkiego miłośnika kwiatów i drzew. Sława ogrodu rosła coraz bardziej we Lwowie, uwieczniono go nawet na dużej litografii, która w pierwszej połowie XIX. w. wyszła z drukarni Pillera, ale też niebawem ze zmianą właścicieli, upadło dawne urocze zacisze i niszczyć poczęło w rychłym tempie.

Mimo to przez długie lata wzbudzało ono podziw u zwiedzających. Tak Julian Ursyn Niemcewicz, jak i znany nam już amator przyrody podlwo-



wskiej z »Rozmaitości« w r. 1825 nie mają słów na opisanie cudów Cetnerówki. Niemcewicz stawia ją nawet wyżej od Pohulanki, wspomniany zaś amator opisuje bardzo szczegółowo drogę wykładaną kamieniami, a po bokach ławeczki, »siodycz wiejskiego powietrza«, »amfiteatr, gór okolicznych, ozłocony promieniami słońca«, a potem klomby z jednako-  
wych drzew ułożone, czarne buki, płaczące jesiony akacje, platany, ligustrje, studnię kamienną ukrytą w cieniu drzew, zabawę taneczną w dworku i. t. d.

Już wtedy jednak pobierano małą opłatę za wstęp do ogrodu, a niebawem miał się on zamienić w park publiczny, nad czem bardzo biadał nasz autor, »mile u przedmieściowego restauratora przypominając sobie chwile, na Cetnerówce spędzone«.

Obawy jego jednak się nieziściły. Cetnerówka została prywatną własnością, co jej jednak nieprzeszkodziło zamienić się w dzikie i zaniedbane uroczysko, przechodzące z rąk do rąk.

Był czas kiedy i gmina lwowska miała zamiar zakupić cały ten obszar. Zamiar jednak niestety nie przyszedł do skutku z powodu przedwczesnej śmierci prezydenta Michała Michalskiego.

Natomiast znaczną część Cetnerówki zakupił rząd na pomieszczenie ogrodu botanicznego. Jest to wypadek potrójnie dla Cetnerówki szczęśliwy, bo nawiązaną została nić tradycji do osoby jej założyciela i doradcy przy zakładaniu pierwszego ogrodu botanicznego, po drugie Cetnerówka przynajmniej częściowo i na długie lata jest zabezpieczoną przed zniszczeniem, a po trzecie kwestja lwowskiego ogrodu botanicznego rozstrzygniętą została na stałe.

Bo »latającym ogrodem« nazwać by można instytut, mieszczący się dzisiaj przy ulicy Długosza. Koczował najpierw w okolicach dzisiejszej głównej poczty, potem w ogrodzie misjonarskim na Zamarstynowie, potem na strzelnicy, a wreszcie od 1848 koło św. Mikołaja, gdzie mu coraz gorzej było, bo amputowano jego części, obcinano gałęzie drzew, grożono całkowitem przeniesieniem aż gdzieś w okolicy zielonej rogatki.

Niech mu też obecnie spokojnie szumią drzewa na Cetnerówce.





## VIII. NA WYSOKIM ZAMKU.

Można wymyślać na Lwów z całą pasją lwowskich reporterów, „psioczyć“ i „łajdaczyć“ na wszystkie porządki miejskie, ale niepodobna pozostać głuchym na wdzięki miasta, któremu wszystkie dookoła pagórki się kłonią, a wieniec drzew co dnia go do snu kołysze. Bo choć ulice lwowskie w dzień upalny okryją się szmatami rozpalonego słońca, choć się roztlili wszystka cyna na dachach i odbije palącymi promieniami o głowę przechodnia, to przecież od czasu do czasu zaszumi las na Pohulance znanem nam już wspomieniem wesołego mecenasa Węgleńskiego, Kaiserwald coś o starej rodzinie Lonszaków opowie, lasy Hołoska zaszemrzą echem zamartwych procesów, ozwie się Kortumówka Horacjuszowym wierszem na swoim dworku, słowa młodości wyśpiewa park stryjski i zadumą przejmą stare lipy na Zofiówce, co kościółek piastują między sobą, dzieło mieszczyki Hannlowej i Łukiewicza fundację posagową dla biednych panienek.

Dobre, poczcliwe miasto. Do swoich filistrów przemawia całym smętkiem swojej historji, przynosi

im echa kopyt kozackich, moskiewskich, tureckich, swedzkich, węgierskich, które jego pola ongi tłumiły, sypie im szumy drzewne od wszystkich rogatek a w tych szumach równie tyle krwi utoczonej na pobojuwisku, ile pieśni, co ją Cerera blada na pszenicznym wyśpiewa zagonie.

Dobre miasto. Cicho gwarzy o tem co było, a z powieścią nie narzuca się tym, którzy jej nie pragną. Nie nosi swojej historii z namaszczeniem i majestatyczną powagą, ale szepce ją tylko cichaczem człękowi, co samotny zabłądzi na jego uroczyska, dla reszty zaś ludzi ma strój nowożytny i podkasaną śpiewkę kabaretu.

Tak czasem starzec sędziwy suknię do kolan zatoczy i w tan pójdzie szeroki, a ludzie się śmieją dobrym uśmiechem... bo i tacy są ludzie.

A kiedy się zaduma człowiek na Wysokim Zamku, to wysokie drzewa dopowiedzą mu wszystko: powie coś kopiec w blaskach księżycy skąpany, odległym echem szumi wzgórek koło »groty samobójców« nawet lew kamienny, co kiedyś progi ratusza zdobił przerwie swe długie milczenie, a z cieni nocnych wypełźnie jakaś nieznaną gwara, dziwaczny język lwowskich »batiarów«.

Inaczej tu niegdyś bywało na Zamku na Wysokim, skrzydłato i górnio, czasami smutno i straszno. W cieniu drzew filister jeszcze wówczas swojej nie chłodził łysiny, mamki się z dziećmi nie rozsiadały, ani par gruchających nie było, ani rozmarzonych spojrzeń w oczu głębie przepaścistą. Inaczej bywało przed wiekami, gdy w tem miejscu, sterczał ruski zamek, drewniana ruskich kniaziów

stolica i patrzył ostrokołem swoim na nieliczne monastery u stóp swoich, kościółek Jana Chrzciciela, podgrodzie i na lesistą kotlinę Pełtwi, w której nawet jeszcze idea dzisiejszego Lwowa nie drzemała.

Inaczej tu było kiedyś, gdy na dominującym, drzewami obrosłym wzgórzu, wznosił Kazimierz Wielki, Zamek Wysoki, kamienny, ze szczyrbatymi basztami, które miały być obroną miasta a stały się jego kłatwą, tak wówczas gdy roje zbójców gnieździły się w podzamkowych gęstwinach, jak i wtedy, gdy dzikie zastępy Krzywonośa, kozackiego pułkownika pod nim stanęły, mordując w pień wszystkich, co murom zamkowym swe życie powierzyli.

Do Wysokiego Zamku przyłgły wspomnienia, jakie tylko miał kiedykolwiek Lwów w długim swoim istnieniu dziejowem. Pomni on jeszcze ruskiego kniazia Lwa i straszną tragedję, gdy od trucizny zadanej przez ruskich bojarów padł ostatni władca Rusi Jerzy II. Tutaj stanęła potem twarda stopa Kazimierza Wielkiego i węgierskich królów snuły się plany na zagarnięcie Rusi i litewskich książąt.

Jagiello tutaj osadzał najniebezpieczniejszych więźniów — a za Zygmunta Augusta działał się na Wysokim Zamku jeden akt tragedji Halszki z Ostroga, mnogich włości obłąkanej dziedziczki.

I huk armat Grothusa w czasie drugiego oblężenia Lwowa i orli wzrok Karola XII. króla szwedzkiego, który stąd dopatrywał najslabszego miejsca lwowskich fortyfikacji.

Wówczas jednak Zamek Wysoki świecił nagimi zboczami, a wichry po nim hulały. Górę zamkową ogołocono z drzew jeszcze w szesnastym wieku i odtąd każdy deszcz rysował głębokie szczeliny, a wiatr dął piaskiem na miasto i zrywał dachy budynków zamkowych. A jednak lubił lwowianin to miejsce od dawna. Co niedziela jeszcze przed trzystu laty spieszyły postrojone mieszczki na Zamek Wysoki, tak samo jak i dziś patrzył mieszczanin z dumą na miasto swoje i na rozległą równinę, która starego burmistrza-poetę Bartłomieja Zimorowicza natchnęła opisem krajobrazu skąd:

... może człek dorzucić tak daleko okiem  
Ile przez dzień kroczysty koń przepędzi krokiem...

Czasem jednak ze wzgórza Wysokiego Zamku biegły spojrzenia przestachu i grozy w dal siną, wypatrując, ażali nie zakłębią się płomienne dymy najazdu, nie runie chmara nieprzyjacielska. W takich chwilach dumął i Jan Sobieski na Wysokim Zamku patrząc, gdzieby najlepiej zająć turecką potęgę i hetman Stanisław Jabłonowski nocami wypatrywał ordy tatarskiej.

Ale o to inny obraz. Zachowało go kilka starych rysunków i trochę niedoleżnych sztychów. Na górze zamkowej, tak samo nagiej, sterczy już tylko rudera, której rozmiary z roku na rok się zmniejszają. Schodzą stare kamienie i cegły z budynków zamkowych do miasta, jako materjał, z którego się wznosi wielka kamienica przy ulicy Łyczakowskiej 1. 3 i kilka innych jeszcze kamienic. Całą górę zamkową, wraz z rudera Wysokiego Zamku, darował cesarz Józef II. w r. 1786 miastu,

które tam sobie spokojnie kopało kamienie, wybierało piasek i biadało nad tumanami kurzu, sypiącymi się stamtąd i nad lawinami błota, co po każdym deszczu spływały w sąsiednią Sieniawszczyznę. Zresztą nikt dobrze nie wiedział, co począć z tym fantem. W r. 1806 zgłaszało się konsorcjum pewne żydowskie z chęcią nabycia góry, ale targu niedobito, gdyż przemysłni potomkowie Izraela wzdragali się podać, co zamyślają z nabytkiem uczynić. W r. 1839 znowu zgłosił się pewien przedsiębiorca z projektem budowy holenderskich wiatraków na szczycie góry zamkowej, ale i ten nic nie wskórał, bo wówczas góra miała już inne przeznaczenie, a nawet inna jej nazwa była sądzoną. »Wysoki Zamek« nie brzmiał zbyt lojalnie w uchu biurokratycznym, więc przechrzczono go na »Sandberg«, o którym jeszcze w r. 1863 śpiewał jakiś domorosły poeta lwowski:

„Nadpełtwniańska Muzo! Dziewico Lembergu,

„Co z wdzięki cudownemi — krocząc po Sandbergu

„Podobna księżycowi wznosisz nos perkaty...

W r. 1835 rozpoczęto roboty koło zalesienia góry zamkowej, którą poprzednio wyrównano, wypychając jej i wyrównując, jak starej kokietce, boki... ziemią wybraną z pod fundamentów rozpoczętej właśnie budowy starego teatru hr. Skarbka. Poza sypywano więc dziury, drzewka zasadzone podraستاły, w r. 1845 wybudowano kosztem 22.000 złr. istniejącą po dziś dzień restaurację i grootę, do której przyłgnęło później miano »groty samobójców« i »Sandberg« począł się prezentować wcale przyzwoicie, zwłaszcza co środę popołudnia, na »plac-

muzyce« wojskowej, na którą spieszyło całe lojalne społeczeństwo lwowskie, przysłuchując niemieckim charkotem resztę wspomnień ongi »Wysokiego Zamku«. Tylko na szczycie, dokąd rzadko się spacerowicz zapuszczał, sterczały resztki ruin, ale i one przeznaczone już były na zagładę.

Wkrótce jednak i nazwa »Sandberg« nie wystarczyła lojalności. W r. 1851 odwiedził cesarz Franciszek Józef górę zamkową, a z tej przyczyny biurokracya uznała *unisono*, że dla byłego Wysokiego Zamku *secundo voto* »Sandbergu« najodpowiedniejsza będzie nazwa *Franz Josefs-Berg*. I znalazł się znowu poeta, który »Sandbergowi« każe być dumnym z tego powodu i woła nań:

„Erheb dein Haupt jetzt doppelt stolz und prächtig

„Franz-Josefsberg soll jetzt dein Name seyn.

Ale oto kopiec Unji lubelskiej nowe daje namaszczenie górze zamkowej i bodaj raz na zawsze zamyka kwestję jej nazwy. Odtąd już miejsce to zwać się będzie »Wysokim Zamkiem«, tak jak za dawnych czasów i trzeba chyba komitetu »pań ewangelickich«, który urządzając festyn na Wysokim Zamku, przypomni sobie *absolutum dominium* stosowanego kapelusza i spróbuje wskrzesić nazwę nadaną Wysokiemu Zamkowi przez biurokrację, nazwę, która najmłodszemu pokoleniu lwowian jest wprost nieznaną.

Inne były to czasy kiedy, po niefortunnym co prawda, usunięciu reszty ruin dawnego zamku wznosić się począł na jego miejscu kopiec Unji lubelskiej, kiedy w dżdżystym i chmurnym dniu jedenastego sierpnia 1868 kładziono tam kamień wę-



gielny kopca z napisem »Wolni z wolnymi, równi z równymi«, a na ten kamień posypały się nasamprzód grudki ze wszystkich ziem naszej wielkiej ojczyzny, ze wszystkich znakomitych miejscowości historycznych. Rzucono tam wówczas garść ziemi ze wszystkich pobojowisk od Grunwaldu i Tannenbergu aż po Sołowijówkę i Radziwiłłów — z grobów Kościuszki, Lelewela, Mickiewicza, Kniaziewiczza, Słowackiego, Ostrowskiego, z grobu pięciu ofiar na Powązkach, z grobów męczenników naszych na Sybirze pochowanych, ze wszystkich kopców i mogił na ziemi polskiej znajdujących się, ze ziemi Jerozolimy, z góry Kalwarji, a nawet hen gdzieś z daleka od San Francisco grudkę ziemi obcej, ale polską krwią i potem przepojoną, ziemię wyгнаćców.

Dobre, poczciwe miasto. Wtenczas kiedy Warszawa jeszcze wojsko miała polskie, a Kraków własną republikę, ono miasto nasze jęczało pod strasznym obuchem, ono pierwsze zakosztowało gorzkiego chleba niewoli, wyciągnięte zostało na męki konania — a jednak po stu latach nic a nic nie zapomniało, ani nauczycieli potrzebowało, aby się poczuć polskiem i odetchnąć powietrzem od... morza do morza.

A jeszcze jedną chwilę opowiada kopiec samotnemu włóczędze, chwilę górną i lotną, kiedy dnia 13. października 1871 gościł u siebie Wielkopolan, a Lwów cały wielkie miał święto podwóczas i jeszcze...

...Ale o to lewek stary, ratuszowy lewek z dawnego ratusza Kampianowskiego, obdarty i obszar-

pany zabiera głos i ze zwykłym lwowskim sarkazmem opowiadać poczyną, jak go tu ni z tego ni z owego pewnej nocy przynieśli... policaje.

Bo ni z tego ni z owego przyszedł lwowskiej tromtadracji koncept uroczystego przeniesienia lewka z podwórza ratuszowego na górę Zamkową. Tazszcono go więc z wielką paradą i pierwszego dnia zanie-siono aż do ul. Teatyńskiej. Policja jednak oba-wiając się dalszej demonstracji, uniemożliwiła ją w ten sposób, że nocą sama przeniosła lewka na Zamek — tak że dalsza procesja stała się w ten sposób bezprzedmiotową

Lwów cały »ryczał« ze śmiechu, a dwa lewki gubernjalne, mniejsze, które strzegły wejścia do ówczesnego gmachu policji mało nie pękły ze złości że ich autonomicznego kolegę z ratusza taki spotkał honor ze strony władz rządowych. Co prawda i sam lew nie wiedział, po co go wytransportowano na kopiec i czysto lwowskim djalektem wołać miał: »Dalibóg, niech mnie piorun trzaśnie, *wenn ich weiss* na co oni mnie tu postawili i co się ma znaczyć *diese ganze Geschichte*«, ale mimo to jubel był ogromny, a nawet znalazł się poeta, który wzniosła odą »ła-cińską« uczcił ten historyczny wypadek. Jestto „*Ode in Leonem Magistratualem per Policajos in Kopcum transportatum*“, w której autor opisuje jak księżyc i gwiazdy osłupiały na widok policajów transportujących o północy lwa ratuszowego na kopiec, a kończy wzniosła apostrofą i okrzykiem radości — teraz mamy na kopcu patrona wszechkoł-tuństwa :

»Nunc habemus Leonem in Kopco, patronum  
Omnis coltuniael«

Ale noc już głucha zapadła, a w jej cieniach pełzną jakieś dziwne postacie, jaskrawo odziane dziewice obok jednostek odnaczających się defektownym strojem. Zachichocą od czasu do czasu puste przestrzenie, lub krzyk się o nie odbije i zamrze gdzieś wspólnie z hukiem oddalającej się z Podzamcza lokomotywy, to wreszcie przeciągły się odezwie, wyuzdany śpiew.

Piosenka »batiarów«. Rycerze nocy wyszli na swoje gody.

A jednak ładny jest Wysoki Zamek i ciekawe czasem potrafi opowiedzieć historje.





## IX. DOKOŁA STAWU PEŁCZYŃSKIEGO.

---

Jeszcze do połowy dziewiętnastego wieku był staw Pełczyński punktem środkowym krajobrazu, któremu Lwów współczesny nadawał miano wszystkich możliwych na świecie Arkadji i Szwajcjarji, który poeci opiewali wierszem miarowym i do którego publiczność wszystkich stanów i zawodów tłumnie pielgrzymowała.

Bo wszystko było na tem miejscu, otoczonem wzgórzami cytadeli i stryjskiego gościńca: staw z tajemniczą głębią, częsty przytułek samobójców, śmiejące się i zielone wzgórza, stare aleje drzewne i słońca bezmiar ogromny.

Ale zacznijmy od Cytadeli:

Dwie wieże od Pełczyńskiego stawu, jedna od ulicy Kopernika, jedna od Gołębiej: a więc cztery krągławe wieże otaczają czerwony budynek, przełamany we środku w dwa skrzydła, wybrzuszony od wnętrza w kolisty bastjon, a od strony placu musztry w strzelnicę dla wiwatowych armatek. Wszystkie obrazy i śpiewy militaryzmu skupiły się na tej przestrzeni: nocne hasła posterunków, wi-

sząca bielizna na kratkach okiennych, łomot komiś-  
nych obcasów na mustrze i śpiewanie trąby na  
wszystkie sposoby i hasła na czynności dzienne, od  
pobudki porannej, aż do wieczornego snu. A gdy  
chwilami ucichnie gwar i kłątwa koszarowa, to  
gdzieś z głębin dobywa się tęskniąca za uciechami  
miasta piosnka:

„Chciałem ja raz iść do miasta  
„A pan kapral „antreten“ i basta  
„Strozaki prać, deki klopać  
„Ale nie do miasta... i t. t.

Chociaż bowiem cytadela w samym jest środku  
miasta położona, chociaż to miasto wciska się w jej  
korpus jak daleko tylko można, tak od ulicy Cy-  
tadelnej, Gołębiej, Supińskiego, jak od Łazarza  
i Wronowskiej — to przecież świat tam inny, zu-  
pełnie inne życie, inne nawet powietrze i inna  
przyroda.

Dziwna jednak rzecz, jak ta biedna, tłumiona  
na każdym kroku, a taka przecież bujna i piękna  
przyroda lwowska, wyłocić potrafi nawet... koszary.  
Te pod sznur wyciągnięte mury, place musztry,  
to pole popisu dla donośności organów głosowych  
feldfebla, jakżeby smutnie, ponuro i kazamatowo  
wyglądało, gdyby nie bujna zieleń, figlarne wybry-  
ki terenu i cały krajobraz cytadeli. Wszystko się  
tam zbiegło z dobrym uśmiechem dla doli żołnier-  
skiej. Od ulicy Łazarza spocznie oko na płaskiej,  
przestronej równinie, ujętej w ramy drzewne; od  
Cytadelnej park się roztoczy cienisty z zielonym  
kobiercem trawnika, spadnie od ulicy Mochna-  
ckiego stok zasiany ogrodem warzywnym, górskie

złudzenie da strona od Pełczyńskiego stawu, terasy się miejskie spiętrzą od ulicy Lelewela.

Więc nie dziw, że zanim tutaj koszary stanęły była ta okolica Arkadją lwowską, letnią siedzibą patrycjatu miejskiego. Sam król Jan Kazimierz tu mieszkał i wczasu zażywał po chorobie i klęskach swego panowania. Od ulicy Gołębiej zwłaszcza piętrzyło się od dworków i domków letnich. Tutaj »nad samym trzech pagórków pyskiem« mieszkał burmistrz, poeta i chluba Lwowa starego, Bartłomiej Zimorowicz, tu swe sielanki śpiewał on »Rozymund ucieszny«, zwabiony<sup>1</sup> położeniem rozkosznem i widokiem miłym tego miejsca, skąd oko:

„Patrzac na miasto i wydatne szczyty  
 „Wyssogradu\*), widzac stąd to góry nadęte  
 „To równiny wysmukłe, to wąwozy kręte  
 „To pola w szachownicę kształtnie osadzone,  
 „Coraz bierze uciechy stąd nieuprzykrzone.

Właściwie Cytadela dzisiejsza obejmuje trzy wzgórze zwane dawniej górą Kaleczą, Pełczyńską Szemberka, później Wronowską. Każda z tych gór miała swoich właścicieli, a wszystkie razem okryte były »sadowiną, ogrodami, winnicą, gajem i polami«. W ich gronie Szemberkowa góra, ta od ulicy Kopernika, najwyższą była i jakimś niezwykłym się kształtem odznaczała. Na niej to znalazł w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, archeolog Żegota Pauli kamienie jakieś dziwne, niby resztki pogańskich ołtarzy i posąg starożytny, podobny nieco do tych, które lud »babami« nazywa. W późniejszych wiekach Szemberkowa góra odegrała pewną rolę

\*) Wysokiego Zamku.

w czasie oblężenia Lwowa przez Turków w r. 1672, skąd baterje tureckie grzmiały na miasto, a tradycja lwowska dziś jeszcze to miejsce chętnie »szanćcami tureckimi« nazywa.

Na stokach góry, od strony ulicy Wronowskiej powstał przy końcu ośmnastego wieku dworek szlachecki, zbudowany w stylu francuskim, który wraz z pięknym ogrodem, wysadzonym lipami, a spadającym aż ku stawowi Pełczyńskiemu z »rondlem« zbudowanym na samym szczycie góry, stanowił piękną i uroczą posiadłość. Posiadłość ta, była około r. 1767 własnością cześnikowej nowogrodzkiej Marjanny Wilczyńskiej, tudzież Ignacego Kockiego. Od nich nabył ją Ignacy Czosnowski za sumę 5800 złp. a od tego ostatniego Piotr Zabielski. W r. 1791 całą tę realność kupił Stanisław Wronowski radca lwowskiego *forum nobilium* człowiek niezwykle wykształcony, zbieracz ksiązek i starożytności, amator sztuk pięknych, chodząca kronika Lwowa. Lubił się zacny mecenas zabawić także — więc dworek jego rozbrzmiewał ustawicznie gwarem i wesołością, skupiając dokoła siebie, co najinteligentniejszego Lwów wówczas posiadał. Tutaj też w latach 1804—1807 znalazł przytułek i teatr polski, po wyjeździe Bogusławskiego i ustąpieniu Kamińskiego do Kamieńca podolskiego. Były to najsmutniejsze czasy dla sceny polskiej, właśnie wtenczas, gdy niemiecki teatr rozpieął się butnie w gmachu przerobionym z franciszkańskiego kościoła. Wtedy Wronowski zorganizował trupę amatorów, która przez trzy lata dawała

w jego pałacyku bezpłatne przedstawienia polskie, cieszące się ogromną frekwencją lwowskiej publiki. Pałacyk ten istniał aż do roku 1895 i zburzony został tak doszczętnie, że nawet fotografia jego nigdzie się nie dochowała.

Sam Wronowski umarł w roku 1829, licząc sto sześć lat życia. Posiadłość jego wraz z całą górą Wronowskich otrzymała w posagu, jeszcze w roku 1806, córka Józefa zamężna za Fabianem hr. Humieckim, która po śmierci męża poszła pod kuratelę.

Wtedy to przyszedł w posiadanie góry Wronowskich zarząd wojskowy. Był mianowicie czas, kiedy rząd austriacki zamierzał opasać Lwów fortyfikacją, która się rozpocząć miała właśnie od góry Kaleczej i Wronowskich. Na nalegania ówczesnego gubernatora Galicji arcyksięcia Ferdynanda d'Este zdecydowała się hr. Humiecka odstąpić część swoich posiadłości, a mianowicie górę Wronowskich, która stanowiła wówczas miejsce wycieczek dla Lwowian, skarbowi wojskowemu. Ponieważ jednak nie była samowolną i miała innych jeszcze krewnych, przeto skarb wojskowy po długich ceregielach prawnych złożył podobno jakąś kwotę do depozytu sądowego. Kwota ta przepadła gdzieś bez śladu. W roku 1856 rząd budować począł Cytadelę, a sprawa własności góry Wronowskich, ucichła. Jedynie po śmierci hr. Humieckiej w roku 1872 w jej nekrologach znalazła się wzmianka, że ona to była hojną ofiarodawczynią gruntu pod Cytadelę. A byłby się jej ten grunt bardzo przydał, gdyż przed śmiercią znalazła się w niedo-



statku i wносиła do tronu prośbę o wynagrodzenie za odebraną na cele wojskowe własność.

W ostatnich latach rozpoczęli jej potomkowie kroki, celem rewindykacji gruntu. W ten sposób lwowska Cytadela znalazła się po raz pierwszy od swego założenia w ogniu wojennym. Czy papierowe bomby pozwów i replik zrobiły jaki wyłom w czerwonych jej murach niewiadomo. Natomiast coraz częściej i natarczywiej podnosi się ze wszystkich stron żądanie, ażeby miasto, bodaj do spółki z jakimś konsorcjum finansistów, wykupiło od skarbu wojskowego Cytadelę na rzecz rozszerzenia miasta.

Od Cytadeli spadzista a zielona ściana i wśród drzew starych, stroma prowadzi drożyna wprost nad resztki stawu Pełczyńskiego. Nazwa stara, zagadkowego pochodzenia, powtarza się w aktach archiwalnych od bardzo dawnych czasów, zawsze jednak w łączności z mąką, kamieniami i młyńskimi łotkami. Jedyna ta bowiem większa woda we Lwowie obracała kilka kół młyńskich, które zawsze dostarczały sporo przyczyn do procesów i gwałtów, a tem samem do wielkiej pisaniny sądowej. Zresztą cała okolica stawu Pełczyńskiego przedstawiała aż do początku ubiegłego stulecia dziką i romantyczną pustkę, którą otaczał wieniec poszarpanych a nagich wzgórz. Z pośrodku nich dym ły bagniste opary. Starzy Lwowianie woleli raczej nakładać drogi, aniżeli przejeżdżać lub przechodzić koło strasznych urwisk. Nawet pastuszek, z kóz płochych trzodą, obawiał się piąć po tych górach, będących tylko siedliskiem gadów, os i szerszeni.

Dopiero około roku 1820, generał kawalerji austrjackiej Jan Karol hr. Henequin von Fresnel und Curel zwrócił uwagę na to romantyczne ustronie, być może dla tego że i sam, mimo siwych włosów, był bardzo romantycznego usposobienia. Już bowiem w czasie gdy miał za sobą wiele przebytych kampanji, a na piersiach całe rzędy orderów, zdarzyło mu się, że się zakochał na śmierć w całkiem młodej panience Zuzannie Strzemboszównej, a co ciekawsze, zyskał u niej również dośmiertną wzajemność. Niezwykły ten figiel amora wywołał w całym Lwowie olbrzymią sensację, tak że był czas, kiedy o niczem innem nie mówiono, jak tylko o starym piecu, w którym... djabeł pali.

Zakochany jednak generał i rozgorzała panienka nie robili sobie wiele z głosów ludzkich i miłość była między nimi gorąca, sielankowa i pasterska, pełna wzdychań, czułych biletów, pełna kwiatów i woni. Dopiero stary Strzembosz, wpadłszy przypadkowo na trop zrobił piekielną awanturę, z akompaniamentem szlochów panińskich, wyznań, że generał jest czemś takim, bez czego żyć nie można i w braku czego najlepiej się zamknąć w klasztorze. Stary Strzembosz także wolał klasztor, niż zięcia w generalskich szlifach, to też po długich ceregielach panna poszła do klasztoru.

Ale klauzura klasztorna nie była znowu tak silną twierdzą, ażeby jej waleczny generał siłą lub podstępem nie potrafił zdobyć. Niewiadomo jakiego środka zastosował kochanek w mundurze, najprawdopodobniej jednak osiołka ze złotem, o którym już Filip Macedoński powiedział, że przelezie ka-

ždy mur forteczny. Ostatecznie stanęło na tem, że rozmownica klasztorna okazała się również dobrem miejscem do schadzek miłosnych, jak każde inne ustronie.

I wówczas kiedy stary Strzembosz żył w błogiej nadziei, że na pannę przyjdzie wreszcie refleksja i upamiętanie, ta ostatnia romansowała z za kraty klasztornej w najlepsze, nie myśląc o żadnej refleksji. Co gorsza upamiętanie i refleksja przyszły na samego Strzembosza, który sobie wreszcie pomyślał, że nie warto walczyć z wiatrakami miłości i dał żądane przyzwolenie na ślub.

W tym wypadku Strzembosz całkiem dobrze i mądrze sobie postąpił, bo niedobrana para żyła bardzo szczęśliwie aż do śmierci generała, po której młoda wdowa znalazła sobie znacznie młodszego amanta w osobie hr. Ożarowskiego.

Dzisiaj stary Fresnel i Strzemboszuwna spią snem spokojnym i wiecznym w mauzoleum rodzinnym na wysokim a pięknym wzgórzu w Lackiem koło Złoczowa, a zieleń ich otacza, drzewa szumią w około i zboża i sinawe dymy chat wiejskich pną się ku kaplicy wspomnieniem miłosnych szeptów i zaklęć.

We Lwowie została po Fresnelu pamiątka w formie pływalni wojskowej nad stawem Pełczyńskim i zasługa uporządkowania całej okolicy. Napis na niskim pękатыm budynku, z kolumnadą strzeżoną przez dwa lwy, świadczy, że lwowski garnizon wdzięcznym sercem wspominał inicjatora pływalni. Mniej natomiast wdzięcznie myślał o tem wszystkim lwowski magistrat w piętnaście lat po-

tem, gdy przyszło wielkim kosztem czyścić staw, a potem jeszcze kosztowniejszy prowadzić z wojskowością proces o odszkodowanie.

Ostatecznie proces zakończył się polubownie tak, że wojskowość przyznała magistratowi, wykonywane po dziś dzień prawo prezenty piętnastu uczniów na bezpłatną naukę pływania, a mieszkańcy Lwowa zyskali piękne miejsce spacerowe, które przez długie lata cieszyło się wielką frekwencją publiczności i względami lwowskich poetów.

Jeden z nich, Rafał Wężyk, napisał nawet cały poemat pod tytułem »Spacer do Pływalni we Lwowie i obroty wojskowe tamże«. W poemacie tym »idąc za tłumem ludu, któremu dzień zabawy słodzi sześć dni trudu« zaszedł poeta aż na dzisiejszą ulicę Pełczyńską, która wówczas była »drogą wygodną, a nią jak w zawody spieszą w powozach panie prześlicznej urody i młodzież hoża na rumakach dzielnych wyściga się naprzemian wśród śpiewów weselnych«.

Lecz przedewszystkiem zachwycił się poeta wojskową pływanią i z całym entuzjazmem opisał, jak tam ktoś się z góry rzucał niby z wieży, jak inny na pasach uczył się sztuki pływania, a tamten znowu po schodach pierwszy wstręt do wody przewycięzał, inny znowu „wód kryształą szybkim męci biegiem“ i td.

Na wzgórzach z drugiej strony stawu, na których wojskowość położyła most kamienny z napisem: *Militare aedificavit — civitati donavit* (wojsko zbudowało — miastu darowało) odbywały się popisy wojskowe przy tłumnym udziale żądnej wrażeń gawie-

dzi. Sądząc z poetycznego opisu wspomnianego już wyżej Rafała Wężyka, manewry te wojskowe były prawdziwym festynem dla lwowskiej publiki. Dla dystygowanych gości wystawiano namiot, skąd najlepiej widać było obroty i gdzie przedewszystkiem zasiadały panie. Nasz poeta już z góry obliżywał się na samą myśl, jak to jego wzrok »się pokrzepi« wyborem wszelakich piękności. Jakoż rzeczywistość przeszła oczekiwanie, bo

„...Czemuż tak nagle zadumnionym stajesz?

„Widzę, że tyłu wdziękom hołd w sercu oddajesz.

„Lecz daremnie mnie pytasz, jak się która zowie

„Sam stopień każdej wdzięków jej imię ci powie.

„Szczęśliwym bowiem zbiegiem Lwów widzi w tym czasie,

„Iż dobroć, grzeczność, zacność, wdziękiem odznacza się.

Biedne kobiety, którym tacy straszni poeci śpiewali, biedna piękność i biedna sama poezja była, takich mając adeptów!

Całe szczęście pięknych niewiast współczesnych, że nie wielką zwracały uwagę na wieszczów głos lutni rozstrojony, ale zabawiały się flirtem, oczkowaniem i podobną zabawą, za którą je jednak nowe pokaranie spotkało, w formie następującego wylewu uczuć poetycznych:

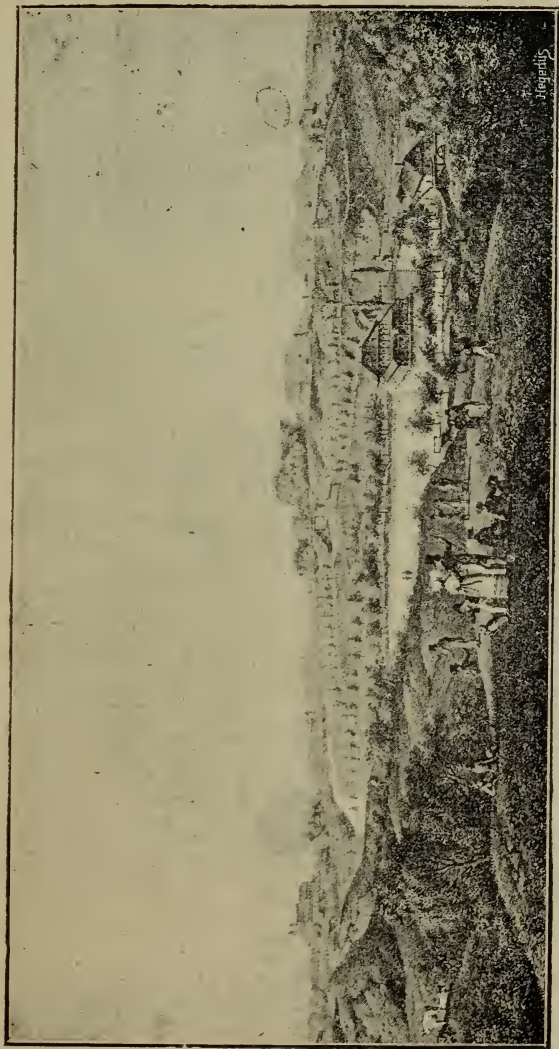
»Te radosne uśmiechy, poufne szeptania

„Spoczynek osób starszych i dzieci płasania,

„Wszystko bardzo przyjemną mieszanię robi,

„I niewymownym wdziękiem okolicę zdobi.

W popisach brały udział wszystkie gatunki broni, nawet artylerja z armatami. Była to prawdziwie dziecinna zabawa wojenna, jakiś, dziś już dla nas niezrozumiały, festyn wojskowy, z obrotami



Staw Pełczyński i wzgórze okoliczne, w r. 1825.  
(Według współczesnej litografii).

wojskowymi i musztrą, z atakami, zasadzkami, hukiem moździerzy i tp.

Patrząc na to wszystko przypomniał sobie nasz poeta coś zgoła innego, a przypomnienie jego takie ciche, nieśmiałe, w powijaki słów owinięte. Oto na widok żołnierskich obrotów snuć począł dziejów ojczystych wspomnienie i czynów wielkich, które »jak djament zakopany w skale, skruszą cieniów siedlisko i wrócą się chwale«. Dziejów Lwowa i Polski przypomniał sobie poeta rycerskie epizody. Wszak to samo miejsce »tureckim szańcem« się nazywa...

I umilkł, bo mu zaraz czarna zmora cenzury policyjnej przed oczy stanęła — ale za to jedno wspomnienie niech mu będzie wybaczony cały poemat, bo nie tylko czytelnicy, ale biedny był i poeta w tych czasach.. około roku 1825.

Wzgórza pełczyńskie były jednak nietylko widownią sprawności armii austriackiej w przystosowaniu do festynów. Także i staw bywał polem popisu ale już dla marynarki. Ponieważ we Lwowie nie ma żadnego morza a bitwa morska w r. 1843 odbyć się musiała — przeto nic dziwnego, że musiano do tego celu użyć stawu Pełczyńskiego. Jakoż ku wielkiej uciesze arcyksięcia gubernatora Ferdynanda d'Este, całej generalicji i całego Lwowa odbywały się w dniu 30 sierpnia tegoż roku ewolucje wodne wychowanków pływalni, a na zakończenie oddziały... piechoty i kawalerji przedstawiły bitwę morską w ten sposób, że w pełnym rynsztunku rzucały się w wodę.

Ot i nieśmiertelny gust lwowskiej publiki, cieszącej się widokiem zmokłych żołnierzy — albo walką potworów, która w parę lat potem odbyła się na tym samym stawie Pełczyńskim!

Jaskrawy efekt, krzycząca barwa, przesada i upodobanie choćby w najtrywialniejszej niezwykłości było zawsze zasadniczą cechą gustu Lwowian. Lwów ubierał się jaskrawo i stwarzał jaskrawe objawy życia gwoli własnej rozrywce i ucieście. Kobiety jego już za czasów Sobieskiego nosiły się z francuska, a przedtem wyglądały w złocie, srebrze, perłach i barwnych kamykach, jak bizantyńskie madonny. Uroczystości religijne pełne były ogłuszającego huku armat, radość zaślepiała się w błyszczącym ogniu sztucznym. Panegiryczna przesada dochodziła we Lwowie do trywialności, wesele czy pogrzeb przeciągały się w tygodnie. W stroju, w życiu, w upodobaniach, do pewnego stopnia nawet w sztuce przewija się ten rys przesady coraz wyraźniej, im było bliżej ku końcowi Rzeczypospolitej. To co ongi miało swoje uzasadnienie w bogactwie, w sąsiedztwie ze Wschodem, a wreszcie w pewnej wybujałości przy zetknięciu się różnych ras i narodów — to później stawało się szychem i blichtrzem. Lwów łaknął płaskiej rozrywki, a z zasadzonych na jego bruku obcych pomysłów czy mody, prawie zawsze wyrastała karykatura.

Suknie kobiet lwowskich z czasów Dyrektora przewyższały swoje pierwowzory francuskie o całą skalę wyzywającej nieprzyzwoitości, młodzieńiec modny przechodził odrazu w karykaturę, zwaną w różnych czasach to fanfaronem, to gogiem



a wreszcie ananasem. Niemiecka dobroduszość przeflancowana po zaborze z Wiednia do Lwowa wyrosła w knajpiarstwo i bohemię, biedermajerowski sentyment utopił się w potokach piwa, a katarzynka i czeska arfa do snu mu grały.

Na bruku lwowskim sparodjowało się wiele godziwych rozrywek. Wycieczka za miasto złączyła się z pojęciem żółkiewskiego drąga i solennem »mordobiciem« sielanka zapachła kwarglami, ruch uliczny ogniskował się koło zaczepiania kobiet. Nigdzie indziej tylko we Lwowie reduta stała się miejscem publicznem, festyn blagą, akcja publiczna karotażem, loterja liczbowa dźwignią ekonomiczną, dobroczynność naciąganiem.

Typowym przykładem tego gustu był festyn urządzony w roku 1845 na dochód powodzian na stawie Pełczyńskim, na którym miała być przedstawiona walka potworów morskich. Rycina nasza jest reprodukcją afisza zapraszającego na to dziwowisko z przedsmakiem wszystkich wrażeń estetycznych, które na nim czekały Lwowianina. Potwory morskie puszczone na staw miały być naturalnie tekturowe. Wieloryby, krokodyle, latające smoki, nawet sympatyczna meluzyna czyli syrena o której rozczulające historie przynosiła współczesna literatura popularna, wszystko to w dniu 14. września 1845 miało dać sobie *rendes vous* na wodach stawu Pełczyńskiego ku ucieście Lwowian, a na wspomnienie dotkniętych powodzią.

Afisz pięknie litografowany, dziś wielką rzadkość stanowiący, zrobił swoje. W oznaczonym dniu dosłownie całe miasto wyruszyło nad staw Peł-

czyński. Przedsiębiorcy urządzali trybuny, bo zwyczajem lwowskim jeden chciał widzieć lepiej i dokładniej, aniżeli drugi, tłok panował olbrzymi, wymyślanie na nieporządek było ogólne, a najbardziej psioczyli na owczy pęd publiczności ci, którzy tłoczyli się najbardziej, pragnąc koniecznie stanąć w pierwszych szeregach.



Walka potworów morskich na stawie Pełczyńskim w r. 1845.  
(Według współczesnej litografii).

Jeżeli mamy wierzyć współczesnym relacjom, walka tekturowych potworów na stawie Pełczyńskim wywarła na umysłach mieszkańców Lwowa niezatarte wrażenie. Krążące po stawie sztuczne wieloryby, krokodyły, syreny budziły głośne okrzyki zachwytu i grozy, tak samo jak łodzie napełnione murzynami, Turkami, majtkami, a na zakończenie miała się odbyć rzecz dotychczas we Lwowie niewidziana, to jest połów wieloryba!

Podobno jednak nie wszystko się odbyło ściśle według zapowiadanego programu. Publiczność jak na każdym zresztą festynie wzięta została na kawał, ale że lwowianin lubi być czasem naciągniętym, więc skończyło się wszystko na lekkim wymyślaniu, poczem ta sama publiczność chodziła jeszcze wielokrotnie oglądać ulubione sztuki magiczne i eskamoterskie, łamańce cyrkowe, szybko-biegaczy i linoskoczków, tak samo jak dziś chodzi na kinematograf, do koloseum a czasem także do teatru na operetkę.

Zresztą był staw Pełczyński od dawna *rendez vous* wszystkich prawie lwowskich samobójców i niedzielnych rybołówców. Co do samobójców to do dni naszych nie upłynie żaden rok, żeby czasami nawet kilku zniechęconych życiem nie poszukało w nurtach jego śmierci, a z nią razem ukojenia. Rybołowcy natomiast, którzy dawnymi latami obsiadali wszystkie brzegi stawu z wędkami, znikli jakoś w ostatnich czasach zupełnie.

Dziś staw Pełczyński do połowy osuszony, na jego wzgórzach komin dymi fabryczny i wille się wznoszą jedna po drugiej.





## X. KORTUMÓWKA.

Jedna salwa i druga, kilka odosobnionych strzałów, chwila ciszy, potem huk pociągu pędzącego po wysokim nasypie ku głównemu dworcowi a za chwilę znowu strzały pękają w gradowych fanfarach. Echo odbija się od domu Inwalidów, uderza o nasyp kolejowy, o wzgórza Kleparowa, po lesie idzie i psich dołach hyclowskiej góry, a ginie aż gdzieś na cmentarzu janowskim.

I jeszcze głos trąby sunie po Kortumowej dolinie, zmienionej dziś w wojskową strzelnicę. Alarmujący, przeciągły sygnał, hasło rozpoczęcia strzelaniny i drugi »*abschlag*«, który ją kończy.

Ale na Kortumowej górze to niewinna strzelanina — »*übungsschiessen*«, do wielkiej tarczy i do mniejszych, niebieskich celów, wykrojonych w formie żołnierza z francuską kepi, który ma markować nieprzyjaciela Austrii...

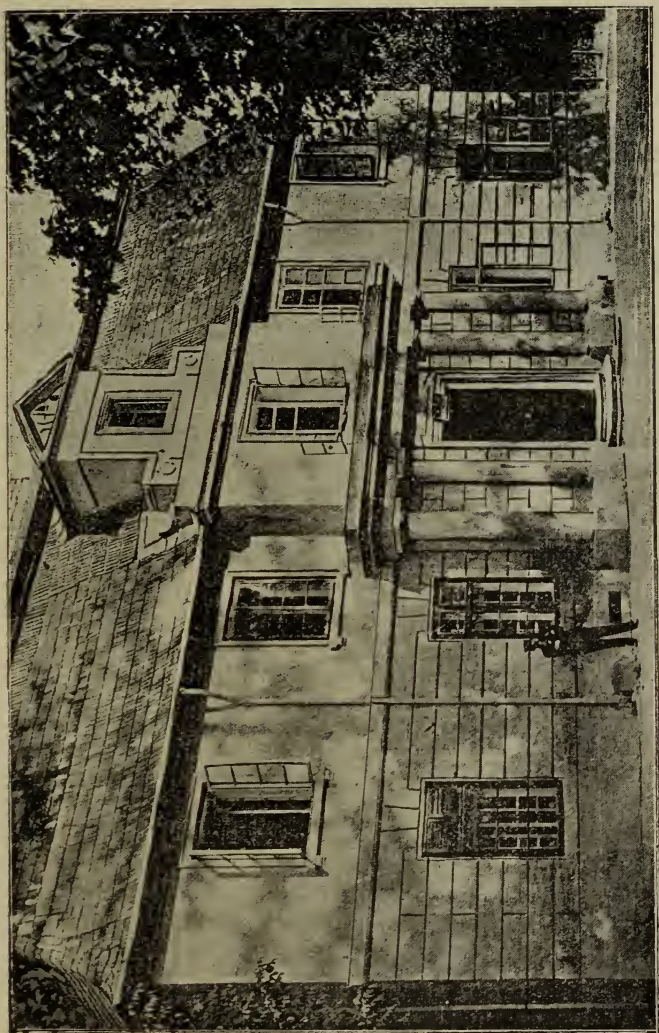
Bardzo jest piękne zresztą, to miejsce, gdzie się odbywa grzechot manlicherowskich karabinów. Gdy się w myśli odrzuci te drewniane barak

strzelnicowe, te doły, w których się chowa obsługa tarcz, numery, oznaczające odległość celów, to pozostała reszta złożyłaby się na iście sielankowe ustronie, zasmęcone pierwszym żółtym liściem, co z drzew jego padnie, leśną ciszą, która po wzgórkach pnie się aż na sam szczyt Kortumówki, a przedjesienną martwość po sobie zostawia, długim cieniem, co się po ścieżynach kładnie i w zadumane mary rozwija.

Gdyby tak żołnierzy stąd usunąć, tor kolejowy rzucić hen aż za Kleparów, a zestawić napowrót czerechowe, kleparowskie ogrody, powiązać je ze wspomnieniem staro-lwowskiej mieszczańskiej gospodarki, która wzgórzom Kleparowa pszeniczny plon wydzieriała, rznąc w poprzek nich zagony i korzeniami dębów je umacniając, zabrać stąd śmietnik Lwowa nad Pełtwią od zamarstynowskiej strony — i gdyby tak jeszcze wyłatać te szczyrby, co je kamieniołom poczynił, wysypać psie doły, usunąć przekłete wspomnienie stogów słomianych, co przed laty tutaj spłonęły, razem ze swymi mieszkańcami: wielkomiejskim, bezdomnym proletarjatem, który w nich szukał kryjówki..

Gdyby tak!..

Ale żołnierzy tu bardzo dużo. Dla nich Cyprjan Godebski rzeźbił kamienne części domu Inwalidów, magistrat im wielkie koszary wystawił z gipsowymi hełmami na szczycie, a stary biurokrata Kortum, nie myślał pewnie, że dla nich Kortumówkę hoduje. Czerechy kleparowskie, znowu po formie... wywłaszczono pod tor kolejowy. Komisja reambulacyjna brodzkiej ongi kolei, płaciła po 120



DWOREK NA KORTUMÓWCE.

guldenów, za jedno drzewko. Ale co to było dla właścicieli, którym takie drzewko rodziło czerechy, wielkości włoskiego orzecha, słynne nawet na stołach w Paryżu i na całą, bez przesady, Europę.

Z turkotem pierwszego pociągu z Podzamcza na dworzec główny, jakby ręką odjął. Czerechy kleparowskie skarłały, a sztuka ogrodnicza już nigdy tej lwowskiej osobliwości wskrzesić nie zdołała. Powiadają, że im dym maszyn parowych zaszkodził—kto je wie zresztą..

Zostały jednak ciekawie rznięte zagony na wzgórzach, które może jeszcze w piętnastym wieku mieszczanin lwowski Andrzej Klepper uprawiał, pozostał śmietnik nad Pełtwią i pozostał dworek na Kortumówce.

Pałacyk to był widać dawniej, w stylu francuskim, z mansardami i rokokowemi ozdobami. Dziś siedzisko warty żołnierskiej i skład wojskowych narzędzi. Na frontonie tablica marmurowa z napisem, podług Horacego :

*...modus agri non ita magnns...*

»O nic więcej bogów nie proszę, jak o strzęp ziemi nie tak bardzo wielki, gdzie ogród, opodał domu krynica zaszemrze, a nad tem wszystkim lasu płacheć szczupławy...«

Trudno rzeczywiście o napis, któryby bardziej odpowiadał rzeczywistości, tak jak ten, na Kortumówce. Widać, że ongi właściciel aż dosłownie zastosował się do słów Horacego i wzorował na nim swój strzęp ziemi i ogród.

Ale równocześnie ten napis na domu, którym militaryzm owładnął, brzmi jak szydercza ironja

i — dziwne losu zrządzenie — brzmiał tak samo w chwili, kiedy go *gubernialrath* Ernst von Kortum zawieszał na swoim domu.

Bo zanim ten radca gubernialny, ojciec biurokracji galicyjskiej stał się zwolennikiem owej Horacjuszowskiej maksymy poprzestawania na małym, musiał przedtem przejść wszystkie szczeble losu i kariery, musiał najpierw zdziwiać w swojej złości, żądzy panowania, nie cofającej się przed paszkwilem.

Ernst von Kortum był jednym z tych awanturnicznych typów, w jakie obfitował koniec ośmnastego wieku. Urodzony w Bielsku na Śląsku, tułał się po Cieszynie i Królewcu, był radcą dworu w rządzie państwa szlzewicko-holsztyńskiego, potem przez lat dziesiątek przybocznym sekretarzem króla polskiego Stanisława Augusta, skąd wprost poszedł w służbę rządu austriackiego do Galicji. Tu był referentem spraw uniwersyteckich i dyrektorem salin galicyjskich, radcą dworu, masonem, gburowatym w obejściu hofratem, a przytem wszystkiem człowiekiem olbrzymiej wiedzy i zdolności prawniczej.

W chwili, gdy za krótkich rządów Leopolda II. zaświtała społeczeństwu polskiemu w Galicji nadzieja swobód konstytucyjnych i odrębnej, krajowej autonomii, wystąpił Kortum z bezimiennym paszkwilem, w Jassach w r. 1790 wydanym p. t. *»Magna charta von Galizien«*, gdzie w sposób niesłychanie zjadliwy napadł na rządowe plany reformy, oczerniając bezwstydnie całe społeczeństwo, jako rzekomo niegodne samorządu. Paszkwil ten zrobił wówczas olbrzymie wrażenie i stał się punktem



wyjścia dla całej późniejszej biurokracji galicyjskiej, która kłamliwie, niejednokrotnie oszczercem, przedstawianiem stosunków krajowych, gruntowała własny swój wpływ i przewagę. Był ponadto Kortum autorem dzieła o żydach i tak zapiekłym antysemitą, że nawet na dziedziniec jego domostwa był starozakonnym wstęp wzbroniony.

Syt zysków i kariery osiadł hofrat na starsze lata na uroczym folwarku, który od niego wzięł nazwę Kortumówki. Sam właściciel nazwał go *Friderikenhof*, od swojej żony, której po śmierci nie chciał pochować na żadnym cmentarzu, ale urządził jej mauzoleum w ogrodzie, właśnie na Kortumówce, nie przypuszczając chyba, że kiedyś, rozlegający się tu codziennie huk strzałów karabinowych wieczny jej odpoczynek zakłócać będzie.

Wówczas jednak była Kortumówka prawdziwie pańską i ślicznie utrzymywaną siedzibą. Pałacyk o powyższym napisie z Horacego, otoczony był murowanymi budynkami gospodarskimi, a przed nim ku górze ścielił się wspaniały ogród owocowy, oraz spacerowy, wraz z małą winnicą, oranżerją i domkiem ogrodnika. Właściwie nawet niepotrzebował ogrodnika hofrat, oddając się sam z prawdziwą pasją sztuce ogrodniczej i pracujący własnoręcznie około tego ogrodu. I rzeczywiście doprowadził go do tego stanu, że w samym sadzie, naliczono po jego śmierci 2.233 drzew owocowych. Ponadto należało do folwarku kilkanaście morgów pola, które obrabiali czterej chłopci pańszczyźniani. W lasku na samym szczycie wzgórza stała altana, skąd stary hofrat przeglądał się czarującemu wido-

kowi na miasto i skąd też patrzył na grobowiec swej żony, otoczony z całą ówczesną symboliczną melancholją, sosnami, brzozaami i wierzbami płaczącymi.

Kortum umarł w r. 1811, a posiadłość jego poszła na licytację. Uroczą jednak Kortumówką była przez długie lata celem niedzielnych przechadzek mieszkańców Lwowa, a przez pewien czas stanowiła pole doświadczeń dla instytutu ogrodniczego.

Bywał tam między innymi także znany nam już bardzo dobrze miłośnik pięknych widoków z r. 1825, ale ten w »gaiku Kortuma« stracił jakoś swój zwykły kontenans. Być może, że akademicy z fajkami w ustach, uczący się tutaj lekcji, malec kujący przepisy retoryczne dla szkół średnich i dwie panny kłócające się żarliwie, nastroiły go na ton mocno minorowy, a być też może, że zjadliwa krytyka poprzednich jego opisów, pomieszczona w warszawskich »Rozmaitościach«, dość, że braknie w opisie Kortumówki tego entuzjazmu, który cechował poprzednie opisy tego autora.

Mimo to musiał nasz autor uznać piękność stawku trzciną zarosłego, widoku z mostku, skąd »widać w pięknej perspektywie mały folwark, jedną część Lwowa i kawał góry piaszczystej«. Potem poszedł nader mozolną ścieżką do altanki na górze, ale uznał, że nie warto było dla niej tyle trudu podejmować, bo się wali i wkrótce do szczętu zniszczyje. Ściany jej popisane były różnymi wierszami po części niesmacznymi, z których najlepiej się

autorowi podobał ten, co głosił, że »szczęśliwą jest dusza, która kocha...«

Widok z altanki był istotnie przepyszny, bo z jednego okna »dostrzedz było można piękne nader widoki na wioski i lasek, z drugiego Lwów w całej swojej okazałości i góry piaszczyste, z trzeciego pięknie uporządkowane drzew rzędy, łąki i wzgórze, a z drzwi samych widać było świeżo skoszoną łąkę, góry skąpo zarosłe drzewami i znowu naszą miłą stolicę«.

Wracając, zatrzymał się autor chwilę koło grobu właścicielki tego lasku, wznoszącym się wśród romantycznej doliny, a potem stanął także koło chat robotników pracujących nad łupaniem kamieni, chat »podobnych raczej do mieszkania Hotentotów, niżli do pomieszkań robotników Lwowa«.

Koniec wszystkiemu położyła dopiero wojskowość, która według odrębnych zasad swojej estetyki pomalowała dworek na żółto, a obróciwszy ogród na strzelnicę, zamknęła go raz na zawsze dla cywilów, zostawiając tylko „góre tracenia«, na której nowy się park zieleni... Teofila Wiśniowskiego.





## XI. „KAISERWALD“.

---

Kiedy się już nazywa „Kaiserwaldem“, to trzeba mu zostawić to miano, mające stuletnią za sobą tradycję i chwile wielkiej świetności a wzięcia u całego Lwowa, naonczas bardzo lojalnego. Skromny lasek i pasieka Alembekowska, a później posiadłość Lonszanów, doczekał się z końcem ośmnaściego wieku tego zawrotnego zaszczytu, że go zwiedził za pierwszego swojego we Lwowie pobytu aż sam... cesarz Józef II. i pochwalił tak uroczą siedzibę, jak i jej dobre utrzymanie.

Fakt ten wystarczył, ażeby zbyt jeszcze niedawne uczucia wiernopoddańcze wylały się bystrą strugą i ażeby lwowska biurokracja wraz ze starym, pocziwym Lonszanem stanęła na głowie z uciechy. Na pamiątkę przeto wiekopomnego zdarzenia wystawiono w lasku kamienny pomnik Cerery z wielce pompatycznym napisem, który potomności miał świadczyć o wielkiej łasce cesarza i pochwale. Na tę też pamiątkę otrzymała Lonszanówka nazwę »Kaiserwaldu«.

Ale gwara lwowska jest snąc pewniejszym sposobem konserwowania zdarzeń, niż kamienne pomniki. Podczas bowiem, gdy wnet potem kamienna Cerera poczęła świecić obdartymi bokami, a nawet legła na ziemi w zapomnieniu i do niedawna wałała się, jako bezużyteczny grat — nazwa »Kaiserwald«, utarła się szczęśliwie i zdobi dzisiaj potoczną mowę lwowską, tak jak za dawnych dobrych czasów. Nawet wstydzący się niemczyzny, to jest ci, którzy starą Lonszanówkę radzi by nazwać »laskiem cesarskim«, muszą przynajmniej w nawiasie dodać dla bliższego określenia, mile brzmiące słowo »Kaiserwald«.

Wobec tego zdaje się, że dopiero najnowszy moloch lwowski, pożre Kaiserwald, razem z resztką drzew jego i zieleni, razem ze wzgórzami, jarami, debrami, »batiarami« i samobójcami. Znadto bowiem blisko leży lasek od śródmieścia, ażeby jego właściciele nie mieli pomyśleć o przemienieniu go w parcele budowlane, na których staną zrazu skromne wille, a potem bodaj czy nie trzypiętrowe kamienice.

Kto więc chce zobaczyć jeszcze Lonszanówkę w resztkach jej dawnej świetności, wypocząć w cieniu jej drzew stuletnich, doznać wszystkich wrażeń górskiej wycieczki, ten niech się spieszy, bo łatwo zdarzyć się może, że przyszedłszy tam pewnego dnia, ujrzy mury, rusztowania, stosy cegieł i wapna.

Na tym samym grzbiecie górzystym, z którego lasek cesarski wdzięcznie się pochyła w stronę ulicy Słodowej jest wszystko, co jeszcze zostało z dzikiej i pierwotnej piękności okolic podlwow-

skich: zielone wzgórza i głębokie nagie rozpadliny, strome ściany wąwozów, widok szeroki pierś rozpierający, biała drożyna, co się wije w tysiącnych zakrętach i karłowate krzewy, resztką już tylko dawnego lasu krzywczyckiego, który aż tutaj przychodził z pokłonem miastu i wspomnieniem odległego szczęku oręża.

Jest w okolicach Kaiserwaldu cały czar górskiej okolicy, cały romantyczny urok dzikiej samotności, jest szczerbate, fantastyczne powyginanie ziemi, która każdym zboczem swoim, każdym niespodzianem usypiskiem wdzięczy się do słońca, przyjmując i odbijając wszystkie jego barwy i cienie, od szczerego złota na piaskach do ciemnej zieleni szmaragdu.

A gdy to wszystko o mroku wieczornym zmajaczy się w jeden kłęb, poszarpanego i na wszystkie strony porysowanego zwaliska wzgórz, gdy znikną sylwetki Łyczakowa i smętek roległej równiny pod Zboiskami, gdy tylko gniazda świateł elektrycznych zabłysną od placu powystawowego i Kulparkowa, gdy wreszcie Lwów cały ukryje się dyskretnie poza Wysoki Zamek i górę piaskową — takiej wieczornej chwili staje się cała okolica Kaiserwaldu głuchą a piękną pustką, tak że się zdaje, jakoby stopa ludzka nigdy tutaj nie stanęła, a tylko rusałki na okrągłych szczytach taniec zawieść miały miłosny.

Zwłaszcza, gdy wiatr się nad wieczorem schowa w rozpadliny wąwozów i nawet drzewa Kaiserwaldu szumieć przestaną wspomnieniem zaszczytnej wizyty cesarza Józefa II.

Ale nawet i w dzień powszedni nie rychło się tędy człowiek zapędzi. Jeszcze czasem miłosna para, lub zniechęcony do życia samotnik, czasem strażnik akcyzowy. Lwów tędy chodzić nie lubi, chyba nie-dziela po drodze do zarogatkowych ogródków. A tak cała drożyna od stóp Wysokiego zamku, razem ze słynną skałą, „która jakby na to tu powstała, ażeby na niej napisać, że tej drogi założycielem Karol Kisielka“ — razem z budkami na linii akcyzowej, obrosłymi zielenią i opuszczonymi szańcami wojskowymi, świeci zwyczajnie pustką i wije się jak olbrzymi wąż wygrzewający się do słońca.

Na straży mu stoi kościółek św. Wojciecha, ze wspomnieniem cmentarza cholerycznego, który tu istniał jeszcze w siedmnastym wieku i Łysa góra czyli piaskowa, skopana ze wszystkich stron i po-obcinana. Od strony szlaku żółkiewskiego pną się pod górę z trudnością nieliczne domki razem z ogrodami, od Łyczakowa zaś cały szereg przecznic idzie zwartym i karnym szeregiem coraz się mnożących kamienic, grożąc kulturą opuszczonym dziś debrom i chaszczom.

Ulicą taką, Leśną albo Mączną, schodzimy odrazu w sam środek Łyczakowa:

...Taniec zawiedziem szeroki, swobodną piosnkę zanucim, a wśród piwnych szmerów w głowie, skrzypek grania, w niedzielnego gwaru szumie — zamajaczy Lwów przedmiejski...

Ogrodów Jałowca i zagonów woń „nietamtejszego“ człowieka obleci, blask „szwenderu“ zakopcony, strome skały Kaiserwaldu... Pohulanki piękne lica zakręca w głowie świeżego powietrza strumie-

niem, słonecznych orgji błysną barwami, aż wreszcie pieśń wiosny i życia w łyczakowskiej się zamknie filozofji... „raz w tygodniu jest niedziela!“

— Raz w tygodniu jest niedziela — więc szeroko, „aż do spodu“ trza się bawić... na „kieratu“ wielkiej sali, lub gdzie tylko gra muzyka. A gdzie trzeba, zawsze stanie „łyczakower mordobijca“: kość wojakowi przetrącić? — Albo cudzego kogoś wyprać i amory mu z głowy przepędzić? — owa, co jest! — Bo nic nie jest „zawołoka“ co to z miasta gdzieś „przyknaji“ i gitarę zacnie zawracać dziewczynie sprawiedliwej. Więc go „w mordę“ na poczekaniu, aby był „blat“ i nie udawał tamowatego, a ludziom zabawy nie psuł, bo...

— Raz w tygodniu jest niedziela. — Więc niech »banda« zagra szczerze nasz »kawałek«, niech zafurczy krochmal spódnic, obcas z buta niech odleci, pot »po mordzie« strugą skapnie. .

— Raz w tygodniu jest niedziela...

Taka krótka ta niedziela, noc nadchodzi jakoś prędzej niż zwyczajnie i koniec uciechy. A o godzinie północnej cicho już i głucho, tylko wspomnienie »młyna djabelskiego« zaszeleści i uderzy strachem o małe okno przedmiejskie, tylko w chaszczach na prawo od rogatki zajęczy coś czasem trwogą śmiertelną i bezsilnym alarmem.

Gdy głos taki zahuczy w cieniach nocy, żegna się dziewczyna łyczakowska, późno z zabawy wracająca. W rozpalonej głowie jej wirują obrazy mordów i rabunku, które w tym lasku »na Pasiekach« nocami się dzieją. Żyje tam bowiem lud cały straszny i dziki, domu nie mający, a okrutnie



na cnotę niewiast zawzięty i na ludzkie kieszenie. Więc ze strachem to miejsce omija, bo nieraz naprawdę nocne batiary sprawiają komuś taką »kampe«, że ruski popamięta miesiąc.

Ale to tylko w niedzielę huk taki i wrzawa na przedmieściu. Już w poniedziałek sale balowe czyste i umiecione, warkocze wydarte, zęby powybijane już uprzatnięto i... »aus kapelusznik« z zabawą, na cały długi tydzień.

Gdzieś tam w zaułkach Zamarstynowa, tamtędy koło góry hyclowskiej, nędza się sama gniewdzi i brud wspólny każdemu wielkiemu miastu. Stamtąd batiary zaludniają tylko furdygarnie, na którą to instytucję »łyczakower« z pogardą patrzy, bo osiadłym jest obywatelem, a jak go wezmą, to chyba odrazu do kryminału, gdy kogoś nożem po rycersku uczęstuje. Ale za to na Łyczakowie jasno i przestrono, tam prawdziwe do niedawna życie było przedmiejskie, sprawiedliwe, choć biedne. W dzień powszedni nie wiele ludzi zobaczyć, ale za to obywatel tamtejszy jest tak samo swobodny na ulicy, jak i u siebie w domu. Mężowie przechadzają się poważnie bez surdutów, matrony łyczakowskie boso, a nawet panienki eleganckie, co już z miejską się noszą zawiesiły strój niedzielny w guście t. zw. »łyczakowskiej secesji« na kołku, a »rozmamane« i negliżowate siedzą na progach, lub w budce z wodą sodową, tworząc wesołe i rozmowne kasyno. Czasem z za niskiego okienka wybiegnie stara i znana piosenka:

„Gorzała lipka, gorzała

„Pod nią dziewczyna siedziała

„Z lipy listeczki padały  
 „Na fartuszczyku gorzały —

lub też arja z jakiejś okrutnie przestarzałej operetki. Na odległych bowiem krańcach Łyczakowa jest jeszcze gdzieś niegdzie do dziś aktualny wodewil odwieczny pt. »Panna żołnierzem«, z której melodia, przeznaczająca każdemu rodzajowi broni niewieścią obsługę, a między innymi »stare i tłuste baby do furgonów« zawsze jednakową się cieszy popularnością. Więcej sentymentalne i uczuciowe panny długo wywodzą i smutno:

»Nad rzeką Ebro siedząc żałośnie  
 »Młoda cyganka śpiewała...

Ale natomiast w niedzielę ze wszystkich kościołów lwowskich najgłośniej u św. Antoniego brzmi: »Święty Boże«, za to kaplica pod samą rogatką jest zawsze w maju rześcicie oświetlona i najgłośniej tam słycać śpiew: »Chwalcie łąki umajone«.

Co prawda, śpiew ten nabożny niemiłej czasami doznaje turbacji ze strony pobliskiego parku Łyczakowskiego, skąd nadlatuje inna nuta;

»Wszystkie rybki śpią już w jeziorze  
 »Nikt nas tutaj zoczyć nie może...

Jestto specyficznie przedmiejska serenada z refrenem:

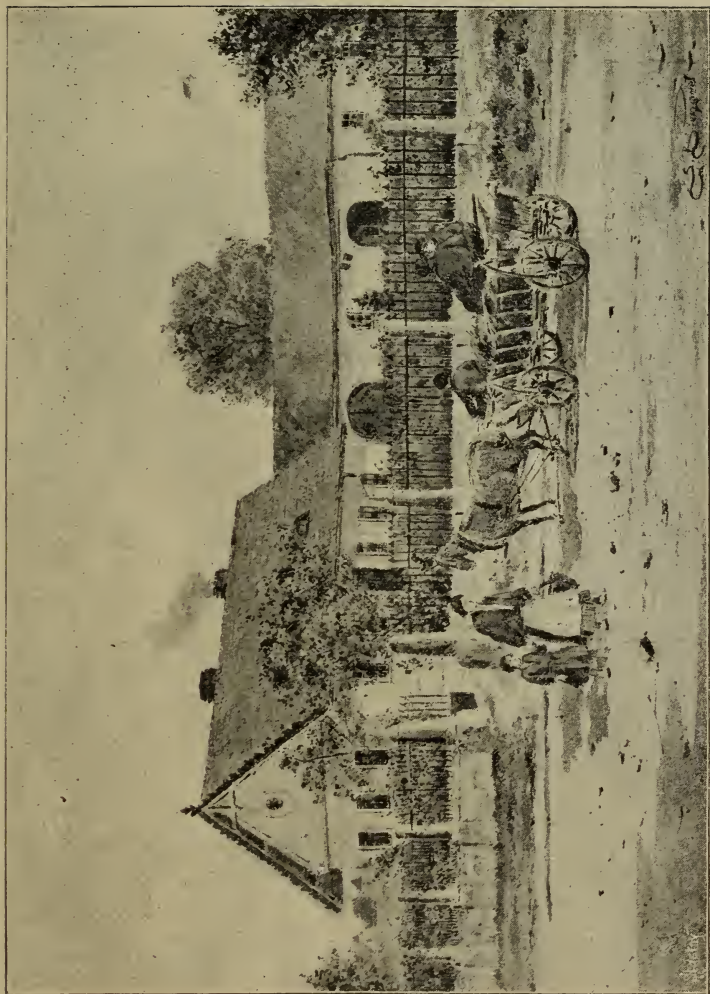
»Boś ty Mańka jest *fest* dziewczyna...

Refren ten powtarza się z coraz większą siłą głosową tak, że wykonawcy chrypną wreszcie, a za chwilę głos ich już mniej donośny odzywa się w lokalu Kijaka, gdzie przedewszystkiem dostać można »szkwarków« znakomitych i po nie dużej cenie.

»Szkwarki« te jednak są zwykle pretekstem tylko i najordynarniejszym wykrętem małżonków, którzy w sekrecie przed żoną napićby się chcieli jakiegoś lepszego od wody trunku.

W takim to środowisku osiadł przed dwudziestu pięciu laty redaktor śp. Henryk Rewakowicz. W pierwszej chwili, gdy na tle wzorzystych chust Łyczakowskich niewiast zjawiała się szara kapota człowieka, trudniącego się »grypsaniem« po gazetach, cały Łyczaków kiwał głową i z pewną nieufnością patrzył na przybysza z miasta, który ani nie rznął wieprzów, ani nie wyrabiał krup, ani też innym pobożnym i przystojnym się fachem nie trudnił. A wielka była szkoda i wielkie zmarnowanie sił u takiego człowieka, jak Rewakowicz, który okrótnie miał szerokie bary i sam był chłop tęgi, choćby nim dęby wrywać z korzeniem. Wszelka zaś pisanina, czyli »grypsanie« była w pojęciu Łyczakowian ino obrazą boską, a jako taka w słusznej zostawała pogardzie u starego i młodego pokolenia, które szkołę św. Antoniego uważało jeszcze podówczas za dopust Boży i miejską fanaberję.

Powoli jednak przyzwyczaił się do »rydachtora« a chociaż szkiełko na jego oku długo wydawało się czemś całkiem niesamowitem, to jednak szerokie bary i sękata »laga«, nieodstępna towarzyszka Rewakowicza budziły należyty respekt. Reszty doskonały familiarny sposób postępowania redaktora i życie się we wszystkie smutki i radości Łyczakowa. Nikt tak jak on niepotrafił zrozumieć psychologię przekupek i andrusów, nikt ich tak rychło nie poznał osobiście i każdego z osobna. Orzeciono tedy



DWOREK REWAKOWICZÓW NA ŁYCZAKOWIE (L. 91).  
(Według akwareli Bieszczada).

jednogłośnie na całym Łyczakowie, że to jakiś »fajny chłop«, a tak pierwszy dziennikarz w tych stronach stał się równocześnie najpopularniejszą osobistością, o której piosenki nawet śpiewano w guście:

„Wszystkie ryby pozdychali  
»Tylko Rybakowicz został.

A sam redaktor siedział na wysokości cerkwi św. Piotra i Pawła, mając po jednej stronie puste i nagie debry poza Kaiserwaldem, z drugiej zaś strony jeszcze wtedy sielanką przedmiejską.

Okolice, gdzie obecnie stoi dworek Rewakowiczów (ul. Łyczakowska 91) za dawnych czasów była zupełnie formalną wsią, złączona z nazwiskiem najślynniejszego burmistrza lwowskiego z XVII. wieku dra Marcina Kampiana. Otrzymałszy za niewielkim czynszem od miasta puste tutejsze obszary wzdłuż drogi Gliniańskiej, założył Kampian osiadłość z chłopami czynszowymi i nazwał Wulką Kampianowską. Dwukrotny najazd Chmielnickiego, a potem turecki w r. 1672 zmiotł osadę z powierzchni ziemi, tak, że za czasów Sobieskiego pustka tutaj była, urozmaicona tylko gdzieniegdzie ogrodami i polami uprawnymi.

Wyniosłe jednak i dominujące nad miastem położenie, zwróciło w te strony oczy Jana Sobieskiego, który zrozumiał, że wystawienie tutaj szańców, albo warownego obozu, mogłoby powstrzymać skutecznie od Lwowa najazd nieprzyjacielski.

To też, gdy w r. 1674 widmo nowej wojny z Turcją uwiśło nad Lwowem, zarządził król obwarowanie całej okolicy wówczas kościoła, a dzisiaj cerkwi św. Piotra i Pawła. Na robotach tych

zależało mu tak bardzo, że osobiście przybył do Lwowa dla ich nadzorowania, a zabawiwszy wszystkiego godzinę w mieście, pojechał na miejsce i tam koło kościoła, w kapuścianym ogrodzie, zamieszkał na stałe w namiocie płóciennym. Zdaje się, że ów ogród kapuściany leżał na miejscu dzisiejszej realności Rewakowiczów, tem bardziej, że niejasna tradycja miejscowa łączy to miejsce z pobytem właśnie króla Jana Sobieskiego.

Królewska jednak sielanka w kapuścianym ogrodzie omal że się nie skończyła tragicznie. Pewnej bowiem nocy zabiegł do namiotu królewskiego wilk z pobliskiego lasu i zagryzł pacholka, trzymającego straż przy królu. Skutkiem powstałego hałasu król się obudził i w ten sposób szczęśliwie śmierci uniknął.

Dziwne to, w dzisiejszem pojęciu, były czasy, kiedy na Łyczakowie królowie sypiali w namiotach i wilki sobie chodziły bez ceremonji.

W ostatnich czasach przed Henrykiem Rewakowiczem, domek z ogrodem rodzącym do czterdziestu korcy kartofli rocznie, stanowił mieszkanie ks. Wasylewskiego, proboszcza cerkwi św. Piotra i Pawła i wygnańca chełmskiego, później przez czas krótki był własnością żyda Goldberga, od którego odkupił go właśnie Rewakowicz, snąc zwabiony sielankowem położeniem miejsca i sielanką łyczakowską, która kwitła jeszcze naonczas w całej pełni.

Bo dziwnie było sielskiem usposobienie długoletniego redaktora »Kurjera lwowskiego«. Człowiek tępiący groźnem piórem wszelkie plugastwo na ca-

łej przestrzeni dwojga królestw wraz z wielkiem księstwem krakowskiem, pędzący życie gorączkowe i pospieszne wśród maszyn drukarskich, w tłumie interesentów, na wszelakiem polu pracy publicznej, czy było niem zgromadzenie przedwyborcze, czy też towarzystwo dobroczynne lub kulturalne, ten dziennikarz, który jak wierny pies stał na straży każdego prawa narodowego, jak grom spadał na każde bezprawie — był łagodny jak dziecko, tkliwy jak młoda panienska, zawsze pełen szlachetnego uniesienia i sentymentu.

I o piastowym marzył żywocie człowiek, który kilkadziesiąt procesów prasowych miał na swoich barkach, którego nazwisko sztandarem było cywilnej odwagi i niezłomności przekonań, którego z całej duszy nienawidziła galicyjska korrupcja i kulturerja.

A sam nawet nie zawsze zachodził do swojego piastowego zaułka na Łyczakowie. W życiu bujnym i gwarnem u progu autonomicznych i konstytucyjnych rządów, w tem łamaniu się z reakcją, w przygotowaniu i organizowaniu walki orężnej w sześćdziesiątym trzecim roku, a potem w opiece nad rozbitkami z powstania, Henryk Rewackowicz wybitny brał udział, sam żołnierz polski, taki dobry, żwawy syn swojego czasu i epoki. Więc w lokalu redakcyjnym, więc w kawarnianym dymie, na schadzkach prywatnych, tajemnych, konspiracyjnych płynęło to życie bujne polskiego dziennikarza, który wszystkim być musiał i literatem, publicystą i społecznym działaczem, pracownikiem pióra i człowiekiem czynu.

Takim był człowiek, który do cna rozumiał i przejrzał ludzką kanalię, bezlitosnym był dla wszelkiego rodzaju »szwajnogów« a równocześnie tak lgnął do ludzi, tyle miał dla nich dobrego, szczerego uśmiechu, co go żaden zimny podmuch zgasić nie umiał.

I miłość ludzką nawzajem posiadał redaktor. W rzadkich chwilach życia, które mu świętem były i uroczystością, jak jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy dziennikarskiej, lub srebrne wesele, mnogie rzesze obywatelskie spieszyły do niskiego domku na górnym Łyczakowie i tam, w starej, dobrej atmosferze, pod portretami Łukaszińskiego i Poniatowskiego, pod zegarem grającym staroświeckie kuranty, życzenia mu składano serdeczne i huczne od samego rana do późnej nocy. Częściej jednakże żałoba padała na zaciszne ustronie. Śmierć żony, najstarszego syna, dwu zięciów przeżył śp. Rewakowicz, dopóki się sam nie pochylił jak dąb złamany i dopóki nie zajaśniał w czarnym świątecznym żupanie, wśród świec jarzących, na katafalku.

Został też w swojej dzielnicy. Na Łyczakowskim cmentarzu grób jego, a starej, wdowiej Rewakowiczówny ostatnie dni już pisane. Dziś, ze wszystkich stron odśloniona, czeka aż przez redaktorski ogród ulicę nową wytyczą, a na niej kamienice nowe powstaną... z elektryką, łazienkami, komfortem.

Bo komfortuje się Łyczaków w ostatnich czasach bardzo gwałtownie i bardzo pospiesznie i to od chwili, gdy pewnego letniego wieczora w r. 1894 tramwaj elektryczny stanął na wysokości cerkwi św. Piotra i Pawła.



Tę chwilę przełomową w życiu swoim powitał Łyczaków przeważnie w bieliźnie. Bo starym zwyczajem zaraz z wieczora wszystko już było uśpione na przedmieściu i z łoża się porwało, ażeby zobaczyć dziwowisko. Jedynie tylko z szynku Lernerera na wzgórzu, dziś splantowanem, gdzie była stacja klimatyczna dla więcej spragnionych Łyczakowian, wysypała się grupka ciekawych, a wśród nich słynna Skorobecka, rozgoryczona tem, że mąż jej, drażkarz z Podwała, stracić gotów zarobek z powodu wprowadzenia nowych środków lokomocji.

Niemożliwa do wykonania propozycja, którą pani Skorobecka uczyniła w tej ważnej dla Łyczakowa chwili tramwajowi elektrycznemu, była ostatnim wyrazem reakcji na rzecz sielankowego charakteru miejsca, któremu miejska inwazja wnet odebrała wszystkie lokalne właściwości.

Przyszli nowi ludzie, nowi lokatorowie, a zacny pan Michał Huk, który wracając później nieco ze wspomnianej wyżej stacji klimatycznej, nie poznawał zwykle znajomych i każdego przechodnia zaczepiał słowami: »widzę szlachetność oblicza i godność w postępowaniu, ale nazwiska nie znam« — otóż ten pan Michał Huk coraz mniej zaczął poznawać ludzi na Łyczakowie, coraz więcej obcych twarzy bez szlachetności oblicza spotykał, aż sam poszedł... na Łyczakowskie mogiły.





## XII. ZOFIÓWKA — ŻELAZNA WODA.

---

Każda strona Lwowa miała z początkiem dziewiętnastego wieku swojego mecenasa. Znamy już ich wszystkich: Węgłęńskiego, Wronowskiego, Cetera, Kortuma, Lonszana, a do ich liczby przybywa obecnie Jan Łukiewicz, który wprawdzie ogrodowi na Zofiówce nie nadał swego nazwiska, ale natomiast zapisał się wiekuiście, jako hojny fundator posagów dla biednych pańienek.

Jan Łukiewicz, właściciel dóbr i sekretarz sądu apelacyjnego we Lwowie, był właścicielem Zofiówki. Rozkochany w pięknym jej położeniu, pobudzony tradycją, która opowiadała, jakoby tutaj był niegdyś obóz hajdamacki, czy Doroszeńki, dbał Łukiewicz bardzo o swoją posiadłość, urządził w niej ogród owocowy i zwyczajem współczesnym przyjmował w domu swoim liczne towarzystwo, na wzór rzymskiego Mecenasa. Po bezpotomnej śmierci w r. 1817 zapisał majątek cały na rzecz fundacji posagowej i odtąd każdego roku w dniu imienin hojnego fundatora odbywa się w kościółku św. Zofji losowanie

posagów z wielką a rzewną uroczystością, której starożytne drzewa, otaczające kościółek, dużo dodają i niezwykłego uroku.

Kościółek św. Zofji fundowany z początkiem siedemnastego wieku przez mieszczanę lwowską Zofję Hannlową, jest środkowym punktem całej, prześlicznej okolicy poprzez plac powystawowy, park Kilińskiego aż do Żelaznej Wody, względnie aż do Krasuczyna i Snopkowa.

Przyroda lwowska jakby się wysiliła, ażeby tę wielką przestrzeń ubrać we wszystkie cechy charakterystyczne, których miastu naszemu zazdrości każdy obcy. Jest tam cisza Pohulanki i gwar Jeznickiego ogrodu, jest powaga dawnych tradycji mieszczańskich i urok »Kaiserwaldu«, jest wreszcie wspomnienie dawnych lwowskich majówek, z zapachem kwargli i piwa.

Z tem wszystkim jednak jest to dzielnica teraźniejszości i przyszłości, modna w całym tego słowa znaczeniu, tłumnie zwiedzana, siedlisko plagi festynowej i will eleganckich, ostatni wyraz sztuki ogrodniczej, która z miejsca pobłogosławionego już przez przyrodę uczyniła jedną z największych osobliwości Lwowa.

Ale to wszystko jest dziełem lat ostatnich. Park Kilińskiego i plac powystawowy powstał niemal w oczach naszych. Jeszcze przed laty dwudziestu była w tem miejscu pustka romantyczna, nieprzebyty splot wąwozów, jarów, gliniastych wydm, siedlisko wszelakiego rodzaju włóczęgów, a czasami widownia harców krewkiej młodzieży, która bez żadnego nadzoru starszych ćwiczyła się w strzelaniu z broni

palnej i urządziła ulubione onego czasu zabawy w »żandarma i zbója«. Ópuszczony fort austriacki był jedynym śladem ręki ludzkiej. Dopiero na kilka lat przed wystawą krajową z r. 1894 począł magistrat zalesiać pustkowie, a sama wystawa dokonała reszty.

Plac powystawowy jednak i park Kilińskiego dopiero dla przyszłego kronikarza lwowskiego przedstawiać będą wartość wspomnienia. Dzisiaj zanadto tam wre życie, za często opisują je reporterzy i fejetoniści, za dużo tamtędy chodzi par zakochanych i zbyt często wreszcie wyznacza tam sobie schadzkę cały Lwów elegancki, ażeby to wszystko brać było można pod kątem wieczności.

Trzeba albo samemu chodzić i wymyślać na festyny, grać w koło szczęścia, obracać się na karuzelu, obserwować wloty balonów i aeroplanów, słuchać muzyki, karmić się kiełbaskami, wzdychać do księżycy, albo też dać wszystkiemu spokój i wynosić się czempredzej precz z pięknego towarzystwa, które wspomnień nie lubi, bo one są przywilejem... starości.

Już przedziej Zofiówka. Tam wieczorami czarna jest cisza, pokryta kopułami drzew wielkich i rozrosłych, tam smutek i strach blady przelatuje poprzez konary drzewne, tam bolesna ironia... zakład dla ciemnych w prześlicznem słonecznem położeniu, tam wreszcie secesja i tandeta lwowskich kamienic najnowszych wżarła się aż w żywe ciało poetycznego ustronia.

I wiele drzew padło od gorączki budowlanej, chociaż co prawda drzewa tutejsze zawsze miały oso-

bliwe szczęście do... siekiery. Akta Archiwum miejskiego zachowały bardzo ciekawy i charakterystyczny obrazek z roku 1746, kiedy to magistrat rugował posiadacza Persenkówki, Jana Wilczka, z asystencją wojskową. Otóż ów Wilczek oblicza szkody leśne, poczynione właśnie w okolicach dzisiejszej Zofiówki:

Naprzód »ludzi kilkadziesiąt rzemieślników i chłopów przez tygodni 6, z płotami spalonymi, wycięli lasu fur 150. Dalej przez żołnierzy sprowadzonych i na Persenkówce lokowanych przez tygodni 14, dla nierządnic, które na każdą noc na Persenkówkę z gospod przedmiejskich bywały sprowadzane wielkim i zbytecznym ogniem paląc, rujnowany był las i przez tychże żołnierzy przedawany zostawał i dla porucznika i dla innych żołnierzy przez cały czas bytności do gospod ustawicznie wywożony, najmniej fur 500.«

»Sadowina nowo zafundowana także zrujnowana« a przy sposobności »gospodarza starego rozgami tak zbito iż kilkanaście niedziel leżeć, a jak mówią ruski miesiąc smarować się musiał i dotąd kawenczeje.«

Drzewa ostatecznie podrosły na nowo, a wspomniany już tylekrotnie nasz informator z r. 1825 piszący w »Rozmaitościach« widział na Zofiówce soczyste ich owoce i czuł »chłód przyjemny«. Wspomnienie Jana Łukiewicza było tu jeszcze wówczas bardzo żywe, a nasz autor pamiętał snąc dobrze »owe błogie czasy, kiedy grono dobranych przyjaciół spieszyło w to miejsce do gościnnego właści-

ciela tej wioski, trawić wieczory wśród zabawnej i uczonej rozmowy.

Jako prawdziwy Lwowianin nie wytrzymał autor długo w poetycznym nastroju. Za chwilę bowiem widzimy go przy misce śmietany, według zasady że: »będąc na wsi, trzeba wiejskie jadać potrawy«. Ponieważ »daleka przechadzka wzbudza dobry apetyt« przeto tylko od czasu do czasu podnosił on oczy z nad miski i widział przytem gromady Niemek zapijających się kawą i robiących równocześnie... pończochy. Osądził tedy, że »ładnym paniąkom zawsze ładnie«, a nawet lepiej im do twarzy przy pończosze, aniżeli »wśród modnego próżniactwa w oknie z lorynetką w rękę, lub z kartami do wykładania kabały«.

W r. 1839 był już na Zofiówce przedsmak... placu powystawowego. Budowniczy Underka założył tu mianowicie ogród publiczny z restauracją, gdzie obok podśmietania można było dostać i »rostbratle« na brudnych talerzach, muzyka zaś żydowska urozmaicała pobyt. W r. 1841. poczęły się tu wznosić pierwsze wille, które pobudował dyrektor budownictwa miejskiego i twórca gmachu skarbkowskiego, Salzmann.

Od kościoła św. Zofii na lewo, górzystym grzbietem, zalesionym, zejść można ku Żelaznej Wodzie. Miejscowość stosunkowo młoda i od r. 1820. dopiero zaczynają się jej tradycje. Dyrektor niemieckiej sceny we Lwowie, Franciszek Kratter, urządził tu chwilowo teatr letni. Zresztą do niedawna kąpiele w stawku Kamińskiego i mała karczemka, razem z laskiem wznoszącym się ku górze

były jedyną atrakcją dla nielicznych wycieczkowców, zapędzających się w te zapomniane strony niedzielą.

Jaki tu jednak ruch dawniej panował, pamiętają jeszcze starsi ludzie a wśród nich p. Leon Herzmanek, który pozostawił nawet w druku opis wycieczek, gdzie »rojno i buńczuczno, z niańkami, kołyskami i obfitym prowiantem wędrowali Lwowianie nieraz wczesnym rankiem do Żelaznej Wody, zalegali hałaśliwym obozem polanki i trawniki leśne, a wracali późnym wieczorem w usposobieniu odpowiadającym indywidualności, a bardziej jeszcze ilości wychylonych kwart czarnego winnickiego piwa«.

Przed kilku laty gmina miasta Lwowa zakupiła cały ten obszar i od tego czasu nowa rozpoczęła się era dla tej dzielnicy. Era jeszcze nieskończona — więc przyszłość najbliższa pokaże, co zrobi magistrat z Żelazną Wodą.





### XIII. CZARTOWSKA SKAŁA.

---

Można gościńcem Łyczakowskim, można i drogą Krzywczycką, a zawsze się dusza uraduje to białym szlakiem, który wzdyma się i opada jak pierś nadobnej dziewicy, to wreszcie leśną, wykrętną drożyną, piękną jak wymarzone śnienia studenta, podlotka, lub starej panny. Bo Łyczaków zachował jeszcze trochę kokieterji na swoich odętych pagórkach, spadzistych wąwozach, rozsiadłych przy ziemi chałupkach. Jeszcze się Kaizerwaldu wycięty lasek naszczerzy resztką wytrzebionej drzewiny, jeszcze gdzie niegdzie gliniaste porysowane parowy, rozpęknięte garby dadzą złudzenie aż... wichrów tatrzańskich. Tak jest, wirchów smreczystych, bo pewien oryginalny Zakopiańczyk, osiadłszy we Lwowie, zamieszkał aż na ulicy Leśnej i powiada, że »rankiem se chodzi wirchami« łyczakowskimi i dobrze mu jest.

Jeżeli jednak ów oryginalny Zakopiańczyk zaaklimatyzuje się na prawdę we Lwowie — to z pewnością nie pójdzie na »Czartowską skałę«, bo to dla Lwowianina za daleko. Ho! ho! Czartowska



skała! »taże to kawałek drogi«, a człowiek nóg swoich nie wygrał na loterji przecież, ani nie kupił na tandecie. Z pewnem więc zgorszeniem patrzy osiadły obywatel na wisusa studenta, co w gronie kolegów, podobnych jak i on wisusów pędzi, nie wiedzieć po co na Czartowską skałę, nie może zrozumieć manji turystycznej akademika, a już splunąłby z indygnacją na widok familji, któraby w niedzielę, zamiast się dusić w kurzu placu powystawowego zechciała odetchnąć świeżem powietrzem lesienickiego boru. Zresztą Lwowianin na samej ulicy Łyczakowskiej za dużo ma pokus, aby się mógł im oprzeć i nie osiąść gdzieś po drodze na mieliźnie. Zaledwie bowiem minie otwarte na oścież podwoje szynku »pod rakiem« czyli po lwowsku »pod krebssem« i drugiego przybytku »pod turkiem«, już go woń piwnego »pod gołąbkami« uderzy ogródka i pana Piotra restauracja, Kijaka — po przejściu zaś rogatki, vulgo »kopytkowego drağa« już mu Knosef zdala »ogrodem zdrowia« powiewa, a bardzo wreszcie hartownej potrzeba woli, aby się oprzeć urokowi lesienickiego prazdroju — browaru Grunda.

Gdy tedy obywatelu lwowski, miniesz jak Odysseusz owe Scylle i Charybdy, one syreny, co wabią zdradziecko rzępołem skrzypiec i rozdętymi dudami katarynki, możesz sobie powiedzieć, jak pierwszy lepszy austriacki feldfelbel: „*ist gut*“ i maszerować dalej, aż do siódmego słupka kilometrowego między Lwowem, a Winnikami.

Oh! ty lwowski obywatelu! Ty, któryś wołowym barytonem — ryczał w kościele na majowym nabożeństwie — »chwalcie łąki umajone!«

i *tremolando* ciągnął »góry, doliny zielone« i grzmiał wreszcie *fortissimo* »chwalcie cieniste gaiki, źródła i kręte strumyki« — ty, obywatelu lwowski skręć koło siódmego słupka kilometrowego na lewo i popatrz — popatrz jak to wszystko chwali Pana Boga, jak nawet z najwyższej skały onej »czartowskiej kazałnicy« grzmi pieśń potężna, której gardło twoje zapite nigdy wyśpiewać nie zdoła. Oh! ty lwowski obywatelu!

I jeszcze popatrz na źródła, zakręty, wyboje, na skaliste złomy, na leśne zaułki, na cały wreszcie majestat »Czartowskiej skały«, abyś poznał i zrozumiał, co jest czar przyrody, jej uśmiech słodki, jej zwalista powaga i ogromnych głazów utajona potęga. To nie szatro ceglane, które się pompatycznie kamienicą nazywa, ani bruk trembowelskim ciosem wyłożony, ani wreszcie ogrodu jezuickiego wydeptana ścieżka — ale to jest moc i potęga, to piękność i uroczone szeptu wiosny, to poważna gwara lasu i skalistych zboczy, śpiew martwy, a tak bardzo dojmujący. Nie jest Czartowska skała spacerowym ogrodem, ale pobożowiskiem tajemniczych mocy, które się zwały ku górze i tak na zawsze zakrzepły i zmartwiały.

To tak, jakby spieniona ziemia wzniosła się nagle pasmem wzgórzy od Lwowa i sunąć chciała wzdłuż łyżakowskiego gościńca, na Winniki. Co ją w drodze wstrzymało, niewiadomo, dość że tuż nad Lesienicami urywa się nagle przyczółkiem wzniesionym do 418 metrów ponad poziom morza i tworzy t. z. »Czartowską skałę«. Jest to najwyższy punkt z całej okolicy Lwowa, przewyższa go tylko nieco

sam szczyt kopca na wysokim Zamku. Las stary bukowy podchodzi aż po sam wierzchołek wzgórza, u którego stóp bije małe źródółko, wyżej ułożyły się piaski zielonawe, a stromymi zboczami pnie się wysoka droga aż na sam szczyt Czartowskiej skały.

Pionowo sterczące skały z wapnistego piaskowca odsłonięte są nagle od północy i piętrzą się na kilkanaście metrów wysoką, pionową skrzesaną ścianą, którą lud miejscowy powszechnie nazywa »kazalnicą czartowską«. Skała ta przypomina nieco podobne wybryki natury w okolicach Pieniak (Wysoki Kamień) i Podkamienia (słup kamienny pod klasztorem). Poniżej skały czartowskiej, na mocno spadzistym stoku północnym rzucił ktoś przed wiekami »garść« gładów o rozmaitych, często fantastycznych formach, objętości kilku do kilkunastu metrów sześciennych.

Od strony gościńca łyczakowskiego i Winnik otula całą tę górę las bukowy zwany na mapach »lasem żupan«. Tak więc w starożytnym żupanie śpi sobie i drzemie »Czartowska skała« nasłuchując tylko huku rozsadzanych prochem lub kilofami boków swoich kamiennych.

Bo Czartowska skała, od dawna już, od półwieka a może i dłużej, karmi wnętrzem swoim okoliczne drogi, i dostarcza kamienia każdemu, kto ma prawo założyć tam kamieniołom. Jest to jedyne jej bogactwo i jedyna chluba, bo podczas gdy Wysoki Zamek lub Piaskowa góra ulokowały swe fundamenta na samym tylko, tak dobrze we Lwowie znanym, białym piasku, Czartowska skała aż po sam

swój wierzchołek jest kamienna. Bogactwo to jednak bodaj czy nie stanie się wkrótce przyczyną jej zagłady. Już dziś Czartowska skała świeci dziurami wybranego kamienia, a dziury te coraz się powiększają, coraz bardziej zmieniają samą postać wzgórza, które dzięki dwom kamieniołomom, co się wpiły w jego ciało, gotowe zniknąć niebawem w naturalnym swym majestacie, a zmienić się w płaskie, banalne wzniesienie, podobne do trywialnej, pękatej niewiasty. Bywają zresztą i tak na świecie, ale mimo całego szacunku dla użyteczności kamieniołomów, nie podobna się oprzeć wrażeniu, że przecież szkoda tak pięknego zabytku przyrody, który od wieków nadawał krajobrazowi lwowskiemu wybitną, charakterystyczną cechę, a sam zasługuje jednak na coś innego, aniżeli na zatykanie dziur na drodze. Być może, że namiestnictwo lwowskie znajdzie jaki sposób zakonserwowania »Czartowskiej skały«, która zresztą w wykazie przedłożonym ministerstwu umieszczoną została w rzędzie zabytków przyrody, zasługujących na ochronę. Lwów tak brutalnie i bezwzględnie rozpiera się i niszczy swoje piękne do niedawna jeszcze okolice, że częściowe przynajmniej ratowanie tego, co się bez szkody dla nowożytnych potrzeb lub kolei Lwów-Podhajce da uratować, jest obowiązkiem tych, którzy kochają swoje miasto.

Przyznać trzeba, choćby to nawet trochę i przykro było, że Niemcy lwowscy z połowy dziewiętnastego wieku bardziej się zachwycali okolicą Lwowa, aniżeli my dzisiaj. W świąteczne dni wybierały się rodziny biurokratyczne za miasto, rozkładały się wszędzie, gdzie tylko przyroda hojną

dłonią rozsypała swe dary i poity się jej urokiem sentymentalne Niemki, wzdychał nawet filister biurokrata. Z tego sentymentu i z westchnień owych filisterskich urosła nawet miniaturowa literatura niemiecka, opiewająca okropnym wierszem, płacziwymi tony a z nieodstępnym czarno-żółtym sosem piękność okolic Lwowa. Co prawda, mdło i niedobrze się robi, gdy się czyta poetyczne sielanki w guście „*Spaziergänge eines leMBERGER Poeten, von Łyczaków nach Kisielka*“ albo drugie „*Lembergs schöne Umgebungen*“, ale zawsze sielanki te były, czytały je rozmamane Niemki i przepojeni piwem ich mężowie, a w niedzielę biegło to wszystko za miasto, zaludniało skromne wzgórki romantycznemi balladami w stylu swojego czasu i gdyby nie posunięta aż do obrzydliwości ckliwość, możnaby czuć nawet pewną sympatię dla tych, którzy nie daleko szukali przedmiotów swojego podziwu.

Naturalna rzecz, że »Czartowska skała« wraz z całą swoją na prawdę romantyczną okolicą w pierwszym rzędzie stanowiła źródło natchnienia dla wieszczów lwowskich. Bo co dziś widzimy na Czartowskiej skale, to tylko szczątki tych cudów przyrody, które się tu roztaczały jeszcze w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Wówczas cała przestrzeń ku wierzchołkowi zasiana była skałami, co siwe od starości, to porośłe mchem zielonym lub czerwonym, wyginały się w fantastyczne nieledwie kształty. Widział w nich niedzielny wycieczkowiec, to formy lwa gotującego się do skoku, lub rozpasaną architekturę djabelskiej kapliczki, zarysy spoczywającego krokodyla, lub wreszcie ska-

listy ołtarz ofiarny, otoczony krwawemi hjenami. Niektóre skały obrosłe niebieskiem kwieciem niezapominajek, patrzyły martwo a dumnie na czerwony dach folwarku, co się ścielił u podnóża góry, lub malutką chatkę małżonków Baczyńskich, staruszków, których publiczność lwowska nazywała Filomenem i Baucydą, lub wreszcie na cały ogromny obszar, który od widnokręga do widnokręga roił się wioskami o »dziwnie zakrojonych kształtach« i panoramą Lwowa wraz z lewkiem na wieży ratuszowej i majestatycznemi kopułami św. Jura. A dalej tajemnicze groty, jakieś zwaliska, niby to mury Cyklopów, jakieś przejścia podziemne, a nad tem wszystkim niepodzielnie panujące trzy olbrzymich rozmiarów głazy łyse i nagie i aż potworne w tej swojej nagości, na której turysta i wycieczkowiec chętnie rył swe nazwisko i scyzorykiem uwieczniał pobyt swój na Czartowskiej skale.

Również i sama nazwa tego uroczyiska podniecała fantazję romantyków lwowskich z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, napełniając także zgrozą pobożne właścicielki całego obszaru w osobach lwowskiego konwentu Benedyktynek. Dlaczego właśnie »czartową« miała być ta skała, skąd jej takie bezbożne miano? I tutaj właśnie można zaobserwować bardzo ciekawe zjawisko jak daleką była od życia i od otoczenia grupa Niemców, nadających ton ówczesnemu Lwowowi. Bo przecież pierwszy lepszy chłop z Lesienic byłby wytłumaczył tę nazwę w sposób, dla gadki ludowej, stanowczy i jasny. W czasach kiedy Lucyfer z djabłami niższej rangi chodził sobie jeszcze swobodnie po świecie, a nawet

okazywał się głupszym od niejednego wieśniaka, były takie figle i czartowskie psoty na porządku dziennym. Brał czart »kamyczek« i dla zabawy, może dla sportu, rzucał nim na drugiego djabła, swego zawodowego kolegę. Co djabłu »kamyczek«, to człowiekowi wielka skała. A czasami »kamyczek« upadł sobie gdzieś przypadkowo i został osamotnioną skałą, o której dziecko każde wie przecież, że to czartowska sprawa.

Mogło być i tak, że nieczysty duch czasami się zgniewał, coś mu tam przyszło do łba rogatego i począł się biesić. Toż on wtedy drzewa wydzierał z korzeniami, na rozstajnych drogach wichr skręcał w djabelskie młyńce, a gdy się zapamiętał, to skały wydzierał i nosił je, nosił a składał na jedno miejsce, aż się całkiem umęczył i uspokoił. Ot i cała geneza nazwy Czartowskiej skały, do której szanowny profesor Łomnicki, znany i wytrwały geolog dodać może jeszcze określenie, kiedy mniej więcej te figle djabelskie poruszyły okolicę późniejszej wioski Lesienic — w epoce dyluwialnej, czy też denudacyjnej.

Ale wieszczom lwowskim geologia z folklorem nie wystarczały wcale. Oni musieli się jeszcze skompromitować zupełną ignorancją historii. Wsiadł więc niejaki F. K, Salomon w r. 1822 na pegaza, który lekkością swoją i powiewnymi loty przypomina trochę perszerońskie konie od wozów meblowych i popełnił ponurą baladę o Czartowskiej skale. Czego tam niema w tej balladzie, którą następnie inny jakiś wieszcz lwowski przyswoił literaturze polskiej! Na Czartowskiej skale »wznosi swe czoło Igora gród

dawny« otoczony przez »posępne dęby«. W nim mieszkał Igor okrutny, co »nie ukłekał przed cnoty obliczem« a obok brat jego Wołodar, który miał znowu ten wypadek, że »srogo mu serce zranił wdzięk niewieści«. Rana była tak ciężka, że »nasz rycerz wzdychał bez ustanku, czuł niepokoje i słodkie boleści«. Była to jednak całkiem prosto »Adela, słynąca z czarownej ponęty«, do której Wołodar przez kilka zwrotek ballady przemawia stylem kochanków z »Nowej Heloizy«, pojmując ją w małżeństwo, co znowu niepodoba się Igorowi. Potem kielbasi się wszystko w prawdziwą »*Mordgeschichte*«, w której »dziki Tatar z kozakami w zmowie« jakiś syn Igora, Fedor, ba nawet księżę węgierski Rakoczy niepoślednią grają rolę. Kończy się wszystko zamordowaniem kochanka Wołodara, w tym chyba celu, aby osamotniona Adela mogła pójść »klastorne łzami zlewać mury«, a morderca Fedor pod Buskiem i Glinianami w wojnie z Rakoczym odpokutować swe winy. Naturalnie »zdradny Igor »rzuca się wściekły na skał urwiska, ze zamkowej wieży«, a nieprzyjaciele burzą zamek cały tak, że nawet kamień nie pozostał na kamieniu.

O ile jednak ten domorosły Walter Scott był o tyle oryginalnym, że niewinne skały zaludnił czułymi kochankami i zbrodnią, o tyle drugi wieszcz lwowski, który w kilkadziesiąt lat później opiewał dzieje Czartowskiej skały, nie zadał sobie nawet tyle fatygi, aby się zdobyć na samoistny pomysł. Oto w 36 zwrotek, drukowanych na cierpliwym papierze »Przyjaciela domowego«, opowiedział tę samą historję, tylko innym, więcej bohaterskim wierszem,



nadając bohaterom tym samym, inne, już w sentymentalnym stylu swojej epoki, imiona. Wołodar nazywa się u niego Bojanem, czuła Adela Budzi-sławą, Fedor Teodorem, a zresztą ta sama mordercza historia, z tymi samymi nonsensami i niedorzecznościami.

Obok poezji stanęła godnie również i historjografia lwowska. Słynny »historyk« i »heraldyk« lwowski, którego dzieje żywota i prac opisał niedawno szczegółowo dr. Ostaszewski-Barański — ów Ludwik Zieliński, co bez zająknięcia potrafił na żądanie odnaleźć dyplom Kazimierza Wielkiego, nadający danej osobie tytuł hrabiego (!), ten »literata« w dawnym lwowskim tego słowa znaczeniu, oglądnąwszy Czartowską skałę od »stóp do głów«, rzekł w swoim pisemku »Lwowianinie«: »To ruiny pogańskiego zamku, przed r. 800 ery chrześcijańskiej, stawianego w on czas, gdy miano zwyczaj w skale wykować, lub z nieociosanych brył kamieni mieszkania stawiać«.

Kiedy tak »historycy« i »poeci« lwowscy wypowiedzieli ostatnie swoje słowo nad »Czartowską skałą«, znajdowała się ona pod najczulszą opieką ksieni lwowskiego konwentu Benedyktynek, nazwiskiem Kuhn. Sielankowa ta ksieni wypisała w r. 1834 cały tomik niemieckich wierszy (*Lembergs schöne Umgebungen*) na cześć Czartowskiej skały, a na jej szczycie wystawiła »świątynię muz«, czy »świątynię Appolina« dla wygody wycieczkowców. Ta świątynia muz, była po prostu altanką, ze szpiczastym dachem i niewielką werandą, ale zawsze świadczyła bardzo dodatnio o zmyśle estetycznym ksieni, która



*Skala w Lesignickim Borze.*

Czartowska Skala ok. r. 1840.

dla amatorów pięknych widoków wystawiła jeszcze wygodne barjery i schody aż na sam szczyt skały.

W tych też czasach »Czartowska skała« była najulubieńszem miejscem wycieczkowem Lwowian. Roiło się tedy od wycieczkowców, a omnibus, który podówczas kursował między Lwowem a Winnikami, ułatwiał znacznie komunikację. Należało nawet po trosze do dobrego tonu mieć na stole u siebie, lub na komodzie błyszczące barwą bursztynu kamyki z Czartowskiej skały, które chętnie rozdawali robotnicy, pracujący przy kamieniołomie. Kamyki te, różne odmiany i formy wapienia, różowiły się czasami krwią ludzką, gdyż rabulistyczny sposób wydobywania kamienia i nieostrożne obchodzenie się z prochem przy rozsadzaniu skał kosztowały niejedno życie ludzkie. Jeżeli więc kiedy Czartowska skała usprawiedliwiała swe piekielne miano, to wówczas, gdy huk pękających skał i oblatywanie rumowiska, tyle wywoływało poetycznych uniesień u ksieni Kuhn.

Ale nietylko ksieni Kuhn szukała w fantastycznych kształtach Czartowskiej skały i na pobliskim folwarku lesienickim sielanki śpiewnej i rozkosznej, zdala od chóru zakonnego i monotonnych brewiarzów. W naszych już bowiem czasach mówiono dużo o innej sielance, w której rolę pasterki z niezwykłym powodzeniem odgrywała siostra Kolumba, kiedy indziej znowu staruszki zakonnice tam resztę dni swoich spędzały na łaskawym chlebie. Lesienice bowiem razem z całym obszarem Czartowskiej skały, należą już od siedmnastego wieku począwszy, do lwowskiego konwentu Benedyktynek, któ-



Czartowska skała w dzisiejszym stanie.

remu je wniosła w posagu założycielka klasztoru Katarzyna Saporowska. Dla starszych generacji zakonnych jednak była »Czartowska skała« znacznem utrapieniem, a to z powodu opryszków i rozbójników, którzy w jej grotach i złomach mieli siedliska i grasowali po starym trakcie gliniańskim. Jeszczeby mogła ta skała wspomnieć nieco o przeciągających pod jej stopami wojskach kozackich i tatarskich, które opodał, na gruncie krzywczyckim, oznaczanym po dziś dzień na mapach, jako »Tabory«, stały obozowiskiem. Był zresztą jeden »wycieczkowiec«, który wśród największej śnieżycy przepędził dzień cały na »Czartowskiej zkale«, ale to stało się jeszcze w r. 1695, więc i wycieczka miała zgoła inne cele, aniżeli dzisiejsze spaceru. Właśnie bowiem wówczas rozeszła się po Lwowie wieść o nadciągającej hordzie Tatarów, a hetman Jabłonowski, dowódca siły zbrojnej lwowskiej, wypatrywał stamtąd, którymi szlakami pójdzie nieprzyjaciel i z której strony najpierw łuna gorejących wiosek zaznaczy krwawą jego drogę.

Skoro jednak mowa o pożarach, to nie zawadzi wspomnieć, że był jeden pożar w ubiegłych wiekach, który w związku z »Czartowską skałą«, odbił się fatalnie na badaniach nad początkiem Lwowa i jego założeniem. W roku mianowicie 1259 miasto Chełm nawiedzone zostało tak strasznym pożarem, że jak powiada najstarszy ruski kronikarz i »ze Lwowa patrzący widzieli łunę od wielkiego ognia«. Jest to pierwsza historyczna wzmianka o istnieniu Lwowa, a na jej podstawie rozumował śp. prof. Szaraniewicz, że pierwotny, najstarszy

Lwów leżeć musiał na »Czartowskiej skale«, gdyż byłoby to jedyne miejsce we Lwowie najwyższe, skądby można było widzieć łunę tak odległego pożaru. Hipoteza, na tak kruchych podstawach oparta, nie mogła się ostać. Zarzucił ją i sam prof. Szaraniewicz, a inni historycy wykazali, że to niekoniecznie z samego miasta, czy zamku musiano pożar widzieć. Kto sobie poszedł za miasto, gdzieś na wyniosłe miejsce i tam zobaczył łunę, to z największą racją mógł powiedzieć, że pożar był widzialny przecież ze Lwowa.

Kwestja jednakowoż, czy na »Czartowskiej skale« nie stał dawnymi czasy jakiś zamek, zajmowała długo romantyczne umysły z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Naturalnie bzdury lwowskich poetów nie mogą być brane w rachubę, jest jednak jedno świadectwo brzmiące dość wiarygodnie. — Wspomniana mianowicie ksieni Kuhn opowiada o koleżance swojej zakonnej, jakiejś Gertrudzie, która żyjąc z końcem ośmnastego wieku, jakoby widziała na »Czartowskiej skale« resztki murów i zwaliska jakiegoś zamku. Jeżeli to nie jest fantazja historyczki, toby można przypuścić, że poprzedni właściciele »Czartowskiej skały«, zanim jeszcze przeszła ona na własność konwentu, posiadali tam jakiś zameczek lub strażnicę.

Jakkolwiek się jednak miały rzeczy w przeszłości, to w niczem to nie zmienia stanu obecnego, że »Czartowskiej skale« grozi zagłada. Jeżeli tak dalej pójdzie z kamieniołomami tamtejszymi, to już za lat kilka będzie ona należeć do rzędu wspomnień. A szkoda!

Szkoda miejsca pięknego, na którym krzyż ostatnio zatknęła lwowska »Gwiazda« i tablicę pamiątkową wmurowała — tablicę rozbitą przez wroga i znowu wmurowaną.

Szkoda »Czartowskiej skały«.

KONIEC.



## Spis rzeczy.

---

	Str.
OD WYDAWNICTWA . . . . .	3
I PRZELOTNE PTAKI . . . . .	4
Błądny rycerz we Lwowie 7. — Humanista nad Pełtwią 14. — Krzyżacka tragedia 24.	
II. ZAMEK i RUDERA . . . . .	31
Bez śladu i ruin 33. — Lapidea Kłopotowska (Nieciekawa historia lwowskiej kamienicy) 52. — Lwów podziemny 61.	
III. PRZEDMIĘJSKIE TRWOGI . . . . .	79
Rebelia w Zamarstynowie 81. — Popłoch tatarski 101.	
IV. U KRATEK LOMBARDU . . . . .	113
Mons Pius 115.	
V. DZIEJOWY GRYMAS . . . . .	131
Jadwiszka ze Lwowa (Z dziejów serca królewskiego) 133. — Amor z pastorałem (Z życia Ormian lwowskich) 174.	
VI. DWAJ GOŚCIE . . . . .	185
Wjazd Stefana Czarnieckiego 187. — Pobyt ks. Józefa Poniatowskiego 196.	
VII. ZEGARMISTRZE i ZEGARY . . . . .	203
1. Mistrzowie 205. — 2. Cech zegarmistrzowski 223. — 3. Zegary lwowskie 247.	
VIII. AUTOR, DRUKARZ i NAKŁADCA . . . . .	261
Ociemniały chwalcą (Wspominek pseudo-	



	Str.
literacki) 263. — Latający drukarz i pierwsza polska książka we Lwowie 270. — Księgarz w czamarze 279.	
IX. P. T. LWOWSKA PUBLICZNOŚĆ . . . . .	283
W teatrze 285. — W kawiarnianym dy- mie 296. Bzik karnawałowy 304. — Na bruku 311.	
X. WŚRÓD DRZEW i ZIELENI . . . . .	317
1. Wały hetmańskie 319. — 2. Wały gu- bernatorskie 332. — 3. Pałac i ogród Ja- błonowskich 344. — 4. W ogrodzie Jezu- ickim 356. — 5. Strzelnica 369. — 6. Po- hulanka 383. — 7. Cetnerówka 394. — 8. Na Wysokim Zamku 404. — 9. Dokoła Stawu Pełczyńskiego 413. — 10. Kortu- mówka 429. — 11. „Kaiserwald“ 437. — 12. Zofiówka — Żelazna Woda 451, — 13. Czartowska Skała 459.	



## Spis rycin.

1. Zamek Niski we Lwowie. (Odtworzył Franciszek Kowaliszyn) . . . . . 36
2. Kokosza wojna. — (Czytanie przywilejów szlachcie na Niskim Zamku. Według obrazu H. Rodakowskiego) . . . . . 40
3. Wehód do podziemnego przejścia w ulicy Balonowej. (Według rysunku Franciszka Kowaliszyna) . . . . . 73
4. Plan podziemnego przejścia od ulicy Balonowej do Góry Zamkowej. (Według rysunku Franciszka Kowaliszyna) . . . . . 75
5. Wehód do Banku Ormiańskiego. (Rysował z natury Franciszek Kowaliszyn) . . . . . 123
6. Król Władysław IV. (Według miedziorytu Wilhelma Hondiusa) . . . . . 135
7. Medal z r. 1637. na pamiątkę zaślubin Władysława IV. z Cecylią Renatą . . . . . 159
8. Królowa Cecylia Renata, pierwsza żona Władysława IV. (Według miedziorytu Wilhelma Hondiusa) . . . . . 163
9. Medal bity na pamiątkę zaślubin Władysława IV. z drugą żoną, Marją Ludwiką . . . . . 169
10. Królowa Marja Ludwika, druga żona Władysława IV. (Według miedziorytu Wilhelma Hondiusa) . . . . . 171
11. Obesłanie (cecha) ślusarzy, zegarmistrzów i rusznikarzy lwowskich z początku XVIII.

	wieku. (Według oryginału z Archiwum miejskiego rys. Fr. Kowaliszyn) . . . . .	225
12.	Stara pracownia zegarmistrzowska. (Według drzeworytu Josta Ammana z dzieła: Beschreibung aller Stände z r. 1568) . . . . .	230
13.	Warstat zegarmistrzowski w dawnych czasach. (Według sztychu J. Colaerta z r. 1570)	233
14.	Pieczęć cechu zegarmistrzów lwowskich. (Z tłoku znajdującego się w Archiwum miejskim, rys. Fr. Kowaliszyn) . . . . .	235
15.	Brama Halicka z zegarem. (Odtworzył według dawnych planów i opisów Franciszek Kowaliszyn) . . . . .	251
16.	Zegarek kieszonkowy lwowskiej roboty z XVIII. w. (Strona przednia rys. Fr. Kowaliszyn) .	257
17.	Zegarek kieszonkowy lwowskiej roboty XVIII. (Strona tylna rys. Fr. Kowaliszyn) . . . . .	258
18.	Wały hetmańskie za polskich czasów. (Odtworzył według starych rysunków i planów Fr. Kowaliszyn) . . . . .	320
19.	Wały hetmańskie w r. 1807. (Według akwareli znajdującej się w bibliotece Baworowskich we Lwowie) . . . . .	323
20.	Wały hetmańskie w r. 1840. (Według Zawadzkiego „Galicja w obrazach“) . . . . .	325
21.	Wały hetmańskie w r. 1874. (Według rysunku K. Młodnickiego) . . . . .	327
22.	Wały hetmańskie w dzisiejszym stanie . .	329
23.	Wały gubernatorskie w r. 1830. (Według współczesnej litografii) . . . . .	335
24.	Wały gubernatorskie od strony pałacu namiestnikowskiego. (Według Zawadzkiego „Galicja w obrazach“) . . . . .	339
25.	Wały gubernatorskie w r. 1840, od strony pałacu arcybiskupiego. (Według Zawadzkiego Galicja w obrazach) . . . . .	341
26.	W Ogrodzie Jezuickim w r. 1863. (Według	

	Str.
rysunku Artura Grottgera) . . . . .	363
27. Ulica Kraszewskiego przed zabudowaniem, (Według drzeworytu w Kłosach) . . . . .	365
28. Strzelnica miejska około r. 1840. (Według Zawadzkiego „Galicja w obrazach“) . . . . .	377
29. Pohulanka. (Według Zawadzkiego „Galicja w obrazach“) . . . . .	389
30. Cetnerówka. (Według rysunku A. Langego lit. Pillera) . . . . .	397
31. Staw Pełczyński i wzgórza okoliczne w r. 1825. (Według współczesnej litografii) . . . . .	427
32. Walka potworów morskich na stawie Peł- czyńskim w r. 1845. (Według współczesnej litografii) . . . . .	431
33. Dworek na Kortumówce. (Według fotografii)	431
34. Dworek Rewakowiczów na Łyczakowie. (Według akwareli Bieszczada) . . . . .	445
35. Czartowska Skała około roku 1840. (We- dług współczesnej litografii) . . . . .	467
36. Czartowska Skała w dzisiejszym stanie . . . . .	469



## **Tęgoż autora ważniejsze prace:**

1. Baszta prochowa i Archiwum miejskie (Lwów 1905):
2. Królowie polscy we Lwowie (Lwów 1906. wyczerpane).
3. Obrona Lwowa 1655 (Lwów 1905).
4. Ratusz lwowski (Biblioteka lwowska t. I).
5. Cmentarz gródecki we Lwowie (Biblioteka lwowska t. II).
6. Nobilitacja miasta Lwowa (Bibl. lwowska t. IV).
7. Lwowskie znaki biblioteczne (Lwów 1907).
8. Lwowskie znaki biblioteczne (Uzupełnienia Lwów 1908).
9. Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka (z dziejów Gródka Jagiellońskiego. Lwów 1910).

